

THRILLER HISTORYCZNY



KRZYSZTOF GOLUCH

# W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ

TOM III  
ZDRAJCA



NOVAE RES

KRZYSZTOF GOLUCH

# **W tajnej służbie II RZECZYPOSPOLITEJ**

---

**TOM III  
ZDRAJCA**



**NOVAE RES**



# Rozdział I

Wieniawa tkwił w Warszawie, lecz nie spędzał czasu na jałowych rozrywkach i pustych zabawach. A co więcej, nie łaknął ich. Jakby obmierzło mu towarzystwo aktorów, pisarzy i poetów, słowem: całej tej artystycznej śmietanki, której wiernym kompanem do zabaw był aż dotąd. Zamiast tego dnie i noce spędzał w budynkach inspektoratu, gdzie z niezwykłą jak na niego cierpliwością pracował nad szlifowaniem planów operacyjnych.

Zamieszkał nawet w budynku pomarańczarni, by być blisko komendanta, który w ostatnim czasie często rad jego zasięgał i kazał mu od swego boku nie odstępować. Obaj tak pochłonięci byli pracą, że niemal nie widywano ich publicznie. Lecz o ile takie zniknięcie komendanta traktowano jako rzecz zwykłą u sternika nawy państwowej, którego wielka pracowitość była powszechnie znana, o tyle nagłe zniknięcie Wieniawy stało się tematem licznych plotek.

I nie tylko elity rozsiewały je, szukając wyjaśnienia tej zagadki. Rozmawiano o tym także w licznych kolejkach, nikt bowiem nie cieszył się między ludźmi taką sławą jak Długoszowski. Plotki o nim szerzyły się niczym zaraza, dorównując swą liczbą tym, które tyczyły się wojny wschodniej. Co poranek podawano coraz to ciekawsze, bardziej sensacyjne wersje. Jednego dnia więc twierdzono, że warszawski arbiter elegantiarum doigrał się wreszcie i zapadł na wstydliwą chorobę, którą leczy gdzieś z dala od stolicy, a nazajutrz inni gorąco temu zaprzeczali. Przekonywali

mianowicie, że Wieniawa został ciężko kontuzjowany w honorowym pojedynku. Prawie nikt nawet nie zbliżył się do prawdy. Albowiem chcąc do niej dotrzeć, trzeba było naprawdę znać Wieniawę, a nie tylko karykaturę jego osobowości.

I właśnie ci, którzy go znali, postanowili odnaleźć kompana. Aby to osiągnąć, dniem i nocą czekali na niego w tych miejscach, w których mógł się pokazać. A więc przed Hotelem Europejskim, w Małej Ziemiańskiej czy w innych kawiarenkach stolicy. Szczęście uśmiechnęło się do Juliana Tuwima, który dostrzegł przyjaciela, gdy ten, znużony śmiertelnie, opuszczał gmach inspektoratu.

Wieniawa szedł cichymi, wymarłymi ulicami, mając narzucony ciemny płaszcz, który miał go chronić zarówno przed chłodem, jak i przed wzrokiem ciekawskich. Ale Tuwim rozpoznał go bezbłędnie. Bez namysłu ruszył za nim i dogonił go, gdy skręcał w kierunku Belwederu.

– Cóż to, przyjacielu? – zaczął go żartobliwie. – Masz u mnie dług, że unikasz mojego towarzystwa? I żeby tylko mojego, to jeszcze bym zrozumiał, bo nie każdy dobrze się czuje w towarzystwie wybranego. Ale na Boga! Czemu to skazujesz oczy pięknych panien na wypatrywanie ciebie...? A może znalazłeś już żywe wcielenie Wenus, które zdołało cię zamknąć w domowych pieleszach niczym szczygła w klatce?

– Pracuję, przyjacielu, pracuję – odparł ze śmiechem. – A ty, widzę, po staremu chodzisz od kawiarni do kawiarni za płynną weną twórczą. Ty, pierwszy sługa Apolla.

– Wolałbym służyć jego siostram – stwierdził Tuwim, ale aż pokraśniał z zadowolenia. – Ale jakaż to siła zaprzęgła cię wreszcie do pracy?

– Strach – odparł Długoszowski, poważnie patrząc przed siebie.

Julian przystanął. Zaniepokoiło go coś w postawie i tonie głosu przyjaciela, w którym była jakaś niezwykła dlań powaga. Znał go bowiem od dawna i był w stanie uwierzyć we wszystko, co o nim

mówiono, od gór podniebnych po atramentowe fale Bałtyku – gdyż wiedział, że drugi taki oryginał nie chodził jeszcze pod gwiazdami – lecz nie w to, by człowiek ten, którego pomiędzy przyjaciółmi nazywano straceńcem, bał się czegokolwiek.

Zsunął mu kaptur i spojrzał głęboko w oczy. Wieniawa pozwolił mu na to, ale bawiła go poważna mina Tuwima, z jaką ten mu się przyglądał, dlatego rzekł:

– Dziwisz się, że strach czepia się tak samo kości moich jak waszych? A czyżbyś nie słyszał o wojnie? Czy przeszło ci przez myśl, co się stanie z tymi, których kochamy, jeśli tu kiedykolwiek wkroczą bolszewickie hordy? Co wówczas zostanie z twojej ukochanej Ziemiańskiej i twoich tancerek? Odpowiem ci, byś ty przynajmniej mnie nie dręczył. Ziemiańska zostanie zrównana z ziemią, a twoje tancerki zostaną zgwałcone tyle razy, że stracą rachubę. Dlatego właśnie haruję jak wół, bo dziś nadszedł taki czas, że pióro trzeba zamienić na szablę. A ja nie dorównam ci w zręcznym posługiwaniu się pierwszym narzędziem, ty zaś mi w drugim. Boję się odpowiedzialności. Tak jak Atlas boi się zapewne, że pewnego dnia zabraknie mu sił do utrzymania nieba, tak my boimy się, że nie zdołamy wygrać tej wojny. A odpowiedzialność za losy milionów może przygnieść każdego.

– Nie jestem wcieleniem Tyrteusza i nie przeczę, że wojna mnie nie interesuje, lecz bądź pewien, że wesprę wasze dzieło. Ale ty potrzebujesz oddechu, bo nawet słońce ma swój wypoczynek, a twoja twarz zeszczuplała i stała się w swojej białości podobna do marmuru.

– Możesz nie interesować się wojną, lecz ona na pewno zainteresuje się tobą – odrzekł Wieniawa.

Dziwny jest – pomyślał Tuwim. Lecz niech mi każą wrywać pióra gęsiom z zadku, jeśli wiem, jak mam mu pomóc. Diabeł wie, co w tym człowieku siedzi i co aktualnie jest na wierzchu. Ale cokolwiek by to było, wódką to podlać należy.

– Dziwnie mówisz i okropnie wyglądasz. Zupełnie jak melancholik, któremu gula w gardle stanęła. I tak myślę, że trzeba ją wódką popchnąć do żołądka.

– Mylisz się. Jestem ten sam, co byłem, tylko że ty znasz mnie jedynie jako miłośnika zabaw, którym byłem i jestem, a teraz poznasz także jako polityka, który potrafi troszczyć się o wspólne dobro.

– Po mojemu to polityk troszczy się tylko o to, by go nie złapali – odrzekł Tuwim uradowany, bo już był pewien, że zdoła swego przyjaciela rozerwać. – Idziemy więc do knajpy na Gnojnej.

Lecz Wieniawa-Długoszowski słuchał żartów Tuwima z obojętnością, choć ten dokonywał cudów kuglarskiej zręczności, by go rozweselić. On jednak był zbyt głęboko we własnych myślach pogrążony, by w ogóle zwracać na to uwagę. Bo prawdę rzekł, że ciążyło mu brzemień odpowiedzialności. Lenin wszczął wojnę, a oni ją przyjęli, jak przyjmuje się dopust Boży. Dobrze jednak znali położenie i mierzyli swe siły. I nie byli pewni, czy ich starczy. A i on nie widział niczego jasno. I bał się wyniku tego starcia i tej kampanii, której początek miał nastąpić, gdy tylko prace sztabowe będą wreszcie ukończone. Był przy tym rozdrażniony, bo komendant, chcąc zjednać sobie przychylność losu, przestał palić na intencję powodzenia wyprawy.

Chcąc nie chcąc, musiał do niego dołączyć. Bo na wszelkie próby obrócenia tej decyzji w żart Piłsudski reagował sprzeciwem, a on wiedział, że komendant nie dotrzymałby ślubowania, gdyby ciągle widział jego, jak puszcza dymka. A z Boga nie wolno kpić. Ale niezaspokojony od kilku dni nałóg szarpał go za wnętrzności i ssał w żołądku. To ssanie zwiększało jednak tylko jego zajadłość, by dotrzymać ślubowania. Przysiągł sobie na wszystkie świętości, że pokona tego wroga, który tkwi w nim samym, tak samo jak niegdyś pokonywał cielesnych wrogów na froncie. A że potrafił być twardy jak krzemień nie tylko dla innych, lecz i dla siebie, więc na

razie zwyciężał. Ręce tylko mu drżały i łatwiej niż zwykle gniewem wybuchał.

Wyprawa na dawną Gnojną, czy też – jak chcieli urzędnicy miejsy – na Rynkową, nie była dla niego pierwszozną. Znał bowiem nie tylko wytworne lokale stolicy, lecz także mroczny świat spelunek, gdzie raczono się tanim samogonem własnego wyrobu i gdzie bywała warszawska ferajna. Lecz lokalu u Starego Jozka nie omijała też łaknąca mocniejszych wrażeń inteligencja. Bywali tam w towarzystwie kurtyzan, doliniarzy, handlarzy z hali mirowskiej, a także literatów i polityków.

Znał więc dobrze drogę, ale pozwalał prowadzić się Tuwimowi, który jako polski Żyd, jak sam o sobie mawiał, umiał lepiej poruszać się po dzielnicy żydowskiej. Dzielnica bowiem była integralną częścią Warszawy, ale ten, kto do niej wchodził, wkraczał do innego świata. Wieniawa obserwował tu często ortodoksyjnych Żydów, z długimi pejsami, w jarmułkach, którzy żyli jak ich ojcowie i dziadowie przed tysiącami lat. I zapewne nawet po polsku nie umieli mówić, bo im się wciąż zdawało, że są w swojej ziemi obiecanej. Większość z nich nie wyściubiła nosa poza Torę i mury synagogi. Lecz już inni parali się handlem i nosili się z europejska. Gdziekolwiek się przechodziło, widać było stragany z najprzeróżniejszym asortymentem. Wszędzie niemal powstawały małe żydowskie sklepiki, z których to wyrosła późniejsza żydowska burżuazja.

Lecz i tu, jak wszędzie, żyli także ci, którzy nie mieli nic prócz wszystkich części ciała. Oni to napełniali ulice, a ich bogatsi współbracia – kamienice. I to właśnie ci drudzy decydowali o charakterze miejsc. Wznosili synagogi, domy modlitwy, aby ich imię przetrwało wieki w budowlach, które wielkim nakładem kosztów fundowali. Może chodziło im o chwałę Bożą, a może o własną? Lecz piękno, które pomogli stworzyć, istotnie godne było podziwu.



Wieniawa, mając w sobie żyłkę estety, podziwiał je chętnie. Zwłaszcza że nocną porą mógł to robić bez oddechu setek ludzi na plecach. A i synagogi zdawały się mieć w sobie jakiś dziwny majestat, gdy skąpane były w mroku nocy. Długie cienie kamienic padały na ulice. Czasem w pobliżu przemknął jakiś nędzarz, który szukał schronienia pod niebem – jedynym dachem, jaki mógł mieć nad głową. Dwaj towarzysze jednak zdawali się w ogóle nie dostrzegać takich ludzi, gdyż patrzyli teraz na świat innymi oczami.

I dopiero po przejściu przez plac Grzybowski przyśpieszyli nieco kroku, gdyż obydwaj byli głodni. Wieniawa od wczorajszego południa nic w ustach nie miał, a i Tuwim więcej o innych sprawach myślał niż o jedzeniu. Tyle że o jedzeniu można nie myśleć, dopóki samo o sobie nie przypomni wściekłym ssaniem w kiszkaach. Dlatego zadowoleni stanęli przed ogromną kamienicą, w której znajdowała się restauracja.

Szybko weszli do dużego, zasnutego obłokami dymu pomieszczenia. Natychmiast po wejściu uderzyło w nich rozgrzane powietrze, przesycone zapachem trunków i potraw. Brzęk kufli mieszał się z okrzykami klientów, którzy wiedli ożywione rozmowy. Pomędzy nimi uwijały się kelnerki. Musiały dokonywać cudów zręczności, by manewrować między stolikami, a jednocześnie unikać łap klientów, które się ku nim wyciągały. Oslaniały się więc, jak umiały, tacami ze złocistym trunkiem i samogonem – słusznie rozumując, że żaden z tutejszych stałych bywalców nie narazi go na rozlanie.

W lokalu panował półmrok, gdyż jedynym źródłem światła były świece porozstawiane na stołach. One też oświetlały czerwone i nabrzmiałe od alkoholu twarze klientów. Ale ich blask był zbyt słaby, by rozświetlić całe pomieszczenie, stąd poruszanie się po lokalu było utrudnione. Lecz Tuwim i Wieniawa byli tu nie po raz

pierwszy, dlatego szybko i sprawnie przedostali się do kontuaru, rozdając kuksańce tym, którzy nie ustępowali im dość szybko.

Za barem stał Józef Ładowski<sup>1</sup>, znany w tutejszych kręgach jako Stary Jozek. Na sobie miał stary, zabrudzony fartuch, który opierał się na jego wydatnym brzuchu. Na jego kwadratowej, nalanej twarzy perliły się kropelki potu, a spod jarmułki wysuwały się resztki czarnych, kędzierzawych włosów. Jego małe, szare oczka były ledwie widoczne spod otaczających je zwałów tłuszczu, lecz zawsze ze znanstwem taksowały klientów. Jego grube, wilgotne wargi potrafiły kląć ludzi w taki sposób, że włosy stawały im dęba na głowie. Potrafił rozmawiać z każdym.

Wtajemniczeni szeptali między sobą, że bywał rozjemcą sporów między poszczególnymi hersztami. Ile w tym było prawdy, nikt nie wiedział. Dość, że ich ludzie często się tu stołowali, ale grzeczni byli tak jak dziecko w kołysce. Bo Stary Jozek sam potrafił ich ukarać za czynienie mu szkód w interesach. I dlatego właśnie stołowała się u niego także i inteligencja, która mogła być pewna, że za progiem jego knajpy nie tylko włos nikomu z nich z głowy nie spadnie, ale i mieszek będzie bezpieczny.

Stary Jozek do tego stopnia dbał o swój interes, że mieszkał wraz z rodziną nad knajpą, by móc ją stale doglądać. Mówiąc krótko, był to Żyd sumienny w swojej robocie, z lekką głową i ciężką ręką. Ale w tych stronach, gdzie jakiegokolwiek bezpieczeństwo było czystą fikcją, właśnie takiej głowy i ręki było potrzeba, aby do czegoś dojść. Teraz właśnie zmierzył wzrokiem dwóch klientów, jednocześnie wycierając zakurzony bar.

Tuwima poznał od ręki, ale nie przywitał go uśmiechem, ponieważ miał on zwyczaj pić na borg i dopiero przyszłe zyski z utworów miały opłacić hulatykę. Dlatego nie raz, nie dwa przyciskać go musiał, by zapłacił, co był dłużny. Tego drugiego nie poznawał i zmarszczył brwi. Nie lubił bowiem takich, co kryli twarze. Zawsze prędzej czy później sprowadzali oni kłopoty.

- Piwa – zażądał Tuwim spokojnie.
- Nie ma – odparł Żyd równie spokojnie.

Poeta rozejrzał się dookoła i dostrzegł pełne kufle stojące na stołach.

– Tłuszcz wam oczy zalewa, to i nie dostrzegacie, że piwa nadmiar macie?

Jozek uśmiechnął się tylko, choć miał prawo się rozgniewać. Ale on z zasady nie gniewał się na klientów. Wystarczyło mu to, że ich oszukiwał. Tuwim przecież zawsze w końcu płacił swoje długi.

– Piwo jest dla tych, co za nie płacą – rzekł. – Jak kto chce pić za darmo, to niech do rzeki idzie albo gębę otworzy, jak padać zaczyna.

Wieniawa zachichotał, a Tuwim poczerwieniał, że go taki afront przy kompanie spotykał. Ale udając, że bierze słowa karczarza za dobrą monetę, odrzekł:

– Znacie rzeki, w których piwo płynie? Natychmiast mnie nad brzeg prowadźcie.

Wieniawa nie słuchał dalej jałowego sporu. Wodził oczami po obecnych, jakby był nieco senny. Nagle wzrok jego zatrzymał się na dziewczynie, która zdawała się szarpać z lekko już upojonym gościem. Może byłby nie zwrócił na to większej uwagi, ponieważ był mocno zmęczony i niemal leciał z nóg, gdyby nie błysnął mu pierścień na palcu dziewczyny. Pamiętał go ze względu na osobę, która go podarowała.

Przez głowę przeleciały mu sprzeczne myśli. Może podarował sygnet dziewczynie? Dla niego to tylko zwykła błyskotka, którą drogo sprzedać lub zastawić można. Ale przecież wytłumaczył mu, w czym rzecz. A może to jego dziewczyna? Uśmiechnął się do tej myśli. Szybko by się uwinął. Ale to mi i dziwne, bo drzewo śmielsze jest do kobiet niż on. Tylko po co posyłałby ją do miasta? On, domator i miłośnik ziemi, nie przyjechałby przecież tutaj.

Tak rozmyślając, przedzierał się ku dziewczynie, roztrącając ludzi. Po chwili stanął za człowiekiem, który stanowił zagrożenie dla jej cnoty. Bez chwili namysłu pchnął go z taką siłą, że ten zatoczył się na najbliższy stolik, i padł na niego, strącając kufle, które z trzaskiem rozprysły się na tysiące odłamków, a ich zawartość rozlała się po podłodze.

– W porządku – rzekł do dziewczyny Wieniawa. – Jesteś pod moją opieką i nic ci już nie grozi. A teraz stań za mną.

Weronika – bo ona to rzecz jasna była – spojrzała na nieznajomego, którego twarzy ani oczu nie mogła dostrzec. Ale było coś w jego głosie, co przekonało ją, że może mu zaufać. Dlatego zrobiła to, o co prosił – stanęła dokładnie za jego plecami i uspokajała oddech.

Tymczasem na sali zapanowała cisza. Orkiestra umilkła. Ucichły rozmowy i brzęk szkła. Wszyscy zamarli w odrętwieniu, mimo woli czekając, co się stanie. Niektórzy trzymali kufle w połowie drogi do ust, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wszyscy obserwowali, jak niedoszły adonis wstaje, ślizgając się na piwie.

Wśród nich był i gospodarz. Niepokoił się on trochę, bo znał tego człowieka i wiedział, że był on synem szefa resortu więziennictwa. Zawsze zostawiał dobre kwoty, więc pozwalała mu obłapiać kelnerki. A teraz wtrącił się ten nieznajomy. Spojrzał na Tuwima z gniewem w oczach. Zawsze przywlecze jakiegoś przybłądę, który staje się tylko zawadą i kłopotów przyczyną.

Tymczasem Bernard, bo tak miał na imię poszkodowany, poderwał się i skoczył ku Wieniawie. Zaczerwieniony był, oczy błyszczały mu ogniem i gniewem. Przeżuwał własne upokorzenie i wstyd. W głowie szumiało mu od potężnego uderzenia i kontury obrazu były rozmazane. Wydawało mu się też, że słyszy potężny śmiech i widzi ślady wesołości na wszystkich twarzach. Stanął na szeroko rozstawionych nogach i ciężko dysząc, rzucił:

– Coś za jeden, zawalidrogo?!

– A co gadać? Wynoś się.

Bernarda zamurowało. Nie przywykł do takiego traktowania.

Bez chwili namysłu dobył szabli i skoczył ku Wieniawie. Ten jednak od dawna był na to gotowy. Żelazo świsnęło mu w rękę. Rozległ się świst szabel. Ale Bolesław był zbyt doświadczonym szermierzem, by zbyt długo bawić się z przeciwnikiem pokroju Bernarda, który stawał do orężnej rozprawy tylko wówczas, gdy inaczej nie dało się postąpić. Toteż szybko szabla wyskoczyła mu z dłoni, jakby nagle mu zdrętwiała. Broń zatoczyła krótki łuk w powietrzu i upadła z brzękiem na stół. Bernard zachwiał się od zamachu i padł jak długi, prosto w rozlane piwo i resztki szkła.

– Nie wstawaj – odezwał się Wieniawa. – Ojciec prawdopodobnie kupił ci stopień oficerski, bo nawet szablą władać nie umiesz. Po drugie: kalasz mundur swoją osobą. I módl się, żebym cię ponownie w nim nie zobaczył, bo wówczas nie poprzestanę na wytrąceniu ci broni.

Stał nad Bernardem, sprawiając wrażenie oburzonego. Patrzył na jego młodą jeszcze twarz noszącą już ślady warcholstwa i przepicia. Na przekrwione gniewem oczy. I mimo woli pomyślał sobie, jak zgubną rzeczą jest rozpusta, która wysysa siły i zamyka drogę do pięknego życia już u jego początku.

– Zapłacisz za to mnie! Bernardowi Walewiczowi. Mój ojciec i ja mamy długie ręce.

– Dobrze – odrzekł Wieniawa obojętnie. – Wolę szczerą groźbę niż fałszywe obietnice. Ale zastanawiająca jest kolejność, jakiej użyłeś. Jesteś tylko nędzną hubą drzewną, wysysającą soki żywotne ze swojego ojca, bo sam jesteś niczym. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem.

Chwycił Weronikę za rękę i nie troszcząc się o nikogo więcej, wyprowadził ją z knajpy. W przejściu rzucił Jozkowi złotą carską monetę, którą ten pochwycił w locie i uradowany zważył w dłoni.

Skłonił się nisko i pomyślał: Dobry człek, hojny, tylko lepiej mu w drogę nie wchodzić.

Gdy wyszli na powietrze, poprowadził ją przez chwilę, by jak najdalej oddalili się od karczmy. Nie był bowiem pewny, czy Bernard nie spróbuje zemsty na dziewczynie. O siebie się nie bał, jego groźby obchodziły go tyle, co zeszłoroczny śnieg. Dla kogoś bowiem, kto wyszedł cało z Łubianki, nie było rzeczy strasznych. Gdy się oddalili, nie zwalniał kroku, bo nie chciał czasu zmarnować. Dlatego nadal szedł tak szybko, że Weronika ledwie za nim nadążyć mogła.

Przez drogę próbowała odgadnąć, kim był ten człowiek, który bez namysłu karku za nią nadstawił. Odgadywała, że pod tym szarym płaszczem kryje się mundur, więc nieznamy musiał być żołnierzem, i to dobrym. Ale dlaczego jej pomagał? Czy nie był takim samym opojem jak tamten? Tu wzdrygnęła się na samo wspomnienie.

– Nie zrobicie mi krzywdy, panie?

Westchnął.

– Gdybym chciał twojej krzywdy, to pozostawiłbym cię w tych rękach, w których byłaś. Zaczekaj chwilę. Wyjdziemy z dzielnicy żydowskiej, to zadasz mi wszystkie swoje pytania, a i ja dowiem się czegoś o tobie. Teraz pośpieszajmy, bo nie chcę budzić świętego Piotra po nocach.

Jej nieufność nieco przygasła. Bo rzeczywiście, gdyby ten człowiek chciał jej zguby, toby jej nie ratował. A może on pomoże jej znaleźć Wieniawę? Musiała tego dokonać. Ów był jej jedyną nadzieją na uwolnienie Tomasza. Tymczasem okazało się, że ta misja przerasta jej możliwości. O Wieniawę dopytać się istotnie było łatwo, bo znała go cała Warszawa. Ale zetknąć się z nim nie umiała. A nagabywani w tej kwestii oficerowie wyśmiewali ją tylko. I pewnie by się poddała, gdyby nie to, że uciekając z domu, spaliła za sobą wszystkie mosty.

Mogła być pewna, że ojciec przywitałby ją rzemieniem albo i czym twardszym. Ale nie mogła, nie mogła usiedzieć w domu! Zadręczała się myślą, że tam się Tomaszowi krzywda dzieje. Jej wyobraźnia szalała i dręczyła ją nocnymi koszmarami. Wiedziała, że Tomasz jest niewinny. Nie miała pojęcia skąd, ale wiedziała. I była pewna, że tylko ona może mu pomóc. Napędzana tą myślą, postanowiła wybrać się do Warszawy.

Była dziewczyną prostą i nie miała pojęcia, na co się porywa. Pobrała, co się dało wziąć z zapasów z ojcowej komory, i ruszyła w drogę, kierując się wskazówkami napotykanymi po drodze ludzi. Tak dotarła do miasta. Widok wielkiego rojowiska ludzkiego zaskoczył ją i onieśmielił. Z wrażenia nie wiedziała, na czym należało wzrok skupić. Przytłaczały ją wielkie kościoły i kamienice. Zadziwiały konne tramwaje, ludzie ubrani i mówiący inaczej niż ci, do których nawykła. Zadziwiła ją cała ta rzeka ludzka, zamknięta jakby między dwoma brzegami, śpiesząca się nie wiadomo dokąd.

Nieprzywykła do takich porządków, kilkakrotnie o mało nie wpadła pod dorożkę, sama nie wiedząc, dokąd i po co idzie. Czowała na palcu tylko sygnet, który stał się przyczyną wyprawy, ale przezornie obróciła go tak, by nikt nie widział rubinu. Bo choć młoda, znała świat i ludzi, a zwłaszcza ich nigdy nienasyconą chciwość. Wiedziała, że szlachetny kamień łatwo może sprowadzić na nią kłopoty, jeśli wpadnie w oko jakiemuś łupieżcy.

Nad nią świeciła jednak pomyślna gwiazda. Nogi zawiodły ją wprost na ulicę, gdzie Stary Jozek prowadził swój interes. A właśnie miał on kłopot niemały, bo mu jedna z kelnerek w ciążę zaszała. Dał jej parę groszy na odczepnego, bo mówiła, że zaszała z klientem, ale nie utrata grosza była najgorsza. Największą stratą były ręce do pracy. Wprawdzie mógł wziąć kogo z licznych w Warszawie bezrobotnych, których całe tłumy wystawały na ulicach, czekając na to, aż ktoś da im jakąkolwiek robotę, ale

większości z nich źle z oczu patrzyło, a on jako właściciel knajpy znał się na ludziach i wiedział dobrze, że zatrudnienie kogoś z tego motłochu nie dałoby mu żadnej korzyści. Chyba tylko wzrok miałby lepszy od patrzenia temu komuś na ręce. A właśnie tego nie chciał, dość miał pilnowania. I tak bowiem strzec się musiał przed rodziną, która tylko w jego kieszeń patrzyła.

Dlatego Weronika spadła mu jakoby z nieba. Spotkał ją, jak przyglądała się synagodze. Spodobała mu się jej twarz, na której widział uczciwość i urodę, a z niej także mógł wyciągnąć dla siebie profity. Po nieśmiałym zachowaniu poznał, że nie jest osobą miejscową. Zagaił więc rozmowę, która usposobiła go do niej jeszcze przychylniej.

Weronika uraczyła go bajeczką o dziedzicu, przed którego zalotami uciekać musiała. Stary Jozek uwierzył łatwo, bo znał już podobne wypadki. Dziwił się tylko trochę, że dziewczyna uciekała od pana, zamiast go do siebie przywiązać. Ale i to wypadło w jego oczach korzystnie. Bo jeśli dziewczyna oparła się wielkiemu panu, tym bardziej nie ulegnie jego klienteli, to i kłopotu nie będzie. Zatrudnił ją. A płacił mniej niż innym, bo słusznie rozumował, że dziewczyna nie ma dokąd pójść. Jako prawdziwy Żyd umiał i z dobroczynności wyciągać dla siebie korzyści.

Wyszli wreszcie z dzielnicy żydowskiej i Wieniawa odetchnął z ulgą. Podszedł do pierwszej ławki, którą napotkali, i usiadł. Weronika stanęła pod latarnią, a światło padało wprost na nią, oświetlając jej sylwetkę.

Wieniawa uśmiechnął się, gdy na nią patrzył.

No, no, jeśli mój Tomaszek taką perłę złowił, to chyba wykorzystał do tego cały zapas szczęścia dla innych ludzi przeznaczony – pomyślał.

– Siadaj ze mną – rzekł. – Panna nie powinna pod latarnią stawać. A i mnie lepiej w cieniu być, bo jestem tu zbyt dobrze znany. Naprawdę nie masz powodu, żeby się mnie bać. Rozumiem,



że jesteś w Warszawie nowa i twoja znajomość z tym miastem nie zaczęła się zbyt dobrze, ale chyba dałem ci już dostateczny dowód mojej uczciwości, żebyś mogła mi zaufać.

– To dlaczego kryjecie, panie, swoją twarz pod kapturem jak złoczyńca?

– Bo osobie z moją pozycją nie wypada pokazywać się w tego typu miejscach – wyjaśnił. – A co do kaptura, to i mnisi go noszą, a przecież nikt ich z tego powodu złoczyńcami nie mianuje. Ale jeśli ci przeszkadza... – Odrzucił go, odsłaniając czuprynę i twarz.

Spojrzała na niego błyskawicznie i uśmiechnęła się, patrząc na jego lico i mundur. Nie umiała odróżniać stopni, ale instynktem odgadła, że ma do czynienia z człowiekiem wpływowym. Spotkanie to wydało jej się błogosławieństwem od losu. Taki człowiek mógł okazać się pomocny. Z lekkim niepokojem usiadła obok niego.

– Jesteście oficerem?

Z półuśmiechem pokazał palcem na mundur.

– Każdy może go nosić. Taki sam miał tamten. – Wzdrygnęła się. – Musicie uważać. Ludzie mówią, że to pan o daleko sięgających rękach i ludojad.

– Niech je trzyma przy sobie. Zresztą widziałas, jak je do mnie wyciągał. I chyba przyznasz, że na dobre mu to nie wyszło. Znam ja takich, którzy zamiast ojczyźnie sławy przysparzać, zakałą się okazują. A jest ich niemało. Nie wie taki, co to ciężka praca, bo kropli potu nigdy nie wylał, a głowę wysoko nosi. Pieniądze po knajpach ostawiają, a w kraju nędza i głód.

– To co robiliście w knajpie?

Zarumienił się i dopiero po chwili odrzekł:

– Swoje wolno przepić i nie masz w tym ujemy na honorze. A ja nie przepiłem ani jednej marki, której bym uczciwie nie zarobił. A ciebie co tu przygnało? Powiesz mi? Może zdołam ci pomóc. Mnie Bernard nie dosięgnie, ale na tobie może zemstę wyrzucić.

Zawahała się. Bała się powierzać swoją tajemnicę obcemu człowiekowi. Ale rozumiała też, że prawie nie ma innej drogi. Do knajpy nie mogła już wrócić. Stary Jozek krzywy pewnie będzie, że z jej przyczyny pod jego dachem dostojny gość został ośmieszony. I Bernard też pewnie zemsty Bogu nie zostawi, bo rzecz stanie się głośna w całej Warszawie. A co mu ona była winna? Pozostawał jej tylko ten człowiek, który spadł jej niczym z nieba. Ale jakie miał zamiary? Kim był?

– Potrzebuję znaleźć w Warszawie człowieka – wykrztusiła wreszcie.

– Nielatwe to zadanie – odrzekł. – Ale spróbuję ci pomóc. To twój krewny? Do niego przyjechałaś? Jeśli tak, to muszę ci powiedzieć, że źle się tobą dotąd zajmuje. Ale jeżeli jesteś pewna, że cię przyjmie i dobrze się tobą zaopiekuje, to ja ci w tym przeszkadzać nie będę, a pomogę, w czym będę mógł. Lepiej jednak, byś opuściła tę dzielnicę.

– Ja żadnych krewnych w tym mieście nie mam. I obcym mi się ono wydaje i straszny. Owe hałasy, dźwięki, do których nie przywykłam. A nigdzie nie ma pól, lasów, świeżego powietrza. Tu do snu nie śpiewają ptaki, tylko hałasują tramwaje, kupcy i Bóg jeden wie, kto jeszcze. Spać tu nie mogę. I ludzie jacyś inni.

– Ludzie wszędzie jednakowi – odparł. – A że tobie tu źle, nic dziwnego, bo do klatki nawyknie tylko ten, kto się w niej urodził. I mnie tu ciężko. Tylko że człowiek jest jak gwóźdź: tkwić musi tam, gdzie go wbiją. Ale jeśli tu krewnych nie masz, to po kiego czorta przyjechałaś? Jeśli nawet nie mogłaś zostać u siebie na wiosce, to mało jest innych miejsc, gdzie czułabyś się jak u siebie. Mów mi, kogo chcesz znaleźć, to pomogę, bo mało jest ludzi w tym kraju, których bym nie znał.

Wzruszyła ramionami, biorąc jego słowa za chępliwość.

– Jesteście oficerem. I tego, kogo chcę spotkać, pewnie znacie, więc mi spotkanie ułatwicie.

– Jestem człowiekiem wielu talentów – przyznał nieskromnie. – Mam obroniony dyplom lekarski, znam się na malarstwie i poezji, a wojakiem zostałem z przypadku. No i znam prawie każdego, kto w tym kraju cokolwiek znaczy. Więc jeśli ja ci nie pomogę, to nikt ci nie pomoże.

Spojrzał w jej twarz, jakby chciał sam z niej prawdę wyczytać. Ona odpowiedziała mu śmiałym wejrzeniem. Ich wzrok skrzyżował się i poznała, że może mu zaufać. Przez chwilę zbierała myśli, wreszcie rzekła:

– Szukam Wieniawy-Długoszowskiego. Ale jego najłatwiej na ludzkich językach spotkać można, a samego zobaczyć trudniej. Znać go albo chociaż wiecie, jak można dostać się do niego?

Twarz Bolesława pokryła się czerwienią i desperacko przysłonił usta dłonią. Zastanowiło ją to, ale żadne podejrzenie nie zrodziło się w jej umyśle. Poczuli się tylko urażona i oczy zwęziły jej się ze złości – wydawało jej się, iż mężczyzna śmieje się z niej.

– Znam go lepiej niż ktokolwiek inny – odparł, tłumiąc wesołość. – Ale twoja uroda najlepszą do niego przepustką, bo on na kobiecie wdzięki łąsy.

– Wiem. Mówili nawet, że założył się kiedyś, że przejdzie nago przez Garwolin.

Czego to ludzie nie wymyślą! – pomyślał ze złością. A wszystko przez to, że nie mają zajęcia.

– To ja – odparł. – I nie wierz w to, co o mnie mówią.

– Mogę to wam zaufać? – zapytała, patrząc na niego z takim zdumieniem, że bał się, by nie zemdląca.

Ale ona była tylko zdumiona. I nie bardzo jeszcze pewna, czy może mu wierzyć.

– Udowodnię, że mówię prawdę. Ten sygnet dał ci Tomasz Grobel. Ale schowaj go głęboko, bo ma on imię, straszne imię. Z Tomaszem znamy się jeszcze z więzienia. Zgaduję, że on cię do mnie przysłał.

Posłusznie zdjęła sygnet i ukryła go. Potem spojrziała na Wieniawę i rzekła prosząco:

– Jeśliś mu przyjaciel, to ratuj go. On jest małomówny i sam się bronić nie będzie potrafił. A ma przed czym, bo go o zabójstwo oskarżają. Zgaduję, że wiecie, po co do domu wrócił?

– A jakże – potaknął. – Ciągle tylko o tej swojej ziemi gadał, jakby srebro i złoto rodziła. Ale on tam na niej krewniaków chyba miał.

– Tak. Jego siostra gospodarkę objęła, bo się nikt nie spodziewał, by mógł wrócić. Ale nie na dobre jej to wyszło, bo gdy Tomasz wrócił, to jej już tyle ziemi było potrzeba, co nad nią.

– Zmarła?! – zakrzyknął Długoszowski.

– Ona tak, ale jej chłop został na świecie i zaraz sobie nową babę znalazł. Tomasz zaś chciał swoje grunta z powrotem objąć, bo... – Urwała i dokończyła zarumieniona: – Bo się chciał ze mną żenić. Jak tam było, nie wiem, bo mi ledwie parę słów szepnął, gdy z chałupy jak oparzony wyskoczył. Wiem, że szwagier w nocy udusić go chciał, tylko rady nie dał. Potem policja przyszła. I widziałam, jak go brali. Chyba ubił któregoś z nich.

Wieniawieomal nie wymknęło się siarczyste przekleństwo. Ani przez myśl mu nie przeszło, by Tomasza bez pomocy pozostawić. Ale wiedział, że sprawa niełatwa będzie. Bo pierwsze zabójstwo mogło pod obronę konieczną podpadać, ale drugie gmatwało położenie. Wiedział, że Tomasz, jeśli czym zawinił... to naiwnością i nieokrziesaniem, którego na wojnie nabył. Wiedział, że takim jak on niełatwo przywyknąć do praw rządzących normalną społecznością. A przecież nie można było oddzielnych praw dla weteranów tworzyć.

Objął głowę rękoma, próbując zmusić ją do myślenia, ale nie szło mu ono składnie. Prawo musiało Tomasza potępić, bo inaczej jaki by się przykład innym dało? Powstałby niebezpieczny precedens, który rozzuchwiałoby tylko przestępców, a policjantów

pozbawił pewności, że państwo stanie za nimi w każdej sytuacji. Z drugiej strony wiedział, ile Grobłowi zawdzięczał. Ile razem wspólnie przeszli złego i dobrego. I myślał, jak sprawić, by się Tomasz prawu wymknął.

Miał wielu przyjaciół. Ale takich, którzy tylko zyski z tej przyjaźni czerpać chcieli. I mógł być niemal pewien, że żaden z nich nie zechce mieszać się w gardłową sprawę. Komendanta zaś prosić nie chciał. Rozumiał, że postawiłby go w potwornie kłopotliwym położeniu. Jako naczelnik państwa nie mógł pogłaskać przestępcy, wówczas naraziłby bowiem na szwank własną reputację i dał parlamentarnej opozycji broń do ręki. I tak mógł mieć kłopoty, gdyby to jemu, Wieniawie, udowodniono udział w tej sprawie. Ale o to teraz Bolesław mniej dbał.

Weronika przypatrywała się twarzy Długoszowskiego z widocznym napięciem. Stariała się nie przegapić najmniejszego jej ruchu. Jednocześnie paliła ją niecierpliwość. Tak bardzo chciała, by coś w końcu powiedział. By zdjął z niej ten ciężar, pod którym już prawie upadała, i wyzwolił jej głowę od nadmiaru myśli. Chciała, by dzielił z nią jej troskę i pomógł ją oddalić.

Ale mężczyzna milczał jeszcze przez czas dłuższy i na jego twarzy znać było wielkie skupienie. Widać nad właściwymi sposobami rozmyślał, ciągle mrugając powiekami i masując się po skroniach. Wreszcie opuścił ręce wzdłuż ciała i spojrzał na Weronikę. Dostrzegł jej błagalny wzrok i uśmiechnął się boleśnie.

– Wiedział Tomasz, kogo do mnie przysłać, by o pomoc prosić. On wie, że żadnej kobiecie odmówić nie potrafię.

Odetchnęła.

– Nie ciesz się – zaznaczył. – Sprawa bowiem nie rysuje się w zbyt jasnych barwach. To pierwsze zabójstwo nic nie znaczy, bo łatwo wyjaśnić, kto korzyść z czyjej śmierci by miał. Ale sprawa z policjantem ma się gorzej. Tu prawo zaatakuje go z całą

zajadłością. Owszem, sprawiedliwość bywa czasem ślepa na łotrostwa, ale tylko wtedy, gdy ją złotem oślepić.

– Przecież bogaci jesteście – zauważyła. – Chyba że wszystko przepiliście.

– Coś mi jeszcze na dnie skrzyni zostało. Zapewniam cię, że wąż na jej dnie nie siedzi. I dla Tomasza nie tylko pieniędzy, ale i krwi własnej bym nie poskąpił. Ale ja oficjalnie mieszać się do jego sprawy nie mogę.

– Dlaczego? – zapytała, przesywając go byстрыm spojrzeniem.

Nie zmieszał się jej reakcją, bo nadal mówił szczerze to, co w tej chwili czuł i myślał.

– Nie będę ci tego tłumaczył, bo i tak raczej nie pojdziesz.

Twarz Weroniki pobladła, a w oczach stanęły jej łzy i rzekła płaczącym głosem:

– Bo myślicie, że jak macie do czynienia z prostą kobietą, to możecie mnie tak zbyć. A mnie naprawdę tylko na nim zależy. I go wydobędę, choćym miała gryźć mury waszych więzień zębami. – Na jej twarzy pojawił się wyraz zawziętości.

Długoszowski spojrzał na nią z podziwem. Zdał sobie sprawę, że ta kobieta, jeśli jej nie powstrzyma, naprawdę jest w stanie dokonać czegoś szalonego. Wziął jej dłoń w swoją i spojrzał w oczy.

– Żadna kobieta nie jest prosta. Kto jak kto, ale ja wiem o tym najlepiej. No, nie płacz. Nie mogę znieść widoku kobiecych łez i chyba powinienem się z tego leczyć. Wydobędę go! Masz na to moje słowo. Ale głową nie tak prosto machnąć jak pięścią. A jeśli chytryością go nie wydostaniemy, to wcale nam się to nie uda. Ja mu otwarcie pomóc nie mogę, bo zaraz by opozycja zakrzyknęła, że mordercę przed prawem osłaniam.

– Ale on jest przecież niewinny! – zakrzyknęła.

– Nie znasz tego świata. Tu prawda nikogo nie obchodzi. Liczy się tylko to, by uderzyć w przeciwnika i zdyskredytować go. Ja o to nie dbam. Bo gdy wiem, że po mojej stronie słuszność, to nie

zastanawiam się, kto stoi przeciwko mnie. Ale oni mogą przeze mnie uderzyć w samego naczelnika państwa, a do tego za żadną cenę dopuścić nie mogą. Dlatego będę musiał dłużyć w tej sprawie delikatnie.

– Ale on w więzieniu nie wytrzyma! – stwierdziła wystraszona i aż pobladła. – I za kilka tygodni może już nie być komu pomagać.

Wieniawa patrzył na nią i już zazdrościł Tomaszowi, bo był pewien, że tym dwojgu będzie dobrze ze sobą. Dlatego postanowił nie żałować ani ręki, ani głowy, by ich ze sobą połączyć. Rzecz nie była prosta, ale on nie zwykł cofać się przed jakimikolwiek trudnościami. A teraz wiedział, że działa w dobrej sprawie. I był pewien, że przy Boskiej pomocy zdoła ją doprowadzić do szczęśliwego końca. Musiał tylko zadbać o to, by Weronika nie zrobiła nic, co mogłoby pokrzyżować jego zamiary.

– Jeśli myślisz, że nasze więzienie go załamie, to go nie znasz. Twardy jest jak żelazo i w nie takich opałach już bywał. Jego torturowali na Łubiance, gdzie razem ze mną korzystał z przymusowej gościny Feliksa Dzierżyńskiego, a i z tego żywy wyszedł. Bo nie ma na świecie takich kłopotów, z których się przy pomocy głowy i ręki wyratować nie można. Jeśli mam być szczery, to pewne niebezpieczeństwo grozi również tobie.

Spojrziała na niego zdumiona. Dotychczas bowiem nie zakładała, by z czyjejkolwiek strony mogło grozić jej niebezpieczeństwo. Wszystkie jej myśli krążyły tylko wokół Tomasza. Jej problemami były jego kłopoty, a o sobie zapomniała niemal zupełnie. Teraz dopiero uświadomiła sobie, że Bernard nie daruje jej obrazy, jaka go przez nią spotkała. A jako możny pan miał nie tylko chęć, ale i środki, by swoją zemstę na niej wyrzucić.

Rozejrzała się dookoła, jakby niepewna, czy on się tu gdzie już nie zakrada. Mróz przeszedł ją od stóp do krzyża.

Wieniawa dostrzegł to i przytrzymał mocniej jej rękę, chcąc dodać otuchy.

– Znam ja ojca Bernarda. To dobry i sprawiedliwy człowiek, tylko że miękkie ma dla syna serce. A młokos moresu nie czując, chowa się sam, jak chce, a co z niego wyrasta, widać. Ojciec poświęca się pracy publicznej i nie ma czasu, by się szczeniakiem zajmować. Choć może będzie musiał, gdy zdarzy mu się taki wybryk, którego już nie będzie mógł zatuszować. No, żal człowieka. Ale pójdę do niego i opowiem o wyczynach syna. Zawstydzę go i zmuszę do działania. Ale lepiej byłoby, gdyby ciebie nie było wówczas w mieście, bo rozdrażniony Bernard na wszystko ważyć się może.

– A o siebie się nie boicie?

Zaskoczony pytaniem, patrzył przez chwilę przed siebie, jakby nie pojmując, co chciała mu przez to powiedzieć. Wreszcie jednak wybuchnął szczerym śmiechem i odchylił się do tyłu na ławce.

– Dziewczyno, ja nie boję się nikogo... prócz swojej żony. A i podejść mnie niełatwo. I Bernard, dobrze o tym wiedząc, będzie na dwie strony szczegółowo rzecz rozważał, nim uderzy albo sługi swoje naśle. Ale ja się nie boję, mając szablę dobrą. Z tobą to co innego. Ciebie mógłby osiągnąć czy sztyletem, czy trucizną. Bo w końcu to przez ciebie potwarz go spotkała, o której już jutro będzie głośno w całym mieście. A ja wiecznie być przy tobie nie mogę, bo mam i inne obowiązki, które ani chcą, ani nie powinny czekać. Dlatego planuję odesłać cię do mojego rodzinnego majątku, do Bobolewa. Wielkich dostatków tam wprawdzie nie ma, bo mi je zarządcy rozkradają, ale dach i kąt do spania się znajdzie.

– Ale ja nie chcę.

Wbił w nią spojrzenie i trzymał przez chwilę jak na uwięzi, a na koniec puścił jej rękę.

– Zrozum, dziewczyno – rzekł z nutą lekkiego zniecierpliwienia w głosie. – Czekać można wszędzie, byle mieć na co. Przecież i tam, i tu nie będziesz robiła nic innego. A tu mi żadną pomocą nie będziesz, tylko trosk i obaw przyczyną. Bo wolę nie myśleć, co



Tomasz by mi zrobił, gdyby pod moją opieką spadł ci jeden włos z głowy. A ja widziałem, jak człowiekowi rozszczepił głowę na dwoje.

Zrozumiała, że ma słuszość, i pierwszy raz się do niego uśmiechnęła.

– Dobrze. Odeślijcie mnie, dokąd się wam żywnie podoba, tylko nie zapominajcie o tym, co ja wam zrobię, jeśli on nie wyjdzie z więzienia.

Wstali i udali się ku budynkom belwederskim. Wieniawa mógł wracać o każdej porze dnia i nocy, miał bowiem specjalną przepustkę. Dlatego swobodnym krokiem zbliżył się do budki wartowniczej, gdy nagle wartownik bez ostrzeżenia wymierzył w niego z karabinu. Bez słowa ścisnął Weronikę za rękę. Chciał być bowiem pewien, że ta nie robi nic głupiego na widok wymierzonej w siebie broni. Było ciemno, wartownik nie mógł mieć dobrego pola widzenia, a w takiej sytuacji każdy nierozważny krok mógł zakończyć się strzałem.

– Hasło! – Młodzieńczy głos wartownika przeciął powietrze.

– Orzeł – odparł spokojnie.

– Korona. – W głosie wartownika podającego odzew wyczuł ulgę.

Podszedł do niego i ujrzał młodzieńca w mocno za dużym hełmie, który w sposób niekontrolowany opadał mu na oczy. Pod nim kryła się twarz o delikatnych, dziecinnych rysach, kontrastujących z ciężkim karabinem stojącym u jego nogi. Wieniawa poczuł się dziwnie i zmierzył młodzieńca przelotnym spojrzeniem.

Wartownik dopiero w tej chwili poznał, z kim miał do czynienia, i aż zadrżał. Twarz mu pobladła. Przestrach jego zwiększył się jeszcze, gdy pułkownik stanął przed nim i wyjął notes. Pragnąłby pod ziemię się schować, ale nie mógł.

Panom oficerom to dobrze – pomyślał, patrząc na Weronikę. A jego Luśka to nie wiadomo, czy czeka jeszcze w ogóle na niego. Niby obiecała, ale ile to rzeczy mogło się wydarzyć, podczas gdy on służy.

– Nazwisko? – spytał Wieniawa.

– Szymon Kabała. – W tonie chłopca słychać było strach.

Długoszowski zapisał jego personalia.

– Jednostka?

– Jednostka wartownicza przeznaczona do ochrony budynków użyteczności publicznej.

– Dobrze – rzekł Wieniawa. – Ze wsi pochodzisz?

– Ze wsi – wyjąkał Szymon, cały czerwony. – Żywię i bronię, tylko do rządów niezdatnym. Bom głupi.

– I głupi się przydadzą, byle pod mądrych władzą – odrzekł filozoficznie Wieniawa.

– Panie pułkowniku, ja niechący, ciemno, noc. Nie róbcie sprawy. Jak mi przez tę pomyłkę służbę wydłużą, to mi moją Luśkę kto inny zbałamuci – błagał.

Wieniawa-Długoszowski jednak kiwnął tylko głową, jakby nic nie słyszał, i udał się do swoich pomieszczeń w pomarańczarni.

Weronika przyglądała się ich wystrojowi, w którym wszystko klóciło się ze sobą. Na ścianach wisiała broń wszelkiego rodzaju, ale dostrzegła też sztalugi i rozpoczęty portret jakiejś dziewczyny. Na półkach tkwiły obok siebie podręczniki tyczące się wojskowości, traktaty filozoficzne i tomiki poezji. Niewielkie biurczko zarzucone było mnóstwem papierów, między którymi dostrzegła liczne notatki. W tej chwili żałowała, że nie potrafi czytać. Jednak wystrój ten powiedział jej więcej o osobie pułkownika.

Sądziła, że ktoś o jego pozycji będzie opływał w bogactwa, w jej wyobraźni złoto łączyło się bowiem z władzą jak ubranie z łąką. Tymczasem oglądała proste meble, które miały zapewniać tylko

niezbędny komfort. Były to proste, drewniane wyroby, bez śladu wymyślnych zdobień. Pokój ten mówił jej wiele o mnogości zainteresowań człowieka, który zwykł w nim przebywać. I wszystko to kłóciło się w jej oczach – nic tu pozornie do siebie nie pasowało.

Bolesław obserwował ją, jak przygląda się wszystkiemu z żywym zainteresowaniem. Nie przerywał jej oględzin. Wiedział, że nie nawykła do tego typu miejsc. Z pewną dobroduszością patrzył, jak opuszkami palców gładzi grzbiety książek. Zastanawiał się, czy wie, jak wielka moc w nich drzemie. Dzięki nim przecież ludzie mogli poznawać myśli i słowa ludzi od dawna nieżyjących. Mogli sycić się wiedzą wszystkich uczonych, jacy kiedykolwiek chodzili po ziemi. Zobaczył, jak patrzy na jeden z jego rozpoczętych wierszy.

– Dziwnie tu – szepnęła. – Ale i pięknie. Te książki to chyba nabożne wszystkie?

Zachichotał.

– Nie. Większość z nich znajduje się na kościelnym indeksie ksiąg zakazanych. A ta, której dotykasz, zajmuje tam poczesne miejsce. To traktat Galileusza o obrotach planet. Wyprzedził naszego Kopernika, ale nie starczyło mu odwagi, by podtrzymać swoją teorię. Uląkł się stosu. Nasz Kopernik był mądrzejszy. Swoje dzieło opublikował dopiero, gdy sam leżał na łożu śmierci. Ale ja cię tu zanudzam, a musisz być bardzo zmęczona.

Weronika rzeczywiście czuła się wyczerpana z powodu silnych przeżyć, jakie stały się jej udziałem. Oczy jej się kleiły i ledwie na nie patrzyła. Dlatego z radością skorzystała z propozycji gospodarza, by się oddalić. Umyła się i poszła spać.

Wieniawa zamyślał jeszcze długo nad sprawą Tomasza. Około północy chwycił za telefon i zadzwonił do szefa wart.

– Służy u was niejaki Szymon Kabała? – zapytał, gdy udało mu się wreszcie nawiązać połączenie.

– Służy.

– W nagrodę za wykazanie się czujnością podczas pełnienia obowiązków wartowniczych skrócić okres pełnienia służby i odesłać do cywila. Odpowiedni rozkaz sporządzą sam. – Rozłączył się i zabrał za wypisywanie rozkazu. Potem pracował nad swoim przekładem z francuskiego. A rano patrzył z okna, jak rozradowany Szymon opuszcza mury Belwederu.

Na chwilę ich spojrzenia się zetknęły. Szymon spojrzał w jasne oczy pułkownika i przyrzekł sobie święcie, że wybije zęby każdemu, kto w jego obecności obrazi tego człowieka. Gdy otrzymał nagle wezwanie do dowódcy warty, spodziewał się wszystkiego najgorszego, a teraz prawie nie mógł uwierzyć w szczęście, jakie go spotkało. Uśmiechnął się promiennie, idąc na spotkanie swojej miłości.

---

<sup>1</sup> Postać autentyczna, zmarł w 1934 roku. Gruby Jasek, bohater słynnej ballady *Bal na Gnojnej*, był jedną z najbardziej barwnych postaci międzywojennej Warszawy. Przez jego spelunę przewijała zarówno żydowska biedota, ludzie z półświatka przestępczego, prostytutki, jak i polityczne i artystyczne elity II RP. Gangsterzy go szanowali, a policja wręcz się go bała.

## Rozdział II

Stan zdrowia Elizy wkrótce poprawił się na tyle, że mogła wrócić do domu.

Po jej powrocie Beata, która znała ją lepiej niż ktokolwiek inny, odgadła, że dzieje się z nią coś dziwnego. Dawniej nie można było jej upilnować i wszędzie jej było pełno, a teraz zamykała się w swoim pokoju na całe dni i tylko rozmyślała, wpatrzona w jeden punkt na ścianie.

Matka przychodziła do niej, kiedy tylko mogła, podsuwając jej pod usta przeróżne zdrowe przekąski, mające postawić ją na nogi. Eliza jadła, ponieważ matka pilnowała tego z uporem, ale w jej zachowaniu nie zachodziła żadna zmiana. Beata rozumiała, że jej córka ma jakiś problem, który usiłuje rozwikłać. Sercem kobiecym odgadła, że tym problemem jest ów chłopiec z balu. Ale nie to dotknęło ją najwięcej. Rozumiała bowiem, że takie uczucia przeżywa każda z nich, a czasem nawet przez całe lata pielęgnuje się w sercu, wraz ze wspomnieniem. Ubodło ją to, że córka nie zwierzyła jej się ze swoich problemów. A przecież dotychczas nie miały przed sobą żadnych tajemnic i mogła być niemal pewna, że znała każdą myśl, jaka wylęła się w głowie dziewczyny. Wiedziała, że u podstaw tego młodzieńczego buntu tkwi żal za kłamstwa, jakimi karmiła ją przez całe lata. Obawiała się teraz, że córka chce zerwać łączącą je nić porozumienia, i postanowiła za wszelką cenę do tego nie dopuścić.

By temu przeciwdziałać, pewnego dnia zapukała do pokoju dziewczyny. Zastała ją siedzącą na łóżku, jak zwykle wpatrzoną w ścianę. Skwitowała to bolesnym uśmiechem i cichutko wsunęła się do środka. Bez słowa usiadła na brzegu łóżka i podobnie jak jej córka błędziła wzrokiem po pomieszczeniu. Trwały tak obie przez dłuższą chwilę.

– Rozumiem, że masz prawo mieć do mnie żal – zaczęła wreszcie matka. – Może źle zrobiłam, ukrywając przed tobą prawdę o naszej rodzinie. Ale, córuś, czy kiedykolwiek cię zawiodłam? Czy nie dałam ci wszystkiego, co mogłam dać? Pozwalałam ci nawet na strzelanie i jazdę konną, choć serce wzdraga się we mnie za każdym razem, gdy widzę cię w siodle.

Wyciągnęła rękę, by pogłodzić ją po głowie. Eliza się nie cofnęła. Zamiast tego wtuliła się w nią i szepnęła cicho:

– Mamo, ty go jeszcze kochasz?

Wzdrygnęła się, bo nie spodziewała się tego typu pytania, ale rozumiała, że musi na nie szczerze odpowiedzieć. Zwłaszcza że Eliza utkwiała w niej palące spojrzenie.

– Kocham. Ale wybrałam spokojne życie i oddanie się trudom macierzyństwa. Tylko nie pytaj, czy żałuję, bo sama tego nie wiem.

– Czyli wiesz, co to jest miłość? – drążyła dalej Eliza.

Roześmiała się.

– To niebezpieczna choroba serca, ciała i duszy. I z tego, co wiem, dotychczas nie opracowano na tę przypadłość lekarstwa.

– Pytałam poważnie – stwierdziła oburzona dziewczyna. – Czy można zakochać się raz a dobrze?

– Chodzi ci o tego twojego tancerza? – spytała, uważnie obserwując twarz córki. Zauważyła wykwitający na niej rumieniec.

– A jeśli tak, to co?

– Nic – odparła Beata. – Ale zgaduję, że nie to uczucie cię trapi. Bo miłość to dobre uczucie, jeśli nie jest wykrzywione. Myślisz

o nim, tak? Dręczy cię to, że nie było go przy tobie, gdy się przebudziłaś? Masz żal do niego i nie wiesz, co powinnaś o tym wszystkim myśleć?

Eliza spojrzała na nią z niedowierzaniem. Nie sądziła bowiem, że jej własne myśli tak łatwo przeniknąć. I nagle poczuła się głupio. Być może dla Janka był to tylko niewinny wieczór, a ona nabiła sobie głowę wyobrażeniami godnymi tanich romansideł. Ale przecież powiedział, że ją kocha... Może nie dosłownie, ale powiedział.

Beata dostrzegła jej rozterkę i postanowiła pośpieszyć z pomocą.

– Z całą pewnością nie powinnaś na razie myśleć o nim źle. Gdyby bowiem chciał cię tylko zbałamucić, to nie nadstawiałby za ciebie karku. A że nie przyszedł do szpitala, to i cóż z tego? Pamiętaj, że to nie był zwykły szpital i nie każdy ma tam wstęp. Jeśli istotnie jest tak, jak mówisz, to sam cię znajdzie.

Twarz Elizy rozpozgodziła się od tych słów, jakby padły na nią promienie słoneczne. Zarzucała sobie teraz, że zbyt pochopnie wyciągnęła wnioski. Spojrzała na matkę z szacunkiem.

– Wiele wiesz. Ale obawiam się, że on może nie mieć zamiaru mnie szukać. Gdybyś ty widziała, jak niezgrabnie trzymał mnie za dłoń. Jaki był przy tym spięty, skupiony. Zupełnie jakby trzymał w rękach bombę, a nie mnie obejmował. Chciał nawet wyskoczyć oknem, bo źle się czuł między tymi kobietami i modnisiąmi, ponieważ miał brudny mundur. Ledwie go od tego odwiódłam.

– Czy mówisz teraz o tym samym człowieku, który załatwił dwóch ruskich agentów? Bo z twojego opisu wynika, że to jakiś nieśmiały głupiec.

Eliza uśmiechnęła się, bo właśnie sobie go w tej chwili wyobrażała.

– Nie wiem, mamo. Ale ta jego niepewność była taka słodka. I czy ty wiesz, że on żartował z siebie, a nie ze mnie czy innych?

Pierwszy raz spotkałam mężczyznę, który nie patrzy na mnie buńczucznie jak na przyszlą zdobycz. To fascynujące. Sam nakładał mi na talerz i szampana wlewał. Ja muszę go znaleźć. Myślisz, że tata...? – Urwała, nieco zawstydzona.

Ale jej matka nawet tego nie zauważyła, bo w jej głowie zrodziła się nagle dziwna myśl. Ona go przecież prosiła, by dyskretnie miał oko na ich dziecko. Co, jeśli jego wysłannikiem okazał się ten chłopiec? Byłoby to zaiste dziwne zrządzenie losu. Ale działania Jurka były przecież nieobliczalne. W każdym razie trzeba będzie starannie tę rzecz naświetlić i zbadać, by przedwcześnie nie podjąć decyzji. Ale najpierw musiała uspokoić Elizę.

Wypuściła ją z objęć i chwyciwszy żartobliwie za ucho, rzekła:

– Nie on tobie zięcia ma szukać, ale ty jemu. Zostaw tę sprawę mnie, a sama przestań zachowywać się jak pustelnica, bo jak cię taką Janek zobaczy, to gotów będzie księdzem zostać, byle tylko kobiet więcej nie oglądać. Pfe! Czy kto słyszał, żeby młoda panna tak się chłopcem przejmowała?

Matka ma słuszość – pomyślała. I nagle jej zachowanie wydało jej się strasznie dziecinne i głupie. Poczula rosnącą gwałtownie tęsknotę za świeżym powietrzem. Jak dawno już nie dosiadała swojego Parysa! Pewnie biedaczek odwykł od ich wspólnych przejażdżek. Wstała, bo pokój wydał jej się nagle pełen zaduchu. Potrzebowała świeżego powietrza. Teraz, zaraz, natychmiast. Podbiegła do okna i otworzyła je na oścież.

Wychyliła przez nie głowę, z przyjemnością wdychając zapachy natury, które były już przesycone tchnieniem wiosny. Powietrze wdzierало się do pokoju, poruszając zasłonami. I nagle wydało jej się, jakby ono przywracało jej nadwątlone otruciem siły, sprawiając, że skrzydła wyrastały u ramion. Przez chwilę pozwalała, by wiatr pieścił ją swoim dotykiem po policzkach, ale w końcu zwróciła swą twarz w głąb pokoju.



Beata dostrzegła w jej oczach dawny błysk zniecierpliwienia. Nie wiem, czy nie przyjdzie mi zatęsknić za tym czasem, kiedy nie ruszała się z pokoju – pomyślała. Lecz spoglądała na nią teraz z poczuciem matczynej dumy. I w tej jednej chwili poczuła, że niczego nie żałuje. Ma pewność, że dokonała w swoim życiu właściwego wyboru. Bo pierwszym i najważniejszym zadaniem kobiety jest macierzyństwo.

– Widzę, że pod twoim kotłem znowu się pali – zauważyła żartobliwie Beata. – Uważaj tylko, by nie rozgrzać się za bardzo, bo jeszcze nie ze wszystkim przyszedł do siebie.

– Można gotować i na wolnym ogniu – stwierdziła Eliza, głęboko ujęta za serce matczyną troską. – Idę do Parysa – rzuciła i spojrzała na nią niepewnie.

Nie była bowiem pewna, czy matka nie zechce stawiać oporu. A trudno byłoby jej się przeciwstawić, zwłaszcza po tym, jak napierała na wyjazd na bal, który przysporzył matce tylko trosk i zgryzot. Woliała nie myśleć, co musiała czuć ta kobieta, tkwiąc ciągle przy jej łóżku. Zapewne robiła sobie wyrzuty, że jej ustąpiła. Choć przecież nikt nie mógł przewidzieć tego, co się tam zdarzyło. Wszyscy spodziewali się, że bal będzie miejscem rozrywki, gdzie jedynym zagrożeniem będzie szampan dla głowy, a jedzenie dla talii. Nikt, absolutnie nikt nie spodziewał się, że stanie się on sceną krwi rozlewu. A jednak Eliza szarpały lekkie wyrzuty sumienia.

Lecz Beata uspokoiła ją w tym względzie. Miała bowiem swoje powody, dla których postanowiła wyprawić córkę z domu.

– Weź go.

Eliza spojrzała na nią ze zdumieniem, tak bardzo nie przywykła do podobnego zachowania z jej strony.

– Dlaczego się zgadzasz? Przecież nigdy nie lubiłaś, jak jeździłam konno. Zawsze wysłuchiwałam połajanek, jakie to niebezpieczne i czym się skończyć może.

– Ufam twojemu rozumowi – odparła matka. – Po tym balu wreszcie zrozumiałam, że nie jesteś już małą dziewczynką, tylko dziewczyną i bynajmniej nie potrzebujesz już ani matczynej czułości, ani opieki. Trudno mi się z tym pogodzić, ale takie jest prawo natury, które nawet zwierzęta respektują. Wyrzucają piskłę z gniazda, gdy czas po temu.

– Jestem kobietą, nie dziewczyną – zauważyła Eliza ze złością pomieszaną z dumą odczuwaną z powodu tego, że jej matka wreszcie przyznała jej prawo do samodzielności. – Ale obiecuję ci nie ryzykować niepotrzebnie; nie dosiędę Parysa. Pospaceruję z nim tylko, trzymając go na lonży. W ten sposób on nie odwyknie od ruchu, a ja zażyję spaceru i powietrza.

– O nie, jeszcze nie jesteś kobietą. Myślisz bowiem wciąż sercem, a nie rozumem, i ono tobą powoduje. Ale to dobrze. A teraz idź już do Parysa. Biedak zatęsknił pewnie za tobą, a zwłaszcza za cukrem.

Eliza tylko uśmiechnęła się promiennie i po chwili już jej nie było.

Matka popatrzyła za nią, wspominając własne młode lata, gdy była dokładnie taka sama. Lecz zaraz wstrząsnął ją niepokój, bo czasy jej młodości w sposób nierozzerwalny łączyły się z Jerzym. Bała się spotkania z nim. Nie wiedziała, czy zdoła utrzymać własne serce na wodzy. Nie chciała, by robił jej jakiegokolwiek wyrzuty. A mógłby, gdyby zechciał.

Szybko się przecież pocieszyła zasobnym przemysłowcem z Lublina. Tłumaczyć, że jak większość kobiet w jej wieku, pokochała go rozumem, nie chciała. Jej duma nigdy by jej na to nie pozwoliła. Zresztą, skoro Jerzy nigdy nie poprosił jej o powrót, to znaczy, że ona go już nie interesuje. Jediną nicią, jaka ich łączyła, była ich córka, i wspólnie powinni zadbać o jej dobro. A tylko Jerzy mógł znaleźć tego człowieka.

Z tą myślą poczęła się zbierać do wyjścia. Ale czyniła to wolno. Dużo bowiem czasu zajęło jej przygotowanie odpowiedniej garderoby. Dotąd dbała o siebie raczej z nawyku niż z rzeczywistej potrzeby. Ale teraz przygotowywała się wyjątkowo starannie, chcąc olśnić jedyne go mężczyznę, na którym jej zależało. Chciała, by wiedział, że nie płacze po nim. A może chciała pokazać mu, co stracił? Sama nie była do końca pewna źródeł swojej motywacji.

A jednak, gdy przyglądała się sobie w lustrze, mogła być zupełnie zadowolona z efektów, mimo niebieska suknia nie za bardzo chciała się dopiąć. Na ręce wsunęła długie, czarne rękawiczki, głowę osłoniła kapeluszem, który całkiem niedawno nabyła u Vavet, na Krakowskim Przedmieściu. Zrobiła dyskretny makijaż i tak wystrojona wyszła przed dom.

I dopiero wtedy zorientowała się, że właściwie nie wie, gdzie powinna szukać Jerzego. Jego prywatnego adresu nie знаła. Oboje uznali, że tak będzie najlepiej. A wiedziała z doświadczenia, że mógł być gdziekolwiek. Zarówno w kraju, jak i za granicą, gdzie znaleźć go nie było sposobu. Mógł też przebywać w którymś z licznych lokali kontaktowych, których wywiad z pewnością miał bez liku.

Namyśliwszy się, złapała dorożkę i postanowiła wieźć się na plac Saski. Zakładała, że tam może go znaleźć lub przynajmniej uzyskać wiadomość o nim. Choć i tego nie była pewna. W końcu nikt tam nie będzie jej znał, a było rzeczą więcej niż wątpliwą, by takich informacji udzielano ludziom wchodzącym prosto z ulicy. Liczyła jednak na szczęśliwy zbieg okoliczności. I dziwiła się, jak szybko bije jej serce.

Oto pierwszy raz mogli spotkać się sam na sam. Ona i on. Jak za dawnych lat. Tu na pamięć przyszły jej spędzone razem chwile. Lecz niemal zaraz zasmuciła się. Uświadomiła sobie bowiem, że to było, minęło. On nie jest już tym młodzieńcem, który zarażał ją uśmiechem, tańczył z nią. O tak, tańczył znakomicie. Gdy Eliza

opowiadała jej o swoim tancerzu, ona przypominała sobie własnego. Tańczyli, gdy tylko mieli okazję. Robili to na wiejskich zabawach, na które jeździło się wozami drabiniastymi i wracało z nich o gęstym już mroku.

Ona nie była już tą skłoną do szaleństw dziewczyną. Chciała normalnego życia, rodziny. Marzyła, że razem będą wychowywać Elizę i po prostu żyć. Próbowała przemówić mu do rozumu, ale się nie dało. Pamiętała ich ostatnią rozmowę, gdy klęknął przed nią, błagając ze łzami w oczach, by go nie zostawiała.

Dorożka dojechała w pobliże placu Saskiego, lecz dalsza jazda nie była możliwa. Oplaciła więc dorożkarza i poszła dalej pieszo. Wmieszała się w tłum ludzi idących ulicami, kierowała się na ogromny budynek, który zdawał się czuwać nad okolicą. Domyślała się, że to właśnie w nim znajduje się siedziba wywiadu, bo otaczała go znacznie liczniejsza ochrona.

Przekonała się co do tego w pełni, ledwie zbliżyła się do bramy. Zatrzymali ją wartownicy. Z pewną radością patrzyła na ich pełne podziwu spojrzenia, które mówiły jej, że jeszcze może się podobać.

– Pani do kogo? – zapytał wartownik, wyciągając jednocześnie rękę po jej dokumenty.

Podawała mu je przez kratkę, a potem obserwowała go w czasie, gdy on przeglądał jej papiery. Zauważyła, że twarz wartownika mieni się przy tym jak tęcza, wyrażając całą gamę emocji. Na końcu jednak oddał jej dokumenty i skłoniwszy się lekko, rzekł:

– Zechce pani chwilę zaczekać. Zaraz ktoś tu przyjdzie i panią zaprowadzi, dokąd trzeba, bo mnie z warty zejść nie wolno. Proszę, oto pani papiery. – To powiedziawszy, wszedł do wartowni. Najprawdopodobniej gdzieś dzwonił, bo nie było go przez dłuższą chwilę.

Beata przestępowała z nogi na nogę, wypatrując tajemniczego przewodnika. Lecz jej cierpliwość miała być wystawiona na ciężką próbę. Dopiero po upływie kwadransa dostrzegła wychodzącego

z budynku... Jerzego. Szedł ku niej wolnym krokiem, w pełnym umundurowaniu, a słońce igrało mu na twarzy. Wydał jej się w tej chwili tak samo piękny jak wówczas, gdy go poznała. Poczwała, jak do oczu cisną jej się łzy. Zapanowała jednak nad tym przejawem słabości i gdy podszedł do bramy, była znowu panią samej siebie.

Spojrzała na jego przemęczoną, matową twarz, na której, jak stwierdziła, zmęczenie odcisnęło swoje piętno.

Spostrzeżenie to było trafne. Jerzy czuł się wyczerpany. Ciężar, który dawniej niczym się zdawał, dziś robił się coraz trudniejszy do udźwignięcia. Siły były już nie te same co dawniej, a i wysiłek, jaki należało włożyć w pracę, był niepomniernie większy. Dawniej był tylko trybikiem w wielkiej, potężnej maszynie, która funkcjonowała właściwie bez jego udziału. Dziś był najważniejszą częścią owej maszyny i wszystkie troski związane z jej funkcjonowaniem zwały się na niego. Chwiał się pod nimi jak drzewo pod tchnieniem wiatru, ale walczył, oczy mając w celu utkwione.

Teraz patrzył na swoją niegdysiejszą żonę i uderzał go kontrast, jaki między nimi występował. Ona kwitła, jakby los cofał jej godziny na zegarze, a on zmieniał się w zgorzkniałego człowieka. Wiedział, że to nadmiar trosk i obowiązków sterał jego siły, ale mimo to wstydził się, stojąc przed nią. Chwilami lubił jeszcze myśleć, że wszystko, co złe między nimi, nigdy się nie zdarzyło, a ona po staremu zbudzi go pocałunkiem. I nieraz jeszcze łapał się na tym, że obracał się tam, gdzie powinna leżeć, w nadziei, że nie zobaczy pustej pościeli. Teraz jednak skonfrontował te wyobrażenia z rzeczywistością i spuścił głowę.

Spójrz na siebie – pomyślał. Ona księżniczka, a ty zmęczony życiem dziadyga.

Zaczekał, aż wartownik otworzy bramę, po czym wskazał jej ręką kierunek, nakazując iść przed sobą.

Nie odezwał się nawet jednym słowem w czasie, gdy szli przez pomieszczenia wywiadu. Z pewną dozą zadowolenia przyglądał się, jak Beata obserwuje pracujących dookoła ludzi. Zastanawiał się, co by powiedziała, gdyby pokazał jej budynki biura szyfrów na Pradze albo miejsca, gdzie spływały wszelkie meldunki siatek wschodnich. To, co widziała, stanowiło ledwie małą część siły, którą zbudował. Chciał jej pokazać, że trud jego życia i wszystkie związane z nim wyrzeczenia nie poszły jednak na marne. Bo to wszystko służyło obronie całości państwa.

Wiedział, że nie powinien, ale zaprosił nadąsaną Beatę do swego gabinetu. Tam czekał już na niego Andrzej Bukojemski. Był to mężczyzna raczej mały, gruby, o dobroduszej, jakby wypełnionej wesołością twarzy. Jego niebieskie oczy były głęboko osadzone. Włosy miał już mocno przerzedzone i przyprószone siwizną. Czarna, hiszpańska bródka była starannie pielęgnowana.

Jerzy usiadł na swoim siedzisku i wskazał Beacie miejsce na leżance. W jej oczach pojawiły się złe ogniki, ale pamiętała, z czym tu przyszła, dlatego nie wszczęła kłótni. Jerzy zaś w tym samym momencie zaczął sprawiać wrażenie, jakby o niej zapomniał, bo całkowicie skupił uwagę na Andrzeju.

Znalazł go jakiś czas temu pośród kryminalistycznej hołoty. Bukojemski był wśród ludzi swojego pokroju uznawany za króla kasiarzy. Twierdzono, że nie ma takiej kasy, której jego magiczne palce nie zdołałyby otworzyć. Dobrowolski postanowił to sprawdzić. Szczęście mu sprzyjało. Okazało się bowiem, że Andrzej przebywa w krakowskim więzieniu, oskarżony o próbę fałszerstwa. To ułatwiło złożenie mu obopólnie korzystnej oferty. Wywiad miał zadbać, aby kryminalna przeszłość mężczyzny uległa zatarciu, co pozwoliłoby mu spędzić zbliżającą się jesień życia we względnym spokoju. W zamian miał szkolić agentów wywiadu w fałszowaniu dokumentów i otwieraniu kas oraz służyć głosem doradczym, gdyby wykryto podobne przypadki. Dlatego to

właśnie Bukojemskiemu Dobrowolski przekazał zdobyte przez Wiktora dokumenty.

I dlatego teraz wbił w niego spojrzenie, czekając, aż kasiarz wreszcie się wysłowi.

– No gadajże! Nie drzem mi tutaj jak gruszka na miedzy – rzekł wreszcie Jerzy, zniecierpliwiony.

– Ja nie drzemię, tylko rozmyślam nad tym, jak to się właściwie stało, że zostałem urzędnikiem państwowym. Takiej hańby jeszcze u nas w rodzinie nie było.

– W więzieniu miałeś chyba dość czasu, by się z myślami uporać. Zapominasz, kto cię z niego wydobył? A złodziejstwo w twoich oczach hańby nie przynosi?

Poczerwieniał na to stary wyga.

– Ja tam nie wiem, czemu ludzie mówią, że więzienie to coś najgorszego. Ciepło jest, cele przestronne i na głowę nie pada. Ja nie jestem złodziejem, tylko kasiarzem. – W głosie Andrzeja, gdy to mówił, dało się wychwycić dumę. – Nie moja wina, że ludzie słabe kasy pancerne mają. Krzywda im się żadna nie dzieje. Zabieram tylko połowę, jako honorarium, bo nauka musi kosztować.

Jerzy uśmiechnął się pół złośliwie, pół wesoło.

– Może i masz rację. Ale na starość zdałby się człowiekowi lepszy los niż żywot ściganego zwierzęcia. Mógłbyś co prawda wypoczywać w więzieniu, ale zastanów się, czy nie lepiej ci będzie popracować trochę ze mną. Zwłaszcza że mogę obrzydzić ci pobyt w więzieniu. Na tatusia i mamusię niezbyt się już wprawdzie nadajesz. Ale znajdziemy ci coś pomiędzy.

Andrzej poznał, że żartów nie ma, a bynajmniej nie chciał wracać do dawnego życia. Zasmakował bowiem w swobodzie. Płacono mu terminowo, mieszkanko i fikcyjną robotę miał. A w zamian nie wymagano od niego nic ponad to, czym lubił się zajmować. Szkolenie agentów sprawiało mu nawet sporą przyjemność, lecz sprawa, którą teraz powierzył mu Dobrowolski,

zabiła mu niezłego ćwieka. Ślęczał nad nią od chwili, gdy tylko dokumenty trafiły w jego ręce, ale przez dłuższy czas błędził w kółko. Ubodło to do żywego jego dumę zawodowca.

Ale nie przerwał prac, tylko zabrał się do nich z większą jeszcze determinacją. Spędzał nad tymi papierami każdą wolną chwilę, testując je wszystkimi znanymi sobie metodami, ale żadna z nich nie zawiodła go do celu. Chwilami rwał więc włosy z głowy, urażony w swej dumie. Nie mogło mu się pomieścić w głowie, jakim cudem Sowietci przygotowali tak dobrze spreparowane dokumenty. Mniejsza z tym, że działali na szkodę jego ojczyzny, bo on się nigdy za jej obywatela nie uważał, od dziecka żyjąc na własny rachunek. Ale zaciskał usta na myśl, że tam, w Moskwie, siedzi ktoś, kto zna fach lepiej od niego.

Postanowił więc zmienić założenie. Dotychczas bowiem przyjmował, że ma do czynienia z podróbką. Ale przyszło mu na myśl, że być może ma po prostu do czynienia z oryginałami, które nie wiadomo jaką drogą dostały się w ręce Sowietów. Intuicja ta okazała się strzałem w dziesiątkę. Po wielowątkowej analizie, jaką przeprowadził, okazało się, że papiery, które znaleziono przy Sowietach, oraz te, które otrzymał wprost z drukarni, były niemal identyczne.

I to właśnie ta mała, drobna różnica sprawiała, że uśmiechał się teraz do tkwiącego za biurkiem pułkownika. Bo zdawał sobie sprawę, że on zrobił swoją robotę dobrze, a jemu położy zaraz na biurku kawałek gówna. Lubił gościa, choć zwykle nie trawił ludzi zarabiających na państwowych posiadach, bo wydawało mu się, że oni wszystko w życiu mają podane na tacy, podczas gdy on do wszystkiego musiał dojść sam.

– Starym już i nie pora mi zakładać rodziny – rzekł i jednocześnie położył na blacie biurka papiery. – Nasapałem się nad tymi dokumentami jak mąż nad żoną, a pracowałem i dłużej. Ale było w tym trochę mojej winy, bo cały czas używałem



niewłaściwego klucza. A jak ma się niewłaściwy klucz, to nawet mądra głowa nie pomoże. Ot, cały czas myślałem, że to falsyfikat, którego nie potrafię rozgryźć. I myśl ta sprawiała, że mało cholery nie dostałem. Ale przekonałem się, że to jest oryginał.

Dobrowolski poderwał się, jakby ktoś położył mu na biurku bombę zegarową. Żrenice mu się rozszerzyły, otworzył usta i łapał nimi powietrze. Myśl ta wydała mu się zupełnie niedorzeczna, ale czy było to całkiem nieprawdopodobne? Przecież drukarnia nie księżyc, można się tam dostać. A i Dzierżyński udowodnił już, że miewa interesujące pomysły. W końcu ma swojego agenta tuż pod jego nosem. Kogoś, komu on zapewne patrzy w twarz. Więc czemu nie miały dostać się i do drukarni państwowych dokumentów?

Wziął kilka głębszych oddechów, przetarł oczy i usiadł. To nie był odpowiedni czas na gniew. Trzeba było zastanowić się na spokojnie, co z tą sprawą zrobić. Przeciwnik wszedł na jego podwórko i poruszał się po nim bez skrępowania. Dlatego należało zrobić wszystko, by za wszelką cenę utrudnić mu pracę. Ale tego mógł dokonać, tylko na zimno rozważając pewne sprawy.

Spojrzał na twarz Andrzeja, z której wciąż nie schodził dobroduszny uśmiech. Rozdrażniło go to, bo wydawało mu się, że drwi sobie z niego i z jego kłęski.

– Nie widzę powodów do tego, by wesołość okazywać – warknął pułkownik. – Pamiętaj, że ja nie tylko mogę kazać zamknąć cię z powrotem w więzieniu za wiadome dawne sprawki, ale i kazać szukać łupu, który ukryłeś po komyszach. A wtedy twoje bogactwo, które ze sroczą gorliwością gromadziłeś, rozwieje się jak mgła nad łąką.

Andrzej zmrugał oczy i splótł pulchne dłonie na wydatnym brzuchu.

– Cygan nie sieje, cygan nie orze, a gdzie okiem sięgnie, tam jego zboże. Czy to ja jeden z bliźnich żyję, że mnie tak prześladujecie? Każdy bogacz to złodziej albo syn złodzieja. I ja

gdybym żonę sobie kupił, póki mi jeszcze żądło nie zwiędło, to dziś bym syneczka miał. Gdyby był się narodził, to dziś by może między największymi złodziejami siedział, co w sejmie i senacie zasiadają. Ale ja jestem człowiekiem i wam pomogę. Jako pewnie wiecie, wasza drukarnia znajduje się na Jaskółczej, a miejsce wydrukowania dokumentów jest wyszczególnione na ostatniej stronie papierów. A u nas są drukowane rosyjską czcionką, bo innej jeszcze nie mamy.

Dobrowolski bez słowa chwycił dokumenty i przerzucił je szybko, by znaleźć się na ostatniej stronie. Z szybko bijącym sercem spojrzął na dół kartki i aż oczy wytrzeszczył. Jaskółcza była zapisana prawidłowo, a to oznaczało, że nawet najgłupszy strażnik graniczny, jeśli został wyposażony w odpowiednie instrukcje, mógł wytropić każdego sowieckiego agenta, który spróbuje się nimi posłużyć.

Przez chwilę chciał przyskoczyć i uściskać tego kryminalistę i złodzieja, który był zwiastunem szczęśliwej nowiny. I ledwie się przed tym powstrzymał, by powagi sobie nie odebrać. Wiedział zresztą, że Andrzej swego tylko wypatruje i jak wszyscy zerwie współpracę, gdy tylko przestanie być dla niego korzystna. Ale na razie był przydatny, bo Jerzy miał go w garści.

– Jest pan pułkownik ze mnie zadowolony? – spytał stary złodziej trochę z przekory, a także po to, by się sukcesem nacieszyć.

– Chyba od osła rozum pożyczyleś na chwilę, skoro pytasz – odparł Dobrowolski. – Wolny jesteś. Wszystkie twoje akta od dzisiaj zniknęły. Dostaniesz nowe nazwisko i nową tożsamość, z którą spokojnie nowe życie rozpocząć możesz. Dukatów ci wiele nie nasypię, boś bogatszy niż ja, ale co mogę, to dam.

Bukojemski tylko ręką machnęła, a Jerzy spojrzął na niego ze zdziwieniem. Dotychczas bowiem sądził, że jedynym celem Bukojemskiego jest odzyskanie wolności. Teraz poznał, że omylił się w ocenie jego osoby.

– Co, nie cieszysz się?

Andrzej zamyślił się przez chwilę, jakby rozważał, co by tu rzec aż w końcu się odezwał:

– Darujcie, co powiem, bom nie filozof. Ale tak mi się widzi, że człowiek nigdy wolny nie bywa, chyba w kołysce. Bo tam tylko matka o niego dba. Potem sam o wszystko zabiegać i troszczyć się musi, a od tego to tylko czarne myśli w głowie się zbierają i człek sam nie wie, co dobre. Nie masz pieniędzy, to troszczysz się, jak je zdobyć, aż schudniesz i szerniejesz od tego. Masz, to złodzieja w każdym upatrujesz, a ci, którzy mniej mają, zawistnikami się stają. Dzieci masz małe, to wrzeszczą ci nad uchem, spać nie dają. Odchowasz je, to pilnować musisz, by znów małych przedwcześnie nie było. Ale bez nich ciężko na starość, bo sam człek ze swoimi chorobami zostaje.

– Prawda, że każdy sam o swoje dobro zabiega, a i na tym świecie więcej jest takich, którzy ci nogę podstawią, a nie ręką podeprą – odparł Dobrowolski. – Ale cóż warte byłoby życie bez celu, bez roboty? Nie po to człowiek żyje, by tylko oddychać. Mówisz, że na starość żalność człowiekowi w spadku zostaje. Ja sam miałem jej w życiu wiele, tak wiele, że zdawało mi się, iż serce pęknie. Ale mam i szczęśliwe wspomnienia, którymi sycić się mogę, gdy mi ciężko. Bo życie jest jak placek – musi mieć wiele warstw, by je strawić było można. Jak widzisz, nie tylko ty jesteś filozofem. Ale powiedz, czego chcesz.

– Byście mi dali zostać jako etatowy pracownik – odparł. – Wicie dobrze, że na robocie znam się i niezgorzej wam służyć będę. A roboty dla dobrego fałszerza nigdy wam nie zabraknie. Mogę też szkolić waszych ludzi, w czym zdołam. – Z nadzieją spojrział Dobrowolskiemu w oczy.

Ten jednak nie umiał sobie w głowie tego logicznie pouklądać. Dlaczego złodziej miałby z dobrej woli łąknąć niebezpiecznej roboty, zamiast usunąć się w cień? Mógłby przecież w spokoju

konsumować zebrane trudem całego życia dostatki. Coś tu się nie zgadzało. Postanowił koniecznie rzecz tę zbadać.

– Sam mówiłeś, że jesteś antypaństwowiec i nic ci do ludzi. Czemu nie chcesz z mojej oferty skorzystać? Dobrze by ci było. Za pieniądze, które masz, możesz sobie zapewnić wikt i opierunek do końca swoich dni.

– Nic mi do ludzi, ale sporo do ziemi. Moja ona jest i nikt mnie z niej nie wykurzy. Dość się za młodu ruskiego i szwabskiego szwargotu nasłuchałem. A poza tym czuję się wciąż jary i wiem, że mogę się do czego innego jeszcze przydać niż do podpierania pieca. A przyjdzie na mnie choroba, to was o tym zawiadomię.

– Tylko nie próbuj mnie zdradzić, bo spod ziemi wydobanę i postawię przed sądem.

Andrzejowi oczy rozbłysły hamowanym gniewem i burknął:

– Jestem złodziej, prawda, tego się nie wypieram. I tak samo prawda, że niejednego człowieka na tamten świat posłałem, gdy mi zawadą był. Ale nie ubiłem nigdy nikogo zdradą; nie podałem trucizny: ani w jadle, ani w gorzale, ani w plecy nikogo nie ugodziłem. Nożem pchnąć, zastrzelić czy podpalić, nie hańba to, bo każdemu wolno życia i mienia bronić. Ale ja nigdy nie byłem i nigdy nie będę zdrajcą. Bo czemu miałbym zdradzać? Korzyść mi z tego żadna. Swego mam dość, to mnie nikt pieniędzmi nie skusi.

Jerzy się zamyślił. Ludzi istotnie potrzebował, a zwłaszcza fachowców w dziedzinach technicznych. Bo o kandydatów na agentów łatwo było między oficerami, którzy z urodzenia mieli w sobie i odwagę, i brawurę. Ale jemu brakowało właśnie fałszerzy i techników, bo tych nie było skąd brać. Wprawdzie myślał o tworzeniu szkół technicznych, w których szkoliliby się przyszli chemicy i wszelkiego rodzaju specjaliści, ale rozumiał, że wiele jeszcze wody w Wiśle upłynie, nim te plany będzie można zrealizować. A ludzie potrzebni byli już teraz.

Dlatego gdyby miał do Andrzeja choć cień zaufania, chętnie przyjąłby jego ofertę. Ale i bez niego była godna rozważenia. Mógł go przecież pilnować, bo nie tylko swoimi oczami patrzył i uszami słuchał, i przy lada pozorze zdrady kark mu kazać skrócić. Dlatego uśmiechnął się i rzekł:

– Bóg słyszał, amen. Obejmiesz szefostwo nad całym referatem technicznym. Twoją rzeczą już będzie dobrać sobie ludzi tak, byś mógł sprawnie pełnić swoją funkcję. Staraj się dobrymi uczynkami, by ludzie zapomnieli o twoich dawnych przewinach. A teraz ruszaj do swojej roboty, bo ja mam tu jeszcze jedną sprawę do załatwienia. – Mówiąc to, otworzył drzwi i zaprosił Beatę do środka.

Bukojemski odetchnął z ulgą. Odwrócił się. Uśmiechnął się tylko domyślnie i podniósł się ociężale z krzesła, bo mu nogi nie służyły tak jak dawniej. Dlatego wychodząc, powłóczył nimi mocno. Jeszcze stojąc przy drzwiach, odwrócił się i rzekł:

– A ta drukarnia znajduje się w Gdańsku. Dokumenty są wydrukowane tuszem farbiarskim, który można dostać tylko tam.

Jerzy skinął mu głową, dając znać, że zrozumiał i przyjął do wiadomości. Poczekał, aż za Andrzejem zamkną się drzwi, i skupił wzrok na Beacie. Trudno mu było patrzeć na nią obojętnie, ale wytrzymał.

– Siadaj, proszę. – Wskazał jej krzesło przy biurku.

Wygięła wargi w złośliwym grymasie.

– Dziękuję, że po tylu latach związku przypomniałeś sobie o należnym mi miejscu. – Ale wstała i usiadła naprzeciw niego, tak by miał znakomity widok na jej odsłonięte kolana.

Z trudem powściągnął uśmiech, bo rozumiał, że droczy się z nim.

– Miałaś najlepsze miejsce, jakie tylko mężczyzna może dać kobiecie, ale sama je opuściłaś. Chciałabyś, żebym spędził

z siedzenia starszego człowieka, żeby zrobić miejsce dla kwitnącej kobiety? To chyba nielogiczne?

– Ja niestety nie mogę powiedzieć o tobie tego samego, chociaż jesteśmy w tym samym wieku. Zapaściła się jak dziad ostatni – stwierdziła, nie chcąc pokazać, jak cieszy ją zgrabnie przemycony przez niego komplement.

Roześmiał się w duszy. Po tym poznałby ją nawet w piekle. Nigdy nie przyzna się do odczuwania najmniejszej słabości. Zawsze silna, zwarta i gotowa. Pod tym względem obydwójce byli do siebie podobni jak dwie strony tej samej monety. On też nigdy nie przyznałby się do tego, co do niej teraz czuje. Wiedział, że jest im ciężko. Obydwojgu.

– Nie każdemu czas jednakowo płynie. Twoją jedyną troską jest kupno nowej sukni, wydawanie przyjęć i przyjmowanie gości.

Dostrzegł, jak jej twarz niemal natychmiast skurczyła się jak u złego psa, który obnaża kły. Wiedział, że udało mu się wyprowadzić ją z równowagi, ale tego właśnie chciał. Nie potrafił rozmawiać z nią spokojnie, bez ujawniania swoich uczuć do niej.

– Tak! Boże! Jak ty nic nie wiesz. Nie wiesz, jak to jest czuwać przy dziecku przez całą noc, bo ma gorączkę. Nie wiesz, co to znaczy radzić sobie z kolką, która nie chce przejść. Nigdy nie angażowałeś się w opiekę nad nią! Nie wiesz, co to znaczy nie mieć nawet chwili dla siebie. Jak nie odprowadzić do domu, to zaprowadzić do szkoły. Pilnowałeś kiedyś dziecka, które ma tysiące szalonych pomysłów? A to skacze po drzewach, obdzierając sobie kolana, a to pływa po wodach. Ale co ty możesz o tym wiedzieć?! Nawet tamta bomba nie sprawiła, że zmądrzałeś. To nie ja cię zostawiłam. To ty postanowiłeś troszczyć się o Wielkopolskę, Śląsk i Bóg jeden wie, co jeszcze. A mogłeś przecież dbać o nią, o mnie.

Widział, że warga jej drżała, i rozumiał, że albo rzuci się na niego, albo się rozplacze. Znając ją dobrze, stawiał na to pierwsze. A nie chciał z nią walczyć. Chciał ją przytulić, wziąć w ramiona,

gładzić po twarzy, znowu bawić się jej włosami, ale do tego miał drogę zamkniętą. Zamiast tego spróbował zdobyć się na słowa szczerości. Ale musiał najpierw ukorzyć się przed nią, przyznać do błędu. A wszystko w nim buntowało się przeciwko temu.

– Uspokój się – poprosił cichym, jakby znużonym głosem. – Wiem, że nie miałaś lekkiego życia. Ale ja także. Nigdy nie czyniłem ci wyrzutów z powodu twojego odejścia. Bolało mnie to jak drzewo, gdy ktoś wyrwie mu korzenie, ale jak widzisz, stoję, choć gałęzie i konary nie te same, co były. Nigdy nie kazałem ci wkładać włosienicy, więc przebolełem nawet to, że się szybko pocieszyłaś. Dziś wiem, że to ty miałaś rację. Gdyby nie twoje matczyne przecucie, nie mielibyśmy już dziecka. Wierzę, że zdołam wybudować to państwo. Późno się ocknęliśmy, może za późno. Ale czemu czynisz mi zarzut z tego, że robię swoje? Dziś każdy broni ojczyzny. Ojcowie, mężowie, złodzieje nawet. A tylko mnie dotknęło nieszczęście, bo straciłem ciebie. Ale myślę sobie, że nie po to tu przyszłaś, by wysłuchiwać mojej spowiedzi?

– Nie. Co było między nami, to było. Nie ma już potrzeby, by do tego wracać – zgodziła się. – Ale nas spaja ze sobą nasza córka. Byłam z nią, póki potrzebowała matki, ale teraz potrzebna jej twarda męska opieka. Chyba sam przyznasz, że masz wobec niej jakieś zobowiązania?

– Mów jasno, o co ci chodzi – ponaglił zniecierpliwiony. – Od opieki się nie wypraszam i sprawowałem ją zawsze w sposób dyskretny. A z tego, co mi doniesiono, wynika, że jej stan poprawił się na tyle, że mogła opuścić szpital.

– Wyszła, ale jakaś odmieniona. Przez całe dni nic innego nie robiła, tylko godzinami siedziała na łóżku i wpatrywała się w ścianę. Wiedziałam, że coś ją dręczy, ale za każdym razem, gdy próbowałam wy badać, w czym rzecz, zbywała mnie milczeniem. A dotychczas nie miała przede mną tajemnic. Podsuwałam jej

różne smakołyki, by wybić ją z tej paskudnej melancholii. I dziś dowiedziałam się wszystkiego. Ona się zakochała.

Tym razem nie potrafił powstrzymać się od śmiechu, słysząc autentyczną desperację pobrzmiwającą w jej głosie. Śmiał się głęboko i długo, ignorując jej złe spojrzenie. Wreszcie jednak zapanował nad sobą na tyle, by móc przemówić:

– Czemu mówisz o tym jak o wielkim nieszczęściu? Co warta młodość bez miłości, choćby i nieszczęśliwej? Wypuść ją wreszcie spod spódnicy i daj żyć. Pokaż świat i ludzi, bo kląć cię kiedyś będzie. A Eliza młoda jest, wyliże się z tego. Nie dziś, to jutro lepiej się zakocha, a ja teściem, a ty babcią zostaniesz.

Sapnęła w słaby punkt ugodzona, ale się przemogła. Zamiast gniewem wybuchnąć, opowiedziała mu wszystko, co wiedziała od córki, a kończąc relację, tak mówiła:

– Ja bym się nie wzdrygała, gdyby o proste miłowanie chodziło. Ale doświadczyłam miłości z żołnierzem i chcę ją ustrzec przed takim losem. By nie czekała, jak ja, oczy wypatrując. Jeszcze w takowym czasie. Przecież jest wojna, a on na nią też pójdzie i pewnie się za drugich chował nie będzie. Po co dziewczyna ma płakać, nim się kochać nauczy?

– Całowanie nie ślub jeszcze – zauważył Jerzy flegmatycznie. – Człowiek, o którym mówisz, ma na imię Wiktor. Znam go dobrze, bo oddał mi kilka nieliczych przysług. I mogę ci powiedzieć, że to dobry chłopak, ale bardzo nieśmiały i niezgrabny w stosunku do kobiet. A nasza córka po tobie charakter wzięła. Dlatego łańcuch na wiano dać by mu trzeba, by miał ją na czym trzymać.

– Potraktuję to jako komplement – odparła, rumieniąc się z lekka. – Ale chyba dobrze ci było ze mną, bo nie szukałeś innej. Swoją drogą, nie chcę stawać na drodze twojemu szczęściu. Sama je mam, więc i dla ciebie go pragnę.

Kłamała. Wiedział o tym. Zawsze wiedział. Ale udał, że jej wierzy. Nie mógł się przemóc, choć chwilami chciał. Walczył z tymi



rojeniami, które mówiły mu, że Eliza jest już dorosła i niedługo zacznie żyć na własny rachunek. A wtedy przestanie tkwić między nimi. I wszystko może powrócić. Brakowało mu Beaty. Brakowało jak cholera. Nie miał z kim szczerze porozmawiać, przed kim duszy otworzyć. Doskwierała mu samotność i konieczność samotnego dźwignia ciężaru. I jeszcze to jej ubranie.

– Widzę to sam, że jesteś szczęśliwa. Bo po niebie pogodę rozeznasz, a po twarzy nastrój. Wystroiłaś się tak, że ten, dla kogo zadałaś sobie tyle trudu, istotnie szczęśliwym być musi.

Ty głupcze! – pomyślała ze złością.

Wyszła do połowy drogi. Przewyciężyła swoją dumę, by pokazać mu, że nadal wszystko jest między nimi możliwe. Byle tylko dał jej choć trochę nadziei. Eliza była już dorosła, nie potrzebowała opieki, więc i ona mogła pomyśleć o sobie. A wyobrażała sobie siebie tylko przy Jurku. Widziała, jak na nią patrzył, dostrzegała te błyski w oczach, które tak lubiła. Ale jednocześnie panowała nad sobą. Choć przez cały czas rozmowy używała całego arsenału kobiecych sztuczek, które miały skłonić go do wyznania. Teraz była zła, że na nic jej robota się zdała.

Dlatego poderwała się z miejsca, poprawiła suknię, by znów zakrywała wszystko, co powinno być zakryte. On również wstał. Oboje mierzyli się wzrokiem.

– Sama wyjdę – rzekła. – Ty postaraj się, żeby ten twój Wiktor się z nią jednak spotkał. Ja im na zawadzie stała nie będę, ale ona musi wiedzieć, na czym stoi. Dość łez wylała.

Odwróciła się, chcąc wyjść, ale on chwycił ją mocno za rękę i sam prowadził. Chciał ją dotknąć, choćby pod takim pretekstem, poczuć jej skórę pod swoimi palcami i bijące od niej ciepło. Ona zaś nie wyrwała mu się, choć uprzednio postanowiła sobie być dla niego twarda. Jednak teraz i ją zaczęła obejmować dziwna tkliwość i pragnęła, by ją tak prowadził przez całą wieczność. Choć była

twarda dla ludzi i nieprzystępna, w jego rękach miękła jak wosk. I – o dziwo – dobrze jej z tym było.

Tak weszli do pokoju, gdzie zwykle dyżurowała sekretarka, ale teraz nie było tu nikogo. Jerzy pragnął bowiem, by rozmowa, którą miał przeprowadzić, odbyła się bez świadków. Toteż w pobliżu nie było żywej duszy i nikt im nie przeszkadzał.

– Puść mnie – szepnęła cicho.

– Przecież trzymam cię tak lekko, że gdybyś tylko chciała, z łatwością mogłabyś się wyswobodzić. Chcesz? – Spojrzał na nią, a jej twarz spąsowiała pod wpływem tego spojrzenia.

Poczuła, jak jej oddech przyśpiesza, pierś faluje, a krew szybciej krąży w żyłach. Nagle zmrużyła oczy, spojrzała na niego z gniewem i warknęła:

– Ot, czego chcę!

To powiedziawszy, zaplotła mu ręce na szyi i zaczęła całować łąpczywie, wściekle. Pozwolił, by fala jej namiętności poniosła go ze sobą. Objął ją mocno, dał przywrzeć do siebie i również obsypywał ją pocałunkami. Na koniec podniósł ją i posadził na biurku. Beata odruchowo chwyciła się krawędzi, łapiąc oddech i patrząc na niego zamglonym wzrokiem.

Jerzy patrzył na nią przez chwilę jak urzeczony. Z oczu strzelały mu ognie, twarz płonęła rumieńcem. Nie dbał w tej chwili o nic. Nie interesowała go ani sprawa Śląska, ani machlojki Wielkopolan, ani nawet pajęczyna sowieckiej i niemieckiej agentury, która zdawała się oplatać jego kraj. W tej chwili nie był już szefem polskiego wywiadu ani nawet żołnierzem, był po prostu mężczyzną. Oto miał przed sobą ukochaną kobietę, której na tak długo był pozbawiony.

Właśnie miał przy niej uklęknąć, gdy wzrok jego padł na rozbitą lampę, którą Beata musiała zepchnąć z biurka. Jego uwagę przykuły dziwne kable, które z niej wystawały. Serce zabiło mu strasznym przecuciem. Bez chwili namysłu podbiegł do niej

i przyglądał się intensywnie. Dostrzegł zwoje taśmy rozwiniętej na szpuli. Straszna prawda stanęła mu przed oczami. W najpilniej chronionym miejscu w kraju, w sercu jego firmy, znajdował się podsłuch. Żadne z jego działań nie były tajemnicą dla wroga. Ale teraz już o tym wiedział. I to będzie jego bronią. Uśmiech rozjaśnił mu twarz i nawet Beata odeszła w zapomnienie.

Cicho zsunęła się z biurka, poprawiła suknię i wyszła, przełykając łzy.

## Rozdział III

Wieniawa zaopatrzył Weronikę na drogę i dał jej list do zarządcy swego majątku, by ten wiedział, jak ma postępować. Tak rozwiązawszy sobie ręce, zabrał się za realizację swojego zamysłu. Pierwsze kroki skierował do Aleksandry Piłsudskiej, która już się była do niego przekonała i przyjęła dość wdzięcznie. Zastał ją kołyszącą małą Wandeczkę, która zajęta była wydobywaniem pokarmu z jej piersi. Aleksandra chodziła z nią po całym pokoju, kołysząc ją i nucąc jej pieśni. Na widok Wieniawy kobieta uśmiechnęła się i dała mu ręką znak, by chwilę zaczekał. Usiadł na zaścielonej poduszkami sofie i rozejrzał się po pomieszczeniu.

Był to typowy kobiecy buduar, który zapewne dobrze jeszcze pamiętał żonę księcia Konstantego. Różowe obicia nadawały całemu pomieszczeniu wrażenie delikatności i idealnie komponowały się z meblami. Z niesmakiem patrzył na połączane krzesła, których misterne zdobienia mogły uchodzić za dzieło sztuki i szczyt kunsztu zdobniczego. Jego wzrok błędził po zasłonach, meblach. Ale nie potrafił patrzeć na to wszystko z podziwem. Było to wyrazem luksusu, do którego i sam nawykł i który zgoła nie imponował mu w niczym. Dlatego raczej obojętnie spoglądał na opadające na dywan złote zasłony.

Tymczasem Aleksandra ukończyła karmienie małej i wyszła, by zanieść ją do łóżeczka. Wróciła po kilku minutach i przysiadła obok niego. Przez chwilę przyglądali się sobie wzajemnie, jakby niepewni, od czego powinni zacząć. Ich dotychczasowe stosunki

nie układały się bowiem poprawnie. Nie przepadali wzajemnie za sobą, więc unikali swego towarzystwa. Niechęć ta nie przerodziła się w otwartą wojenkę, ponieważ obydwójce na swój sposób kochali komendanta i nie chcieli przysparzać mu trosk.

Teraz jednak Aleksandra patrzyła na niego przyjaźnie. Wiedziała bowiem, komu zawdzięcza zmiany, jakie zaszły w jej związku. Dzięki nim była teraz naprawdę szczęśliwa. Dlatego postanowiła ocieplić ich wzajemne relacje. W tym celu wykonała kilka pojednawczych gestów, co podsunęło Wieniawie pewien pomysł.

– Posłuchaj – zaczęła. – Wiem, że dotychczas nasze relacje nie układały się zbyt poprawnie. Wiem, że to głupie, ale zawsze byłam zazdrosna o głęboką przyjaźń, jaka łączy ciebie i komendanta. Wydawało mi się, że zajmujesz przynależne mi miejsce w jego życiu. Ty znałeś jego myśli, podczas gdy ja byłam tylko gospodynią tego miejsca.

– Wiem. Próbowałem przemówić mu do rozumu, ale sama wiesz, że on nie przywykł słuchać innych. I po prawdzie nic w tym dziwnego. Nawet wilk nikomu nie ufa, choć tylko zwierzęciem jest, bo wie, że każdy z niego skórę ściągnąć rad. Cóż dopiero on, który od wczesnej młodości chował się między spiskowcami i wiedział, że jego życie od milczenia zależy. I mnie on wszystkiego nie mówi, bo wszędzie wypatruje szpiegów i zdrajców. Dlatego w pełni nie ufa nikomu! Taki już jest i inny już chyba nie będzie.

– I ja między konspiratorami przebywałam, ale od ludzi nie stronię. Bo w czym komu szkodzi przyjaciel, którym się można w niebezpieczeństwie podeprzeć? Albo trudem podzielić?

Uśmiechnął się, podciągając kącik ust.

– Przyjaciół się miewa, a wrogów się ma – odparł. – A kłamie każdy, zwłaszcza jeśli chce czegoś znacznego dokonać. Polityk kłamstwo przyodziewa wraz z garniturem. Musisz nawyknąć do takiego żywota, bo inaczej ciężko ci będzie tu przetrwać.

Wiedziała, że miał rację. Nie mogła wymagać za dużo. Oni nigdy nie będą normalną rodziną, bo normalna polska rodzina nie mieszka w Belwederze i nie jest dzień i noc chroniona. Normalna polska rodzina wstaje rano, je śniadanie i idzie do pracy, o ile ją ma. A ona? Ona nie ma dostępu do realnego świata. Chodzi tylko po wybranych kwartałach warszawskich ulic, obserwowana przez kilka par czuwających nad nią oczu. Nigdy wytchnienia. A wszystko to dlatego, że zakochała się w człowieku, który w takim świecie czuł się jak ryba w wodzie.

Spojrzała na Wieniawę. On też należał do tamtego świata – duszą i ciałem. Ale trudno było wyrobić sobie o nim jednoznaczną opinię. A przecież dotychczas miała co do siebie przekonanie, że zna się na ludziach. Jego jednak nie potrafiła przejrzeć. Zajmował się rzeczami tak biegunowo odległymi od siebie, że trudno jej było uwierzyć, iż mogło to wszystko mieścić się w jednym umyśle. Człowiek, który przed nią siedział, zajmował się: malarstwem, literaturą, poezją i niemal każdą inną dziedziną ludzkiej aktywności. Jednocześnie potrafił zalewać się w trupa po knajpach, utrzymywać kontakty z zakałami i mętami społecznymi. Pisał wiersze i równocześnie co noc znikał. Znał niemal wszystkich mężów stanu na świecie, lecz także tych, którzy pędzili najlepszy bimber w stolicy. Połowa arystokratek w tym kraju dosłownie mdlała na jego widok, a on utrzymywał kontakty z prostytutkami – naprawdę nie potrafiła go przejrzeć.

Wieniawa przyglądał się jej twarzy, na której odbił się ślad głębokiego zamyślenia. Sam też intensywnie rozważał, jak powinien wcielić w życie plan, z którym tu przyszedł. Wiedział, że nie będzie to rzecz łatwa. Ale właśnie rysujące się przed nim trudności motywowały, by być wytrwałym. Zobowiązał się przecież słowem, a to była dla niego rzecz święta. Poza tym naprawdę traktował Tomasza jak przyjaciela, na którego sam mógłby liczyć w każdej potrzebie.

– O czym myślisz? – zapytał Aleksandrę, by przerwać zbyt długie milczenie.

Dostrzegł, że na jej twarzy pojawił się rumieniec. Ale nie miał on nic wspólnego ze zmysłowością. Ot, zwykły rumieniec zawstydzenia. Widział, jak nerwowo bawi się rąbkiem sukni, jakby to mogło pomóc jej uspokoić nerwy. Wreszcie jednak uniosła na niego oczy. Przez chwilę walczyła ze sobą, by zadać interesujące ją pytanie, które najwyraźniej ją krępowało.

– Zastanawiam się, kim jesteś – wyjąkała wreszcie. – Jeśli nie chcesz lub nie możesz, to nie odpowiadaj. Ale ja nigdy jeszcze nie spotkałam człowieka takiego jak ty.

– Czyli? – zapytał z widoczną ciekawością.

– Takiego, który z taką samą łatwością porusza się między elitami stolicy, jak i pomiędzy jej mętami. Chcę wiedzieć, co w tobie siedzi. Co sprawia, że nigdy nie możesz usiedzieć na miejscu? Dlaczego wszędzie adorujesz piękne kobiety, a jednocześnie rozpaczasz po żonie? Nie ukrywam, że dotychczas, idąc za przykładem innych, uważałam cię za zwykłego warchoła i pijanicę... Ale już tak nie myślę – zastrzegła, widząc, że jego twarz pobladła.

Ot, czegoś się doczekał! – pomyślał ze złością. Ale czy potrafił sam siebie zdefiniować? Powiedzieć, czego chce, do czego dąży? Idąc przez ziemię z uśmiechem na ustach, by trafić do ziemi, jak wszyscy. Bił się, bo lubił. Pił, bo lubił. Co do kobiet? Trochę ich było. Ale kim chce być? Nie wiem. Nic nie wiem. Ale czy świat wie, dokąd zmierza? Więc skąd ja, szary jego trybik, mam to wiedzieć? A coś jej przecież muszę odrzec. Tylko kobieta potrafi zmusić mężczyznę do myślenia o sobie samym.

– Ja sam nie wiem, czego chcę. Najpierw to chyba wolnej Polski. Takiej dla pijących, mądrych i głupich. Pytałaś mnie o kobiety. Nie przeczę, że dawniej miałem zwyczaj adorować każdą. Ale nigdy nie traktowałem tego jako zdobywania. Raczej jako chęć

pocieszenia. Bo mężczyzna ma prawo zastać kobietę płaczącą, ale zostawić nigdy. I tak się utrwaliło na lata. Dziś ani mi to w głowie. Tylko czasem, jak potrzeba polityczna zmusi. Piszę i maluję, by mieć jakąś odskocznnię od tego wszystkiego, aby zmysłów nie postradać. Ale gdybym miał określić siebie samego w jednym zdaniu, to powiedziałbym, że jestem miłośnikiem czterech k.

Spojrzała na niego ze zdumieniem wypisanym w oczach, więc wyjaśnił:

– Koni, kobiet, kawalerii i koniaku.

Odchyliła się do przodu i perliście się roześmiała.

– Prawdziwy mężczyzna i dżentelmen powinien wymienić kobietę na pierwszym miejscu.

– Mężczyzna tak, ale ułan nigdy. Więż, jaka łączy go z koniem, jest zresztą porównywalna do małżeństwa. Jego błąd jest twoim błędem. Dobry koń może cię cało wyprowadzić z największej opresji. A człowiek się do niego przywiązuje; dba, by niczego mu nie brakowało, by zawsze miał pełny żłób i wszelkie wygody. Czy nie tak samo mąż powinien dbać o żonę, a ona o niego, by dwoje jednym było?

– Jesteś niezwykły. Ale zgaduję, że nie przyszedłeś tutaj tylko po to, by zgłębiać ze mną tajniki własnej duszy. Wybacz, że w tak bezceremonialny sposób sprowadzam naszą rozmowę na właściwe tory, ale i mój czas ma swoją wagę; zresztą ty też masz pewnie wiele obowiązków, które czekać nie lubią.

Uśmiechnął się i zaczął jej opowiadać dzieje Tomasza i swoje własne. A że miał dar wymowy, więc Aleksandrze wydawało się, że słucha jednej z tych historii, które są opiewane przez poetów. Kochając poezję, gotowa była z całej duszy pomagać zakochanym. Wysłuchiwała więc Wieniawy do końca. Zamyśliła się.

Sprawa nie była ani prosta, ani łatwa do rozwikłania. I zagmatwał ją sam Tomasz, bo miał rękę szybszą od rozumu. Ale czego innego należało spodziewać się po człowieku, który znaczną



część swego życia spędził pośród krwi rozlewu? Niemniej w więzieniu siedział zasłużenie i by go stamtąd wydobyć, trzeba by prawo złamać. To byłby zresztą tylko początek imprezy, bo po wydobyciu z więzienia musiałyby się ukrywać – prawo bowiem nie zapomina nigdy.

Spojrzała na Wieniawę. Zdawała sobie sprawę, że prawdopodobnie przyszedł do niej z gotowym już planem, którego musiała być istotną częścią.

– Trudno cię przejrzeć – rzekła. – Wierzyć mi się nie chce, by człowiek z twoją pozycją chciał narażać wszystko, co osiągnął, dla jednego człowieka. I to takiego, z którym więcej go dzieli, niż łączy. Jesteście dwoma światami i stoicie na przeciwległych biegunach. Spójrz na to logicznie. On jest tylko zwykłym wieśniakiem, a ty wybitnym politykiem i mężem stanu. Chcesz to wszystko przekreślić, bo w jednym więzieniu siedzieliście, bo walczyliście razem? Nie odmawiam ja tamtemu człowiekowi męstwa, ale ono za wszystkie przymioty ducha nie wystarczy. Jak to? Prawo dla niego podepczesz, sam banitą zostaniesz? Oszalałeś czy głowę z szyi zdjąłeś?

Gdy była przy głosie, Wieniawa bawił się jednym z frędzli u swoich spodni, jakby cała ta mowa nie była do niego skierowana. Niemniej jednak słuchał jej pilnie i dobierał kontrargumenty. Na ustach błąkał mu się ledwie dostrzegalny uśmieszek. Gdy tylko Aleksandra skończyła, zaczął mówić pewnym, mocnym głosem:

– Tomasz to dobry i twardy człowiek. Odważny i na swój sposób prawy, ale hodowała go wojna, której sensu pewnie nie pojął. Wywleczono go z domu, gdy był młody, i poprowadzono na wschód. Gdy inni spędzali nocę w domach, jego bito w koszarach, zamieniano w zwierzę. Ty nie wiesz, jakie metody szkoleniowe stosowało się wobec carskiego rekruta, wobec nieufornowanych jeszcze młodzieńców. Lecz ja je znam i ręczę ci, że pod ich wpływem wielu mądrzejszych od niego zamieniało się w bestie.

A on mimo wszystko nie jest zły. Nie stał się nigdy bezwolnym narzędziem w ich ręku. Zbuntował się, zdezerterował z armii.

– By łupić wszystkich dookoła w lotnym oddziale, który niczyjej zwierzchności nad sobą nie uznawał – przerwała. – Mogę mu współczuć, ale to nie znaczy, że za łamanie prawa mamy mu wszyscy hymny pochwalne śpiewać. I tej dziewczyny mi żal, ale nie widzę sposobu, by jej pomóc. Bernard jej nie daruje, bo go przez nią sromota spotkała, a on nie z takich, co zapominają. Zaś ty na końcu świata jej przed nim nie ukryjesz. Lepiej ją zaopatrzyć suto na drogę i odeślij tam, skąd przyszła.

Długoszowski uśmiechnął się kwaśno.

– Ja nie jestem jego sędzią, ale rozumiem pobudki, jakimi się kierował. Cóż miał czynić? Do domu wracać między krewnych, którzy chętnie zrobiliby to, co się Prusakom nie udało? Potrzebował tych pieniędzy, by nie być goły jak święty turecki, gdy wróci w rodzinne strony. Nie każdy ma bogatą rodzinę, która da mu wszystko, co potrzebne, by miał dobry start w życiu. On musiał budować swój majątek na krwi. Ale czym różni go to od naszych przemysłowców, którym wszyscy się kłaniają nie ze względu na przymioty ich charakteru, lecz na miliony będące ich własnością? Czy oni zbudowali swe imperia uczciwie? Nie wiesz. Bo o to nie pytasz. Każda fortuna na tym świecie na trupach i spiskach była budowana. On przynajmniej zabijał swoich wrogów w uczciwej walce. I omal przy tym nie usunął Lenina.

Przerwał, by złapać oddech, przemowa bowiem zmęczyła go i wzruszyła zarazem. Twarz pokryła mu się szkarłatem, a oczy błyszczały podnieceniem. Otarł uperlone potem czoło. Był spięty, gdyż robił wszystko, by przekonać rozmówczynię do swoich racji. Szło mu zgrabnie, bo mówił to, co w tej chwili naprawdę czuł i myślał, nie uciekając się przy tym do oszustw i kręctw.

Odetchnąwszy kilka razy głęboko, zaczął mówić znowu:

– Twierdzisz, że dzieli nas wszystko. A kim ja jestem, żebym się miał nad niego wynosić? Mam się szcycić tym, że moi rodzice byli dość bogaci, bym ja mógł się uczyć? Jakaż w tym moja zasługa? Tomaszka kształciła wojna. I wiedzę, jaką mu ofiarowała, przyswoił sobie dobrze. Chciałby każdy z tutejszych zniewieściałych paniczyków, którzy wszystko zawdzięczają koneksjom rodzinnym, tak dobrze powodować koniem jak on. Włada wszelką bronią; porusza się zarówno po otwartym terenie, jak i po lesie. On potrafi odnaleźć drogę po gwiazdach czy mchu. I cóż z tego, że nie umie czytać ani nie zna dorobku filozofów, na których byt kto inny pracował. A kto cudzą mądrością głowę sobie zapcha, temu na własne myśli miejsca nie starczy. Nieokrzesany jest i ma duszę, która nie zna hamulca. Ale ja nie jestem inny. I mnie trudno w kieracie chodzić. I ja zabijałem, a mimo to nie wzdygasz się przebywać ze mną sam na sam. A wiesz dlaczego? Bo kiedyś ktoś mi pomógł. Bez tej pomocy pewnie byłbym dziś na dnie.

– A jemu kto pomoże wyjść na człowieka? – zapytała Aleksandra.

– Ona – odparł bez wahania. – Ona go wyprostuje. Za każdym mężczyzną musi stać silna kobieta, która jest dla niego niczym Gwiazda Polarna przewodniczką, bo nigdy nie zmienia położenia.

Ola wstała i zaczęła chodzić niespokojnie po buduarze, rozmyślając jednocześnie nad swoim położeniem. Zaczynała rozumieć, w jaką kabałę była wciągana. Ale jej niespokojna głowa pchała ją do czynów, a uwięziony w belwederskich murach temperament rwał się ku wolności. Od tak dawna nie czuła na plecach tego dreszczyku emocji, który zawsze wiązał się z niebezpieczeństwem. Jednocześnie trzeźwa rozważa przypominała jej, że nie jest już panią samej siebie, tylko osobą publiczną, na którą zwrócone są oczy całego narodu.

I jak sama dobrze wiedziała, w większości nie były to oczy przyjazne. A przecież nie doszukała się w tym swej winy. Nie

wynosila się nad drugich, była uprzejma dla wszystkich, starała się łagodzić skutki wszechobecnej powojennej nędzy, rozdając szeroko jałmużny. Lecz wszystkie te jej usiłowania na niewiele się zdawały. Rozbiła przecież rodzinę, a tego katolickie społeczeństwo nie mogło jej darować. I nie wiadomo, jak by się cała sprawa skończyła, gdyby nie powaga Ziuka i przyrodzony temu krajowi szacunek do kobiet.

Lecz co się z nią stanie, jeśli jej udział w tej aferze zostanie wykryty? Tutaj nawet Ziuk nie pomoże. Co więcej, może sam będzie musiał się jej wyprzeć, by skutki rozpętanej przez nią burzy nie odbiły się i na nim. Myśli te zaciążyły jej. Nie chciała władzy, dostojęstw. Życie pośród blichtru nużyło ją śmiertelnie. Ile by dała, by wrócić do tych czasów, które spędzała na wsi, gdzie lato pachniało trawami, sianem, krowami. Gdzie życie było prostsze. Tam była anonimowa. Nikomu nawet nie przyszło do głowy, by zwracać uwagę na jej słowa czy gesty. Tęskniła do tych dni.

Ale jednocześnie wiedziała, że Ziuk źle by się czuł w opłotkach. Tacy jak on byli stworzeni do wielkich przeznaczeń i nie dla nich było życie powiatowe. Ona o tym wiedziała. Ale jej serce służyło, komu chciało, nie pytając jej o zdanie. Cóż była komu winna, że los wybrał dla niej takie przeznaczenie? Ech, gdyby organizacja przysłała wtedy kogo innego... Wówczas nigdy by się nie spotkali. Ona żyłaby życiem zwykłych ludzi, a on mógłby spokojnie oddawać serce i umysł wielkim zamierzeniom.

Niby wiedziała, że ją kocha. Zwłaszcza w ostatnim czasie dał jej wiele dowodów miłości. Ale nie była pewna, czy zmuszony do wyboru między miłością do niej i córki a władzą, wybrałby ją. Niepewność ta tkwiła w niej jak zadra i była przyczyną ciągłego bólu. Lęk przed utratą najbliższego sobie człowieka i upokorzeniami z tym związanymi paraliżował jej wolę i zmysły. W takich chwilach często myślała o tej pierwszej. Zastanawiała się, jak Maria musiała się czuć, gdy Ziuk oznajmił jej, że odchodzi. Czy

plakała, krzyczała, wygrażała mu, czy też przyjęła swój los z godnością. Często miała ochotę wybrać się do niej, ale wstrzymywała ją myśl, że nie będzie tam dobrze przyjęta, jako burzycielka jej szczęścia. Poza tym nie była pewna, jak Ziuk na to zareaguje.

Zatrzymała się wreszcie tuż przed Wieniawą. Na jakiś czas miała dosyć rozważań. A trzeba było się dowiedzieć, z czym tak naprawdę do niej przyszedł. Dotąd przecież nie miała nawet pojęcia, jaką rolę przeznaczył jej do odegrania w swoim planie.

– Mogę ci pomóc, ale muszę wiedzieć, jakie ryzyko na siebie biorę. Tu nie chodzi tylko o nas i o nich. Zresztą, sądzę, że nie muszę ci tego tłumaczyć. Ja nie narażę swojej reputacji i jego na niebezpieczeństwo narażać nie mogę.

– Na szczęście ja nie mam z tym problemu – wyznał z rozbijającą szczerością. – Moja reputacja jest jak szyba, gdy raz się stłucze, nie naprawi się. Ale o swoją możesz być zupełnie spokojna. Znam i ja skomplikowaną naturę naszego położenia i zmitrężyłem dwie długie noce, rozmyślając nad tym, jak się z niego wydobyć.

– No to mów prędzej, bo mnie ciekawość pali – przerwała ze zniecierpliwieniem.

– Za kilka dni zorganizujesz w Belwederze bal, na który koniecznie zaprosisz Bernarda wraz z ojcem, a także dowódców naszych oddziałów operujących na wschodzie.

Poderwała się, jakby ją igłą ugodzono, jednocześnie unosząc brwi ze zdziwienia, bo знаła ten kraj może lepiej od nich wszystkich, serce bowiem mając czułe i litościwe, zajmowała się szeroko wszelką nędzą, którą wojna na ludzi sprowadziła. Wiedziała przecież, że nikt temu winien nie był. Nikt nie mógł zaradzić temu, co wojna z tą kwitnącą niegdyś krainą uczyniła. Zdawała sobie sprawę, jak niełatwą rzeczą będzie odbudowa domów, zakładów, które wróg częściowo poniszczył, a częściowo

ich ekwipunek wywiózł ze sobą. Zasiwy, które w czas wojenny poczyniono, w większości nie przetrwały przemarszów wojsk i głód poczynał zbierać straszliwe żniwo. Nawet w samej Warszawie. Nie mówiąc już o odleglejszych stronach, gdzie częstokroć nie było jeszcze nawet śladu polskiej administracji.

I ona miała się weselić?! Marnować pieniądze na huczne uroczystości, bo o mniejszych mowy być nie mogło?! Chodziło przecież o powagę państwa. Gdyby spróbowała wydać bal po kosztach, dałaby Niemcom tylko argument na potwierdzenie tezy, że Polska jest państwem sezonowym, po którym już wkrótce wszelki ślad zaginie. Z drugiej strony wyrzucać pieniądze w czasie, gdy nawet ołtarze świątynne оголаćane były z grosza, byle tylko jak najwięcej żołnierzy za nie na nogi postawić?

Spojrzała na Wieniawę z mieszaniną zdumienia i oburzenia. Ów dobrze odczytał jej spojrzenie, bo uśmiechnął się delikatnie i zaczął mówić tak, jakby na jej niewypowiedziane wątpliwości chciał odpowiedzieć:

– Wiem, czemu się oburzasz. Sądzisz, że dla własnej prywaty krajowy skarbiec na uszczerbek chcę narazić. Ale to nie tak. Ja tylko dokładam własną pieczęć do cudzego ognia. Ten bal jest potrzebny dla załatwienia spraw znacznie ważniejszych, które się losów całego narodu tyczą. A jak najlepiej ściągnąć ludzi, jeśli nie obietnicą darmowej hulanki? Potrzebne to nam. Wojna już wybuchła, a nam trzeba rozstrzygnąć sprawy dotyczące się jej dalszego prowadzenia. To będzie odprawa dowódców, którzy wezmą udział w najbliższej kampanii wojennej.

Pobladła gwałtownie, bo natychmiast pojęła, o czym mówił. Dotychczas mogła cieszyć się tym, że miała wszystkich najbliższych sobie ludzi blisko siebie. Teraz odbiorą jej nawet to. Bo wiedziała, że oni wszyscy pójdą na wojnę. Ziuk. A dla niej znów zaczną się dni dusznego niepokoju, niespokojnych snów i pustki w życiu, którą będzie wypełniało tylko oczekiwanie. Wiedziała, że

będzie czekała – ona i Wandeczka. Podzieli los milionów polskich kobiet, które będą czekały na synów, mężów i ojców. Część z nich po to tylko, by czasem dostać lakoniczne zawiadomienie o śmierci lub jedynie cień nadziei, gdy ukochany zaginie bez wieści. Zaciśnęła drobne dłonie w pięści.

– Dobrze mi tak, skorom się zadała z żołnierzem. Pozwolę ci trzymać twoją pieczeń w moim piekarniku, ale o reszcie nie chcę nic wiedzieć.

Pokiwał ze zrozumieniem głową. Naprawdę jej współczuł, ale na sytuację międzynarodową nic nie mógł poradzić. Przez sekundę zastanawiał się, w jaki sposób spory rozstrzygałby świat rządzony przez kobiety. Może rywalizowałyby na sukienki albo na wypieki? Ale póki światem rządzą oni, mężczyźni, wojny będą trwały długo.

Wstał, pochylił się do rąk całowania i rzucił niby mimochodem:

– Szefem francuskiej misji wojskowej u nas trzeba się zająć. Zadbać o to, by zawsze był otoczony damską opieką. Nie może zauważyć, kiedy nasi znikną. Nie potrzeba, by Paryż przedwcześnie dowiedział się o naszych planach. Oni najchętniej by nas wykupili. Nasze ziemie, zakłady. Ale nic im z tego nie przyjdzie. Nie po to wyrwaliśmy się spod niemieckiej i rosyjskiej „opieki”, by kłaść się pod Francuzem.

Aleksandra się uśmiechnęła. Znała i ona niechęć komendanta do Francuzów. Korzystał z ich wsparcia, bo musiał mieć w kimkolwiek ostoję. Sojusz zaś z Francją, choć nie był układem równorzędnych partnerów, dawał jednak podporę i liczne korzyści. Francuzi dozbrajali ich wojsko, szkolili oficerów na swojej modłę, zwiększając siłę armii. Lecz ich pycha, w którą wbiły ich sukcesy odniesione na frontach, była dla Ziuka odstręczająca. Francuscy oficerowie, a zwłaszcza szef misji, nie mogli pojąć, że są na tej ziemi tylko gośćmi. I ciągle mieszały się ze swoimi radami, których nikt słuchać nie miał ochoty.

– Rajfurką mam zostać? – spytała, nie bez cienia złośliwości.

– Człowiek, który łodzią płynie, nigdy nie wie, dokąd go woda zaprowadzi. Tam zostaje, gdzie dopłynie. I ja wolałbym kim innym być, ale przeciw losowi się nie buntuję, bo wiem, że to na nic. I ty się nie buntuj. Lepiej pomyśl, razem ze mną, jak ulżyć Ziukowi w ciężarce, który ma na barkach. A, i nie trap się tym, że bardziej od ciebie władzę kocha.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem, Ale on obrócił się szybko i wyszedł.

Czort, nie człowiek! – pomyślała, patrząc za nim.



Wieniawa tymczasem wyskoczył z pomieszczeń belwederskich i opowiedziawszy się strażom, wypłynął na miasto. Tam dopiero odetchnął lżej. Ciepła noc kwietniowa przesycona już była wiosennym ciepłem. Na niebie, gęsto upstrzonym gwiazdami, leniwie przesuwały się chmury. Noc była pogodna, jasna i ciepła. Zima przestała mocować się z wiosną i postanowiła wycofać się na z góry upatrzone pozycje. Zostawiła po sobie błoto, wodę i dziury w jezdni, które wstydliwie wychylały się spod zwałów śniegu.

Szcęściem, na ulicy ruch praktycznie zamarł, więc niemal nikt nie ryzykował skręcenia kostki lub gorszej kontuzji. On znał swoje miasto lepiej niż wszyscy przewodnicy razem wzięci i był niemal pewien, że potrafiłby kroczyć po nim z zamkniętymi oczami. Tym bardziej teraz, gdy w jego umyśle nie kłębiły się już czarne myśli. Wszystko bowiem składało się dokładnie tak, jak to sobie zaplanował.

Plan ofensywy wileńskiej, którego zarysy opracowywał, wchodził właśnie w fazę szczegółowych przygotowań. Dlatego do Warszawy mieli przyjechać niemal wszyscy wyżsi dowódcy wojskowi. Wiedział, że teraz to oni będą szczegółowo roztrząsać



jego wstępną koncepcję, by dopracować ją w najdrobniejszym szczególe. Ale jego akurat cieszył fakt, że będzie mógł choć na chwilę oderwać się od pracy sztabowej i poświęcić swe siły sprawie Tomasza.

I tu zaczynał być dobrej myśli. Opracował już bowiem plan, który pozwoliłby wypłatać tego wielkoluda z kłopotliwego położenia. Gra była sama w sobie niebezpieczna, bo nie dosyć, że wystawiała go na osobiste niebezpieczeństwo, to jeszcze narażała na kompromitację sfery rządowej, z którymi był blisko związany. A wiedział, że środowiska opozycyjne tylko czekają na okazję, by uderzyć w rząd. Ta myśl była i frapująca, i jednocześnie trudna do zniesienia. W dodatku czuł przez czas jakiś przynaglenie do podjęcia działań, przeciw którym protestowało sumienie. Zawsze był bowiem dumny z tego, że zrobił w życiu wiele głupstw, ale świństwa nigdy. Tym razem jednak omal nie zgodził się w duszy na ohydny intrygę, która mogła skończyć się brutalnym wysadzeniem z siodła ojca Bernarda i uwięzieniem jego samego. Po dłuższych rozterkach odrzucił ten projekt i postanowił nieco zmodyfikować swoje plany.

W tym celu wchodził właśnie do parku Skaryszewskiego. Lubił tę oazę kwitnącej zieleni, gdzie jeszcze nie tak dawno znajdowało się pastwisko miejskie; staraniem społeczników i władz miasta zamieniono je na park, który stał się ulubionym miejscem niedzielnych spacerów warszawiaków. Zarówno tych, którzy wychodzili na spacer, by rozgrzać starzejące się kości, jak i tych, którzy zabierali tu swoje sympatie.

Teraz jednak na parkowych alejach otaczał go napierający ze wszystkich stron mrok. Przytłaczającą ciszę przerywał tylko nieśmiały szum liści poruszanych przez lekki wietrzyk. W cieniu tych liści ukrywały się starannie utrzymane żwirowe aleje, wzdłuż których stały świeżo malowane ławki. Usiadł na jednej z nich i zaczął dość leniwie rozglądać się po okolicy. Lecz jego oczy

pozostawały zawsze oczami starego żołnierza, który dostrzega zagrożenie o ułamek sekundy wcześniej niż inni.

Teraz też czujnie wypatrywał szpicli, bo zdawał sobie sprawę, że wieść o tym spotkaniu nie powinna dotrzeć do nikogo. Jak by bowiem wytłumaczył swoje widzenie z szefem ferajny? To byłby nie tylko koniec jego kariery wojskowej, ale i wielki wstrząs dla rządu, który i bez tego typu niespodzianek musiał się ciągle mierzyć z piętrzącymi się naokoło trudnościami. Ale on świadomie brał to ryzyko na swoje barki, bo zdawał sobie w pełni sprawę, że tylko tą drogą może dojść do celu, który sobie wyznaczył.

Na razie jednak odprężył się. Po raz pierwszy rozluźnił mięśnie i przestał zadręczać się ciężkimi myślami. Po prostu chłonał piękno natury. Nigdy nie pojął, jakim cudem ludzie mogli bać się nocy. On ją ubóstwiał. Doceniał wszechobecną ciszę i spokój, jaka w jej trakcie panowała. Tak, nocy mogli bać się tylko ci, którzy nigdy nie zetknęli się z prawdziwym strachem. Tacy, którzy tkwili w okopie zewsząd bombardowanym przez artylerię dalekosiężną. Nie wtulali głowy w transeję, podczas gdy ziemia wokół drżała w posadach, a drobiny piachu podnosiły się, przysypując walczących; krzyki rannych i kontuzjowanych rozdierały uszy, mieszając się z trzaskiem karabinów maszynowych, których serie świstały wokół, a ziemia wydawała się wówczas kochanką najczulszą. Skryć się, wtulić, zaryć jak najgłębiej. Byle przetrwać, byle się to wreszcie skończyło.

Na tym tle cisza nocy wydawała mu się cudnym misterium natury. Gwiazdy są takie spokojne, gdy błyszczą migotliwym blaskiem. Wiatr, który kołysze liśćmi, jest jak oddech dziewczęcia. Aż chciałoby się nic nie robić, tylko siedzieć i wpatrywać w atramentowe niebo, wiersze pisząc. A jednocześnie czuł, że nie jemu o tym marzyć ani nawet myśleć. Krajowi jest potrzebny. Jest dostojnikiem państwowym, nic to, że wbrew woli. Każdy musi nad tą budowlą potu swego utoczyć, bo inaczej nic z tego nie będzie.

I chłopci muszą wreszcie zrozumieć, że lepsza najgorsza nawet swoja władza od cudzej, co tylko za łup kraj uważa. Ale czy oni jedni? Kto tu o sobie nie myśli? Chyba istotnie tylko ja jeden. Bo nigdy tego robić nie zwykłem. A reszta? Każdy doi tę naszą krowę, aż jej całkiem wymiona wysuszy – pomyślał i twarz mu spochmurniała. Bo przeszło mu przez myśl, że chyba nie po to tyłu jego towarzyszy na wojnie głowy położyło, aby tu tak źle się działo.

Tu przesuwały mu się przed oczami duszy różne znajome twarze i widzi jak na jawie śmiejącego się Lisa-Kulę, który strasznie rwał się do żony, a poległ na Ukrainie.

Ja cię nie zawiodę – pomyślał.

I otarł łzy z oczu, bo mu je wspomnienie przyjaciela wycisnęło. Otrząsnął się jednak szybko, jakoby pies z wody. Dostrzegł bowiem orszak dziesięciu ludzi, przed którym o kilka kroków szedł mąż w sile wieku, poważny, z wyrażaną w ruchach pewną ponurą zawziętością i świadomością własnego znaczenia, jaką widywał u wielu polityków. Ale co w ich twarzach było oznaką czci, władzy i pozycji, to dziwić mogło w tym synu warszawskiej ulicy, który zapewne i podpisać się nie potrafił. Lecz wtajemniczony w ciemne sprawy Wieniawa wiedział dobrze, że ma do czynienia z człowiekiem, który jednym gestem czy brwi zmarszczeniem mógł podnieść całą przestępczą Warszawę. I więcej nawet mógł od tych, co w ratuszu siedzieli.

Kim on był? Skąd był rodem? Nie wiedział nikt. To tylko było pewne, że od najmłodszych lat kolebką była mu warszawska ulica. Tam uczył się wszystkich umiejętności, które pozwoliły mu później przetrwać. Okrutny i nieprzystępny, przyjaciół nie miał. Ale odwagą i lotnością umysłu wszystkich przewyższał. Szybko też zaczął kierować i przewodzić innym. I wkrótce zyskał między sobie podobnymi mir. Przewyższał ich rozumem. Pojął bowiem, że rabować można, ale nie dla łupu samego, bo się prędzej czy później zawiśnie. Pokończył też swary i spory między poszczególnymi

szefami, zmieniając swarliwe grupy bandyckie w dobrze prosperujące przedsiębiorstwo.

Podzielił miasto na dzielnice, przypisując je poszczególnym szefom, wraz z biznesami, którymi mieli kierować. Działania nielegalne ograniczył wyłącznie do dochodowych, żyjąc przede wszystkim z morfinistów i nielegalnych palaczy opium. Oplótł siecią powiązań niemal cały carski aparat urzędniczy, rzucając mu ochłapy. Wielu jego ludzi sarkało przeciwko temu, ale owe nieśmiałe próby ucichły, gdy tylko dowodnie się przekonali, że ten sposób postępowania przynosi wymierne korzyści. Dochody bowiem stale rosły. A proste osiłki, z jakich składała się ferajna, obrastały w piórka i zakładały legalne przedsięwzięcia.

Ich sytuacja poprawiła się jeszcze bardziej, gdy carska władza nad Warszawą zachwiała się, by wkrótce runąć z hukiem. Dla miasta nastał czas zupełnego bezładu i braku wszelkiej niemal kontroli państwa, którego struktury były dopiero w fazie organizacji. A i później, gdy ciemne chmury zewsząd zbierały się nad krajem, nie pora było myśleć o poskromieniu działalności przestępczej. Dzięki temu przestępcy, nienaciskani zbyt przez nikogo, mieli się dobrze. Ale ich szef zdawał sobie sprawę, że na dłuższą metę taka sytuacja się nie utrzyma. Wiedział, że gdy tylko burze przejdą, przestaną zagrażać samemu bytowi państwa, wówczas przystąpi ono do energicznej akcji przeciwko działającym poza prawem i ograniczy jego wpływy w stolicy.

Doceniał przeciwnika. I nie łudził się, by mógł wyjść zwycięsko z tego starcia. Pragnął tylko ocalić przed zniszczeniem jak największą część swego imperium. Zwłaszcza swe prywatne kapitały, jakie zdołał zgromadzić przez cały okres działalności przestępczej. Dlatego siadając obok Wieniawy-Długoszowskiego, zdjął z twarzy wyraz pychy, bo pamiętał, z kim dyskutuje.

Twarz miał szczupłą, trójkątną, okrywała ją nieco pergaminowa skóra. Wąskie wargi ukrywały się pod szwedzkimi

wąsikami, których cienkie końce opadały ku dołowi. Nos miał rzymski, senatorski. Oczy jego były duże, ciemne i głęboko osadzone. Znajdujące się nad nimi brwi siwiały już. Włosy nosił krótko ostrzyżone; ich jasny blond zdawał się mieszać z siwizną.

Ubrany był prosto, ale schludnie. Nikt nie poznałby w nim posiadacza milionów i króla przestępczego podziemia, ani nawet – na podstawie samego jego wyglądu – nie wysnułby co do niego jakichkolwiek tego typu przypuszczeń.

– Więcej ludzi wziąć nie mogłeś? – rzekł burkliwie Wieniawa. – Jeszcze kto niepotrzebny zauważy i nieszczęście na nas sprowadzi.

Herszt obrzucił swoich ludzi nic niemówiącym spojrzeniem, a ci wycofali się na tyle daleko, by nie móc słyszeć rozmowy, ale cały czas mieli rozmawiających na oku. Troska o bezpieczeństwo szefa była bowiem ich najważniejszym zadaniem.

– Bądź spokojny – stwierdził szef. – A człowiek na moim stanowisku to ma tylko wrogów, dlatego bez obstawy chodzić nie mogę. Ale że ty nie bałeś się przyjść tu sam? Ty, przedstawiciel władzy państwowej, która zapewne wkrótce się za nas zabierze... – Spojrzał na Wieniawę bystro, jakby chciał tajne jego myśli przeniknąć. Ale ten patrzył w jego oczy z zuchwałą obojętnością.

– Nie jestem dzieckiem, bym się miał ciemności obawiać – odparł drwiąco. – Poza tym pamiętaj, kto zapłacił kaucję za twego człowieka. Bez mojej protekcji poszedłby wronom na strawę. A wcześniej sprzedałby ciebie i twoich.

Herszt zamyślił się głęboko. Pamiętał ową sprawę dobrze i przyznać musiał, że pomoc pułkownika spadła mu wtedy z nieba. Lecz od lat żyjąc, nawykł był mierzyć sprawy prostą, ludzką miarą. I w głowie nie chciało mu się pomieścić, by po ziemi chodził ktoś, kto pomagał bez własnej korzyści. A ów pułkownik, pomagając mu, niczego nie zyskiwał, a co więcej, narażał się na niebezpieczeństwo. Gdyby bowiem udowodniono mu kontakty z ludźmi jego pokroju, to jego piękną karierę zapewne szlag by

trafił. Schował głowę między ramionami, co zwykł był czynić, gdy się namyślał.

Dopiero po dłuższej chwili rzekł:

– Zgaduję, że nie przyszedłeś tu na wspominki – zadrwił. – Pamiętam tamtą sprawę. Ale do dziś nie wiem, czemu to zrobiłeś. Ani ci on był brat, ani swat. Choć, jeśli byłby swatem, to nie miałbyś za co być mu wdzięczny, bo marnie was zszył. Słyszałem, że cię twoja wyssała?

Twarz Bolesława pobladła; rzekł przyduszonym przez gniew głosem:

– Lepiej, byś świeżej rany nie tykał, bo trafisz prędzej tam, gdzie i tak zmierzasz. I nawet stu ludzi ci wówczas nie pomoże.

Herszt nie wiedział, co to strach. Inaczej nie mógłby żyć w tym świecie, w którym się obracał. Ale w głosie Wieniawy było coś takiego, że mimo swej odwagi postanowił zmienić temat. Znał go bowiem na tyle, by wiedzieć, że ten człowiek istotnie gotów jest podnieść na niego rękę. Darzył go nawet pewnym rodzajem szacunku, gdyż uważał go za podobnego sobie. Choć nie była to prawda, bo w Długoszowskim była uczciwość, którą on sam doszczętnie w sobie wypalił.

– Czemu go wówczas przed stryczkiem ratowałeś?

Wieniawa myślał intensywnie. Coś wzдрыgało się w nim przed tym sojuszem. Serce, uczciwość. Wiedział, że siedzi obok złodzieja i mordercy, który chyba zrzędzeniem losu jeszcze znajomości z pętelką nie zawarł. Odraza odpychała go od niego, kazała wstać i szukać innych sposobów. Trzeźwy rozsądek natomiast przypominał, że Tomasz tkwi w lochu i nie wiadomo, jak go tam strażnicy traktują. On wprawdzie nie z takich, by go łatwo zjeść mogli, ale jak go siły opadną, to się przecież podda. Dla przyjaciela potrzeba, by schował teraz skrupuły do kieszeni.

Poczuł na sobie badawcze spojrzenie herszta, ale nie martwił się tym. Nie tacy bowiem jak on próbowali go przejrzeć. Ma prawo

użyć złoczyńcy. W walce wolno posługiwać się każdą bronią, jaka w ręce wpadnie, bo liczy się w niej tylko końcowy rozrachunek. A o tej sprawie nikt wiedział nie będzie. A jeśli nawet robił coś złego, to czy walka o połączenie dwojga kochających się ludzi nie jest przypadkiem tym celem, który uswięca środki?

Dość! – skarcił się w duchu. Nie pora teraz na filozofowanie. Tu trzeba działać.

Splótł ręce na kolanach i gdy mówił, patrzył tylko na nie, jakby w ten sposób było mu łatwiej przemóc niechęć:

– Pomogłem mu, by mieć w tobie dłużnika. Bo zły to człowiek, co się za żoną i służą nie ujmie. Dziś przychodzę dług odebrać. Zrobisz jota w jotę, co ci każę, i nie będziesz zadawał pytań.

Mafioso odetchnął. A więc chodziło o czysty handel. To rozumiał. To były reguły, które rządziły jego światem. A czuł się w nim jak ryba w wodzie. Teraz na jego twarzy odbiło się zaciekawienie. Ciekaw bowiem był, czego od niego chciał przesławny pułkownik. Wprawdzie biznesy z politykami nie były dla niego żadnym novum, a stały się wręcz koniecznością życiową, ale Wieniawy nie można było szantażować. Nie brał. Długi oddawał terminowo, często budząc wierzyciela w środku nocy, by mu zwrócić należność. O jego zamięłowaniu do kobiet wiedzieli wszyscy, więc i ta droga odpadała. Słowem, zachowywał pewną miarę w zepsuciu, której nigdy nie przekraczał.

Ciekawość paliła go jak ogień, ale nie wypadało mu zachowywać się jak młokos. Chciał się pokazać jako człowiek obyty i grzeczny. Nie zapytał więc otwarcie, tylko chwycił się szyderstwa.

– Czy to aby zgodne z prawem?

Długoszowski wydał wargi, błyskawice gniewu zaświeciły mu w oczach. Zaraz jednak zgasły. Pamiętał bowiem, że nie przyszedł tu po krew, tylko po pomoc. Dlatego zdusił w sobie wszelkie uczucia, choć serce burzyło się w nim. Siłą woli rozjaśnił twarz i przyozdobił ją w uśmiech.

– Milcz i słuchaj!

Herszt sapnął. Każdy inny, który ośmieliłby się odezwać do niego takim tonem, byłby już rzygał krwią. Lecz teraz i on się pohamował. Wieniawa bowiem tyle miał w sobie jakiejś powagi, że czuł dobrze dystans, jaki ich dzielił. Lepiej było nie drażnić takiego człowieka. A co więcej, przysługa mu oddana mogła zwrócić się dziesięciokrotnie. Ta myśl sprawiła, że uradował się w duszy.

Poczekaj, gagatku. Wkrótce ja zgłoszę się do ciebie po dług – pomyślał.

– Znasz willę na Brzozowej, którą zamieszkuje Władysław Walewicz i jego syn Bernard? – zapytał Wieniawa.

– Znam. Ładne toto. Niemało ukraść musieli, by taką wystawić. Ojca nie znam, bo podobno uczciwy, ale Bernard to dobry klient. Co on u mnie przerznął, wypił i wciągnął, tego by na wołowej skórze nie spisał. Płaci terminowo i nie muszę kości mu łamać. Tym bardziej że jego ojczulek to znamienita figura. – Mówił w taki sposób, że Wieniawa nie mógł zrozumieć, czy drwi, czy mówi poważnie. – Minister od mojej gałęzi gospodarki.

– Dałbyś radę dostać się do ich domu tak, by najmniejszego śladu nie zostawić?

Herszt na próżno wysilał swą głowę, chcąc rozwikłać motywy postępowania pułkownika. Może chodziło o kolejne walki frakcyjne, jakich nie brakło w łonie kolejnych rządów. Ale ta myśl wydała mu się nieprawdopodobna, bo znał się na ludziach. Musiał się znać, by móc przetrwać tyle lat w mrocznym świecie przestępców. Wieniawa nie jawił mu się jako ktoś, kto chętnie ucieka się w walce do spisków, podstępu i zdrady. Nie. On jest raczej z tych, co walczą z otwartą przyłbicą i umierają, stojąc. Dlatego to, co robił teraz, wydawało mu się dziwne i nielogiczne.

Zresztą nie głowił się nad rozwiązaniem tej zagadki zbyt długo. Motywy postępowania pułkownika niewiele go obchodziły.



Chodziło mu o coś zupełnie innego. Mianowicie: jak z całej tej sprawy największą korzyść dla siebie wyciągnąć. Łaska takiego pana jak Wieniawa, co to potrafił zawsze swoją fortunę na wierzchu utrzymać, mogła się bowiem przydać, gdyby interesy zaczęły iść źle. A nie łudził się, by obecna sytuacja mogła trwać długo. Szła wojna. Nikt nie wiedział, kto ją wygra.

Bolszewików nie znał i obawiał się ich. Cara powiesili. Jechał go sęk – ani go to obchodziło. Gorzej, że umiaru w niczym nie mieli. Człowiek nie powinien ani za dużo zreć, ani mordować. Oni widać tego nie rozumieli. Przelewali krew, nie pozwalając na spokojne bogacenie się. Inaczej niż elity zachodnie, którym wystarczył udział w zyskach. Pod tym względem wszystkie elity polityczne były do siebie podobne. Na ustach frazesy, a w sercu własne interesy.

Z bolszewikami było jednak inaczej. Tych sodomitów stworzył chyba diabeł. Bodajby im wszystkie ich maciory sparszywiały. Mogli się przecież zamienić z carem miejscami. Nie musieli niszczyć wszystkiego dookoła. Zniszczyli jeden ład, ale nie wprowadzili nowego. Dobrze by to było. Wiedział z doświadczenia, że wzburzone morze najlepsze towary na brzeg wyrzuca. On potrafiłby złapać w ręce, co mu się należało. Tego był pewien.

Uśmiechnął się kwaśno, bo nie był głupcem. Zdawał sobie sprawę, że nie ma już tyle sił co dawniej. Coraz trudniej przychodziła mu ochrona własnej dominującej pozycji. A młodzi napierali ze wszystkich stron. Żadnego szacunku dla starszych – stwierdził. Czas, czas najwyższy pomyśleć o spokojnym azylu, gdzie mógłby w spokoju spożywać owoce własnego życia. A wtedy niech cały świat spłynie krwią... Taka Szwajcaria, na przykład. Kraj wiecznie neutralny, który sfinansuje wszelkie wojny, by najwięcej na nich skorzystać. Tak, tam się przyczai.

– Wszędzie się dostać można, gdy człowiek bardzo chce się gdzieś dostać. A najbardziej chce, gdy własną korzyść w tym widzi.

Spojrzenie Wieniawy stwardniało. Idąc tu, wiedział, że herszt postawi swoje warunki, bo sama przysługa nie wystarczy. Ona stanowiła jedynie swego rodzaju glejt, który dawał mu prawo do uczestnictwa w tym spotkaniu. Był więc gotów do wysłuchania propozycji. Nie był tylko pewien, czy nie będzie ona z rodzaju tych, które są do przyjęcia, czy wręcz przeciwnie. Obawiał się tego.

– Czego chcesz? – spytał krótko.

– Szwajcarskiego paszportu. W Europie robi się znowu za ciasno dla spokojnych ludzi. Kiedyś słyszałem, że Europej wyobracał Zeus, ten, co przypalał Grekom dupę piorunami. Od tego czasu baba nie może opędzić się od chłopów. Każdy chce ją mieć tylko dla siebie. A w moim wieku człowiek zaczyna przywiązywać wagę do ciszy i spokoju.

Wieniawa nie wytrzymał i zachichotał, bo w herszcie warszawskiej ferajny, który głośno przyznawał się do tego, że pragnie jedynie ciszy i spokoju, było coś groteskowego. Lecz się opanował. Pamiętał bowiem, gdzie się znajduje i przed kim stoi. Śmierci nie obawiał się w najmniejszym stopniu, gdy miał przy sobie broń i do ostatniej chwili miał jeszcze szansę. Lecz gdyby rozpoczął zwadę tutaj, nie mógłby mieć najmniejszej nadziei, że zdoła wyjść z niej cało. Herszt miał przecież ze sobą dziesięciu ludzi, których łatwo mógł przeciw niemu użyć, gdyby poczuł się urażony.

Dlatego serce zabiło mu pewnym niepokojem, choć twarz pokazywał wesołą i opanowaną.

– Od kiedy to łakniesz spokoju? – spytał.

– Od czasu, jak sikam w ratach – odparował herszt z rozdrażnieniem. – Nie mam czasu dłużej gadać. Dlatego gadaj mi zaraz, czy możesz to załatwić, bo jak nie, to nici z układu.

– Zgoda.

Herszt wyciągnął rękę, ale Wieniawa udał, że tego nie dostrzega. Interes to jedno, a podawanie ręki to co innego. I tak

czuł się z tym, co tu zaszło, nie do końca dobrze.

Przez chwilę obaj mierzyli się wzrokiem. Powietrze między nimi dosłownie buzowało od wszechobecnego napięcia. Twarz herszta pobladła. Nie przywykł do tego, by ktokolwiek traktował go z takim lekceważeniem. Dlatego serce zawrzało mu z gniewu, a krew wzburzyła się w żyłach. Lecz nie uderzał. Pamiętał bowiem nadal, z kim ma do czynienia. Na Wieniawę strach było się porwać nawet człowiekowi z jego pozycją, bo miał on straszną reputację w całym kraju. I stanowczo nie należało wszczynać z nim kłótni, jeśli poważnego powodu ku temu nie było. A za taki nie uważał umknięcia ręki. Gdyby był arystokratą, to pewnie poprosiłby go o przysłanie sekundantów. Ale był złodziejem, jacy od wieków zapelniają więzienia, nie przykładali wagi do tego typu konwenansów. Szło mu głównie o własny zysk, który zapowiadał się na wcale niemały.

Dlatego zapanował nad sobą i rzekł głosem, w którym tylko bardzo wprawne ucho dostrzegłoby ślad gniewu, jaki targał nim jeszcze przed chwilą:

– Ja lubię jasne sytuacje. Robota ma być mokra czy lepka? Czego oczekujesz?

Zamiast odpowiedzi pułkownik sięgnął do kieszeni munduru i położył hersztowi na kolanach niewielkie pisemko pornograficzne, przeznaczone dla panów o szczególnych upodobaniach. Zobaczył, jak ten kartkuje je szybko, a na jego twarzy odbija się zdumienie pomieszane z obrzydzeniem.

Przez chwilę panowała cisza.

– Tfu! – splunął herszt ze złością i obrzydzeniem. – Słyszałem o wielu zboczeniach. Bywają tacy, co każą babom się do chędożenia ubierać. Innych rajcuje bicie. Nic to. Byle każdy płacił terminowo i towaru nie oszpecał. Ale to? Żeby z osłem? Niedługo chłop z chłopem spać będzie, a baba z babą. I to legalnie. Ja jestem tolerancyjny! Ale za chłopców zawsze więcej brałem. Przez takich

biznes gotów mi splajtować! – Przerażony snutą przez siebie wizją, chwycił się za czuprynę.

– To nie twoja rzecz – przerwał mu Wieniawa przedwcześnie żale. – W końcu chcesz się chyba wycofać, więc nie powinienesz niepokoić się o cudze zyski. A ja jeszcze mam ci sporo do powiedzenia. W tym piśmku masz bolszewickie ulotki propagandowe. Chodzi mi o to, żeby te ulotki znalazły się w pokoju Bernarda. Masz je tam umieścić tak, by znalazła je państwowa policja, ale nie Bernard. Ani jedna złota klamka ma w tej willi nie zginąć. – Tu spojrzął groźnie na herszta.

Ten jednak uśmiechnął się ledwie dostrzegalnie.

– Umowa to umowa. Dotrzymasz ty swojej części, to i ja swoją wypełnię. Mów tylko jasno, bo widzę, że tu się jakaś grubsza intryga zawiązuje.

Długoszowski wydobyl kolejny dokument. Tym razem był to spisany na maszynie rozkaz przewiezienia Tomasza z Lublina do Warszawy. Sam ślęczał nad nim długie godziny, szlifując go i wypełniając wyrażeniami używanymi tylko przez ministra. Znał je z jego oświadczeń, które często publikowano w krajowej prasie. A były tam również i takie rozkazy, nazwy i nazwisko. Brakło tylko pieczęci, bez której dokument nie miał mocy prawnej.

– Do tego dokumentu twoi ludzie przyłożą pieczęć ministra i włożą go do segregatora z korespondencją wychodzącą. Taki beżowy. Jest umieszczony w sejfie, za biurkiem. Szyfru nie znam. Ale chyba masz u siebie specjalistów, którzy potrafią otworzyć kasę pancerną, nie pozostawiając żadnych śladów.

– Znajdą się – skwitował. – Jeden z moich obraca pokojówkę ministra, więc wlezie, gdzie trzeba, i zrobi, co trzeba. Ale dziw, że człowiek z jego pozycją nie pisze odręcznie.

– Pisze, ale tylko korespondencję prywatną – wyjaśnił Wieniawa. – Jedynie jego przyjaciele są w stanie odczytać te

hieroglify, którymi zalewa kartki. Dla sekretarek byłaby to z pewnością udręka, która ujemnie wpłynęłaby na ich pracę.

Herszt skinął głową.

Bolesław podniósł się z trudem z ławki i powlókł się przed siebie, nawet nie zastanawiając się, dokąd idzie. Głowa ciążyła mu i buzowała od złych myśli. Czuł się z nimi źle. Oto burzył dom porządnego człowieka, działając do spółki z bandytą. Lubił ojca Bernarda, ale jego syn był kanalią, która z całą pewnością zasługiwała na karę. A Tomasz i Weronika – na szczęście. On, będąc politykiem, dopuszczał się już znacznie większych kombinacji, nie mając na widoku tak wzniosłego celu. Roześmiał się, kiedy wyobraził sobie minę Bernarda, gdy jego plan osiągnie finał.

## Rozdział IV

Dmowski chodził nerwowo po komnacie. Jego rozbiegane oczy błędziły po pokrytych złoceniami meblach. Mrużył je, chcąc zapanować nad targającym nim gniewem. Musiał tego dokonać, by móc spokojnie zastanowić się nad obecnym położeniem. Wiedział dobrze, że nie może podjąć żadnej decyzji, nim nad sobą nie zapanuje. Sprawa była bowiem zbyt poważna, by rozstrzygał ją w gniewie. Chodziło w końcu o Śląsk i czarne złoto.

Roześmiał się.

Spodziewał się, że lobbując za włączeniem Śląska do Polski, napotka na opór, ale liczył i na sojuszników. Tymczasem energia protestu zaskoczyła go. Polskich roszczeń nie poparła nawet Francja. Wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach słowa francuskiego premiera. Gdy je usłyszał, poczuł się tak, jakby otrzymał uderzenie w twarz. Nie pokazał niczego po sobie, by nie dać wrogom nawet grama satysfakcji, lecz w duszy poprzysiągł francuskiemu premierowi zemstę. Z tym że ta jego zemsta nie miała być krwawa. Nie sycił wyobraźni krwawymi widziadłami, w których francuski premier odgrywałby rolę głównej atrakcji wieczoru.

Wiedział, że człowiek ten jest prawdziwym politycznym wyjadaczem i czymś naprawdę bolesnym będzie dla niego tylko klęska polityczna. Dlatego tak bardzo pragnął pobić go właśnie na tym polu. I mimo że miał przeciwko sobie wszystkie światowe grube ryby, to nie miał zamiaru się poddawać. Za daleko bowiem zaszedł, by teraz ustąpić przed okolicznościami. Te nie układały się

zbyt pomyślnie, ale czuł się na siłach, by je przełamać. Zdawał sobie sprawę, że politykę robi się nie tylko w gabinetach, ale jeszcze częściej na ulicach. Stąd też postanowił walczyć dalej, używając nieco innych środków. Był jedynie wściekły, bo zmarnował trzy długie miesiące, pracując nad przekonaniem komisji polskiej, podczas gdy należało już wcześniej przyjąć inną taktykę.

Z początku jednak sytuacja zdawała się przybierać korzystny obrót. Przewodnictwo w Komisji do spraw polskich objął Jules Cambon. Człowiek ten był przed wojną francuskim ambasadorem w Berlinie, świetnie więc znał zarówno samych Niemców, jak i cele ich polityki. Skutkiem tego przychyłał się do większości wniosków, które przedkładali mu Polacy, ignorując uwagi niemieckie. Wówczas można było sądzić, że dobijają do portu. I wtedy Roman był szczęśliwy. Wydawało mu się bowiem, że nikt nie dokonał tyle dla Polski w tak krótkim okresie. Teraz musiał zweryfikować swoje wygórowane ambicje.

Wszystko to przez sprzeciw jednego człowieka. Rozumiał, kto jest kim w tym świecie. Posiadał w europejskich uwarunkowaniach politycznych lepszą orientację niż jakikolwiek inny polski polityk. Dlatego wiedział, kto i dlaczego rzuca mu kłody pod nogi. Po Wielkiej Brytanii i Stanach Zjednoczonych nie spodziewał się nigdy niczego dobrego, ale nagła wolta Francji go zaskoczyła. Teraz mieli przeciwko sobie całą Radę Dziesięciu, bo Włoch i Japonii nie należało liczyć. Rząd Japonii nigdy nie interesował się kontynentem europejskim, słusznie uważając, że kraje na nim położone są zbyt odległe, by mogły być wrogami cesarza lub jego znaczącymi przyjaciółmi. Włochy z kolei były kopciuszkiem w jednym bucie, który dostał się na cudzy bal kuchennymi drzwiami. I nikt nie miał zamiaru się z nimi liczyć. Zresztą sami Włosi doskonale zdawali sobie sprawę z własnego

miernego znaczenia i chodziło im tylko o to, by ich polityczny prestiż nie poniósł uszczerbku.

Dmowski ponownie się uśmiechnął.

Był zaskoczony, ale szok zdawał się powoli mijać – trzeba wracać na posiedzenie. Nie wolno porzucić rozpoczętego dzieła tylko dlatego, że piętrzące się zewsząd trudności zdają się już sięgać ponad głowę. To pomyślawszy, przetarł powieki, poprawił srebrne spinki od mankietów i udał się z powrotem na posiedzenie Rady Dziesięciu.

W sali natychmiast udał się ku Paderewskiemu, który patrzył na niego niespokojnie. Bez słowa zasiadł obok niego za olbrzymim stołem i ścisnął go mocno za rękę. Ich złączone pod blatem dłonie były symbolem przymierza. W ten sposób dawał mu znać, że wszystko jest z nim w porządku i znowu jest gotów do walki.

Obojętnie patrzył w oczy francuskiego premiera, choć w duszy wrzał z gniewu i irytacji. Lecz już panował nad sobą i nikt nie zdołał wyczytać z jego twarzy prawdziwych miotających nim uczuć. Wytrawny, zimny polityczny gracz wziął górę nad impulsywnym charakterem.

– Pan Paderewski odmówił dalszej dyskusji nad projektem przedłożonym nam przez komisję terytorialną, jeśli pan nie wróci na obrady – zaczął Woodrow Wilson. – Dlatego cieszę się, widząc pana z powrotem między nami. Jak już panowie wiedzą, pozwoliliśmy sobie zmienić wnioski komisji w kilku mniej kluczowych punktach, uwzględniając prawa i opinie strony niemieckiej.

Na twarzy Dmowskiego pojawił się fałszywy uśmiech.

– Przepraszam za nieco przedłużoną nieobecność, zaszkodziła mi herbata.

Kilku dyplomatom wąsy zadrgały niebezpiecznie, lecz błyskawicznie się opanowali. Zaś brytyjski premier zdawał się



niczego nie zauważać. Głos zabrał teraz francuski premier Georges Clemenceau.

– Rada zmienia punkty raportu wstępnego w sposób następujący: Gdańsk zostanie wolnym miastem pod protektoratem Ligii Narodów. Przy czym Polska będzie jego reprezentantem na arenie międzynarodowej, a jej prawa handlowe będą w pełni respektowane. Będzie ona miała również swój komisariat i ludzi w radzie portu. Sprawy wewnętrzne będą rozstrzygać sami gdańszczanie, poprzez senat miasta. Na Górnym Śląsku, Warmii i Mazurach odbędą się zaś plebiscyty, które w sposób jednoznaczny rozstrzygną o przynależności tych terenów. Prusy pozostaną przy Niemczech, bez żadnych warunków i zastrzeżeń. Polska otrzyma jednak wąski pas ziemi na Pomorzu, by miała dostęp do morza. Dzięki czemu zadość stanie się słowom wygłoszonym w kongresie przez obecnego tu prezydenta Wilsona. – Clemenceau skłonił się lekko amerykańskiemu prezydentowi.

W sali zapanowała przytłaczająca cisza. Niemal wszystkie oczy zawisły na przedstawicielach polskiej delegacji. Twarze stężały, jakby spodziewali się wybuchu. Paderewski milczał. Czekał, co zrobi Dmowski.

Ten zaś błyskawicznie i ze spokojem analizował sytuację. Wiedział, że to starcie przegra. Ale jego przeciwnicy nie spodziewali się, że wkrótce przeniesie walkę na inne pola. Teraz chrząknął i rzekł:

– Nie przeczę, że znaczna część ludności Górnego Śląska może w plebiscycie głosować za Niemcami. Powiem więcej: gdyby zarządzono taki plebiscyt lat temu kilkadziesiąt, na pewno prawie cała ludność głosowałaby za Niemcami, bo wówczas polska świadomość narodowa wśród tej ludności dopiero zaczynała kiełkować. Ale przez ostatnich kilkadziesiąt lat, pod wpływem postępu oświaty, idzie samorzutny, szybki rozwój tej świadomości.

Znajduje się on dziś w połowie biegu. Nawet jeżeli w dzisiejszym jego stadium połowa ludności odda jeszcze głos za Niemcami i na skutek tego połowa polskiego Śląska znajdzie się w granicach państwa niemieckiego, to ten postępek w świadomości narodowej przecież się nie zatrzyma, tylko pójdzie dalej. I jutro w tej należącej do Niemców ziemi synowie będą przeklinali ojców za to, że głosowali za Niemcami, i ruch polski w tej ziemi stanie się źródłem niepokoju, mogącego w przyszłości stać się zarzewiem nowych starć między narodami.

Odetchnął i zwrócił się teraz bezpośrednio do Wilsona, który siedział nieporuszony.

– Pan, panie prezydencie, chce zapewnić światu trwały pokój; chcąc ten cel osiągnąć, trzeba rozwiązywać nie tylko kwestie, które dziś są zarzewiami wojny, ale i te, które mogą się nimi stać w bardzo bliskiej przyszłości. Ma pan dziś niepowtarzalną okazję, by stać się mężem opatrnościowym Europy, który zapewni jej pokój na długie stulecia. Ale biada nam wszystkim, jeśli popełnimy błąd. Zmuszacie nas do przyjęcia warunków, które są dla naszego narodu haniebne. Jak wyobrażacie sobie, panowie, taką organizację Gdańska, o której tu słyszę? Ten traktat nie może zawierać w sobie takiego punktu zapalnego. Ale jeżeli w nim pozostanie, to już niedługo wszyscy będziemy potrzebowali usług ludzi pokroju marszałka Focha i oby nam ich wówczas nie zabrakło...

Na chwilę w sali zapanowała przytłaczająca cisza. Zupełnie jakby ci wszyscy ludzie mieli w tym momencie przebłysk jasnowidzenia, który pozwolił im ujrzeć przyszłość. Kilku mniej obytych dyplomatów zadrżało, choć na dworze wiosna kwitła już w całej pełni. Ale brytyjski premier nie pozwolił, by podniosły nastrój utrzymał się zbyt długo. Czuł bowiem, że nie przynosi on sprawie brytyjskiej najmniejszej korzyści.

On sam zaś był do szpiku kości przesiąknięty pragmatyzmem. Jego jedynym celem była pomyślność imperium brytyjskiego, która teraz zdawała się być zagrożona przez szybko rosnące wpływy francuskie. Polska zaś była sojusznikiem Francji i jasnym było, że w każdej spornej kwestii ta powinna stanąć po jej stronie. Dlatego nie wahał się osłabiać jej pozycji wszelkimi środkami, jakie miał do swojej dyspozycji. Czynił to z lekkim sercem, bo nie sądził, by bolszewicy mogli w tak krótkim czasie realnie zagrozić Europie. Uważał ich za hordy pijanych rzeźmieszków, niezdolnych do podejmowania przedsięwzięć, które wymagały większej organizacji.

Skrzyżował spojrzenia z Dmowskim. To w nim czuł główne źródło oporu przeciw sobie. I urągało to jego dumie własnej. On był w końcu premierem imperium, nad którym nigdy nie zachodziło słońce... a kim był ten polski polityk? Czym była sama ta ich Polska, jeśli nie widmem, które wyszło z grobu, by odbierać spadek po sobie? Wszystko to były zapomniane rzeczy. Dla niego na wschodzie liczyła się tylko Rosja. Na pigmejskie państewka nie było tam dość miejsca. A ten Polak zdawał się tego nie rozumieć. Co więcej, czuł się on na europejskich salonach nie jak nuworysz, lecz jak dyplomata potężnego państwa, którego ambicje nie znały granic. Wielokrotnie dał dowody dużej orientacji w europejskiej scenie politycznej, zyskując poklask i uznanie dyptomatów. Z oślim uporem dążył do całkowitego usankcjonowania rozpadu monarchii habsburskiej... Grał ryzykownie, lecz nie zuchwale, jak człowiek, który umie policzyć się z siłami – tak właśnie jak i on sam.

Podobnie jak on nie był też małostkowy. Umiał patrzeć nie w perspektywie miesięcy, lat, tylko stuleci. Wiedział, że tu tworzy się historia.

– Czyli mam rozumieć, że polski rząd nie będzie robił przeszkód i zatwierdzi postanowienia traktatu, gdy tylko zostanie on

podpisany?

– Jesteśmy małym krajem, który dopiero co powraca na mapę Europy – zaczął ugodowo Paderewski. – Dlatego jest dla nas sprawą priorytetową, by w Europie jak najprędzej został zaprowadzony ład. W każdym razie jeżeli traktat wywoła sprzeciw, to nie ze strony rządu.

Twarze wszystkich wodzów pokryły się zdumieniem. Słowa Paderewskiego zaniepokoiły ich. Wprawdzie Polska była zbyt małym krajem, o zbyt małym znaczeniu, by mogła samodzielnie blokować traktat pokojowy. Zły przykład mógłby jednak rozszerzyć się jak zaraza. Nie brakowało, zwłaszcza na terenach należących niegdyś do Franciszka Józefa, nowych krajów, które były niezadowolone z projektu własnych granic. Wprawdzie i nad ich sprzeciwem można było przejść do porządku dziennego, lecz ta perspektywa nie uśmiechała się nikomu. Wszyscy bowiem pragnęli, by traktat został uchwalony za przynajmniej pozorną zgodą wszystkich zainteresowanych. Chodziło zaś o to, by odjąć mu wszelkie walory dyktatu.

– Jak mamy to rozumieć? – spytał Wilson. – Czy Polska nie przyjmie ofiarowywanej jej przez nas niepodległości, tylko stanie w poprzek budowy zasad pokojowego współżycia na świecie? Cała Europa wyrzeknie się was jako notorycznych burzycieli i wichrzycieli. Oczekujemy od was jasnej i wiążącej deklaracji.

Dmowski uniósł się na te słowa. Twarz przystroił w powagę, przegładził wąs i spojrzął za plecy siedzących.

– Nie wymagam od tak znamienitych person, by znały ścieżkę legislacyjną kraju tak małego jak mój. Jednak pragnę z całą mocą oświadczyć, że żadne naciski ani żadna inna forma przemocy nie zmuszą nas do łamania naszego prawa. Bo my, Polacy, jesteśmy narodem, który umiłował wolność jednostki więcej niż życie własne. Ale wolność ta musi być spętana dobrowolnymi więzami, które mają na imię: prawo. Inaczej bowiem wolność może

przekształcić się w samowolę, ta zaś wiedzie wprost do zguby. My wiemy o tym aż za dobrze. Wiemy, jaką cenę trzeba zapłacić, by odzyskać wolność. Bo tej nikt nie ofiarowuje. Nikt bowiem nie ma w swym sercu litości dla tych, którzy nie potrafili zwyciężyć. My nie potrafiliśmy dokonać tej sztuki, choć co jakiś czas zrywaliśmy się do walki, przy zupełnej niemal obojętności mocarstw tego świata. I teraz nie z ich rąk otrzymujemy niepodległość, lecz za przyczyną ślepego trafu, który sprawił, że potęga naszych ciemniejszych legła w gruzach. Oświadczam więc publicznie, że nie mamy wobec was żadnych zobowiązań. Przyjmiemy jednak traktat, jeśli wcześniej ratyfikuje go polski sejm.

Poczuł niemal namacalną ulgę, jaka pojawiła się w powietrzu po jego słowach. Lecz on wciąż miał przed swoimi oczami tylko własny cel. Poświęcił mu swoje życie i miłość. I przysiągł sobie, że nikt i nic nie powstrzyma go przed jego zrealizowaniem. A już na pewno nie kilku politycznych rekinów, którym się wydaje, że są największymi rybami w akwarium i dlatego mogą lekceważyć małe rybki.

– Więc chodzi tylko o zwykłą prawnoadministracyjną formalność?

– Nie wiem, czy będzie to tylko formalność – stwierdził Dmowski, siadając. – O tym rozstrzygnie wola posłów, wyrażona w jawnym głosowaniu. Ja jednak znam swoich rodaków. – Znacząco zawiesił głos. – I wiem, jak sprawić, by łatwiej przełknęli niektóre mniej korzystne dla nas punkty traktatu. Chodzi mianowicie o to, by traktat o mniejszościach procedowany był jako oddzielny dokument.

Brytyjski premier aż poderwał się z miejsca. Od początku był pewien, że Polacy zrobią wszystko, by skutecznie uderzyć w traktat o mniejszościach narodowych, który w znacznej części był jego pomysłem. Pod szlachetnymi ideałami kryła się zimna polityczna kalkulacja, która nakazała mu wzmocnić za wszelką

cenę pozycję niemieckiej i ukraińskiej mniejszości. Zdawał sobie bowiem sprawę, że to, co zawarł w traktacie, pomoże im walczyć z polskim rządem. Liczył, że ich wzrastające aspiracje narodowościowe sprawią polskiemu rządowi mnóstwo kłopotów. To zaś było korzystne dla Wielkiej Brytanii. Bo im więcej kłopotów będą mieli Polacy, tym rzadziej będą mogli angażować się w międzynarodową politykę po stronie Paryża. Ten traktat był pętlą, na której trzymał wschodniego sojusznika Francji. I nie mógł dopuścić do tego, by ten ją zdjął.

– Wasza wola: albo musicie wszystko przyjąć, albo odrzucić. Niech się wam nie wydaje, że od końca osiemnastego wieku nic się nie zmieniło. Polska dąży do sprawowania kontroli nad terenami, które zarówno pod względem etnicznym, jak i prawnym nigdy polskie nie były. Rada nie chce i nie może przyjąć tego faktu do wiadomości. Chcąc jednak w pełni uszanować zasadę samostanowienia narodów, pragnie oddać głos w ich ręce. Niech ludność obszarów spornych, których tożsamość narodowa budzi żywy polsko-niemiecki spór, sama podejmie decyzję tyczącą się jej przyszłości.

Brytyjczyk zmrużył oczy jak tygrys czający się do skoku.

– Zaś traktat o mniejszościach – kontynuował – który rodzi tak daleko idący opór naszych polskich przyjaciół, nie jest niczym więcej, jak tylko gwarantem stabilności tamtego regionu. Gwarantem, który ma dać niemieckiej ludności pewność spokojnego i pokojowego współżycia między ludnością polską a Niemcami. To zaś w niedługim czasie powinno doprowadzić do całkowitego zatarcia się głębokich różnic występujących między tymi narodami.

Śmiała teza jak na przywódcę imperium kolonialnego – pomyślał Dmowski i spojrział na Paderewskiego, dając mu tym spojrzeniem znać, by był gotów do udzielenia repliki. Sam zaś

blądził wzrokiem po sklepieniu pomieszczenia, jakby tam szukał dla siebie natchnienia.

– Chciałbym zapewnić przedstawicieli wszystkich mocarstw sprzymierzonych – odezwał się Ignacy Jan – że zarówno ja sam, jak i mój kraj dołożymy wszelkich starań, by zapewnić ludności niemieckiej wszystko to, o czym była tu mowa. Zresztą dla tych, którzy znają historię mojej ojczyzny, jest to zapewne sprawą oczywistą. Bowiem rozglądając się po świecie, próżno szukam miejsca, gdzie by obok siebie żyli przedstawiciele tyłu kultur i religii. I co więcej, na kartach naszej historii nawet najbardziej nieprzychylny nam badacz nie odnajdzie ani krwawych wesel, ani stosów. Chodzi nam tylko o to, by do podobnego traktatu zobowiązano również stronę niemiecką, gdyż ich kraj wydaje się w tej chwili znacznie bardziej niestabilny niż mój.

– Polska może rozwiązać ten problem na drodze umowy bilateralnej z rządem republiki – zauważył Wilson. – Państwa sprzymierzone mogą jedynie zobowiązać się do zapewnienia obu zainteresowanym wynikiem plebiscytu stronom równych warunków do prowadzenia swej działalności, tak aby legalność głosowania nie mogła budzić niczyich wątpliwości.

Dmowski uśmiechnął się na te słowa i przestał obserwować sufit, skupiając swój wzrok z powrotem na obecnych przy stole obrad. Był gotów do walki.

– Jeśli taka jest wola narodów sprzymierzonych, to z góry o jej wyegzekwowanie poprosimy. Wszyscy zainteresowani sprawą ziem polskich wiedzą, jakich gwałtów i zbrodni dopuszcza się strona niemiecka na obszarach spornych. Na jej żołdzie są całe bandy oprychów i mend, które szumnie nazywają siebie strażą wschodnią. Siły te dopuszczają się zbrodni na polskich aktywistach i działaczach społecznych. Krzywdy te po chrześcijańsku cierpielśmy, póki mogliśmy. Teraz jednak, korzystając z łaskawej uwagi tu zebranych, wnosimy o powołanie międzynarodowej

komisji, która miałaby zająć się zbadaniem tych działań oraz doprowadzeniem do rozpuszczenia przez stronę niemiecką tych watah. Bo tylko wtedy będzie można mówić o legalnej, niczym nieskrępowanej kampanii wyborczej na obszarze plebiscytowym.

Dmowski dostrzegł szybką wymianę spojrzeń między brytyjskim premierem a amerykańskim prezydentem. I poczuł się pewniej. Wydało mu się bowiem, że zdołał skutecznie zamyslić im obraz. Pragnął, by wszyscy na tej sali myśleli, że pogodzili się już z losem, a ich jedynym celem jest w tej chwili zapewnienie sobie jak najkorzystniejszych warunków, na jakich miałyby zostać przeprowadzony przyszły plebiscyt.

On jednak miał w tym względzie zgoła odmienne plany. W pełni bowiem rozumiał, że wybory to pojedynek portfeli. A Niemcy mieli zdecydowanie większe zasoby, skutkiem czego mogli prowadzić znacznie efektywniejszą kampanię. W dodatku można było mieć pewność, że będą wszechstronnie wspomagani przez licznych na tamtym terenie kapitalistów niemieckich, którzy mają władzę i płacę – dzięki czemu mogą kontrolować nastroje społeczne. To była siła, której oni nie mogli przeciwstawić absolutnie niczego.

Kraj bowiem skutecznie pozbawiony był kapitału, który wessała wojna. A i te szczupłe zasoby, które przez niemiecką i rosyjską nieuwagę pozostały w skarbcu, trzeba było inwestować w wojsko. Wszystko to dlatego, że Piłsudskiemu i jemu podobnym zachciało się wcielić w życie kresową idyllę. A skutki tego odczuwały dziś Górny Śląsk, Wielkopolska i Pomorze. Wielkopolanie w ogromnej części sobie tylko zawdzięczali, że byli dziś częścią niepodległego państwa polskiego. No i jeszcze polskiemu wywiadowi, który w porę zdołał wykryć prawdę o Wiosennym Słońcu.

Kiedy myślał o tym, ile mógłby dokonać, gdyby otrzymał znacznie większe wsparcie Warszawy, to szlag go trafiał. Pomorze,



Warmia, Gdańsk – to wszystko było dziś w zasięgu ręki. Trzeba tylko było się po to schylić. Nie myśleć o Wilnie, które nie leżało już na etnicznie polskim terenie. W jednym bowiem był skłonny przyznać Anglikom rację: nie można zamykać oczu na zmiany, jakie zaszły na tamtych terenach przez ponad wiek, jaki upłynął od upadku Polski. W tym czasie do świadomego życia budziły się narody, których istnienia wtedy nikt nawet nie podejrzewał, a których dziś nie dało się już wtłoczyć w polski organizm państwowy.

Były to prawdy jasne i proste. Dlaczego piłsudczycy nie chcieli przyjąć ich do wiadomości? To pytanie często sobie stawiał. Zawsze szczyił się bowiem tym, że nie potępiał przeciwników w czambuł. Nie zakładał z góry, że ktoś jest hochsztaplerem, oszustem i złodziejem. Przeciwnie, raczej starał się zakładać, że każdemu z jego przeciwników politycznych przyświecają dobre intencje. I zawsze starał się zrozumieć motywy ich postępowania, co pomagało mu lepiej z nimi walczyć.

Obrady toczyły się dalej w rytm nieustających sporów o szczegółowe warunki, na jakich miał zostać przeprowadzony plebiscyt. Polscy naukowcy, obecni w składzie delegacji, wysuwali coraz to nowe zastrzeżenia, posiłkując się paragrafami, liczbami i kruczkami prawnymi. Spór był gorący i płomienny, choć wszyscy najzupełniej zdawali sobie sprawę, że rozwiązanie kwestii formalnoprawnych przeciągnie się o całe miesiące. Wreszcie jednak obrady się zakończyły. I zarówno Paderewski, jak i Dmowski znaleźli się w samochodzie, który wioził ich do siedziby polskiej delegacji.

– Jak oni mogli?! – pytał Paderewski, wierząc się niespokojnie na tylnej kanapie. – Narzucać nam coś takiego?! Przecież oni znakomicie się orientują, że my z Niemcami konkurencji nie wygramy. Sami łupią ich, ile wlezie, narzucając reparacje, których

zapewne nie spłaci jeszcze prawnuk Hindenburga, a nam żalują starego piastowskiego kąta.

– Po prostu mogli. Ziemia ta może i jest stara, ale na swoje nieszczęście wyjątkowo zasobna. A Niemcy muszą przecież mieć z czego zapłacić im to odszkodowanie.

Spojrzał na twarz Paderewskiego, na którą dopiero w tej chwili występowały rumieńce gniewu i oburzenia. Najwidoczniej uprzednio całą siłą woli narzucał sobie opanowanie, by nie wybuchnąć gniewem. I dopiero teraz, gdy był już poza stołem obrad, dawał folę prawdziwym uczuciom.

– To niech płacą, byle nie z naszego. Czy ty sobie wyobrazasz, jaki rejwach podniesie się na obradach w sejmie, gdy my z tym wrócimy do kraju? Toż oni prędzej prohibicję ratyfikują niż ten traktat o mniejszościach. I po sprawiedliwości trudno będzie im się nawet dziwić. Nikomu nie będzie łatwo stać się obywatelem niemieckim. Nasza mniejszość w ich państwie nie będzie miała żadnej ochrony prawnej. Sam to rozumiesz, skoro ze wszystkich sił dążysz do obalenia zapisów tego dokumentu.

– Myśl tak, byle to samo myśleli wszyscy inni... nie będę go już zwalczał metodami politycznymi.

Paderewski spojrzał na Dmowskiego badawczym wzrokiem. Znał tego człowieka krótko, ale poznał go już do gruntu, był więc niemal pewien, że on nie cofnie się z raz obranej drogi. Teraz był pobity i przygnieciony ciężarem klęski swoich planów i zamierzeń. Lecz Ignacy domyślał się, że zaraz zrzuci z siebie ciężar i się podniesie. Na pewno bowiem miał coś w zanadru. Paderewski nie wiedział co, lecz że coś ma – tego jednego był pewien.

Dmowski dobrze odczytał pytające spojrzenie i zaczął:

– Pobili nas, prawda. Ale nie mogło być inaczej. Nie mamy tu sojuszników, bo nawet Francuzi, na których najwięcej liczyliśmy, za swoją korzyścią tylko patrzą. Anglicy swoje kolonie mają na

uwadze. A inni? Z Czechami warto by dwustronne stosunki unormować.

– Mamy oddać im Spisz i Orawę?! – wybuchnął Paderewski.

– Tak, bo z jednej krwi się wywodzimy i łatwo sojusznikami moglibyśmy zostać, gdyby nie ta kość niezgody, która tkwi między nami. Tanio mąż za żelazne kółko żonę kupuje i przez całe życie korzyść ma. Tak i my za te ochłapy tanio sojusznika dostaniemy. A co do moich planów? Traktatu mniejszościowego obalić nie zdołamy, ale gdzie indziej w traktat uderzymy.

– Sam przed chwilą powiedziałeś, że nie mamy tu sojuszników, więc nie myślisz chyba o zmianie postanowień traktatu w kwestii Górnego Śląska?

Skinął głową z uśmiechem, a Paderewski aż usta otworzył.

– Jak? – wykrztusił wreszcie.

– Premier brytyjski jest wielkim politykiem. Tak, wielkim. Ale ma jedną słabość: pychę. Uważa nas za ludzi małych. Co dla niego jakiś tam pianista i ja, gdy on ma cały sztab ludzi na swoje skinienie? I to go zgubi. Ty robiłeś politykę na fortepianie, ale na nim samym Polski nie skomponujemy. Wiesz lepiej niż ja, że kto chce, by mu symfonia wyszła, ten musi w różne klawisze uderzać. Zaczniemy więc od wielotysięcznych demonstracji w całym kraju. Niech robią szum. Uruchomi się też całą prasę ogólnokrajową, zbiórki pieniężne dla Ślązaków w nieszczęściu.

– I? – Na twarzy Ignacego pojawiło się skupienie. W napięciu wpatrywał się w usta Dmowskiego. Zaczynał się już bowiem domyślać, do czego ten zmierza. Ogarniał go mimowolny strach, ale i pewien rodzaj podniecenia, jakie odczuwa zawodowy pokerzysta, gdy partia z wielką pulą zbliża się do rozstrzygnięcia. Czuł, jak powietrze wokół nich zaczyna robić się ciężkie, jakby mała przestrzeń samochodu nie była w stanie pomieścić buzujących emocji. – I? – powtórzył, nie mogąc doczekać się odpowiedzi.

– Oni sądzą, że już wygrali, bo uzgodnili wspólne stanowisko, które my musimy tylko przyjąć. Plebiscyt faworyzuje Niemców. I oni dobrze o tym wiedzą. Dziś uniosłem się, gdy francuski premier powiedział, że ofiarować nam Śląsk, to jak dać małpie zegarek. Popelnilem błąd, ale tego nie daruję. I bez przypominania pamiętam, za co nas tu mają. Mali jesteśmy, prawda. Ale nie o góry człowiek się przewraca, tylko o kamienie. Niemcy spisywali z Leninem traktat w Brześciu, w którym przygnetli go do ziemi, a dziś nic im z tego nie zostało. Co więcej, Lenin zdaje się wyrastać do niebezpiecznej rangi.

– Ale Niemcy zatrzęsły się w posiadach, bo w nich rewolucja wybuchła – zauważył z przekąsem Paderewski. – Był to szczęśliwy traf, który zdarza się raz na tysiące lat. I coś mi się wydaje, że w naszym przypadku nie mamy prawa oczekiwać powtórki. Francja to dziś największa potęga na kontynencie. I czy chcemy, czy nie, to ona rozdaje karty, którymi my musimy grać.

– W pewnym sensie masz rację. Ale nie do końca. Na wojnie nie ma bowiem zwycięzców, są tylko tacy, którzy stracili mniej niż inni. Francuzi nie chcą jeszcze tego pojąć. Spójrz, jak cackają się z Niemcami. A czemu tak postępują, jeśli nie z obawy, by w przyszłości nie musieć znowu z nimi walczyć? My musimy po prostu im udowodnić, że jeśli pozwolą Niemcom zagarnąć cały Górny Śląsk, to działaniem tym doprowadzą do konfliktu zbrojnego.

Przestał mówić, dając Paderewskiemu czas na podjęcie decyzji.

Musiał być pewien, że ten opowie się po jego stronie, bo inaczej sprawa byłaby z góry przegrana. Obserwował go uważnie, jakby chciał odczytać z jego twarzy decyzję, którą podjął. Był pewien, że jest mu ciężko. Drogi ludzi jego pokroju zawsze były jasne i proste. On sam, Roman, był politykiem, alias oszustem i kłamcą. Musiał poruszać się mętnymi drogami, by dojść do celu, który przed sobą postawił. I nigdy nie krępował się w swoich działaniach

sumieniem czy nakazami wiary. Z Paderewskim rzecz miała się inaczej. On był uczciwym człowiekiem. Nie potrafił przyswoić sobie brutalnych reguł rządzących światem polityki, które Dmowski bezskutecznie usiłował mu wpoić. Niemniej pragnął, by go zrozumiał, by poparł jego dążenia.

– Powiedz mi jasno, do czego dążysz i czego chcesz – zażądał Paderewski.

– Do powstania.

Paderewski zadrżał, a zimny pot oblał mu skórę. Spodziewał się takiej odpowiedzi, ale nie mógł zrozumieć, dlaczego wyszła ona z ust akurat tego człowieka, który słynął w całym kraju z wrogiego stosunku do wszelkich czynów szalonych. A czyż można wyobrazić sobie bardziej szalony czyn niż podjęcie walki o Górny Śląsk? Walki orężnej? Z oddziałami wystawionymi przez niemiecki rząd i fabrykantów? A kto stanie przeciwko nim? Garstka zapalczywych młodzików, pracowników hut niemieckich?

Chwycił się za głowę.

– Wiesz, że taką walkę przegramy. Nie żał ci krwi, która zostanie przelana? I gdyby jeszcze istniała najmniejsza szansa na zwycięstwo! Ale takiej szansy nie ma. Cóż przeciwstawimy niemieckiej potędze? Nie oczekuj ode mnie, bym poparł ten szalony zamiar. Sam zapomniałeś o zasadach własnej polityki. Kto, jak nie ty, potępiał wszelkie narodowe zrywy jako przejaw szaleństwa, który nigdy do niczego dobrego nie doprowadził, a tylko szkody przynosił narodowej sprawie?

– Powstanie wybuchnie i tak. Napięcia polsko-niemieckie są już tak silne, że nic nie wstrzyma wybuchu. Jestem i byłem wrogiem powstań, które były tylko marnotrawstwem kapitału ludzkiego. Ale tu rzecz ma się inaczej. Wolno krew przelewać, byle nie darmo. My musimy Niemcom pokazać, że ich plebiscyt nie załatwia sprawy. Może całego Śląska nie uda się na początek wytargować, ale chociaż dobry kawałek i część przemysłu.

– I dla osiągnięcia tego celu deeskalujesz napięcie. Bo czyż nie ku temu zmierzasz, ściągając na tamte tereny komisję, której celem będzie zbadanie i udokumentowanie niemieckich zbrodni? Oczywiście, nacisk na rozwiązanie straży wschodniej jest słuszny, i w tym mogę ci pomagać ze wszystkich moich sił, natomiast snuta przez ciebie wizja powstania przeraża mnie do szpiku kości. Bo Niemcy nie dopuszczają, by członkom ich straży wschodniej choć włos spadł z głowy. Nawet jeśli nasze działania odniosą jakiś pozytywny skutek, to nikogo nie zdołamy postawić przed wymiarem sprawiedliwości. Niemieccy fabrykanci pozatrudniają tych ludzi po swoich zakładach, a nasi rodacy będą musieli z nimi pracować.

Dmowski uśmiechnął się, słysząc tę emocjonalną tyradę. Nabrałeś się – pomyślał – lecz oby nabrali się również inni. Nie wątpił bowiem, że brytyjski premier będzie znacznie trudniejszym przeciwnikiem, a jeśli chciał w ogóle myśleć o przeprowadzeniu swojego zamysłu, musiał i jego wyprowadzić w pole. Cenił tego przeciwnika i szanował, ale podchodził do niego bez respektu. I tamten był przecież tylko człowiekiem i jak wszyscy przedstawiciele tego gatunku popełniał błędy.

– Ja idę tyłem do przodu – odparł, uśmiechając się złośliwie i mrużąc oczy. – Oby Niemcy podzielali twój punkt widzenia i zatrudnili członków straży wschodniej w swoich zakładach. Jak myślisz, czy nasi rodacy będą spokojnie patrzyli na chodzących pomiędzy nimi morderców?

W oczach Paderewskiego pojawił się błysk zrozumienia. Nie zgadzał się z postępowaniem swego rozmówcy, dla którego cel uświęcał środki, ale nie potrafił patrzeć na niego bez szacunku. Wyczuwał w nim sojusznika, którego umysł zdawał się z dziecinną łatwością przenikać wszelkie polityczne intrygi. Potrzebny mu był taki człowiek, bo sam nie posiadał przymiotów, które tu były niezbędne, by cokolwiek osiągnąć.

– Ty chcesz, żeby oni usunęli w cień straż wschodnią – powiedział drżącym głosem. – Przewidziałeś to. Wiesz, że to doprowadzi do powstania. A pozorne działania zmniejszające napięcie mają stanowić alibi dla naszego rządu, gdyby ktokolwiek chciał nas oskarżać o wspieranie lub wywołanie powstania. Ale ja ci w tym nie pomogę.

Dmowski westchnął. Była to odpowiedź, jakiej powinien spodziewać się po człowieku uczciwym, lecz nie po polityku. Ludzie nie powinni widzieć, jak się robi kiełbasę i politykę – pomyślał.

– Wskaż inne remedium, to nie będę przy swoim pomyśle obstawał. Czy ty myślisz, że mnie miło żyć z perspektywą przelania krwi ludzkiej, która zakończyć się musi klęską? Ale my plebiscytu nie wygramy, bo mocarstwa nie po to go robią, byśmy go wygrali. A najlepszy dowód w tym, że chcą zapewnić prawo głosu ludziom, którzy urodzili się na Śląsku, lecz tam nie mieszkają. Wiesz, kogo to faworyzuje?

Skinął głową, ale milczał, pozwalając mówić Dmowskiemu.

– Wiesz, że nie możemy wyrzec się Śląska, a tak się stanie, jeśli będziemy grali wedle reguł narzuconych nam przez mocarstwa wersalskie. Jeśli nie mamy przegrać wszystkiego, o co z dobrym skutkiem aż dotąd walczyliśmy, musimy przejąć inicjatywę. Skoro chciałeś mieć czyste ręce, to trzeba było pozostać przy pianinie, a nie wchodzić do polityki, gdzie czasem po prostu trzeba ubrudzić sobie ręce. Mogę na ciebie liczyć?

Zapanowała cisza.

Paderewski zamyślił się głęboko. Czuł, że w słowach, które dotyczyły Śląska, Dmowski ma słuszość. Polska nie mogła się wyrzec tych terenów, jeśli chce mieć szanse na utrzymanie się na powierzchni. By móc się płynnie rozwijać, potrzebowała hut, stalowni, kopalń. A wiedział, że nikt im ich nie da. Niemcy plebiscyt wygrają. Wprawdzie on i Dmowski mogliby spróbować

zablokować wprowadzenie rozwiązania plebiscytowego do traktatu, ale sam nie wierzył w tak szczęśliwy spłot okoliczności, który pozwoliłby im tego dokonać. Nie przy jednolitej opinii Anglii i Francji.

Czynniki polityczne wskazywały, że zamiysł Dmowskiego jest słuszny. Ale Ignacy Jan w życiu kierował się nie tylko polityką. Także sumieniem. Wiedział, że bierze na swoje barki los tysięcy ludzi. Bał się ciężaru ich łez. Nie potrafił, tak jak Dmowski, skalkulować wszystkiego na zimno. Wciąż miał serce i sumienie, które protestowały przeciwko temu zamiarowi.

Spojrzał w twarz Dmowskiego i dostrzegł na niej widoczne napięcie. Widać oczekiwał na jego decyzję.

– Przysięgnij mi, że sam nie przyłożysz ręki do wybuchu powstania. Jeśli wybuchnie samorzutnie, twoje proroctwo się sprawdzi, lecz wówczas ani kropla przelanej tam krwi nie obciąży mojego sumienia.

Złamię każdą przysięgę, jakiej ode mnie zażąda – pomyślał i jednocześnie sam się zdziwił, że ten człowiek niczego się przy nim nie zdołał nauczyć. Wciąż był tylko muzykiem.

– Przysięgnij na życie tej, którą kochasz, że ani sam nie przyczynisz się do wybuchu walk na Śląsku, ani swoim sojusznikom tego nie nakazesz.

Paderewski dostrzegł, że jego rozmówcy drgnęła brew. Czuł, że zagrał ryzykownie, ale jednocześnie wiedział, że to jedyna przysięga, której Dmowski złamać się nie ośmieli. Wpatrywał się w jego pobladłą twarz i lekko drżącą wargę i zastanawiał się, czy dobrze skalkulował.

– W porządku – odparł Dmowski, a głos wydobywał mu się z trudem ze ściśniętej krtani. – A kobieta, o której mówisz, umarła.

Skłamał, ale nie miał zamiaru odsłonić się przed Paderewskim. Miałby się przyznać, że wciąż kocha tę, która wiele lat temu wzgardziła jego uczuciem? Porzuciła go – i to dla kogo! Dla jego



największego politycznego wroga! Gdyby chociaż tamten potrafił ją docenić. On całowałby ziemię, na której stanęła jej stopa, a Piłsudski złamał jej serce i zastąpił inną.

Pomimo tych smutnych rozmyślań nie mógł oprzeć się pewnego rodzaju podziwowi dla Paderewskiego. Przyznać musiał sam przed sobą, że ten jednak czegoś się od niego nauczył.

Uniósł prawą rękę i wypowiedział rotę przysięgi, czując, że jej dotrzyma.

Samochód zatrzymał się przed siedzibą polskiej delegacji. Wysiedli i uśmiechnięci weszli do budynku, co dla obydwu było znakiem przymierza.

## Rozdział V

Wiktor czuł się zagubiony. Nie wiedział, co miał myśleć. Eliza tkwiła w nim jak cierni. Widział ją przed swoimi oczami każdego dnia. To jeszcze zdołałby znieść, bo dzień nie trwa przecież wiecznie. Ale ona nawiedzała również jego sny w taki sposób, że po przebudzeniu twarz mu płonęła. Zastanawiał się, czy jakakolwiek kobieta powinna śnić się w ten sposób.

Porównywał ją z każdą dziewczyną, jaką spotkał na ulicy, i żadna nie wytrzymała tej próby. To było jakieś szaleństwo, którego natury nie potrafił przeniknąć. Nie wiedział, czy to, co się dzieje, jest oparte wyłącznie na emocjach, czy też jest to głębsze uczucie, które nie może pomieścić się w sercu. Dość, że przestał rozumieć sam siebie i nie potrafił sobie poradzić. Dlatego z ulgą przyjął propozycję pułkownika, który polecił mu, by pojechał nad granicę i zbadał sprawę fałszywych dokumentów.

Stał teraz przed budynkiem strażnicy i wpatrywał się w łopoczącą na wietrze flagę. Dwa kawałki płótna falowały pod wpływem uderzeń wiatru, a on czuł, że chwyta go za serce dziwna tkliwość. Oto miał szczęście patrzeć na odrodzenie państwa i narodu, któremu ponad sto lat temu nałożono jarzmo niewoli. Wiele pokoleń żyło tylko nadzieją na ujrzenie tej chwili i pracowało na nią. Pracował i Mikołaj i choć nie cieszył się nią długo, to przecież w polskiej ziemi spoczywa. Ona powie, że tu na górze wszystko jest w porządku i ku dobremu idzie. A on

dopilnuje, by tak pozostało – aby poświęcenie poległych nie poszło na marne.

Opowiedział się wartownikowi, pokazując legitymację służbową. Następnie udał się na poszukiwanie Adolfa Grzywaczewskiego, który z ramienia wywiadu nadzorował granicę. Znalazł go w jego gabinecie, tkwiącego za biurkiem. Wiktor rozejrzał się zaciekawiony. Niewielkie pomieszczenie objął w zasadzie jednym rzutem oka. Następnie skupił się na Grzywaczewskim.

Był to mężczyzna czterdziestokilkuletni, o niedźwiedziowatej sylwetce. Jego nieco zbyt pulchna twarz sprawiała wrażenie dobroduszej, lecz w jasnych oczach czaiła się zuchwałość i determinacja. Trójkątną brodę pokrywał lekki, ciemny zarost. Mundur nieco zbyt silnie napinał się na wypukłym brzuchu. Widać było, że Grzywaczewski większość swego życia spędził za biurkiem, a jeśli widział pole bitwy, to dawno, i zapomnieć o tym zdążył.

Tu nad granicą było mu dobrze, nie działa się bowiem nic wartego uwagi. Ot, czasem łapało się niegroźnych przemytników, którzy trudnili się szmuglowaniem siemienia lnianego i innych lichych towarów. Łapano ich albo i nie. Niewiele go to obchodziło. Szkoda dla państwa z takich działań nie wynikała praktycznie żadna, a Warszawa była daleko i miała dość własnych trosk na głowie, by się takimi błahostkami zajmować. Czuł, że obecność tego człowieka oznacza zmiany, i patrzył na niego ze starannie ukrywaną niechęcią. Brała się ona z przypuszczenia, że wraz z jego przybyciem ulatywał z tego miejsca spokój, a zaczynała się nowa epoka, która nie wiadomo, co ze sobą niesła. A drugą jeszcze ważniejszą przyczyną była zazdrość, której nie umiał ukryć, patrząc na dorodną sylwetkę Wiktora. On w jego wieku był ledwie szeregowcem, a ten nosił już dystynkcje podporucznika. Pomyślał,

że musi pochodzić z bogatej rodziny, która swoimi funduszami ułatwiła mu karierę.

– Siadajcie – rzekł, wskazując Wiktorowi puste krzesło naprzeciw siebie. – Jestem zaskoczony, że mam gościa z samej centrali. Tu się nic nie dzieje. Od nas świata, a nas ze świata nie widać. Armia daleko wysunięta nad granicą siedzi, a my, jeśli mamy z czym robotę, to z tutejszą biedotą, która się przemytem trudni. Ale to są sprawy liche, które nikogo w Warszawie nie powinny obchodzić, zwłaszcza gdy innych trosk im nie brakuje.

– Więc mówicie, że nudno wam tu i nic się nie dzieje – odrzekł Wiktor. – A mnie się wydaje, że patrzycie, a nie widzicie. Na granicy was postawiono, stanowisko znaczne dano i wywyższono nad innych. Tu jest pierwsza linia obrony państwa. Istotnie Warszawa ma wiele trosk, ale wy jej żadnej z barków nie zdejmujecie. Trzeba sprawdzić pewną hipotezę i zająć się sprawą, która na granicy ma swój początek. – Położył na biurku przywiezione przez siebie papiery.

Grzywaczewski patrzył na dokumenty. Nie wiedział, w jakim kierunku zmierza ta sprawa ani czego chciał ten chłystek i w jakim celu go tu przysłano. Przez chwilę obawiał się, czy nie po to, by go zastąpił.

Szybko przejrzał podsunięte mu papiery, lecz nic podejrzanego nie rzuciło mu się w oczy. Wręcz przeciwnie: oba komplety dokumentów były w nieskazitelnym porządku. Każdy stempel był na swoim miejscu. Instynktownie szukał odstępstwa od normy, zdając sobie sprawę, że te papiery nie leżą przed nim bez przyczyny. Wreszcie jednak spojrział na Wiktora z bezradnością w oczach.

– Wyglądają jak oryginały. Nie jestem specjalistą od dokumentów – rzucił tytułem usprawiedliwienia.

Wiktor się uśmiechnął. Teraz był odpowiedni moment na pozyskanie życzliwości tego człowieka. Było to konieczne, jeśli

mieli razem współpracować, by doprowadzić tę sprawę do pomyślnego zakończenia. Było to jego pierwsze samodzielne zadanie i bardzo chciał się wykazać. Rozumiał, że jest na początku drogi i ta sprawa może być jego trampoliną na wyższe stopnie wywiadowczego wtajemniczenia, lecz tylko w przypadku sukcesu. Klęska spowoduje, że spadnie niczym gwiazda.

– Nie masz się czego wstydzić. Nasi fachowcy również spędzili nad tymi dokumentami wiele godzin, rwąc włosy z głowy, nim poznali ich sekret. Co istotne i poniekąd zabawne, doszli do tych samych wniosków co ty. Tak, to są oryginały, a ściślej mówiąc, oryginalne blankiety. To trudna sprawa. Nie wiemy, jak bolszewicki wywiad wszedł na naszą drukarnię. Ja jestem jeszcze młodym człowiekiem i chciałbym skorzystać z waszego wieloletniego doświadczenia.

Przez twarz Grzywaczewskiego przemknął uśmiezek, który nie umknął uwadze Wiktora. Odetchnął. Wolał, by Adolf miał go za nieco nierozgarniętego młodzika, niż by mu rzucał kłody pod nogi. Mógł pozornie oddać mu pierwsze skrzypce w kierowaniu śledztwem. A nawet wolał, by tak się stało, bo chciał pozostawać w cieniu, skąd czasem lepiej widać pewne sprawy.

Grzywaczewski myślał o tym samym. Wydawało mu się teraz, że jego szczęśliwa gwiazda rozbłysła wreszcie jaśniejszym blaskiem. Spokój spokojem, ale awansem i nieco lepszymi poborami też by nie pogardził, a ta sprawa mogła mu dać i jedno, i drugie. W razie czego mógł przecież zrzucić winę za klęskę na tego chłystka, którym zamierzał kierować z tylnego fotela. Jemu i tak nic nie będzie, myślał. Rodzice już zadbają, by po wydaleniu z wojska zaliczył miękkie lądowanie. Osadzą go pewnie na rodzinnym majątku, wybiorą żonę z tej samej sfery, która urodzi mu gromadkę dzieciaków. A on będzie grał w karty z sąsiadami, organizował bale. Tak, świat jest stanowczo niesprawiedliwy.

Uniósł oczy na swego rozmówcę.

– Zastanawiam się, od czego powinniśmy zacząć. Najpierw powinieś wyjaśnić mi, co właściwie jest nie tak z tymi dokumentami i jakim sposobem znalazły się w twoich rękach.

Wiktor ignorował protekcyjny ton. Ćwiczył zdolność opanowania nerwów i ukrywania emocji przed światem, bo rozumiał, że bez tego nie zdoła przetrwać nie tylko w wywiadzie, lecz i w ogóle w życiu. Znał wiele przypadków, gdy gniew przywiódł do zguby nawet ludzi potężnych i bogatych. On nie zamierzał podzielić ich losu i stać się architektem własnej zguby.

W krótkich, żołnierskich słowach zreferował Grzywaczewskiemu całą sprawę, pomijając rolę Elizy i swoją. Nie miał zamiaru mieszać w to dziewczyny, która zapewne nawet nie zdawała sobie sprawy, w czym właściwie wzięła udział. A jeśli miałby być zupełnie szczery, to on też nie zdawał sobie do końca sprawy, a przynajmniej wielu rzeczy nie pojmował. Nie wiedział na przykład, dlaczego Sowietci zaangażowali do tej akcji tak małe siły. On na ich miejscu, gdyby dysponował tak dobrym rozpoznaniem, nie zaniedbałby niczego. A nic nie pozwalało wątpić w to, że Sowietci dokładnym rozpoznaniem dysponowali. Była to okoliczność, która wzbudzała w nim trwogę i niepokój o przyszłość.

Grzywaczewski wysłuchał go z uwagą i tarł w zamyśleniu brodę, jakby dzięki temu łatwiej mu było pozbierać myśli.

– Tak – rzekł po dłuższej chwili przytłaczającego milczenia. – Cieszymy się, że to nie my zajmujemy się sprawą przecieku drukarni. Nasi będą mieli sporo roboty, żeby wyłuskać tamto źródło. No ale i my mamy pożar w burdelu. Pojęcia nie mam, jak ci ludzie przeszli przez granicę. A co gorsza, potem przebyli pół kraju, by dostać się do Krakowa. Marne jeszcze te nasze służby, niedorosłe do funkcji, jakie przyszło im pełnić.

Spojrzał uważnie na Wiktora. Diabli wiedzą, co ten chłystek mógł napisać w raporcie. Fakt, że jego przyszłość zależała

w pewien sposób od dobrej woli człowieka, który dopiero zaczął golić brodę, był niesłychanie irytujący. Niemniej, jeśli konkretnych argumentów brakło, warto było się bronić choćby zręcznym słowem. Dużo by dał, by przeniknąć myśli człowieka zajmującego teraz miejsce naprzeciw niego. Siedział sztywno za biurkiem, ledwie panując nad sobą na tyle, by mimowolnymi ruchami ciała nie zdradzać targających nim emocji. Instynktownie bowiem czuł, że teraz, w tej chwili, rozstrzyga się jego los. A on sam nie wiedział, czy zmierza w dobrym kierunku.

Wiktor również miał na swej twarzy ślad głębokiego zamyślenia, zmieszanego z podnieceniem. To była jego pierwsza samodzielna sprawa. I bardzo chciał okazać się jej godnym. Jeszcze w czasie podróży planował każdy swój krok, by nie stąpnąć fałszywie i jednym nierozważnym ruchem nie pogrzebać wszystkiego. Jadąc tu, miał przeczucie, że w tym miejscu znajdzie nic, która zawiedzie go do kłębka. Należało zrobić wszystko, by jej nie przegapić. Właśnie dlatego gotów był nawet tolerować lekceważący stosunek, jaki miał do niego Grzywaczewski. Nie chciał, by jakiegokolwiek negatywne emocje przyćmiły mu racjonalny obraz sytuacji.

– Moim zdaniem powinniśmy ogłosić alarm granicy – zaczął Grzywaczewski.

Wiktor zatrzymał w ustach przekleństwo. Instynkt podpowiadał mu, że za żadne skarby świata nie powinni tego robić. A jeszcze Mikołaj uczył go, że na wojnie należy kierować się przeczuciami. Wprawdzie to, czym zajmował się teraz, nie dotyczyło wojny w pełnym tego słowa znaczeniu, ale i tu, i tam chodziło o to, by zaskoczyć przeciwnika. A on miał pewność, że nikogo nie zaskoczy, ogniskując uwagę na swojej osobie. Bolszewicy na pewno obserwowali granicę i wszelkie gwałtowne ruchy mogły niepotrzebnie zwrócić ich uwagę.

Przyjechał tu z gotowym planem. Teraz musiał tylko przekonać do niego człowieka, który zanurzył się we własnym lenistwie i zestarzał się niczym klucz w zamku. Bał się każdej aktywności, podczas gdy jego przepełniała młodzieńcza energia i żądza czynu. Jak mieli razem współpracować, jeśli różniło ich tak wiele? Niemniej należało podjąć próbę.

– Moim zdaniem w żadnym wypadku nie powinniśmy tego robić. Moi zwierzchnicy nie życzą sobie, by o tej sprawie wiedziało zbyt wielu ludzi. I nic dziwnego, bo nie przynosi im ona zaszczytu. A nie zdołamy utrzymać jej w tajemnicy, jeśli będziemy prowadzić zbyt intensywne działania. Kazano mi pozostać w cieniu.

Wiktor pogratulował sobie w duchu, że powołał się na swoich zwierzchników. Dzięki temu Grzywaczewski mógł wyjść z tego z twarzą. Chłopak rozumiał, że dla tamtego wysłuchiwanie rozkazów człowieka znacznie młodszego od niego musiało być gorzkim doświadczeniem. Należało mu je osłodzić. I sposób, w jaki to zrobił, wydał mu się dobry, bo pozwalał zachować honor obu stronom. Spojrzał na Grzywaczewskiego, jakby chciał się upewnić, że postąpił właściwie.

Męczyzna bawił się opuszkami palców, uderzając nimi o blat biurka. W głowie wirowały mu ponure myśli. Zaczynał bowiem rozumieć, że człowiek, który przed nim stał, nie pozwoli się w żaden sposób kontrolować. A jego plany, by kierować nim z tylnego fotela, pozostaną jedynie w sferze marzeń. Lecz sposób, w jaki Wiktor z nim rozmawiał, wskazywał, że wie on, co dzieje się w jego sercu. Dobrze to świadczyło o jego inteligencji. Człowiek, który w tak młodym wieku rozumiał ambicje i niewypowiedziane pragnienia innych, mógł zająć wysoko. Zaczął się zastanawiać, czy nie byłoby dobrze połączyć ze sobą ich losy.

Uznał, że warto wstrzymać się z ostatecznym postanowieniem w tej sprawie. Czas przynosi najlepsze rozwiązania – pomyślał. Jeśli chłopak zdobędzie sławę i chwałę, to część z niej i na mnie



spadnie. Jeśli spostrzę, że zmierza do kłęski, to póki czas z drogi zawrócę.

– Co rozumiesz przez słowa o pozostaniu w cieniu? – spytał, uśmiechając się życzliwie. – Czas nam się za pracę brać, bo dość już czasu zmitrężyliśmy na tę bezcelową dysputę.

– Poznać się dobrze też trzeba, bo to ułatwia wzajemne zrozumienie, a przez to wspólna praca staje się łatwiejsza. Ale i to prawda, że pora zaczynać. Trzeba nam ściągnąć tu pojedynczo ludzi z każdego odcinka granicy. Oczywiście najpierw opracujemy odpowiedni pretekst, który pozwoli nam zrobić to bez wszczynania zbędnego zamieszania. Znasz tutejsze realia lepiej niż ja, więc ufam, że znalezienie właściwego sposobu weźmiesz na siebie.

Wstrzymał oddech na jedno uderzenie serca. Teraz wszystko się rozstrzygnie – pomyślał. Jeśli Grzywaczewski nie zechce grać z nim w jednej drużynie, to cały zamiar spali na panewce, a jemu przyjdzie ze wstydem wracać do Warszawy. Ledwie się powstrzymywał, by nie zacisnąć pięści na samą myśl o takiej ewentualności. Byłoby to bowiem ostateczną ruiną wszystkich jego marzeń i ambicji. A co gorsza, udaremniłoby także zamiar pomszczenia Mikołaja, bo jako oficer wywiadu miałby za sobą potężną instytucję, której siłę mógłby zręcznie wykorzystywać, by ułatwiać sobie załatwienie spraw prywatnych. Nie byłoby to wprawdzie zgodne z etyką, ale o to mniej teraz dbał.

Jednak jego obawy były płonne. Grzywaczewski nie palił się wprawdzie do samodzielnej wspinaczki na świecznik, zadowolając się cichą posadą z dala od głównego nurtu polityki, miał jednak w sobie dość rozsądku, by nie rezygnować z okazji, która sama wpadła mu w ręce. Tym bardziej że w razie niepowodzenia to komu innemu będzie zależało na tym, by ukroczyć jej łeb.

Dlatego uśmiechnął się do Wiktora i razem już naradzali się nad załatwieniem całej sprawy.

W godzinę później do gabinetu zaczęli się schodzić służący na poszczególnych odcinkach. Wiktor tkwił za maszyną do pisania i jednocześnie przyglądał się dyskretnie ludziom Grzywaczewskiego. Błogosławił teraz swój młody wiek, który znakomicie uwiarygadniał przykrywkę praktykanta i sprawiał, że niemal nikt nie zwracał na niego uwagi.

Od czasu do czasu rzucał okiem na Adolfa i mimo woli nachodziła go dziwna refleksja. Czy on kiedyś też stanie się taki? Czy kiedyś i dla niego najważniejsze będzie utrzymanie się na stołku? Wiedział, że to przez takie podejście do swojej pracy Grzywaczewski doprowadził do rażących zaniedbań, których skutkiem były krakowskie wypadki. Zgubiła go rutyna i wysokie mniemanie o sobie. Zdołał się wszak zorientować, że kilka lat temu musiał to być naprawdę utalentowany oficer. Dało się to wyczuć w sposobie zadawania z pozoru niewinnych pytań, które w ledwie zauważalny sposób osaczały rozmówcę. Chłonał tę technikę, bo zdawał sobie sprawę z jej potencjalnej przydatności dla jego przyszłych zadań. Nigdy nie wiadomo, kiedy sam będzie musiał przesłuchiwać ludzi, aby wydobyć z nich cenne informacje. I nie zawsze będzie mógł używać do tego celu metod katowskich.

Przesłuchujący radził sobie szybko i sprawnie, ale to w żaden sposób nie popychało ich sprawy do przodu. Ludzie na pytanie odpowiadali opieszale. W ich oczach dało się wyczytać niepokój, który brał się zapewne z niezrozumienia istoty sprawy. Wszyscy zapewne obawiali się utraty części dochodów, więc niechętnie mówili o swoich zaniedbaniach lub odstępstwach od procedur, a jeśli już nie dało się tego uniknąć, to z premedytacją zwalali winę na współpracowników. Było to obrzydliwe.

Przynajmniej dla Wiktora, bo jeszcze nie wyrzekł się zupełnie młodzieńczego spojrzenia na świat i jego sprawy. Wciąż hołdował zasadom wpojonym mu przez ojca, które nakazywały, by człowiek zawsze brał odpowiedzialność za swoje czyny, nie szukając kozłów

ofiarnych. Nie rozumiał jeszcze, że dla tych ludzi rządowa posada była wartością samą w sobie, bo zabezpieczała byt ich samych i ich rodzin. Dla niego niezrozumiały był strach, którego oznaki widział na twarzach przesłuchiwanym. Grube, gęste krople potu, które nerwowo ocierali chusteczkami. Rozbiegany wzrok i niekontrolowane ruchy ciała i mimiki twarzy. Starał się zakopać w papierach, które służyły mu za kamuflaż, by nie dostrzegli w jego spojrzeniu starannie skrywanej pogardy. Uważał bowiem odwagę za jeden z najważniejszych przymiotów mężczyzny, ponieważ wychowywany był przez człowieka, który wpajał mu to od dziecka. I chyba tylko zrzędzeniem losu nie został wypruty z wrażliwości na biedę i krzywdę ludzką.

Nawet teraz starał się ukrywać swoje emocje, by inni ich nie odczytali. Dlatego z ulgą przywitał moment, gdy kolejni ludzie Grzywaczewskiego opuścili gabinet. Ten zaś wstał i zaczął chodzić po nim niespokojnie. Wiktor dostrzegł na jego twarzy oznaki gniewu i zniecierpliwienia. Przywitał je z zadowoleniem, były bowiem niezbitym dowodem, że nie tylko jemu zależało na rozwikłaniu tej sprawy.

Adolf Grzywaczewski obrócił się z charakterystycznym chrzęstem wojskowych butów.

– To chybiony zamysł. Ci ludzie – wskazał na drzwi – nic nam nie powiedzieli, nie dali żadnego punktu zaczepienia. Błądzimy jak dzieci, które pierwszy raz nocą oddaliły się od domu. I nie widzę wielkich szans na to, byśmy odnaleźli ścieżkę, która do niego prowadzi. A przecież ci agenci, którzy nabruździli w Krakowie, musieli pozostawić za sobą jakieś ślady. Nie pozbyli się przecież powłoki cielesnej i nie pozamieniali w duchy.

Adolf był wściekły. Wściekły na siebie. Bo rozumiał, że jego podopieczni zgnuśniali pod jego rozkazami. Stało się tak, bo im na to pozwolił, bo zadowolił się świętym spokojem. A dziś miał przed oczami oplakane skutki swego wyboru. Po raz pierwszy przekonał

się, jak bardzo nieszczelna była ochrona granicy, którą miał nadzorować z ramienia wywiadu. I palił go wstyd przed tym młokosem, przed którym musiał się rumienić. Przecież to on otworzył mu oczy, rzucił w twarz, że zawiódł pokładane w nim nadzieje. Sam to wiedział, ale dotychczas nie w pełni zdawał sobie sprawę ze skali zaniedbań. Teraz, gdy zyskał tego świadomość, czuł, że w słowach tego dzieciaka zawarta była prawda. Straszna, paląca jak ogień, ale rzetelna.

Wiktor odgadywał znaczną część rozterek Grzywaczewskiego. Ale i on nie był od nich wolny. Przepędziła go bowiem zdrowa chęć sprawdzenia się. Tymczasem już przy swoim pierwszym poważnym zadaniu napotykał trudności, które mogły okazać się nie do przewyciężenia. Wprawdzie nie był dzieckiem, by łudzić się, że sukcesy będą mu przychodziły lekko, łatwo i przyjemnie, spodziewał się trudności – ale nie na samym początku. A bez początku nie ma końca. Uśmiechnął się do tej myśli, choć bynajmniej nie było mu do śmiechu. Poczł się jak człowiek, który o zmroku zabłądził na bagnie i boi się wykonać jakikolwiek następny krok, by go nie pochłonoło. On przecież także nie wiedział, co powinien robić, w którą stronę się zwrócić. Bo na przykład mógł wrócić do Warszawy, ale byłoby to przyznaniem się do porażki. A tego żadną miarą zrobić nie chciał. Donos na Grzywaczewskiego też nie wchodził w grę.

Nie będąc własnych niepowodzeń osłaniał cudzą niekompetencją – pomyślał. Bo choćby dzięki temu uszły mi one na sucho, to przecież byłoby w tym coś ohydneho. Czym różniłbym się wówczas od tych, którzy w podobny sposób osłaniaли własne posady i pensje? A co powiedziałyby na takie postępowanie ojciec? To surowe wcielenie prawości i cnót obywatelskich. A Mikołaj? Czy patrzyłby na mnie z dumą, gdybym uciekł się do podobnych wykrętów?

Potrząsnął głową, bo wiedział, że nie.

– Czy ci dwaj byli ostatni? – zapytał, byle coś powiedzieć i nie rozpamiętywać dłużej porażki.

– Nie – odparł Grzywaczewski. – Został nam jeszcze kolejowy odcinek granicy. Ale na twoim miejscu nie wiązałbym z ich zeznaniami zbyt wielkiej nadziei. Ostatnio przechodziły tamtędy wagony z garstką szczęśliwców, którym udało się wymknąć z Rosji. Ale nasi krakowiacy z nimi nie wjechali.

Mimo tych pesymistycznych słów oczy Wiktora ponownie zabłyśły nadzieją.

– Dlaczego?

– Bo rozpiętości czasowe między jednym a drugim wydarzeniem są zbyt krótkie – wyjaśnił Adolf. – A mówiąc inaczej: gdyby wjechali tym pociągiem, to nie zdążyliby do Krakowa w określonym terminie. Nie, jeśli założymy, że ich celem było zakłócenie balu, a przez to destabilizacja sytuacji w kraju. A chyba Warszawa skłania się właśnie do tego, prawda?

Wiktor ledwie go dosłyszał, bo myślami był już zupełnie gdzie indziej. Pozwolił sobie tylko na lekkie skinienie głową. Nie miał zamiaru naświetlać Grzywaczewskiemu całości sprawy. Tamten miał swój wycinek i to powinno mu wystarczyć. Ale Wiktor ogarniał całość i skutkiem tego miał zupełnie inny pogląd na tę kwestię. Myślał nad tym tak intensywnie, że w skroniach czuł wściekle pulsowanie. A miał co rozsądzać, bo sprawa gmatwała się coraz bardziej.

Jeśli Dobrowolski miał rację i na placu Saskim naprawdę zagnieździł się agent, to on mógł przekazać informację, że Eliza będzie na balu. Próbował sobie przypomnieć, kiedy dokładnie o tym rozmawiali. Było to pytanie kluczowe, bo wiedziałby wtedy, ile mieli czasu na przygotowanie ekipy. Przecież to nie było łatwe. Wyrobienie dokumentów, zapoznanie z zadaniem, nauka planu miasta, to wszystko wymagało czasu, którego wówczas nie mieli.

Kilka dni nic tu nie znaczy, pomyślał. Na takie przygotowania potrzeba tygodni.

Nagle aż zadrżał, bo nowa myśl przyszła mu do głowy. Zignorował zdumione spojrzenie Grzywaczewskiego, uciszył go uniesieniem ręki i zagłębił się w rozważaniach.

A co, jeśli pierwotnym celem był bal? Termin był znany na kilka tygodni wcześniej, bo władzy chodziło o to, by wieść o nim rozeszła się jak najszerzej po kraju. Wówczas bolszewicy mieliby aż nadto czasu, by wszystko zaplanować, przeszkolić ludzi. Taka akcja byłaby racjonalna, bo pokazywałaby słabość państwa i brak zdolności do zapewnienia bezpieczeństwa nawet najbardziej wpływowym obywatelom. Nie chciał myśleć, co by się stało, gdyby w ratuszu doszło do jakiegokolwiek zamachu bombowego. Konsekwencje mogłyby być nieobliczalne, z zagładą młodego państwa włącznie. Wprawdzie przeprowadzenie takiej akcji równałoby się poświęceniu wykonawców, ale Dzierżyński nie należał chyba do ludzi, którzy zbyt łatwo przejmują się losem podwładnych. Zwłaszcza że potencjalne zyski znacznie przekraczałyby straty.

Jak mogło być? Co się stało? Co zmieniło cel główny? Meldunek agenta.

Gdyby tak było istotnie, gdyby ich rozmowa jakimś nieznanym sposobem dotarła do Dzierżyńskiego i ten zmienił plany, to wszystko nabierałoby sensu. Przynajmniej potwierdzałoby dwie teorie. Agent istniał. Przekazywał meldunki jakimś nieznanym im kanałem łączności. Za próbą porwania Elizy stała Czeka. Zawsze był to jakiś postęp. Ale uzyskanie odpowiedzi na jedno pytanie stawiało przed nim następne. Kim był agent? I po co Feliks tak naprawdę potrzebował Elizy? Przez chwilę rozważał wariant szantażu, ale uznał, że nie ma on większego sensu. Tak spektakularnej akcji nie dałoby się utrzymać zbyt długo

w tajemnicy, gdyż za wielu byłoby świadków. A góra natychmiast odwołałaby Dobrowolskiego, by uniknąć tego rodzaju sytuacji.

– Cholera! – zaklął na głos.

Grzywaczewski spojrział na niego i odetchnął z niekłamaną ulgą. Upřednio bowiem zaniepokoił się, obserwując mętny wzrok Wiktora i nadzwyczajne skupienie, jakie malowało się na jego licu. Zachowywał się tak, jakby przebywał w innym wymiarze. Nie reagował na jego delikatne chrząknięcia, którymi chciał ponownie zwrócić na siebie jego uwagę. Przez chwilę bał się, czy jego młody towarzysz nie doznał paraliżu. To byłby dopiero kłopot, z którego trudno byłoby się wytłumaczyć.

– Wreszcie usłyszałem twój głos. Bo zastygłeś w bezruchu jak lawa. Już zacząłem się zastanawiać, czy nie trzeba by po medyka posłać, bo przez chwilę myślałem, że cię paraliż zdjął.

Wiktor skwitował to nieodgadzionym uśmiechem. Jednego mógł być pewien: Grzywaczewski żył sam dla siebie i nie martwił się o nic i o nikogo. Ale w tym podobny był do większości ludzi. Zresztą zaraz myśl jego zwróciła się w inną stronę.

Do gabinetu weszli bowiem dwaj ludzie, na których opierał w tej chwili wszystkie swoje nadzieje. Oceniał ich jednym rzutem oka. Obaj dobiegali średniego wieku, ich twarze okalał ciemny zarost. Obserwował ich czujne oczy, które zdawały się nie tracić najmniejszego szczegółu z rozgrywającej się tu sceny. Wiktor zakładał, że czekając tak długo, byli wystawieni na działanie dużej dawki stresu. Trzeba było ich ośmielić.

– Panowie – zaczął Grzywaczewski – wezwałem was tutaj, by zapoznać młodego oficera, którego przysłano nam z Warszawy, z realiami służby granicznej. Teraz, gdy przejrzelismy już wszystkie odcinki, które mi podlegały, muszę wam z przykrością zakomunikować dwie rzeczy.

Na twarzach obydwu celników odbiła się niepewność i obawa. Lecz uśmiech Grzywaczewskiego ich uspokoił.

– Będziemy mieli dziś chłystka na jednodniowej praktyce. Z rozkazu naszych zwierzchników mamy zapoznać go z realiami naszej pracy. To jest nieszczęście małe. Gorzej, że nasz kochany wywiad postanowił sprawdzić nasze procedury zabezpieczające i posłał nam przez granicę bolszewickich szpiegów lub szpiega. I teraz zarzuca mi, żeśmy niczego nie zauważyli. Możecie przekazać to kolegom. I dodać, że nie czekają ich z tego powodu żadne konsekwencje. Choć nie przeczę, że wolałbym usłyszeć od was coś, co dałoby mi jakiś punkt zaczepienia i pozwoliłoby zachować twarz przed ważniakami z placu Saskiego. Chępią się teraz, że nas z opuszczonymi portkami złapali.

Stary Michalak skinął głową, jakby się ze zdaniem swojego zwierzchnika zgadzał. Ale jego nos podpowiadał mu, że w tej sprawie tkwi drugie albo nawet trzecie dno. Były pewne przesłanki, które o tym świadczyły. Grzywaczewski nic im wcześniej nie wspominał, że będą mieli u siebie stażystę. A zwykle nie robił z tego typu spraw tajemnicy. W ogóle z niczego jej nie robił. A często zachowywał się tak, jakby przysłano go tu na wakacje.

I on miałby robić cyrk z powodu jakiegoś dzieciaka, który przybywał tu, by zdobyć szlify oficerskie? Ogłaszać alarm, ściągać z odcinków oficerów? Po co? Dlaczego? Przeszło mu przez myśl, że ten młodzik jest synem jakiegoś ważniaka i dlatego Adolf skacze wokół niego niczym sztubak. Niemniej postanowił się nad tym dłużej nie zastanawiać. Posiadał bowiem dostatecznie dużo życiowego i zawodowego doświadczenia, by wiedzieć, że w pewnych sprawach lepiej nie grzebać. A już zwłaszcza będąc w jego wieku.

Miał całkiem fajne życie. Dwoje dzieci odchował. Nic to, że na swoim od dawna siedzieli i starzejącego się ojca rzadko odwiedzali, bo tak było w każdym pokoleniu. Jego Hela sarkała na nich i na niego, lecz on znosił to ze stoickim spokojem.



Przyzwyczał się już bowiem do jej zrządzenia i nie reagował na wyrzuty, jakie mu ciągle robiła. Jakby jego winą było to, że mało zarabiał, że gnieździł się w małej klitce i że lustro dodawało jej lat i kilogramów. Sam starzał się z godnością, choć spadek formy fizycznej doskwierał mu równie mocno. Ale miał dość rozsądku, by nie szarpać się z kalendarzem. Z pogodą znosił skrzywienie w stawach, wszelkie bóle, które były widowym znakiem wstępowania w starość. Za młodość płaci się starością – pomyślał, skupiając wzrok na Grzywaczewskim.

– Interesuje mnie, czy na waszym odcinku nie stało się nic, co w jakikolwiek sposób odbiegałoby od normy.

Wiktor z trudem panował nad własnymi emocjami. Czuł, że od odpowiedzi na to pytanie zależą jego dalsze losy. Albo ci ludzie dadzą mu jakiś trop, którym będzie mógł podążyć dalej, albo ostatecznie pogrzebią jego szanse na sukces. Starał się nie patrzeć im w oczy, ponieważ nie chciał zasugerować im odpowiedzi ani pokazać, że ta sprawa interesuje go zdecydowanie bardziej, niż powinna zajmować praktykanta.

Stefan Michalak zastanawiał się nad odpowiedzią. Jedynym wartym uwagi zdarzeniem z ostatnich kilku tygodni był ten transport repatriantów, który przyjmowali. Ale tam wszystko odbyło się zgodnie z planem i bez żadnych niespodzianek. Jeśli miałby brać słowa szefa za dobrą monetę i przyjąć do wiadomości historyjkę o próbie, jakiej miał poddać ich wywiad, to zakładał, że nie wybrali tej drogi. Po co mieliby trudzić się z wysyłaniem agenta na wschód tylko po to, by zaraz wykorzystać go do dziecinnej zabawy, która nie dawałaby im korzyści ani teraz, ani w późniejszym terminie?

Tu jednak przypomniał sobie swoją dziwną rozmowę z tym polskim zecerem. Właściwie sam nie był pewny, czemu przypomniał sobie tamten epizod właśnie teraz. W końcu całe zdarzenie można było potraktować w kategoriach tylko

i wyłącznie humorystycznych. Ale w końcu Grzywaczewski pytał go o dziwne rzeczy. A czyż można wyobrazić sobie sytuację dziwniejszą niż ta, której był świadkiem? Kto przekraczając granicę, przedstawia się jako sowiecki agent? Po co ściągać na siebie uwagę pograniczników? To nie jest nikomu miłe, nawet jeśli jest się najuczciwszym człowiekiem pod słońcem. A niech się Grzywaczewski martwi. Od tego są szefowie, by za podwładnych decyzje podejmować. Do niego należał tylko obowiązek przekazywania mu jak najściślejszych informacji, by tamtemu łatwiej było podejmować rozstrzygające decyzje. Jeśli jeszcze się wahał, to tylko dlatego, by się na śmieszność nie narazić.

Nabrał powietrza w płuca i rzucił:

– Był taki epizod... – zawahał się. – Sam nie wiem, jak mam go oceniać.

Przerwał. Rozejrzał się po obecnych, jakby od nich oczekiwał rady lub pomocy. Ale wszyscy patrzyli na niego wyczekująco. Zwłaszcza Wiktor nie spuszczał z niego wzroku i niemal wstrzymał oddech. Gdyby mógł, przyspieszyłby czas, a na razie dał Grzywaczewskiemu znak, aby broń Boże nie przerywał.

– Jeden z repatriantów przedstawił się jako Misza Kostriulew, agent sowieckiego wywiadu.

Ostatnie sylaby zagłuszył potężny wybuch śmiechu Grzywaczewskiego. Jego brzuch poruszał się w niekontrolowany sposób, twarz pokryła się czerwienią, a oczy zaszczyły łzami.

Nagle jednak zawrzał w nim gniew, który zbierał się od kilku godzin. Nastąpił wybuch, który sprowokowało zbliżające się wielkimi krokami niepowodzenie. Teraz już nie mógł żywić nadziei, że razem z Wiktorem rozwikłają tę sprawę, co da mu szansę na odznaczenia i awanse. Teraz nie mógł być nawet pewien, czy zdoła skierować ostrze krytyki władz tylko na Wiktora. Nie wiedział, kogo ten miał za sobą i jak wysokie stanowisko zajmował. Jeśli miał w strukturach wywiadu

wpływowego protektora, to ten nie omieszka dopilnować, by jego protegowanemu włos z głowy nie spadł.

– Do diabła! Jak granica ma być na tyle szczelna, by nie narażać nas na kompromitacje, jeśli pracują tu ludzie, którzy zaśmiejają swoje meldunki tego typu ciekawostkami, mogącymi służyć do bawienia dzieci?

W kącikach ust zebrały mu się krople śliny, a oczy ciskały błyskawice. Poczzerwieniał z gniewu i palcem wskazującym wymierzył w drzwi.

– Oczekuję pańskiego ustąpienia ze stanowiska w trybie natychmiastowym. Tu nie ma miejsca dla ludzi starych i niekompetentnych. Zresztą... pozwalam wam wybrać, który z was złoży wypowiedzenie, choć nie jednakowa na was spoczywała odpowiedzialność. Na wasze szczęście nie mam ochoty zgłaszać zbyt wysokiego zapotrzebowania na nowych ludzi w dowództwie.

Michalak uchwycił błagalne spojrzenie kolegi. Rozumiał go. Był on dopiero w połowie kariery, miał rodzinę i dziecko na wychowaniu. On to co innego. Pieniądzy nie potrzebował, a i odkładać nie miał dla kogo. Dzieci były już na swoim wikcie i – Bogu dziękować – pomocy nie potrzebowały. Na swoje utrzymanie wydawał mało, bo na mogiłę odkładać przecież nie trzeba. Bardziej martwił się tym, jak zdoła wyjaśnić to wszystko swojej żonie. Wiedział, że nie przyjmie go miło, gdy przekaże jej tę hiobową wieść. Ale czuł, że nie chce i nie może postąpić inaczej, bo wówczas nie umiałyby spojrzeć w lustro bez uczucia obrzydzenia do samego siebie.

Wśród powszechnego milczenia, jakie na chwilę zapanowało, uniósł rękę. Wstał i skierował się ku drzwiom, lecz zatrzymał się w pół drogi. Stał przez chwilę, jakby nie był pewien, co powinien zrobić. Wreszcie jednak obrócił się ku Grzywaczowskiemu z błyskiem gniewu w oczach. Wiedział, że po raz ostatni ma okazję

zetknąć się z Adolfem twarzą w twarz, i postanowił dobrze wykorzystać tę okazję do rozmowy.

– Powiadasz, że nie ma tu miejsca dla ludzi niekompetentnych. Zarzucasz innym przewiny, za które sam w znacznej części odpowiadasz. Zwolnisz mnie. – Machnął ręką. – Dobrze. Twoje prawo. Ale teraz mnie wysłuchasz tak, jakbyś sumienia swego słuchał. Nie wiem, co tu zaszło i dlaczego nas tu ściągnięto, bo to głupstwo i nieprawda, że idzie o zapoznanie tego młodzika z naszą pracą. Ale za twoją to przyczyną karność się rozluźniła, bo wolisz nad kubkiem czas trwonić, zamiast powierzonych ci ludzi doglądać. Patrole nie chodzą tak często, jak powinny. Żołnierze są źle karmieni, bo kupujesz kiepskiej jakości żywność, a reszta środków, które otrzymujesz na ten cel, przepada w twojej kieszeni.

Grzywaczewski pobladł śmiertelnie z gniewu i ze strachu, który pełznął po jego skórze, przyprawiając ją o dreszcze. Spojrzał na Wiktora, modląc się, by ten nie uwierzył w te słowa. A jednocześnie w panice analizował swoje powiązania biznesowe, by ustalić, skąd Stefan je znał.

Niepotrzebnie jednak posądział Wiktora o wrogię o swojej osobie myśli. Wiktor bowiem cały był zajęty pewną rzeczą, która uderzyła go jak obuchem w głowę, i ledwie słuchał toczącej się wokół niego kłótni. Przypomniał sobie mianowicie, w jaki sposób Olga nabrała strażników, gdy jechali razem do Berlina. Coś mu mówiło, że i tym razem mógł mieć do czynienia z podobną sztuczką. Olgę do jej zastosowania zmusiła konieczność. Ale co zmusiło jego? Dlaczego sam dobrowolnie zwrócił na siebie uwagę? Czyżby aż tak kochał ryzyko, by lekkomyślnie narażać nie tylko siebie, ale i zadanie, z którym go tu posłano?

Przeładził włosy.

Wspomniał na to, co przy rozstaniu mówił mu pułkownik Dobrowolski. Agentów o specjalnym znaczeniu zawsze bezpośrednio uruchamia centrala. Czyżby ten „zecer” był właśnie

takim człowiekiem, który miał przekazać zadanie agentowi? Poczul, jak ogarnia go podniecenie. Nie był pewny, czy trafił, ale bardzo chciał, by tak było, bo wówczas droga sławy znów stanęłaby przed nim otworem.

Zobaczył, jak za wychodzącym Stefanem Michalakiem zamykają się drzwi. Zamienił kilka słów z Grzywaczewskim. Na razie nie miał zamiaru wnikać w sprawę domniemanych łapówek. To nie należało do jego kompetencji. Jego przysłano tu po to, by naświetlił centrali sprawę dokumentów i wrócił z raportem. Oczywiście mógł w nim wspomnieć o podejrzeniach dotyczących Grzywaczewskiego, jeśli okaże się to korzystne dla sprawy priorytetowej.

Wyszedł i udał się w ślad za Michalakiem. Dostrzegł go, jak z opuszczoną głową człapał przez korytarz, przygarbiony i załamany. Wydawało mu się, jakby w ciągu tych kilku chwil Stefan postarzał się o całe lata. Pewnie ta praca była dla niego całym życiem. Ojciec Wiktora zareagowałby podobnie, gdyby ktokolwiek kazał mu opuścić jego ziemię. Choć o ile znał swojego ojca, to ten nie przyjąłby tego pokornie jak Michalak, tylko chwyciłby za żelazo.

Dogonił go z łatwością i przez chwilę siedł obok tego przygniecionego bólem człowieka, bojąc się zmącić uroczystą ciszę choćby szeptem. Wreszcie, idąc za porywem serca, położył mu dłoń na ramieniu. Przez chwilę bał się, że zostanie strącona.

Stefan drgnął, gdy poczuł dotyk i ciężar dłoni, lecz jej nie odrzucił. Powoli uniósł głowę i spojrzał Wiktorowi w oczy. Dostrzegł w nich uczciwość i szczerą, niekłamana troskę o siebie. Coś, co dotąd widział we wzroku swoich dzieci i żony, o ile ta akurat się na niego nie boczyła.

– Nie jesteś stażystą, prawda? – szepnął. – Przyszedłeś naigrywać się z załamane go człowieka, który, na swoje nieszczęście, dokładnie wykonał rozkaz zwierzchnika. A na

dodatek na odchodnym wypomniał mu brak troski o ludzi i sprzeniewierzenie państwowych pieniędzy. Uważasz mnie za głupca?

– Po trzykroć nie – zapewnił gwałtownie. – Nie jestem stażystą, nie przyszedłem się z pana naigrywać, a uważam pana za uczciwego człowieka.

Stefan zawiesił na nim na chwilę poważne spojrzenie.

– Dziwna rzecz. Szczerłość i prawda patrzą ci z oczu. Ale nie masz pojęcia, jak mnie żona powita, gdy stanę na jej progu z uczciwością zamiast poborów. Nie przywita mnie miło, wiem to. Ale ja zawsze biedny byłem i tylko uczciwość miałem, której przez całe życie strzegłem i do ostatniego oddechu nie zatracę.

– Jestem oficerem wywiadu. Przysłano mnie tu, bym rozwikłał pewną sprawę. I mam przecucie, że pan może mi w tym pomóc. Ja panu wierzę. Człowiek, o którym pan mówił, naprawdę mógł być oficerem sowieckiego wywiadu. Zdołasz pan opisać jego wygląd, by rysownik mógł stworzyć portret pamięciowy?

Dostrzegł, że Stefan mierzy go wzrokiem, jakby uszom nie wierzył. Częściowo go to bawiło, a po trosze irytowało. Miał już naprawdę dość ciągłego tłumaczenia się ze swojej metryki. A jednocześnie odczuwał rodzaj przemożnej satysfakcji, że w tak młodym wieku tak wiele osiągnął.

– Taki młodzik – szepnęła Michalak w podziwiewie. – Mogę opisać tego człowieka, bo dobrze zapamiętałem jego wygląd, gdyż był charakterystyczny. Przedstawił mi się repatriantem, któremu bolszewicy odebrali ziemię i którego torturowali. Ślady owych tortur nosił na twarzy. Pokrywały ją białawe bruzdy, ślady po ranach zadanych nożem. Miał wybite zęby i siwe włosy. Teraz, gdy o tym rozmawiamy, zaczynam lepiej rozumieć pewne sprawy. On mówił tak, jakby wiedział więcej, niż mu było wolno powiedzieć. Wtedy nie zwróciłem na to uwagi, ale dziś...

W umyśle Wiktora rozbłysło światło. Był już pewien, że trafił w sam środek tarczy i jest na właściwym tropie. Rozumiał teraz, dlaczego Sowiet zagrał tak ryzykownie. Wiedział, że ze swoim wyglądem nie przemknie niezauważony, więc wołał, by strażnicy zapamiętali go jako głupca lub szaleńca.

– Masz czym podeprzeć swoje oskarżenia wobec Grzywaczewskiego?

– Chcesz z nim walczyć? Wybacz szczerze, ale ty i ja jesteśmy dla niego nikim. Myślisz, że on tę posadę dostał przypadkiem? Załatwiono mu ją, a zatem ma wpływowych i potężnych przyjaciół, którzy rozgniotą nas między palcami.

Wiktor się uśmiechnął.

– Nisko się cenisz – odparł. – Ja mogę być dla niego nikim, ale moi zwierzchnicy już nie. A oni nie będą patrzeć przez palce, jak oficerowie, którzy z racji poważania społecznego powinni być wzorem moralności, tuczają się na majątku państwowym. Byleśmy mieli dowody, to skáže go sąd, który z braci jego będzie złożony. I pamiętaj, że wywiad nie zapomina przysług, więc przestań się zachowywać, jakbyś był źdźbłem trawy, po którym każdy może deptać.

Teraz i twarz Stefana rozchmurzył uśmiech. Wiktor mówił bowiem z taką pewnością, że i w jego struchlałe serce wstąpiła otucha i w jaśniejszych barwach zaczął rzeczy postrzegać. Jedynie perspektywa bliskiego spotkania z żoną, której trzeba było złe nowiny przekazać, sprawiała, że nie mógł w pełni zrzucić ciężaru z piersi.

Lecz Wiktor i tę jego troskę rozproszyć umiał.

– Przygotuj się na to, że na dłużej opuścisz swoją żonę. Pojedziesz ze mną do Warszawy, gdzie opowiesz wszystko to, co tu widziałeś. Tam sporządzimy raport i dokładny portret naszego celu. Jeszcze się twój los odmieni.

Obaj tego samego dnia wsiedli w pociąg do Warszawy. Wiktor planował odwiedzić Stanisławę Grabowską, bo był ciekaw, jak ona i Lucyna sobie radzą.



## Rozdział III

Beata przez kilka dni była jak pokrzywa (kto się o nią otarł, ten się sparzył), bo warczała na wszystkich bez wyjątku. Nawet Eliza schodziła jej z drogi i wolała nie pytać, co leży u źródeł tego rozdrażnienia. Matka doceniała to, gdyż dzięki temu nie musiała uciekać się przed córką do wykrętów. Po wyjawieniu jej wcześniej wszystkich sekretów pękł niewidzialny mur nieufności, który przez ostatnie tygodnie tkwił między nimi. Wszystko znowu było w porządku, dlatego nie chciała, nie mogła znów karmić jej kłamstwami.

Lecz sama wiedziała dobrze, co ją gnębi. Jeszcze żaden mężczyzna nie upokorzył kobiety w taki sposób, jak Jerzy uczynił to z nią. Nie dosyć, że to ona musiała wykazać inicjatywę, by ponownie rozbudzić w nim dawno zapomnianą namiętność, to jeszcze pierwsza wyznała mu uczucie. Lecz czy mogła przypuszczać, że wycofa się w takim momencie? Kobięcy instynkt jej nie ostrzegł. I nic dziwnego. Wszystkie reakcje jego organizmu były w normie. Niestety jej też. To musiała przyznać nawet sama przed sobą.

I wszystko to zostało przez niego zaprzepaszczone tylko dlatego, że przez przypadek stłukła lampę. Wybaczylały mu nawet zdradę z kobietą, ale nie to. Pamiętała, jak reagowało jej ciało, stymulowane jego dotykiem, jak blisko była całkowitego zatracenia się w nim, i to potęgowało jej ból psychiczny. Bo nawet teraz na wspomnienie tej chwili przechodziły ją dreszcze. Czuła się

jak bogini, gdy zawinął jej sukienkę z błyskiem pożądania w oczach – i nagle to wszystko przeminęło. Stał się na powrót poważny. Na powrót schował swe serce pod skorupą, którą tak długo usiłowała rozbić.

Nie mogła, nie umiała sobie tego racjonalnie wytłumaczyć. Grała w niej urażona ambicja i miłość własna. A jednocześnie wciąż kochała tego człowieka. Kochała i nienawidziła jednocześnie. Były takie chwile, w których pragnęła zadać mu śmierć. Jemu, ale zarazem i sobie. Toteż gdy była pewna, że nikt jej nie widzi, płakała i zatapiała się we wspomnieniach, sięgając pamięcią do czasów, gdy żadne urazy między nimi jeszcze nie powstały, a ich serca były w jednym rytmie. Czasem tylko wyruszała na zakupowe łowy, traktując to jako pewien rodzaj odskoczni, ale i zemsty nad portfelem Jerzego, z którego wciąż pobierała fundusze.

Wracała właśnie do mieszkania, niosąc przed sobą wielkie, podłużne pudła, które zawierały najmodniejsze kreacje, skrojone wedle najnowszych paryskich wzorców. Ręce mdlały jej pod ich ciężarem i żałowała teraz, że nie wzięła ze sobą kogoś, kto mógłby jej pomóc w przeniesieniu zakupów do mieszkania. Ale wolała być sama, by uporać się z własnymi myślami.

Przedzierała się właśnie Krakowskim Przedmieściem, kierując się raczej słuchem niż wzrokiem, bo z za swoich pakunków niewiele mogła dostrzec. Będąc na wysokości sklepu madame Vavet, omal nie zderzyła się z mężczyzną, który właśnie stamtąd wychodził. Tylko jego refleksowi zawdzięczała to, że zarówno ona sama, jak i jej bezcenne pakunki nie wylądowały na ziemi.

Nieznajomy dotknął róna kapelusza i skłónił jej się lekko. Widziála jego twarz tylko przez ułamek sekundy, ale to wystarczyło, by w oczy rzuciły jej się białawe bruzdy na jego twarzy. Zadrżała lekko, ale nie zdążyła zareagować, bo mężczyzna zniknął za rogiem najbliższej ulicy.

Zatrzymała się, zdumiona tym, co zobaczyła. Choć pozornie nie miała żadnego powodu, by przywiązywać do tego spotkania jakąkolwiek wagę. Nic się w końcu nie wydarzyło. Takich wypadków w całym mieście zdarzały się setki, jeśli nie tysiące dziennie. Próbowwała przemówić sobie do rozsądku. A jednak uderzyło ją w tym człowieku coś dziwnego. I nie chodziło tu o oszpeconą bliznami twarz czy brak uzębienia. Po Wielkiej Wojnie nigdzie nie brakowało kalek, które wprawdzie ocaliły życie, ale z wojny wyniosły trwałe uszczerbek na zdrowiu. Tacy jak oni wystawali teraz na rogach ulic, aby korzystać z ludzkiego miłosierdzia, które stawało się ich jedynym źródłem utrzymania. Wspomagała ich, czym mogła. Widok ludzkiej nędzy nie przerażał jej, bo widziała już niemal każdą odmianę. Lecz w oczach tego człowieka dostrzegła rozpaczliwe pragnienie miłości. Potrafiła je rozpoznać, bo sama czuła dokładnie to samo.

Mimo woli jej myśli wciąż krążyły wokół tajemniczego jęgotnia, choć zdawała sobie sprawę, że prawdopodobieństwo ponownego spotkania w tak dużym mieście jest raczej znikome. Zastanawiała się, co za wiatry go tu przygnały i jakie były kolejne jego losów. Była pewna, że w ciągu życia spotkało go niejedno traumatyczne doświadczenie. Miał to wypisane w spojrzeniu.

Ciekawe, po co przyszedł do Vavet – myślała. Jeśli szukał u niej pracy, to nie wróżyła mu zbyt wielkiego sukcesu. W sklepie takim jak ten, gdzie ubierała się sama śmietanka stolicy, pracownicy musieli wykazywać się starannym wychowaniem i wyglądem. Mimo całej swojej empatii nie mogła wyobrazić sobie tego człowieka stojącego za ladą, z uśmiechem zachwalającego towary. Przecież właściciel sklepu musi w równym stopniu dbać zarówno o dobry asortyment, jak i o wizerunek przedsiębiorstwa. Vavet, mając to na uwadze, na pewno nie przyjęłaby kogoś takiego na swoją listę płac.

Już miała ruszać dalej, bo na jałowe rozmyślenia o nieznanym jej człowieku, które do niczego nie wiodły, i tak zmitrężyła wiele czasu, gdy przy krawędzi chodnika zatrzymało się duże, czarne auto.

Za szybą dostrzegła Aleksandrę Piłsudską. Pamiętała ją z dawniejszych czasów, bo sama była jedną z kurierek, które służbowo podlegały Aleksandrze. Znały się więc i nawet dość lubiły, bo lata wspólnej walki, razem przebyte niebezpieczeństwa sprawiły, że narodziła się pomiędzy nimi nić sympatii. Później jednak potraciły się z oczu, bo ich drogi życiowe się rozeszły.

Nie miała teraz ochoty na to spotkanie. O czym miałyby bowiem rozmawiać? Aleksandra była obecnie jedną z bardziej wpływowych kobiet w Polsce. A ona? Żyła zwykłym życiem. Miała córkę, która przesłoniła cały jej świat, i już tylko dla niej pracowała. Nie dla Beaty był świat salonów, nudne ploteczki, ciągle ten sam zamknięty krąg znajomych. Czuła, że nie byłaby w stanie o tym rozmawiać, a do wspólnej przeszłości wracać nie chciała.

Zastanawiała się, jak Aleksandra mogła wdrożyć się do takiego życia. Pamiętała ją przecież jako żywiołową kobietę, która była najszczęśliwsza, gdy przebywała na łonie natury. Jej spontaniczność i wrodzona radość życia z łatwością zjednywała jej przyjaciół i sympatię podkomendnych. Jakim cudem przywykła ona do świata, gdzie każdą czynność normowały konwenanse?

Przyspieszyła kroku, chcąc zniknąć w najbliższym zaułku. Aleksandra jednak wysiadła już z auta i szła w stronę sklepowych drzwi, więc na cichy odwrót było zdecydowanie za późno, a szybki był niemożliwy, ponieważ utrudniały go pakunki.

Patrzyła, jak za Aleksandrą sunie jej obstawa, modląc się, by ta jej nie zauważyła. Choć na dnie serca piekł ją żal, że stara przyjaciółka, z którą doświadczyła wspólnie tyle złego i dobrego, zdawała się kwitnąć i żyć pełnią życia, podczas gdy z nią los obszedł się okrutniej...

Wtem bieg jej myśli został przerwany, bo właśnie w tej chwili Aleksandra ją spostrzegła i zatrzymała się tak, że jej obstawa omal na nią nie wpadła. Stała w miejscu i mrużyła oczy jak każdy, kto usiłuje wydobyć z zakamarków pamięci odległą a znajomą twarz. Wreszcie jednak uśmiechnęła się i nim jej ochrona miała czas zareagować, przyskoczyła do Beaty i ją uściskała.

Zaskoczona Beata o mało nie upuściła pakunków, ale oddała jej uścisk.

Przez chwilę przyglądały się sobie, wzajemnie lustrując swój wygląd. Aleksandra wstrzymała ochronę, która już przygotowywała się do interwencji.

– To moja znajoma z czasów, gdy sama chodziłam z bronią, a nie ona za mną.

Młody dowódca obstawy skłonił się lekko, ale posmutniał. Nie po raz pierwszy wyrzucał sobie błąd, jakim było wstąpienie do ochrony. Jeszcze w życiu nie chronił tak dziwnej pary. Naczelnik nie życzył sobie towarzystwa obstawy i znikał jej, gdy tylko mógł, aby w samotności czas spędzać, ponieważ to lubił najbardziej. Na Aleksandrę nie mógł się uskarżać, miła była i dla niego, i dla jego ludzi. Znała ich imiona i troszczyła się o członków ich rodzin, dbając, by niczego im nie brakowało. Wyczuwał jednak, że ochrona jej ciążyła, choć dokładał wszelkich starań, by była jak najmniej widoczna. Ale przecież musiał ją chronić. To był jego obowiązek, a poza tym wiedział jeszcze i to, że gdyby jej włos spadł z głowy, to komendant jego by rozstrzelał. Gdyby zaś krzywda stała się komendantowi, to ona pazurami wydrapałaby mu oczy.

Aleksandra spojrzała na zatroskaną twarz szefa swojej obstawy i uśmiechnęła się lekko.

– No, nie gniewaj się – rzekła. – Tu środek Warszawy i żadna krzywda mnie ani od ludzi, ani od zwierząt nie spotka. A gdyby nawet, to jeszcze nie zapomniałam, jak się bronią posługiwać

należy, a często miałam ją w ręku, co nawet przeciwnicy mojego męża poświadczają.

Uśmiechnął się z kolei on na te słowa. Bo wiedział dobrze, że przeciwnicy komendanta chętnie podnoszą ten argument, chcąc jego sławie i reputacji zaszkodzić.

A Aleksandra, widząc, że sprawa dobry kierunek bierze, kontynuowała:

– I to jeszcze ci powiem, że o żadnych publicznych rzeczach mówić nie będziemy, bo to męska domena. A nie przystoi, by nam przy kobiecych ploteczkach wojskowi nad karkami stali. – Mówiąc to, wzięła pakunki z rąk Beaty i podała zdziwionemu ochroniarzowi.

– Tak będzie nam wygodniej. – Uśmiechnęła się promiennie i chwyciła dawną koleżankę pod rękę.

Przez chwilę szły obok siebie, nie mówiąc ani słowa. Obie nie bardzo wiedziały, jak powinny zacząć tę rozmowę. Beata czuła się onieśmielona towarzystwem Aleksandry i nie potrafiła zdobyć się na dawną poufałość. Przez cały czas bowiem pamiętała o dzielących je obecnie różnicach, wydających się być nie do przeskoczenia. Jakże ona, samotna matka, mogła mieć zażyłe stosunki z żoną naczelnika państwa? To nie byłoby dobre dla żadnej z nich. Aleksandra była na świeczniku i musiała dbać o reputację, gdyż każdy jej krok był starannie obserwowany i komentowany. Ona z kolei miała swoje powody, dla których wolała pozostawać w cieniu. Taka znajomość mogła sprowadzić na nią uwagę prasy, a tego pragnęła uniknąć za wszelką cenę.

Aleksandra zorientowała się wreszcie, że jej dawna przyjaciółka sama się przed nią nie otworzy. Zabolęło ją to trochę. A tak się ucieszyła z tego spotkania dawnej towarzyszkii wspólnej walki. Liczyła, że przynajmniej przed nią nie będzie musiała udawać matrony i zdejmie maskę, którą zakładała na użytek publiczny, a będzie mogła znowu być sobą.

Ale Beata była bardzo spięta. Piłsudska dostrzegła to w każdym jej geście, spojrzeniu. Zastanawiała się, skąd się wzięła ta nieśmiałość, która nie była znana tej Beacie, jaką znała dawniej. Czyżby sądziła, że blichtr i luksus mnie zmieniły? – myślała. Sądzi, że łączy nas tylko wspólna przeszłość i nie mamy ze sobą nic wspólnego?

– Tak mnie widzisz? Panią naczelnikową, która pozwoliła omotać się luksusowi, blichtrowi i władzy? Ja się tam duszę. Rzuciłabym to wszystko, gdyby nie to, że Ziuk bez polityki żyć nie może. Zwariowałabym, gdyby nie jego miłość do mnie. Czuję się omotana złotą nicią i szarpię. Choćby teraz. Muszę prosić oficerów o prawo do spokojnej rozmowy ze znajomą.

– Ja ci nie zazdroszczę bogactwa ani władzy, bo to są ulotne rzeczy, tylko szczęścia – odparła Beata. – Promieniejesz, jak każda kobieta, która jest szczęśliwa.

Aleksandra spojrzała na przyjaciółkę uważniej. Jej kobiece oko natychmiast zarejestrowało nadzwyczajną bladość jej twarzy i zaczerwienione oczy. Włosy miała w lekkim nieładzie, co było nadzwyczajne, bo niegdyś pedantycznie dbała o wygląd. Musiało zająć coś naprawdę niedobrego, jeśli nagle przestało jej na tym zależeć.

– I szczęście ulotne jest, bo każda radość jest krucha na tym świecie. Ja żadnej władzy nie mam, tylko część jej spada na mnie poprzez komendanta. Ale ja się na świecznik nie pcham, bo znam swoje miejsce i nie myślę wychodzić przed szereg. Jedyne, co w całości spada na moje barki, to działalność charytatywna, którą staram się łagodzić nędzę i powojenne cierpienia. To niełatwa rzecz, bo państwowy skarbiec ma stale pilniejsze wydatki, które zawsze pierwszeństwo mają przed zabezpieczeniem bytu chorych i biednych. Ale widok szczęścia w oczach tych, którym zdołaliśmy pomóc, wynagradza mi wszelkie poniesione trudy. I byłabym

szczęśliwa, gdyby strażnicy moralności nie ostrzyli sobie na mnie języków.

Zacisnęła wargi, bo wspomnienie oszczerstw i kalumnii, jakie się na nią wylały, dalej sprawiały jej ból.

Beata skinęła głową, bo dobrze wiedziała, o co chodzi. Nie upłynął nawet jeden dzień, by w opozycyjnej do obozu Piłsudskiego prasie nie ukazywały się krytyczne artykuły. Nie oszczędzano w nich nie tylko samego naczelnika państwa, ale nawet osób mu najbliższych – wdzięcznym celem stała się dla nich zwłaszcza Aleksandra. Mało co emocjonowało ludzi równie silnie, jak skandale obyczajowe. A życie bez katolickiego ślubu z kimś, kto wedle praw uznanych przez Kościół wciąż był mężem innej, zasługiwało na potępienie. Teraz temperatura politycznego sporu nieco przygasła, bo przysłoniły go konflikty zewnętrzne, które prowadziło młode państwo polskie.

Beata wiedziała, przez co musiała przejść Aleksandra, by wywalczyć prawo do swojego szczęścia. Wiedziała z doświadczenia, że do osądzania drugich nie trzeba w tym kraju szczególnie nikogo zachęcać. A słowem można siec lepiej niż różgami, ze znacznie gorszym dla bliźnich skutkiem. Ona wiedziała o tym najlepiej. Czym, jak nie słowami, zraziła do siebie Jerzego? A on ją. To słowa zbudowały między nimi mur, którego żadne z nich nie mogło przebić, przez co oboje cierpieli.

Spojrzała na Aleksandrę. Ona to miała szczęście. Na pewno była wielbiona przez kochającego męża, który zapewne poza nią i dzieckiem świata nie widział. Tak silnego węzła żadni źli ludzie językami nie rozwiążą, choćby na nim stanęli – myślała. Ona dla Jerzego też byłaby w stanie zrobić wszystko, tylko że brakło jej siły i energii. Czuła, że jakiś etap jej życia niewątpliwie dobiegł kresu i woda w górę nie popłynie, choćby ją nie wiem jakimi słowami zaklinała.



Zatopiona we własnych myślach nawet nie zauważyła, gdy Aleksandra wprowadziła ją do jednej z kawiarni.

Samo wnętrze lokalu sprawiało dobre wrażenie. Wszędzie było czysto i schludnie. Przy stolikach stały wygodne krzesła, co wówczas wcale nie było normą. Na każdym stoliku tkwiły wazony z kwiatami i serwetki, które służyły do wycierania ust. Na pewną familiarność atmosfery składały się też ściany wymalowane na ciepłe kolory, odbijające się w zwierciadłach ustawionych na stolikach.

Ledwie przekroczyły próg, a już podszedł do nich kierownik sali. Był to starszy, dystyngowany mężczyzna. Na sobie miał idealnie skrojony garnitur, który zdawał się tworzyć z ciałem jedno. Jego foremna twarz przystrojona była w służbową uprzejmość, którą obowiązany był witać wszystkich przychodzących. Jednak Aleksandrze skłonił się zdecydowanie niżej, niż zwykł to czynić w przypadku innych gości.

– Stolik, który należy do pani, jest wolny. Na ile osób nakryć?

– Proszę się nami nie przejmować – odparła Aleksandra, uśmiechając się dyskretnie na widok jego przesadnej uniżoności. – Proszę nakryć którykolwiek ze stolików i kazać przygotować dla nas kawę i ciastka. Ludzi macie tutaj niezbyt wielu, więc chyba nikt się nie zgorszy, jeśli usiądziemy sobie przy normalnym stoliku i spokojnie powymieniamy ploteczki.

Skinął głową. Pracował w swoim fachu nie od dziś i słyszał już niejedno ekstrawaganckie życzenie swoich gości, dlatego nie okazał nawet śladu zdumienia. Poza tym ludzie rzeczywiście mieli jeszcze niewielu, bo skończyły się śniadania, a damy z towarzystwa schodziły się na ploteczki nie wcześniej jak o dziesiątej. Obie panie miały więc przed sobą dość czasu, by spokojnie porozmawiać, a on zajęłby się wówczas doprowadzeniem sali do porządku, aby wszystko lśniło, gdy zaczną przybywać nowi goście.

Zajął się więc swoimi sprawami. Tymczasem Aleksandra z Beatą usiadły przy jednym z bocznych stolików, by mniej rzucać się w oczy wchodzącym. Przez długą chwilę obie trwały w milczeniu, jakby niepewne, czy w ogóle zaczynać tę rozmowę. Aleksandra nie chciała się narzucać dawnej przyjaciółce i z butami wchodzić w jej życie, bo nic nie dawało jej do tego moralnego prawa. Beata zaś nie chciała obarczać dawnej konspiracyjnej koleżanki swoimi problemami. Aleksandra nie była przecież jej spowiednikiem.

Z drugiej strony sama czuła, że problemy, które nagromadziły się w jej życiu, zaczynają ją przerastać. Nadmiar złych myśli sprawiał, że zaczynała zaniedbywać nie tylko samą siebie, ale i córkę. Od czasu swojej pamiętnej wizyty u Jerzego nawet z nią nie rozmawiała, gdyż nie miała na to dość sił. Więc może spotkanie z Aleksandrą było punktem zwrotnym, darem od losu, z którego należało skorzystać. Bo przed kim miała duszę wyzalić i serce otworzyć? Aleksandra była kobietą doświadczoną, która nie tylko mogła zrozumieć skomplikowaną naturę jej położenia, ale i udzielić potrzebnej rady.

– Widziałas, jak kierownik sali zginał się przed tobą w ukłonach? – zapytała Beata, byle cokolwiek powiedzieć i przerwać ciszę.

Aleksandra uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Ja świecę światłem odbitym od mojego męża. Kłaniając się mnie, kłaniają się przede wszystkim jemu i jego sławie, której część spada i na mnie. A ty świecisz własnym blaskiem czy męzkowskim?

Beata zadrżała, choć spodziewała się tego pytania. W końcu wiedziała, że Aleksandra zechce ją wy badać. Mimo to ciężko jej było wynurzać się z własnych nieszczęść, zwłaszcza gdy była pewna, że jej rozmówczyni znajduje się właśnie na przeciwnym biegunie emocjonalnym. Ale znajdowała się w tym punkcie,

z którego nie mogła się już łatwo wycofać. Zaczerpnęła więc głęboko powietrza i zaczęła mówić.

Mówiła długo i szybko, bo słowa, które wypowiadała, zbyt długo na to czekały i teraz płynęły wartkim potokiem. Mówiła wszystko od początku. O tym, jak poznała Jerzego, gdy przemyciała broń do Krakowa. Opowiadała, jak mimo dzielących ich różnic rozwijał się ich związek. Jak ona z powrotem uczyła go polskości, zmieniając wroga Polaków w ich przyjaciela i sojusznika w walce. Mówiła o narodzinach Elizy, które zmusiły ją do wyboru między nim a córką. Nie uzasadniała swojego wyboru, bo była pewna, że Aleksandra ją zrozumie.

– Po tym przekłętym zamachu bombowym odseparowałam go od siebie, by chronić dziecko. Kochałam go i kocham, ale nie umiałam żyć w ciągłym strachu o córkę. Wolałam karmić ją kłamstwami i omal jej przez to nie utraciłam. Ale wtedy myślałam, że tak będzie najlepiej dla nas wszystkich. Po rozpadzie Austro-Węgier nabrałam nadziei, że do mnie wróci. Zamieszkamy w małym domku z ogródkiem, ja urodzę mu jeszcze kilka dzieciaków, a on będzie sadził dla nich drzewa. Lecz on poszedł inną drogą. Zgodził się objąć funkcję szefa naszego wywiadu. Wtedy ostatecznie wzięłam z nim rozwód.

Tu musiała na chwilę przerwać, bo do stolika podszedł kelner i postawił na nim dwie filiżanki kawy oraz ciastka, po czym się oddalił. Piły w milczeniu. Beata potrzebowała tej chwili wytchnienia, by zapanować nad swoimi emocjami, Aleksandra zaś – chwili spokoju, by poskładać sobie tę historię w jedną spójną całość. Bo dopiero teraz pewne fakty z przeszłości stały się dla niej całkowicie zrozumiałe.

Teraz pojęła, skąd Beata czerpała swoje informacje, które niejedną raz pomogły im uniknąć poważniejszych wpadek i strat. Ale nie mogła mieć do niej pretensji o to, że żyła tak, jak żyła. Przecież nie kto inny jak ona sama pokochała żonatego mężczyznę.

Pewnie i Beata czuła się rozdarta wewnątrz między uczuciem a obowiązkiem Polki – pomyślała. Ona postępowała uczciwiej niż ja, bo przynajmniej nie rozbiła szczęśliwej rodziny. A zresztą, minęło tyle lat. Czyż to nie piękna, romantyczna historia?

– Opowiadaj dalej – mruknęła, odstawiając filiżankę na spodeczek. – Teraz już wiem, skąd miałaś te informacje, którymi nieraz ratowałaś nas przed wpadkami. Ucałuję Jerzego, jak tylko go zobaczę.

Beata spróbowała wyobrazić sobie tę scenę. Jerzy obejmuje Aleksandrę. Jego usta się rozchylają. I nagle poczuła, jak ogarnia ją gniew i dzika żądza mordy. Potworna zazdrość zawładnęła jej duszą. Poczowała, że byłaby w stanie zabić każdą kobietę, której on choćby dotknął w intymny sposób.

Aleksandra zauważyła nagłą zmianę, jaka zaszła w jej twarzy i nastroju. Tylko ze względu na długą znajomość z Beatą powstrzymała się przed parsknięciem śmiechem. Poza tym zbyt dobrze знаła jej zapalczywość i wołała nie ryzykować.

– Żartowałam – rzekła pośpiesznie. – Możesz zachować dla innych to spojrzenie zazdrosnej kobiety, bo będzie ich niemało. Jerzy może i nie jest typem Adonisa, bo ostatnio nieco przytył, ale umie roztaczać wokół siebie tę aurę męskości, która tak przyciąga białogłowy.

Twarz Beaty oblała się szkarłatnym rumieńcem.

– Wybacz – rzekła usprawiedliwiająco. – Ja wiem, że do tego, co było między nami, nie ma powrotu. Ale nie mogę ścierpieć myśli, że on inną weźmie. Proszę, żebyś miała go pod tym względem na oku.

Aleksandra nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Jeszcze nigdy nie usłyszała tak dziwnej propozycji. Oto miała szpiegować rozwiedzionego mężczyznę na rozkaz jego byłej żony, by dopilnować, że pozostanie jej wierny. Cała sytuacja była niedorzeczna, ale nie zamierzała robić przykrości starej

przyjaciółce, której przyjaźń nie raz poddało próbie prawdziwe niebezpieczeństwo. Poza tym byłaby to jakaś odskocznia od rutyny belwederskiego życia, które powoli ją wyczerpywało i zabijało jakąś część jej osobowości.

– Skoro nie chcesz, by go inna wzięła, to sama go weź. Uwiedź go – odparła. – Nie sądzę, żeby on przestał cię kochać, bo taka miłość, jaką odmalowałaś w swoim opisie, nie umiera tak łatwo.

Ze zdziwieniem spostrzegła, że na policzki Beaty wypełza rumieniec. Błyskawicznie nachyliła się tak, że ich głowy niemal zetknęły się nad stolikiem, i szepnęła:

– Próbowałaś? Mów, z jakim skutkiem, bo mnie ciekawość zamęczy.

Beata rozejrzała się wokoło, jakby w obawie, że ktoś mógłby je podsłuchać. Ale zaraz uspokoiła się w tym względzie. Ci z nielicznych klientów, którzy byli obecni w kawiarni, zajmowali się swoimi sprawami i nie przejawiali najmniejszej dozy zainteresowania dwiema samotnymi kobietami.

– Muszę dokumentnie wszystko opowiedzieć – zaczęła – jeśli tylko wykażesz się cierpliwością i mnie wysłuchasz. Moja Eliza ma już trochę lat i coraz trudniej mi utrzymywać ją przy sobie. Ciekawa sroka świata, chce mu się napatrzeć. Akurat wtedy krakowski patrycjat organizował bal, który miał odpowiednio uczcić odzyskanie niepodległości. Jak się zapewne domyślasz, Eliza uparła się nań jechać. Perswadowałam, groziłam, nic nie pomogło. Jest uparta jak ojciec.

– I matka – dodała z cicha Aleksandra.

– Nie muszę ci mówić, co się wtedy ze mną działo – kontynuowała Beata, jakby nie słyszała jej uwagi. – Mało to się człowiek dowiaduje o niebezpieczeństwach czyhających na każdym kroku na młode, nieświadome, wychodzące z domu w świat dziewczyny? Dlatego przemogłam własną niechęć i poprosiłam Jerzego o pomoc. Nie odmówił, bo zawsze ze swoich

obowiązków względem Elizy wywiązywał się dobrze. Temu nie mogę przeczyć, choćbym chciała. Przydzielił jej chłopca, który jest mniej więcej w jej wieku, by miał na nią oko podczas trwania balu.

Aleksandra słuchała z uwagą, bo wypadki krakowskie nie były jej znane. Okazała się więc wdzięczną słuchaczką. Beata sprawnie odmalowywała przed nią wszystkie zdarzenia, znane jej z opowieści innych. Mówiła urywanym głosem, jakby nie mogła zapanować nad emocjami, które na nowo wzięły ją we władanie. Opisała swoje przerażenie tak realistycznie, że Aleksandra mogła postawić się na jej miejscu i serce podeszło jej do gardła. Poczulią więź z matką, która siedziała naprzeciw.

W tej chwili dziękowała Bogu, że jej Wandeczka potrzebuje na razie pieluszek, a nie sukien balowych. I jeszcze sporo wody w Wiśle upłynie, zanim będzie musiała wypuścić ją spod swoich opiekuńczych skrzydeł. Może wtedy czas będzie już spokojniejszy, a sowieccy agenci przestaną bezkarnie przenikać na ich terytorium. Osobiście nie lubiła mieć za plecami ochroniarzy, którzy krępowali swobodę jej ruchów. Teraz jednak rozumiała, że ich obecność przy niej jest po prostu przykrą koniecznością, z którą musi się pogodzić. Niebezpieczeństwo było zbyt wielkie, żeby mogła je nierozważnie powiększać, nie stosując się do poleceń obstawy. Nie chodziło przecież tylko o jej własne bezpieczeństwo. Gdyby cokolwiek stało się jej dziecku...

Odrzuciła tę myśl od siebie równie szybko, jak się ona pojawiła. Nie mogła, nie chciała nawet rozważać takiej ewentualności. Woląca skupić się ponownie na słowach Beaty.

– Chłopak oddał nam wielką przysługę, bo gdyby nie jego pomoc, to cała sprawa mogłaby zakończyć się dla mojej córki tragicznie. I tak najadłam się strachu, bo Eliza musiała spędzić kilka dni na obserwacji w szpitalu, gdzie lekarze poddali ją licznym badaniom. Tam spotkałam Jerzego i powiedziałam mu, co o nim myślę, bo już wtedy podejrzewałam, że to wydarzenie może

mieć związek z jego pracą. I pewnie rozstalibyśmy się w gniewie, gdyby nie Eliza, która wymusiła na nas opowiedzenie naszej historii. Musiałam jej wszystko powiedzieć, przyznać się, że latami pozwalałam na to, by miała złe mniemanie o własnym ojcu.

Westchnęła, bo jeszcze teraz na wspomnienie tamtej chwili wstrząsnęły nią dreszcze. Dobrze wiedziała, że mogła stracić swoje dziecko raz na zawsze – Eliza mogła jej nigdy nie wybaczyć, że wskutek jej machinacji ona latami żyła w kłamstwie. Dobrze wiedziała, że w tamtej chwili postawiła na szali relacje, które budowały obie latami. Mogła tylko dziękować Bogu, że wszystko skończyło się szczęśliwie, a Eliza potrafiła jej wybaczyć. Czuła, że nigdy nie zdoła się jej za to odwdziżyć. Sama nie była pewna, czy będąc na jej miejscu, dałaby radę zdobyć się na taką wspaniałomyślność.

– Zaczekaj – przerwała Aleksandra. – Pozwól mi zgadnąć. Twoja córka zadurzyła się w tym Wiktorze?

Beata skinęła głową.

– Młodej dziewczynie nietrudno w głowie zawrócić. Odwaga i uroda daje taki efekt, a temu dzieciakowi ani na jednym, ani na drugim nie zbywa. Choć z tego, co mówiła Eliza, to ów młodzik do kobiet jest bardzo nieśmiały. Całe szczęście, bo moja córka temperament po mnie odziedziczyła.

Aleksandra dopiła resztkę swojej kawy, by ukryć rozbawienie. Znała bowiem charakter Beaty, który trudno było w ryzach utrzymać. Sama miała z tym problem, choć wedle ogólnej opinii potrafiła kierować ludźmi. Dlatego nie dziwiło jej, że większość mężczyzn nie pałało zbyt dużą chęcią do zawierania z Beatą bliższej znajomości. Żaden przedstawiciel płci męskiej nie lubi, gdy kobieta przejawia zbyt daleko posuniętą niezależność. Odstawiła filiżankę na spodeczek z lekkim stukotem porcelany i rzuciła wesoło, choć nieco lekceważąco:

– Też masz czym się przejmować! Jeszcze przedwcześnie z tych zmartwień osiwiejesz. Lepiej wspomnij własne młode lata. Mało to razy całowałaś się, gdy tylko przyzwoitka z oczu cię spuściła? Nie graj więc teraz larum, bo w tym nic wielkiego nie ma. Chłopiec okazał się roztropny, bo ocalił jej życie i zajął się nią w sposób, który nie pasuje do jego młodego wieku. Inny by tak nie postąpił. Ty za to Bogu i jemu podziękuj, bo inny mógłby dziewczyny nie uszanować i wówczas naprawdę byłoby nad czym płakać i los przeklinać.

– Ale w moją Elizę od tego czasu jakoby piorun trzasnęła – bronila się Beata. – Zamknęła się w sobie i w swoim pokoju, odseparowała się od wszystkich, a zwłaszcza ode mnie. Przez dłuższy czas myślałam, że to następstwa wypadku, w końcu przeżyła tam chwilę grozy. Nie przeczę, że próbowałam z niej wydobyć prawdę, bo mi strach było, by w jakąś ciężką chorobę nie popadła. W tym celu chwytalam się różnych sposobów, bo chciałam zrozumieć, co zmieniło moje ruchliwe dziecko, które jeździło konno, strzelało, w zamkniętą w sobie melancholiczkę.

Z twarzy Aleksandry znikł wyraz rozbawienia. Zrozumiała, że sprawy przybrały dużo poważniejszy obrót, niż początkowo sądziła. Teraz niepokój Beaty nie wydawał jej się już pozbawionym realnych przesłanek urojeniem nadopiekuńczej matki. Jeśli Eliza pod wpływem zaszłych w Krakowie zdarzeń gwałtownie zmieniła swoje zachowanie, to mogło to oznaczać dla jej przyjaciółki spore kłopoty.

Z góry współczuła jej samotnego borykania się z tymi problemami. Wiedziała, że będzie jej brakowało męskiego wsparcia. Wprawdzie Beata mówiła jej, że Jerzy nie uchyla się od spełniania ojcowskich obowiązków, ale wątpiła, czy będzie mógł być przy Beacie dzień i noc, by udzielać jej tak potrzebnego wsparcia. A jeśli miałyby być ze sobą zupełnie szczerą, to była po prostu pewna, że to niemożliwe.



Na barkach szefa wywiadu spoczywały bowiem rozliczne obowiązki, których w żaden sposób nie dałoby się pogodzić z koniecznością opieki nad byłą żoną i córką. Pokręciła głową, jakby chciała swoje myśli zakomunikować światu. To byłoby za dużo nie tylko dla jednego człowieka, ale i dla kilku ludzi. Jerzy musiał przecież nadzorować olbrzymią maszynę, która dopiero krzepła, co nie pozwalało spuścić jej z oka nawet na chwilę. Bez jego pewnej ręki całe dzieło mogłoby ulec zniszczeniu. A na to nikt nie chciał i nie mógł sobie pozwolić. Kraj nie mógł pozostać w tak niespokojnym czasie bez należytej osłony kontrwywiadowczej. Ktoś musiał rozpracowywać umieszczoną na ich terenie agenturę ościennych mocarstw, zakładać własne siatki wywiadowcze, aby możliwie efektywnie zbierać informacje o wrogich poczynaniach sąsiadów.

Tego nie dało się robić tak, by jednocześnie wygospodarować dość czasu na opiekę nad żoną i córką. Doby by na to nie starczyło. Ona знаła to z własnego doświadczenia. Ziuk też prawie nie miał czasu dla rodziny, bo wszystkie jego myśli ustawicznie biegły ku sprawom państwowym. Ale tak być musiało i każda kobieta, która zdecydowała się na związek z politykiem, musiała się z tym pogodzić. Jej przyszło to z trudem, ale w końcu zrozumiała, że na próżno walczy z losem i powinna raczej cieszyć się tym, co od niego dostaje. Choć nadal uważała, że najuczciwiej z nich wszystkich postępował Dmowski, trwając w stanie kawalerskim. Uwielbiała myśleć, że dochowuje w ten sposób wierności pierwszej i jedynej miłości swojego życia. Wydawało jej się to... bardzo romantyczne.

– Słuchasz mnie? – Głos Beaty wyrwał ją ze szponów głębokiego zamyślenia.

Skupiła z powrotem rozbiegany wzrok na twarzy przyjaciółki i dostrzegła na niej silne zmieszanie, jakby to, co miała za chwilę

opowiedzieć, było dla niej szczególnie trudne. Kiwnęła więc zachęcająco głową i z powrotem wciągnęła się w słuchaną historię.

– W końcu udało mi się zacząć z nią rozmowę i tak dowiedziałam się o wszystkim, co się tam zdarzyło; między innymi o tym, jak całowała go, będąc nad fontanną. – Skrzywiła się lekko. – Moja córka była załamana, bo Wiktor nie odwiedził jej w szpitalu. Bała się, że nigdy więcej go nie zobaczy. Biedactwo tak nabiło sobie głowę tymi myślami, że marniało mi w oczach. Nie mogłam więc dopuścić, by trwało to dłużej. Tym bardziej że chciała wciągnąć Jerzego w poszukiwania, a on przecież dość ma na głowie. Obiecałam więc sobie, że go odnajdę, choćby się pod ziemią skrył, by Elizę z boleści wybawić.

Chyba nie tylko ją – pomyślała Aleksandra, ale nie zdradziła się niczym z tą myślą. Wolą, by Beata sama zdecydowała, ile chce jej wyjawić. Nie chciała sprawiać wrażenia osoby wścibskiej, która wymusza na niej udzielenie sobie określonych informacji. Czuła się raczej niczym spowiednik, który wie tyle, ile osoba klęcząca przy kratkach konfesjonu postanowi mu powiedzieć. Odgadywała, że cierpienie Beaty nie bierze się ze słabości fizycznej, a raczej z choroby duszy. A na nią jedynym lekarstwem był czas i przyjaciel, który zechce cię wysłuchać, gdy dojrzejesz do tego, by wyjawić mu, w czym rzecz – myślała. Żadne wymuszanie zwierzeń nie miało tu sensu, bo Beata i tak mogła zataić przed nią, co tylko uznała za stosowne. Podobnie ludzie poczynali sobie ze spowiednikami, dlatego to właśnie do nich najchętniej się teraz porównywała.

– Jak postanowiłam, tak zrobiłam – mówiła Beata. – Posłałam Elizę do jej ukochanego rumaka, a sama ubrałam się w najlepszy strój i poszłam na plac Saski. Nie byłam pewna, czy mnie tam wpuszczą, ale fortuna pobłogosławiła mojemu przedsięwzięciu. Sam Jerzy wyszedł po mnie do wartowni. Ucieszyło mnie, że czas trwałej wyrył na nim swój wpływ niż na mnie.

Aleksandra nie zareagowała na te małosłowne słowa, bo była skupiona na odczytywaniu prawdziwych emocji z mimiki jej twarzy. Ta mówiła jej znacznie więcej niż słowa. Oczy jej błyszczały nienaturalnym blaskiem, takim, który zwykle wywoływać przyjemne wspomnienia. Teraz mogła być już pewna, że jej przyjaciółka żywiła do Jerzego zgoła inne uczucia od tych, które miała na języku. Ale dostrzegła też, że uczucie to zasypywane jest żalem i bólem. Nie potrafiła jednak odpowiedzieć sobie jeszcze na pytanie, do kogo i o co tak naprawdę Beata ma żal.

Ale była pewna, że będzie on narastał. Ona sama także musiała to dostrzegać. Dlatego godziła się na tę rozmowę, która nie była przecież dla niej przyjemnym doświadczeniem. Nikt nie lubi zdradzać tajemnic swego serca; rzeczy tam ukryte należą bowiem tylko do jego właściciela. Beata prawdopodobnie instynktownie czuła, że nie miała wyboru, dlatego szukała ratunku.

– Rozmawialiśmy długo, ale w końcu osiągnęłam to, po co tam poszłam. Wiktor spotka się z moją córką na balu, który ty będziesz organizować. Jeśli mogłabym mieć do ciebie prośbę, to chciałabym, abyś wpłynęła na mistrza ceremonii, żeby ten posadził ich obok siebie.

Aleksandra poczuła na sobie jej palący wzrok i się uśmiechnęła. Czuła się jak swatka z powieści, która z ukrycia pociąga za wszystkie sznurki. I to pozwalało jej myśleć o tym pomysle, który zakomunikował jej Wieniawa, w tonie nieco bardziej optymistycznym. Potem jeszcze Ziuk polecił jej wydać bal jak najokazalej i jednocześnie zapłacić zań jak najmniej – jej powierzono zadanie pogodzenia sprzeczności. Nigdy bym się na to nie zgodziła, gdyby mnie o to nie poprosił – pomyślała.

– Masz to załatwione – odparła. – To ja odpowiadam za sprawy organizacyjne, choć wolałabym, by powierzono je komu innemu, bo ja nie umiem wydać okazałego balu tanio. Powiedz mi, dlaczego

mężczyźni tak chętnie piją na tego typu przyjęciach, a nigdy nie chcą zajmować się ich organizacją?

Beata odetchnęła z ulgą. Była bowiem szczęśliwa, że udało jej się zapewnić Wiktorowi i Elizie komfortowe warunki do rozmowy. Pamiętała, co obiecała Jerzemu, i nie zamierzała mieszać się więcej do tej sprawy. A i tak była pewna, że będzie jej zarzucał nadmierne wtrącanie się w życie córki. Ale teraz jej to nie obchodziło. Jerzy był w końcu tylko mężczyzną, niczym więcej. A oni nie rozumieli kobiet. Natomiast ona rozumiała swoją córkę lepiej, niż ta sądziła. Rozumiała, że pragnęła stabilizacji, choć zapewne nie umiałyby zdefiniować swoich uczuć. Z nią samą było podobnie. Też pragnęła spokoju serca. Ale nie mogła o tym marzyć, póki zupełnie nie oderwie go od Jerzego.

Eliza wprawdzie półdziekiem jeszcze była, które chętnie i łatwo proste zauroczenie z wielką miłością pomylić mogło. Za to ona wiedziała z doświadczenia, że zauroczenie przeminie samo, a z wielką miłością walczyć nie ma sensu. Sama miała tego przykład na sobie. Odeszła od Jerzego pełna żalu i gniewu i wydawało jej się, że ten rozdział życia pozostawiła za sobą. Ale ledwie jej dotknął, ledwie poczuła jego dłonie na swojej skórze, już wiedziała, że wiążą ich ze sobą więzy mocne i trwałe, które nie chciały pęknąć, mimo starań ze strony obojga. Ona była jego, a on jej. Mogła go nie całować, ale chciała tego. Mógł się bronić, ale chciał tego. I choć ciężko ją zawiódł i obraził, to przecież kochała go jeszcze.

Spojrzała poważnie w oczy Aleksandry, która od dłuższej chwili obracała w palcach filiżankę. Widać czekała, aż koleżanka sprzed lat opowie o swojej nieudanej próbie uwodzenia Jerzego.

Beata wzięła więc głęboki wdech i wytrajkotała z szybkością karabinu maszynowego, jakby bojąc się, że będzie zmuszona powtórzyć to jeszcze raz:

– Kiedy odprowadzał mnie ze swojego gabinetu, trzymając za rękę... ja zaczęłam go całować, zaplotłam mu ręce na szyi. Nie bronił się. Kochał mnie jak dawniej. Czulałam się tak, jakbym była boginią, a on moim wyznawcą. Posadził mnie na biurku, podwinął sukienkę i wtedy... – Urwała i poczerwieniała tak, iż Aleksandrze wydawało się, że krew tryśnie jej z policzków.

Wiedziała, że ma problem z powiedzeniem jej czegoś. Ale nie była w stanie domyślić się, o co chodzi. Przecież Beata nie była podlotkiem, by wstydzić się seksu. Żadne z nich nikogo nie zdradzało, nikogo nie krzywdziło, więc co stało na przeszkodzie? Tej szybkiej analizy dokonała w kilka setnych sekundy, lecz tego, co miała usłyszeć, nie spodziewała się w najśmielszych snach.

– I wtedy strąciłam z biurka lampę. On spojrzął na nią i w jednej chwili cały żar z niego uleciał. Podbiegł do niej i przyglądał się kablom. – Kończyła tak cichym głosem, że mimo panującej w kawiarni ciszy Piłsudska ledwie mogła ją dosłyszeć. – Patrzysz na pierwszą w dziejach kobietę, która została porzucona dla lampy. Jeszcze żadnej z córek Ewy nie spotkała taka hańba. Kocham go, ale tego, co tam mi zrobił, nie odpokutuje nigdy.

Aleksandra zastanawiała się nad odpowiedzią. Pozornie rozumowanie Beaty było prawidłowe, ale Jerzy był szefem wywiadu. A w świecie, w którym się obracał, najprostsze sytuacje mogły mieć drugie dno. Przecież nie po to ryzykował przyłapanie i kompromitację, Kochając się z Beatą na biurku, by przejmować się głupią lampą.

– Spytałaś go, o co chodzi?

– A jak miałabym sformułować to pytanie? – odparła, zgrzytając zębami, bo znów gniew ją chwycił. – „Kochanie, dlaczego ta lampa jest ważniejsza od moich ud?”? Wybiegłam stamtąd, walcząc, by się przy nim nie rozkleić. Pewnie sprowokował mnie specjalnie,

bym okazała słabość, a ja naiwna i głupia nie poznałam się na niczym.

Aleksandra pokręciła przecząco głową.

– Odlóż na bok emocje i spójrz na tę sytuację okiem bezstronnego obserwatora – poradziła. – Gdyby było tak, jak mówisz, to nie prowokowałby cię w swoim miejscu pracy, gdzie łatwo ktoś mógł go przyłapać w kompromitującej sytuacji. Miałby ryzykować swoją pozycję, pracę, dla tak niskich pobudek? Zdejmij łuski z oczu. On cię kocha. A poza tym zbyt jest szlachetny, żeby się miał takich rzeczy przeciwko kobiecie i matce swego dziecka dopuszczać. Gdyby on to słyszał, to zapewne urazę śmiertelną do ciebie by podjął, że go oczerniasz, ani jednego słowa jego obrony nie usłyszawszy.

Aleksandra zirytowała się, bo naprawdę lubiła Jerzego, choć widziała go w Belwederze ledwie kilka razy, gdzie bywał na organizowanych tam naradach. I poznała zaraz, że ból i żal w sobie nosi, co w jej sercu budziło litość. Teraz nie mogła ścierpieć, że jej przyjaciółka, która mogła prostą drogą do jego serca iść, sama z własnej woli wyrzekła się szczęścia przy jego boku. I to z powodu własnej pychy, która każe jej nie zadać mu jednego pytania, mogącego rozwiązać wszystkie jej wątpliwości. Sama przez to usycha, a jemu zadaje ból, na który nie zasłużył – pomyślała.

– A skąd ty wiesz, że on mnie kocha? – spytała Beata, w której sercu słowa Aleksandry obudziły nadzieję. Wydawało jej się bowiem, że mogło być w nich dużo racji. I aż dziwiła się samej sobie, że jej takie rozumowanie nie przyszło do głowy. Lecz wtedy targały nią gniew i rozpacz, spowodowane wzgardą, jakiej doznała. Nie chciała i nie mogła myśleć racjonalnie. Do dziś nie wiedziała, jak wtedy odnalazła drogę do domu, bo przez łzy niemal nic nie widziała na oczy. A po upływie kilku dni, gdy gniew zamienił się w żal, również nie szukała z nim rozmowy, bo ją

własna duma trzymała na łańcuchu. Jak ona miała tam pójść? Przecież już zrobiła więcej niż wiele innych kobiet w podobnej sytuacji. Pocałowała go jako pierwsza. Miała to zrobić drugi raz? Narażając się na drwiny i na obmowę? Żeby wszyscy mówili, że się nie szanuje i zachowuje jak żebraczka? Nie, ona nie mogła tego zrobić. To on powinien przyjść do mnie – pomyślała. A ja już mu tam pociechę obmyślę.

I ta myśl przypadła jej do smaku, bo aż pokraśniała z zadowolenia i oczy jej zabłyśły. Lecz Aleksandra starła jej uśmiech z twarzy.

– Bo mam oczy. Widziałam go kilkakrotnie w Belwederze i dostrzegłam w nim ślad brzemienia, które nosi na sercu. A gdy ostatnim razem spytałam go o żonę, to tak się zachował, jakbym mu gorące żelazo do piersi przyłożyła. To ty jesteś tym żelazem. Chcesz czy nie, kochasz go. Tego się chyba nie zaprzcesz, a gdybyś nawet próbowała, to ja ci nie uwierzę, gdyż za dobrze cię znam. A co więcej: usychasz bez niego. Jeśli mi nie wierzysz, to spytaj własnego lustra. O ile go nie stłuczysz.

Beata spuściła oczy. Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć, jak się bronić. W słowach Aleksandry wyczuła prawdę, ale broniła się przed nią ze wszystkich sił swej duszy. Nie chciała przyznać, że jej najskrytszym pragnieniem jest odzyskanie jego szacunku i miłości. Nie sądziła, że i on ją jeszcze kocha. Ale jeśli tak, to dlaczego wtedy zachował się tak niezrozumiale?! Przecież ona już mu się wówczas ofiarowała. Co jeszcze miała zrobić?

– Czego ty od niego oczekujesz? – dociekała Aleksandra. – Żeby tylko w oczy ci patrzył, serenady pod oknem wyśpiewywał? Kochasz jego czy swoje wyobrażenie o nim? Moje życie też nie jest takie, jakiego bym chciała, ale potrafiłam pójść z nim na kompromisy. Nie wymagam od Ziuka rzeczy, których spełnić nie jest w stanie. Za to robię wszystko, by w miarę moich możliwości ulżyć mu w ciężarze, który musi dźwigać. Ty spróbuj postępować

podobnie. Ale najpierw idź do niego, nim cię inna uprzedzi, bo potem będziesz sobie w brodę pluła, że pozwoliłaś, by szansa na szczęście przemknęła ci koło nosa.

– A czemu on nie może przyjść do mnie? – szepnęła niepewnie. – Powiedzcie, że mnie kocha i chce być przy mnie aż po czasu kres. Czemu to ja mam o niego zabiegać i w oczy mu patrzeć? Już raz próbowałam to zrobić i tylko wstydu się po same pachy najadłam. Dlaczego? Podaj mi jeden argument.

– Bo sama zostaniesz, ot co – odparowała Aleksandra bezlitośnie. – Czasu nie zatrzymasz. Eliza ci dorasta i lada chwila na swoje pójdzie, a do ciebie będzie co najwyżej wpadać na niedzielne obiady. Chcesz być sama, to postępuj tak dalej. Rozumiem, że mogłaś się odseparować od Jerzego, póki Eliza była mała, aby nie ściągać na nią niebezpieczeństwa. Ale teraz to już naprawdę nie pojmuję, dlaczego nie mielibyście być razem. Schowaj swoją dumę do kieszeni, nim tylko ona przy tobie zostanie, bo ona się do ciebie nie przytuli. Pokaż, że my, kobiety, naprawdę jesteśmy od nich mądrzejsze.

Położyła jej dłoń na ramieniu, chcąc dodać koleżance otuchy. W pełni bowiem rozumiała, że to nie jest dla Beaty łatwa decyzja, ale też jedyna, jaką w tej chwili mogła i powinna podjąć. Znała ją aż za dobrze i wiedziała, co się teraz dzieje w jej sercu. Tam toczy się najważniejsza bitwa jej życia i sama była ciekawa, jakim skończy się rezultatem. Kibicowała jej z całej duszy, by podjęła właściwą decyzję, bo nie mogła patrzeć na to, jak cierpi. Chciała odzyskać dawną przyjaciółkę, która i dla niej podporą by być mogła w tym świecie, do którego obie nie nawykły, a w którym zrządzeniem losu przyszło im żyć.

Czekała w napięciu, aż Beata wreszcie podejmie decyzję. Nie spuszczała wzroku z jej ust, jakby w obawie, że przegapi ten ważny moment. Dostrzegła więc jej zmarszczone brwi i nerwowy grymas na twarzy – znaki wewnętrznej walki. Z trudem pokonała



pokusę, by się do niej wtrącić. Ale rozumiała, że żadną miarą tego zrobić nie może. To musiała być w pełni samodzielna decyzja Beaty, bo miała zadecydować o jej przyszłości.

– Dobrze. Zrobię to. Spotkam się z nim – odparła Beata po dłuższej chwili ciężkiego milczenia. – Ale na własnych warunkach.

Aleksandra musiała przywołać wszystkie pokłady swojej cierpliwości, by nie uderzyć pięścią w stół. Miała już stanowczo dosyć tej rozmowy, ale raz jeszcze nad sobą zapanowała.

– Spotkam się z nim w jego mieszkaniu, tylko musisz mi zdobyć jego aktualny adres – kontynuowała Beata, jakby nie dostrzegając napięcia widocznego na twarzy Aleksandry. – Nie będziemy przecież prali naszych brudów w miejscu publicznym. A tak omówimy sprawę między sobą, bez zbędnych świadków, i albo będę mogła z czystym sumieniem do niego powrócić, albo o nim zapomnieć. Ale jakkolwiek sprawa się skończy, dzięki temu rozwiązaniu obcy ludzie nie będą o niczym wiedzieć.

Aleksandra poczuła się tak, jakby ktoś zarzucił jej na plecy ciężki worek z mąką. Wiedziała, że znów wikła się w gardłową sprawę, bo adres szefa wywiadu był skrzętnie ukrywany i niewiele osób znało położenie jego mieszkania. Ujawnienie tej tajemnicy groziło w najlepszym wypadku wieloletnim więzieniem. I nic by jej nie pomogły wpływy i koneksje. Ale jednocześnie czuła, że sprawy zaszły już za daleko, by mogła się wycofać. Gdyby nie rozdmuchiwała w Beacie tej isierki nadziei, którą ta miała skrytą na dnie duszy, to być może zdobyłaby się na zrobienie kroku w tył. Ale nie w tym przypadku. Nie po tym, co jej tu dziś powiedziała.

A, do diabła z tym! – pomyślała z nagłą determinacją. Uczestniczę już w jednym nie w pełni legalnym przedsięwzięciu, to mogę wziąć udział w dwóch. Tym bardziej że zrobię to, by przywrócić szczęście przyjaciółce, która wielokrotnie nie wahała się narażać dla mnie życia. Teraz ja nie mogę nie zaryzykować dla niej swojej reputacji.

– Dobrze. Zdobędę ten adres. Ale od dziś jesteśmy na powrót przyjaciółkami. Łączy nas bowiem wspólny sekret, a to najpewniejszy fundament przyjaźni. Dlatego pomożesz mi w organizacji tego balu, bo sama sobie z tym nie zdołam poradzić. A teraz powiedz mi, co tam nakupowałaś.

– Tylko stroje dla mnie i Elizy – wyjaśniła Beata. – Ty sobie nawet nie wyobrażasz, co ja mam teraz z tą dziewczyną. Tu krój sukni nie taki, ta zbyt skromna. A paryskie żurnale to przegląda bez przerwy.

Aleksandra roześmiała się perliście. Po raz wtóry podczas tej rozmowy dziękowała Bogu, że jej Wandeczka ma jeszcze ten czas przed sobą. Wolała, by była w kołysce jak najdłużej. Porozmawiały jeszcze chwilę, po czym opuściły lokal i udały się ku sklepowi Vavet.

Tam Aleksandrę przywitała nieco już zniecierpliwiona obstawa, która bez ceregieli usadziła ją w samochodzie. Beata zdążyła wcisnąć jej w rękę kartkę ze swoim adresem i sama musiała solennie przyrzec, że będzie ją odwiedzać w Belwederze.

Przez chwilę stała na ulicy, bo miała nieodparte wrażenie, że ktoś się jej przygląda. Spojrzała w lewo i prawo, lecz nie dostrzegła niczego niepokojącego. Chwyciła więc pakunki i ruszyła ku domowi, wiedząc, że Eliza zapewne niecierpliwie na nią wyczekuje.

## Rozdział VIII

Andrzej Bukojemski z dumą rozglądał się po swoim królestwie. Pod jego kierownictwem referat techniczny nabierał kształtów. Na jego potrzeby zaadaptowano podziemia siedziby wywiadu. Teraz obszerne pomieszczenie zajmowały głównie ogromne regały, które wypełniały wzory dokumentów, różnego rodzaju tusze, farby i wiele innych rzeczy. To tu schodzili się technicy, chemicy, by dyskutować z nim lub przedstawiać wnioski kadrowe i zapotrzebowanie. Dobrowolski dotrzymał bowiem słowa i pozostawił mu zupełną swobodę działania, którą ograniczał jedynie budżet referatu.

Jeżeli mógł się na coś skarżyć, to na panujący tu chłód, który ciągnął od murów. Nie były to zbyt korzystne warunki dla jego starych kości, ale były to tylko drobne niedogodności, nad którymi z łatwością przeszedł do porządku dziennego. Bo w końcowym rozrachunku jego życie nabrało rozpędu, a majątek się powiększył. Dzięki współpracy z wywiadem zapłacił organom ścigania za swoje występki, co sprawiło, iż nie musiał ciągle obracać się za siebie, zyskał stałe źródło dochodu, który mógł obracać na swoje potrzeby. A przede wszystkim mógł robić to, co kochał.

Pierwsze jego zlecenie zaskoczyło go, choć był gotów na wiele interesujących zadań, których spodziewał się w pracy wywiadowczej. Nie przypuszczał jednak, że na pierwszy rzut pójdzie naprawa lampy biurowej. W tym celu wezwał go do siebie Dobrowolski, choć jeszcze chwilę wcześniej wahał się, czy w ogóle

powinien korzystać z jego usług. Tymczasem już w godzinę później pokazał mu to miejsce i zaprzął go do roboty. Najpierw całe zadanie wydało mu się kompletnie niedorzeczne. Spodziewał się bowiem wszystkiego, tylko nie tego, że swoją nową pracę rozpocznie od wykonania idealnej repliki lampy biurowej.

Nie wypadało jednak marudzić pierwszego dnia, więc zażądał odpowiednio powiększonych fotografii przedmiotu i zabrał się za wykonywanie zlecenia. Dopiero w trakcie pracy przekonał się, z czym tak naprawdę ma do czynienia, i wtedy poczuł przypływ gwałtownego podniecenia. Na stłuczonej lampie dostrzegł bowiem szpulę taśmową. A z tego, co wiedział, ta ostatnia nie należała do standardowego wyposażenia lamp biurowych. Powodowany ciekawością, natychmiast sprawdził zawartość taśmy i przekonał się tym sposobem, że zawierała nagrania rozmów, które odbywały się w gabinecie Dobrowolskiego.

Wtedy zrozumiał nagłość wezwania i gniew, jaki dostrzegł w twarzy pułkownika, a także wagę swego zadania. Dlatego z robotą uporał się szybko i sprawnie. Idealna replika lampy spoczęła na biurku sekretarki pułkownika, nim ktokolwiek zdołał się zorientować, że coś stało się jej poprzednicze. Na wyraźne życzenie pułkownika zachował także mechanizm nagraniowy.

Z trudem podszedł do swojego małego, niczym niewyróżniającego się biurka. Przy okazji znowu klął swoje nogi, które wraz z upływem czasu służyły mu coraz gorzej. Właśnie dlatego wypisał się ze złodziejskiej profesji, bo dobrze wiedział, że wolny złodziej – to martwy złodziej. On zaś nie miał zamiaru skończyć w ziemi, zanim nie zakosztuje wszystkich smaków i uroków życia. W końcu odłożył już dość, by mieć za co je kupować. Praca w wywiadzie nie pozbawiała go tych możliwości, a jednocześnie pozwalała zachować kontakt z adrenaliną i emocjami, bez których żyć nie umiał.

Ostrożnie zapadł się w miękkie krzesło i spojrzał na lampę, którą stworzył dla siebie. Była dokładnie taka sama jak ta, która stała na biurku sekretarki Dobrowolskiego. Przyglądał się jej z uwagą i natężeniem. Nie pozwolił sobie nawet na mrugnięcie. Z zadziwiającą zręcznością manipulował przy niej swymi grubymi palcami, choć wydawało się to prawie niemożliwe. Z każdą sekundą przekonywał się, że ten, kto opracował ten projekt, z pewnością używał do myślenia właściwego narządu. Doceniał umiejętności przeciwnika. Kimkolwiek by był. Ale to motywowało go tylko jeszcze bardziej do tego, by ograć tajemniczego wroga.

Z transu wyrwało go ciche pukanie. Zaklął szpetnie. Nie znosił, by ktokolwiek przeszkadzał mu przy robocie. Przy tak misternej pracy, jaką wykonywał, potrzebował bowiem skupienia i wyciszenia. Tu ważny był każdy ruch ręki, każde muśnięcie palców, a najmniejszy błąd mógł mieć nieobliczalne konsekwencje.

– Wlazł! – warknął, nawet nie starając się ukrywać swojego gniewu.

Usłyszał lekki skrzyp otwieranych drzwi. Po chwili stanął przed nim pułkownik Dobrowolski.

Andrzej rzucił na niego okiem i przekonał się, że jego pryncypał zapewne nie przespał nawet kilku godzin. Nadzwyczajna błądź jego twarzy i podkrążone oczy aż nadto wyraźnie to określały. Nie dziwiło go to. Rozumiał bowiem wagę tego, co się stało, i zdawał sobie sprawę, że Dobrowolski nie miał powodów do radości. To, co razem ustalili, było bolesną kompromitacją dla nowej służby wywiadowczej, a więc i dla pułkownika. Poza tym nikt z nich nie wiedział, jak długo urządzenie podsłuchowe tkwiło w tym gmachu, jakie sekrety przestały być tajemnicą dla wroga za jego przyczyną.

Jerzy rozglądał się przez chwilę po pomieszczeniach referatu. Rzucił okiem na dzieło Andrzeja, który tylko pozornie nie interesował się jego osobą. Dałby głowę, że Bukojemski dokładnie zarejestrował wszelkie zmiany, jakie zaszły w jego wyglądzie. Sam

wiedział, że jest wczorajszy. Od kilkudziesięciu godzin nawet nie zmrużył oka ani się nie odświeżył. Jego mundur pilnie potrzebował prasowania, a ciało prysznic, bo wkrótce zacznie wyglądać jak bezdomny.

Ale w tej sytuacji, w jakiej obecnie się znalazł, nie mogło być inaczej. Czuł się tak, jakby umarł mu ktoś bardzo bliski. Wpierw śmierci i końca świata by się spodziewał niż tego, że komukolwiek uda się tak ryzykowne zagranie. Urządzenie podsłuchowe ukryte w lampie pokazało mu dobitnie, jak słabą jeszcze strukturą kierował. Wielki sukces, jakim było unieszkodliwienie Wiosennego Słońca, pozwolił mu prawie o tym zapomnieć. Teraz brutalna rzeczywistość zapukała do jego drzwi ze zdwojoną siłą.

A on musiał przyznać się sam przed sobą, że bardzo boi się je otworzyć. Wolał nie zastanawiać się, ile sekretów młodego państwa przeniknęło tą drogą do wroga. Wolał nie pytać, jak lampa trafiła na biurko Zofii i kto ją tam dostarczył. Kto stał za tą operacją. Wolał nie zadawać tych pytań, ale nie był małym dzieckiem, by zamykać oczy przed niebezpieczeństwem, ufając, że ono samo zniknie. Nie zniknie. A skoro nie dało się zapobiec nieszczęściu, to należało zminimalizować jego skutki.

Stanowczo nie był to czas na jałowe lamenty. Sytuacja bowiem otwierała przed nim ogromne pole do działania. To była szansa na poprowadzenie gry inspiracyjnej z przeciwnikiem. Zamierzał chwycić się jej obiema rękoma. Ale kluczową kwestią było utrzymanie sprawy w tajemnicy i załatwienie jej w jak najkrótszym czasie. Nie chciał przekazać tej sprawy komu innemu, tu nie było miejsca na błędy. Dlatego wolał wziąć pełną odpowiedzialność na siebie. Teraz był śmiertelnie zmęczony, ale szczęśliwy. Przebrnął już bowiem przez najgorszy punkt operacji, gdzie ryzyko wpadki było największe.

Gdy o tym teraz myślał, ledwie był w stanie uwierzyć, że to wszystko się udało. Spojrzał na Andrzeja z szacunkiem. Gdyby sam

nie widział, to nigdy by nie uwierzył, że poradzi on sobie z wykonaniem repliki w ledwie kilka godzin, zachowując przy tym najściślejszą tajemnicę. Było to zadanie trudne, którego trudność jeszcze zwiększył, nie przydzielając mu ludzi do pomocy. Ale był niemal pewien, że stary wyga wiedział, że chodziło mu o zachowanie tajemnicy, która tym była prostsza w utrzymaniu, im mniej osób o niej wiedziało. Była to stara zasada wywiadowców, o której słuszności wielokrotnie miał okazję się przekonać.

Teraz przyglądał się jego pracy z mniejszym zdumieniem, choć uprzednio nie mógł się nadziwić zręczności jego grubych palców, które z łatwością dopasowywały kolejne elementy, używając do tego celu precyzyjnych urządzeń. Było to zadziwiające, a jednak prawdziwe. Zręczność tych pokrytych poduszkami z tłuszczu palców zachwycała go. I po raz pierwszy był pewien, że nigdy nie pożałuje zaufania, jakie okazał Bukojemskiemu, mimo że ten był krnąbrny i nie okazywał wobec niego nawet krzty wdzięczności. A przecież miał za co być mu wdzięczny, bo dał mu szansę odkupienia win i otworzył drogę ku świetlanej przyszłości.

Jerzy jednak cenił ludzi, którzy znali swoją wartość, wykonywali rozkazy, ale jednocześnie nie płaszcyli się przed nikim. A Andrzej właśnie taki był. Robił to, co do niego należało, w dodatku cicho i spokojnie, ale w potrzebie krzywdy sobie zrobić nie dał.

Dobrowolski rozejrzał się wokoło, po czym podsunął sobie jedno z krzeseł i usiadł naprzeciw Andrzejowi. Przez chwilę przyglądał się jego pracy, ale zaraz przypomniał sobie, że nie przyszedł tu dla rozrywki. Dlatego chrząknął, a gdy Andrzej uniósł głowę znad biurka, rzekł bez wstępów:

– Ustaliłeś coś?

Na twarzy Andrzejowi odbiło się zniecierpliwienie. Nie lubił być popędzany, a od kilku godzin pracował bez wytchnienia.

– Niewiele – odparł, tłumiąc irytację. – Ale na pierwszy rzut oka widać, że ktoś, kto opracował ten wynalazek, fiutem nie myślał. Lampa to standardowy produkt i ta droga nigdzie nas nie doprowadzi. Żadna część nie pochodzi z Niemiec ani z Rosji. Tam na wschodzie nie mają teraz chyba głowy do bawienia się w tego typu zabawy. Osobiście stawiałbym na Niemców. Nawet przeanalizowałem pod tym kątem lampę; sprawdzałem, z jakiego kraju pochodzą poszczególne jej części, ale tą drogą nic nie ustaliłem.

Jerzy machnął ręką, bo nie spodziewał się innej odpowiedzi. Ten, kto zadał sobie tyle trudu, by wprowadzić tak wyrafinowany podsłuch do jego otoczenia, z pewnością nie popełniłby tak szkolnego błędu. Niemniej chciał mieć w tej sprawie czyste sumienie, więc sprawdzał wszystko jak należy. Bardzo bowiem chciał dobrać się przeciwnikowi do tyłka. Kimkolwiek był, obnażył on wszystkie jego słabości, a także podrażnił ambicję.

Czuł się nie tylko pobitym, ale i upokorzonym. O ile znał historię działań tajnych służb wywiadowczych, to jeszcze żadnej nie zinfiltrowano w tak głębokim stopniu, jak jego własną. I nie mógł się pocieszać nawet tym, że namierzył podsłuch samodzielnie, bo zdawał sobie świetnie sprawę, że pomógł mu przypadek, który był przecież bronią obosieczną. Nie mógł tego uważać ani za swój sukces, ani za zwycięstwo. Choć taka interpretacja zapewne poprawiłaby mu humor.

Uśmiechnął się jednak, gdy pomyślał, jak czuliby się jego przeciwnicy, gdyby wiedzieli, co doprowadziło do zdemaskowania ich operacji, która kosztowała pewnie sporo wysiłku. Zapewne nie przypuszczali, że w moim wieku mam jeszcze ochotę na takie rzeczy – pomyślał. Lecz zaraz mina mu zrzedła, bo wspomniał Beatę. Wolał nie wyobrażać sobie, co musiała teraz czuć, ale wtedy jego myśli były tak zaprzątnięte tamtą sprawą, że nawet o niej nie pomyślał.



Potrząsnął głową. To nie był czas na takie rozterki. Jeszcze nie potrafił do końca wejrzeć w swoje serce, choć musiał przyznać sam przed sobą, że zachował się wobec niej jak nieopierzony młodzik. I tak kochałby się z nią wtedy, nie zważając na nic i na nikogo. Tego akurat był pewien. Ale jednocześnie wiedział, że jakaś część jego serca dalej wyje z bólu i jest pęknięta. Nie, nie potrafiłby znowu jej zaufać, nie po tym wszystkim. Nie po tym, jak wpadła w ramiona innego. Tego przemysłowca z Lublina. Ludwika Mierosławskiego.

W zamian dyskretnie zablokował mu kilka lukratywnych kontraktów rządowych. Była to perfidna zemsta w najczystszej postaci, ale nie potrafił się powstrzymać. Dlatego zakłady Mierosławskiego znajdowały się pod specjalnym nadzorem, dzięki czemu Dobrowolski wiedział o nich więcej niż sam właściciel. Znał wszystkie machlojki Ludwika oraz jego rozpasanie seksualne. Wiedział między innymi o orgiach z ubogimi pracownikami i o kontaktach z wojskowymi i politykami. Na razie jednak nie uderzał, bo wiedział, że musi mieć niepodważalne dowody, by upolować tak grubego zwierza. Nie ostrzegł nawet Beaty, bo dał jej słowo, że nie będzie w żaden sposób wtrącał się w jej życie.

Poza tym nie chciał się z nią kontaktować, bo wiedział, czego od niego zażąda. Będzie chciała, by zrezygnował z dotychczasowej pracy. A na to nie mógł się zgodzić. Praca była jego namiętnością, odkąd pamiętał. Zawsze wykonywał ją z oddaniem, nawet gdy robił to w obcym mundurze. A tym bardziej teraz, gdy wolna Polska stała się rzeczywistością i żądała jego usług. Człowiek z doświadczeniem, jakiego nie miał nikt inny, miałby dobrowolnie wyrzec się takiego szczęścia? Oddać pole sławy innym? Tylko dlatego, że chciała tego kobieta, którą kochał?

To był jedyny błąd, do którego się przyznawał. Nigdy nie powinien wikłać się w emocjonalne związki. Ale wtedy był młodzieńcem, który nie miał wówczas nawet połowy obecnych

doświadczeń. A teraz było dla nich wszystkich za późno. Złamał życie i sobie, i jej i mimo najszczerzej chęci nic nie mógł na to poradzić.

Jedyne, co mógł zrobić, to dobrze wykonywać pracę, do której go powołano.

– Jak to działa? – rzucił, by przestać myśleć i ponownie skupić się na rozmowie, od której niemal wszystko zależało. Przyszedł tu bowiem z gotowym planem, w którym referat techniczny miał odegrać kluczową rolę.

Andrzej przerwał swoją pracę. Odłożył narzędzia i skupił wzrok na Jerzym, jakby chciał zachęcić go do czegoś. Ale dostrzegł, że pułkownik nie odsłoni się przed nim. Nie powie, dlaczego przez długie minuty sprawiał wrażenie nieobecnego duchem. Płynnie przeszedł więc na tematy ściśle zawodowe.

– Mógłbym mówić długo, ale powiem krótko, bo wydaje mi się, że czas ma znaczenie. Urządzenie podsłuchowe działało, gdy lampa była włączona. Wtedy ktoś, kto stał blisko lampy, mógł słyszeć rozmowy odbywające się w pańskim gabinecie. Zgranie ich na taśmę było dziełem jednej chwili. Fachowa i dobrze pomyślana robota. – W czymś mogę jeszcze pomóc? – spytał. – Mam sporo kadrowej roboty, bo muszę się przyjrzeć kwalifikacjom moich przyszyłych ludzi. Poza tym te cholerne tabele budżetowe...

– Nie narzekaj – przerwał mu Jerzy, udając, że nie dostrzega nic niestosownego w zachowaniu podwładnego. – Innym odjęto od ust, by tobie nie zabrakło. Pozostałe referaty są dopiero we wstępnej fazie organizacji i dysponują znacznie mniejszymi środkami niż twój.

Andrzej omal nie parsknął śmiechem. Mój budżet najbardziej zasobnym! – pomyślał z przekąsem. I mimo woli zaczął się zastanawiać, czy jego starcze słabości, z którymi coraz częściej się potykał, nie rzuciły mu się na uszy. Bo od kilku dni dokonywał cudów księgowej zręczności, by na to starczyło, a i na tamto nie

zbrakło. Chwilami myślał nawet, czy nie powinien sięgnąć po swoje złodziejskie zasoby, by nieco zwiększyć państwowe środki. A teraz się dowiedział, że dysponował jednym z największych budżetów w całym wywiadzie.

Dlatego patrzył na Dobrowolskiego z bezbrzeżnym zdumieniem, a jego oczy zrobiły się wielkie niczym talerze. Tamten jednak miał poważną minę.

– Ja wiem, że środki, jakimi dysponujemy, są bardzo małe, a już zwłaszcza w porównaniu do tego, czym zarządzają nasi przeciwnicy. Ale ich nikt nie palił, to mogli obrastać w bogactwa. A u nas nie ma jednego zakątka, którego by płomień wojny nie zniszczył, to i nic dziwnego, że łatwiej u nas napotkać zgliszcza jak pieniądze. Ale to nas z naszych obowiązków nie zwalnia.

– No tak – mruknął Andrzej bez wewnętrznego przekonania. – Jak chodzi o tę drukarnię niemiecką w Gdańsku, to zdaje się, że mam nawet pewien pomysł.

Jerzy skinął głową, ale nie ucieszył się, w sprawie niemieckiej drukarni polskich dokumentów było bowiem coś, co bardzo go niepokoiło. Czyżby niemieccy fachowcy rzeczywiście byli na tyle nierozważni, by używać tuszu, którego pochodzenie zdradzało lokalizację całego przedsięwzięcia? W niewinną omyłkę nie wierzył, bo zbyt dobrze znał ten dokładny naród, by móc choć przez chwilę przypuszczać, że cokolwiek działo się tam pod wpływem przypadku. A więc o co chodziło?

Było to pytanie i pilne, i ważne, dlatego szybko trzeba było na nie odpowiedzieć. A on nie wiedział, jak głęboko macki wroga przeniknęły do wnętrza tego budynku i komu powinien zaufać. Czuł się tak, jakby grunt palił mu się pod stopami. Patrząc w oczy swoich ludzi, mimo woli zastanawiał się, który z nich pobiera dodatkowe wynagrodzenie z Kremla lub Berlina. I ta myśl przyprawiała go o bezsenność, bo ludzi ze swojego najbliższego otoczenia znał i weryfikował osobiście, a to oznaczało, że nos

zawiódł go kompletnie. A skutki tego błędu mogły być nieobliczalne. O ile już nie stał się on przyczyną szkód, o których dopiero usłyszy.

Jerzy nie chciał zadrećcać się tymi myślami, bo wiedział, że do niczego nie wiodły. Rozumiał, że obecne decyzje będzie musiał podejmować sam. Przynajmniej do czasu, dopóki nie ustalili niezbitości tożsamości zdrajcy. Spojrzał na Andrzeja. Jemu ufał najbardziej, bo zdawał sobie sprawę, że on nie miał możliwości korzystania z podsłuchu, który ktoś zainstalował w lampie. Omal nie roześmiał się na myśl, że swym największym zaufaniem obdarzył złodzieja, podczas gdy większość ludzi uważała, że jeden błąd przekreśla całe życie i definitywnie zamyka drogę do poprawy.

Nie mam wyboru – rozważał Jerzy. Muszę podzielić się z kimś ciężarem tego zadania, bo sam go nie udźwignę. I oby tym razem przecucie mnie nie zawiodło. To postanowiwszy, rzekł:

– Sprawę Gdańska odłożymy na czas sposobniejszy. Mam dziwne przecucie, że Niemcy z jakichś powodów chcą, żebyśmy zintensyfikowali naszą aktywność w tym mieście. I dlatego nie powinniśmy tego robić. Gdańsk jest teraz pod protektoratem Anglii i Francji, więc postanowiłem, że jeśli potrzeba nas nie zmusi, to nie będziemy pchać się między wódkę a zakąskę. Poza tym mamy nieporządek w domu, a wtedy żaden porządny gospodarz progów domowych nie opuszcza.

Jerzy spuścił głowę.

– Chodzi panu pułkownikowi o zdrajcę i o drukarnię naszą? Tam musi być wtyczka, bo inaczej w żaden sposób bolszewicy nie dobraliby się do papieru i nie przekazali go Niemcom – odrzekł Andrzej. – Mamy niezbite dowody na ścisłą współpracę między Moskwą a Berlinem przeciwko Warszawie. A to dużo.

– Tak naprawdę to jeszcze nic – odparł Jerzy obojętnie, bo jako zawodowiec realnie na sprawy patrzył. – Mamy pewność, ale nie

dowody. A nawet jeśli je zdobędziemy, to nikt się o nas nie upomni. Jedyne, co możemy zrobić, to jak najszybciej namierzyć ich agenta w drukarni. Wziąć go pod nadzór, ale nie zdejmować. Ale najpierw oczyścimy nasz dom i ty mi w tym pomożesz.

Bukojemski zdumiał się tak, że przez chwilę nie był w stanie wypowiedzieć jednego słowa. Spodziewał się bowiem, że na zaufanie Dobrowolskiego pracował będzie latami. A tymczasem z tego, co właśnie usłyszał, wynikało, że niemal od razu zostanie rzucony na głęboką wodę. Podniecało go to, bo niczego nie uwielbiał tak bardzo, jak życia na krawędzi. Ale i niepokoiło jednocześnie, bo zbyt dobrze znał braki swojego referatu, by mieć pewność, że nie zawiedzie. Chciałby mieć jeszcze co najmniej kilka tygodni na uporanie się ze wszystkimi sprawami organizacyjnymi, ale coś mu mówiło, że na taki luksus nie ma co liczyć.

I nawet rozumiał determinację pułkownika Dobrowolskiego, by jak najprędzej ująć szpicla. Gdyby to on był na jego miejscu, również nie zaniedbałby niczego, by dostać szpiega w swoje ręce. Zastanawiał się tylko, dlaczego Jerzy zdecydował się zaufać właśnie jemu. Byłemu złodziejowi, który więcej lat spędził po różnych więzieniach niż na wolności. A grzechów miał na swoim koncie tyle, że gdyby przystąpił do spowiedzi, to księża musieliby się wymieniać, by nie paść z wyczerpania, nim on by skończył recytować listę swych przewinień.

Andrzej był człowiekiem nikczemnym, bo tylko tak mógł przetrwać w tym świecie, w którym się zwykle obracał. Ale warcholstwo jego miało pewną miarę. Nigdy na przykład nie czynił krzywdy tym, którzy mu zaufali. I tej zasady trzymał się wiernie. Dlatego znany był w kręgach mafijnych jako człowiek, który nie podejmował się żadnej roboty, nawet jeśli szło o grubą forszę. Słowem miał coś w rodzaju sumienia, choć nie przeszkadzało mu ono mordować, łupić i palić, gdy sam uznał to za konieczne. Ale Dobrowolskiego nie mógł zdradzić, gdyż ten mu

zaufał; wiedział, z kim ma do czynienia, a jednak postanowił dać mu szansę. Niewielu ludzi postąpiłoby tak jak on. Nie umiałby, nie potrafił odplacić mu za to niewdzięcznością.

Uśmiechnął się więc tylko, zatarł pulchne dłonie i rzekł prawie weselo:

– Nie boi się pan zaufać złodziejowi?

– Nie – odparł Jerzy – ja ci nie ufam. Ja tylko wiem, co cię czeka, gdy ja upadnę. Kto cię wówczas przed zemstą prawa osłoni? Nasz los jest ze sobą związany. Ja tu nie mam komu zaufać, bo nie wiem, kto działa przeciwko mnie i Polsce. Dlatego to, co chcę zrealizować, musi być opracowane w wąskim gronie. Kiedy zorientowałem się, z czym tak naprawdę mamy do czynienia, poczułem się tak, jakbym dostał obuchem w głowę, ale potem przyszło zastanowienie.

Jerzy mówił długo, wprowadzając Andrzeja w meandry całej sprawy. Opowiadał mu o fałszywych dokumentach, o przypuszczeniu, że przy ich użyciu granicę przekroczył sowiecki agent z centrali, który uruchomił agenta na miejscu. Opowiadał co nieco o misji Wiktora, która miała potwierdzić te przypuszczenia lub im zaprzeczyć.

Bukojemski słuchał uważnie, a jego bystry umysł z łatwością nadażał za torem rozumowania Dobrowolskiego. Co więcej, ekszłodziej przyznawał swojemu zwierzchnikowi słuszność. Sam niezbyt rozumiał się jeszcze na sprawach wywiadu, bo zbyt krótko wśród nich się obracał, ale wywody Dobrowolskiego wydały mu się spójne i logiczne. Sprawa miała kilka nici. Teraz tylko należało wybrać którąś z nich, by ją rozpruć. Andrzej miał świadomość, że Dobrowolski najprawdopodobniej już ją wybrał i oczekuje jego pomocy w pruciu tej sprawy.

– Widzisz – mówił Jerzy w zamyśleniu – otwierają się przed nami różne możliwości. Jedną z nich jest pchanie się na ośrodek dyspozycyjny, czyli przechwycenie agenta sowieckiej centrali. To

ryzykowna zagrywka, bo tamten to z pewnością gracz wysokiej rangi, a Wiktor – nieopierzony młodzik. I wątpię, by jego działania przyniosły nam jakiś konkretny trop, który moglibyśmy wykorzystać do schwytania kogoś z sowieckiej centrali. Ale gdyby się udało, byłby to sukces, który sparaliżowałby działania Sowietów na długo, a w przededniu wojny to ogromna pokusa.

Dobrowolski przelknął z trudem ślinę. Odczuwał bowiem tę pokusę w całej pełni, a miał przekonanie, że właśnie teraz musi podjąć rozstrzygającą decyzję, która zadecyduje, jaki kierunek powinny przyjąć ich działania. Schwytanie agenta, którego do Polski przysłała bezpośrednio Moskwa, byłoby piękną szansą na odegranie się za obecne upokorzenia. Ale klęska mogłaby wszystko zniweczyć. Gdyby bowiem Czeka zorientowała się, że polski wywiad ma już pewne zaczepki, to zerwałaby wszelkie operacje, a on i jego ludzie zostaliby z niczym. Czy nie lepiej więc było zadowolić się ograniczonym sukcesem, który zdawał się być na wyciągnięcie ręki, niż marzyć o wielkim, którego mogliby nigdy nie osiągnąć?

Cholerne dylematy! – martwił się. Najgorsze było to, że nie mógł poświęcić zbyt wiele czasu na zastanowienie, bo działać trzeba było szybko. W końcu nie mógł sobie pozwolić na to, by pod jego boki swobodnie funkcjonował agent wrogiego wywiadu. Sprawy miałyby się inaczej, gdyby wiedział, kim on jest, i zdołał wziąć go pod lupę. Tak, to stanowczo byłoby najlepsze wyjście – pomyślał Jerzy. A jeśli się uda odkryć, kto zacz, spróbujemy go odwrócić i przez niego podsyłać przeciwnikowi fałszywe materiały.

Uśmiechnął się do tej myśli. Przez chwilę napawał się wizją tego sukcesu, ale zaraz się opamiętał. Nie był to czas, by popadać w samozachwyty. Wiedział bowiem, że zanim będzie mógł zakończyć tę sprawę z pomyślnym skutkiem, przed nim jeszcze długa droga.

Westchnął z ulgą, bo stojąc na rozstaju dróg, wreszcie zdecydował się na jedną ze ścieżek. Nie wiedział jeszcze, dokąd go ona zaprowadzi, ale lżej mu się zrobiło, bo brzemień z serca zrzucił.

– Zastanawiam się, dlaczego nasz agent został wybudzony z uśpienia właśnie teraz – przerwał milczenie. – Kimkolwiek są, musieli go tu umieścić już dawno, bo takie operacje to koronkowa robota, która wymaga długiego planowania i czasem trwa całe lata, nim zostanie uwieńczona powodzeniem. Dlatego jeśli już takiego agenta uda się umieścić, to chroni się go bardzo starannie i nie naraża bez potrzeby.

– To znaczy, że mają tu coś, co chcą wykraść – zauważył Andrzej flegmatycznie. – Nie wiem tylko, czy możemy wiązać nasze polowanie tutaj z tym na granicy.

– To tylko luźna hipoteza, która wcale nie musi znaleźć potwierdzenia w rzeczywistości – zaznaczył Jerzy. – Ale zgadzam się z tobą, że oni chcą nam coś wykraść, a ja nawet wiem co. I to jest moją bronią.

Spojrzał na Andrzeja poważnie, a tego dreszcz przeszedł od stóp do krzyża, bowiem w spojrzeniu tym była zimna groźba. Przez tyle lat w półświatku widział wiele takich spojrzeń, a nawet sam ich używał i nigdy nie wróżyło to tym, których dotyczyły, nic dobrego. Bezwiednie przełknął ślinę i spiął się cały, gotów na wszystko.

– Spokojnie. Tobie nic nie grozi, jeśli będziesz miał dość rozumu, by milczeć. To, co za chwilę usłyszysz, stanowi nie tylko najpilniej strzeżoną tajemnicę wywiadowczą w tym budynku, ale i w całym państwie. Szpieg, który zdołałby ją osiąść, tłusto by jadał, bo miałby awans w kieszeni. Niedawno podjęto decyzję o wielkim znaczeniu strategicznym. Polska armia szykuje się do uderzenia na Wilno.

Jerzy przerwał, chcąc sprawdzić, jakie wrażenie ta informacja robi na jego podkomendnym. Jednak, ku jego zdumieniu,



Bukojemski zachował obojętny wyraz twarzy, jakby informował go o pogodzie, a nie o dalekosiężnych i ściśle tajnych planach rządu polskiego.

– Słusznie – mruknął Andrzej, gdy się zorientował, że jego szef czeka na rekację z jego strony. – Tylko głupi czeka w domu na wroga, by mu szkód i zniszczeń narobił. Łatwiej wojować na cudzym terenie, bez troski o rodziny i dobytek.

Dobrowolski roześmiał się i spojrzął z podziwem na tego złodzieja, który, posługując się chłopską logiką, recenzował strategię wojskową. Nie mógł odmówić mu słuszności. Bo właśnie taka była koncepcja naczelnego dowództwa: oszczędzać własne terytorium, ludność cywilną i sprać przeciwnika na jego terenie. Wszyscy bowiem zdawali sobie sprawę, że Polska dysponuje zbyt szczupłymi zasobami, by pozwolić sobie na prowadzenie wojny na własnym terenie, gdyż ta gorzej od szarańczy kraj spustoszy. A i bez tego w państwie nie brakowało ruin i zgliszcz, pamiątek po Wielkiej Wojnie, których usuwanie potrwać mogło jeszcze całe lata.

– Ciesz się, że podzielasz zdanie naszych polityków, ale do rzeczy. Wywiad stanowi oczy wojska. Dlatego niedawno odebrałem ze sztabu generalnego dokładne wytyczne, które umieszczono w ściśle tajnym dokumencie sztabowym. Są tam ogólne założenia operacji wileńskiej, które mają być jeszcze dopracowywane w szczegółach. Ja jednak mam już wyznaczone zadania, które są w tym dokumencie dokładnie opisane. Mam między innymi rozpoznać najwygodniejsze drogi usytuowania oddziałów Armii Czerwonej i skalę przygotowań obronnych w samym mieście. Rozumiesz teraz, jak tragiczne skutki pociągnęłaby za sobą utrata tych dokumentów.

Jerzy odsapnął. Cała ta przydługa rozmowa męczyła go. Mógł wydać tylko prosty rozkaz, nie troszcząc się o resztę, ale chciał wprowadzić Andrzeja w sytuację, by ten w pełni pojmował jej

grozę, a przez to sens i znaczenie swojego zadania. Wiedział, że zaczynali grę z wyrafinowanym przeciwnikiem, mając za plecami niedoświadczonych ludzi, bez operacyjnego obycia. Ale rozumiał też, że nie może oddać pola bez walki.

– Co pan pułkownik zamierza zrobić i do czego jestem potrzebny? I po co opowiada mi pan o dokumencie, który winien być okryty tajemnicą, jeśli mi pan nie ufa? – zapytał Bukojemski, bo od początku tej rozmowy paliła go ciekawość, z którą nie chciał się wydać.

– A ty kiedykolwiek komuś ufałeś...? Tylko ten dokument wart jest podejmowania takiego ryzyka. I to zarówno dla bolszewików, jak i dla Niemców. Choć jestem niemal pewny, że mamy do czynienia z tymi pierwszymi. Wiem z twoich akt, że niegdyś z dobrym skutkiem podrabiałeś dokumenty: pruskie, austriackie oraz carskie. Pora, byś wrócił do tego typu roboty. Stworzysz od zera dokument sztabowy, który nakazuje naszemu wywiadowi podjęcie działań ułatwiających obronę własnego terytorium.

Andrzej prawie się zapowietrzył. Przez chwilę wydawało mu się, że czegoś nie pojął, nie dosłyszał. Ale prawda była niezaprzeczalna. Właśnie otrzymał zadanie stworzenia drugiego oryginału dokumentu sztabowego, który zawierałby rzeczy dokładnie przeciwne względem tego pierwszego. Jego skołatany umysł ledwie mógł się w tym połapać, a myśli omal nie rozsadziły czaszki. Bo dopiero teraz w pełni pojął, w co się wdał i czego właściwie od niego żądano.

Trza było spokojne w domu siedzieć – pomyślał. Teraz w razie klęski na mój łeb kara spadnie, a w razie sukcesu śmietankę spije kto inny. Odmówić przecież nie mogę, bo Dobrowolski do pierdła mnie wsadzi i dopilnuje, bym lekko tam nie miał. A to w moim wieku śmierć pewna. Ale to nic dziwnego, nie powinienem oczekiwać względów od człowieka, któremu nóż do gardła przyłożono. Bo i jego w razie klęski po główce nie pogłaszczą.

– Pan wie, czego ode mnie żąda? – wyjąkał z trudem, gdy jako tako doszedł do siebie. – Nad taką robotą musiałby pracować cały sztab ludzi, bo pewnie czas nas goni, a to skutkowałoby problemami z utrzymaniem całej sprawy w tajemnicy. A jeśli nawet nam się uda i bolszewicy złapią się na lep, to my dalej nie będziemy wiedzieli, kto nam robi koło dupy.

– Wiesz, co to odciski palców? – zapytał Jerzy i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: – Wymalujesz brzegi kart specjalną niewidoczną substancją, która pod wpływem światła ujawni je przed nami. Bo nie wiem, czy wiesz, ale każdy etatowy pracownik naszej firmy ma przy zatrudnieniu zakładaną teczkę, która zawiera również wzór odcisków palców. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, będziemy go mieli.

Andrzej skinął głową. Cały plan wydawał mu się wciąż bardzo ryzykowny i obarczony wieloma zmiennymi, ale wykonalny. Metodę pobierania odcisków palców oczywiście znał, bo niejako zawodowo interesował się nowinkami i osiągnięciami kryminalistyki. Nie miał zamiaru pozostawać w tyle i tkwić mentalnie w średniowieczu. Rozumiał, że czas techniki nadchodził wielkimi krokami, i cieszył się, że trafił na człowieka, który podzielał jego punkt widzenia na świat.

Obrócił dłoń i spojrział na własne linie papilarne, jakby chciał się przekonać, co w nich jest takiego wyjątkowego, że można go po nich bezbłędnie zidentyfikować. Ile wynalazków mnie ominie... – pomyślał, świadom zbliżania się kresu życia.

– Wiem – odparł, wybudziwszy się ze smutnego letargu. Póki żył, musiał robić swoje, nie bacząc na to, że robi się późno. – Dawniej tylko cyganie zarabiali na liniach papilarnych, a teraz i policja państwowa je stosuje. Mój czas przemija, jak ja sam. Dostarczcie mi ludzi i dokument sztabowy z prawdziwymi danymi, a ja już swoją robotę zrobię dobrze.

Jerzy nie uśmiechnął się, bo w głosie podwładnego wyczuwał nutkę pesymizmu. Nie łudził się: Andrzeja do tajnej służby nie sprowadził ani patriotyzm, ani strach przed nim. Nie, on chciał po prostu znowu czuć się komuś potrzebnym. Komukolwiek. Czy mnie też to kiedyś czeka? – pomyślał i posmutniał. Czy i ja też kiedyś stanę się takim wrakiem człowieka, którego przy życiu będzie trzymała tylko chęć bycia potrzebnym? Ze stanowiska mogli go odwołać w każdej chwili, choćby po tej sprawie, jeżeli nie pójdzie po jego myśli. Co mu wówczas zostanie?

Pogodzenie życia rodzinnego z tak absorbującą pracą było trudne, ale on nawet nie podjął tego wyzwania. Tak samo było wtedy, gdy Beata zabrała Elizę i odeszła. To ta cholerna duma, która się w jego piersi pomieścić nie mogła, nie pozwoliła mu pobiec za nią. I przez to stracił całe dzieciństwo swojego dziecka, które mógł obserwować tylko oczami swych ludzi. Nie nosiłem jej na barana, nie kołysałem na rękach, nie asekurowałem, gdy stawiała pierwsze, nieporadne kroki. A przed kilkoma tygodniami mogłem ją na zawsze utracić. I ona by umarła z nienawiścią do mnie w sercu. A przed Beatą to chyba sama śmierć zdołałaby mnie wówczas ocalić.

Tak, obaj szliśmy w życiu błędną drogą, tylko że ja mogę jeszcze zawrócić, on już nie. Czyżby to właśnie chciał mi przekazać, tylko ja zrozumieć nie chciałem, nie mogłem? Brała go nieprzewyciężona ochota, by przycisnąć Andrzeja do piersi tylko za to, że pomógł mu zrozumieć prawdę o sobie samym. Zamiast tego uściskał jego rękę i rzekł:

– Zaraz otrzymasz ludzi i dokumenty, by móc zabrać się do roboty. Ale na razie pokierujesz wszystkim sam, bo ja mam coś pilnego do załatwienia.

Dobrowolski skinął mu ręką i wyszedł. Bukojemski patrzył jeszcze przez chwilę na drzwi.

## Rozdział VIII

Plan zajęć Iwana Saszkiwa wypełniony był bardzo szczerlnie, bo zajmowały go nie tylko normalne zajęcia szkolne, ale i szkolenia podporządkowane jego przyszłej pracy w strukturach Czeki. Szkolenia nie były dla niego zbyt monotonne, bo każdego dnia uczył się innej części rzemiosła, które miało stać się jego zawodem. Ale brakowało mu wolnego czasu, bo niemal każdą godzinę doby miał szczerlnie wypełnioną obowiązkami. Ledwie mógł znaleźć chwilę na odpoczynek, by nie słańać się na nogach.

Nie skarżył się jednak. Dobrze bowiem wiedział, dlaczego i dla kogo to robił. Więc gdy przychodziło śmiertelne znużenie, starał się myśleć o Tani. To te myśli krzepiły go na duchu i sprawiały, że zdołał wytrzymać połączony trud szkoleń wywiadowczych i nauki szkolnej. Poza tym starał się pisać do siostry, kiedy tylko miał wolną chwilę, bo wiedział, że ta z utęsknieniem wyczekiwała na jego listy, wypatrywała również dnia, aż ją odwiedzi. On także tego chciał, ale mimo natarczywych prósb nie zdołał uzyskać na to zgody przełożonych. Iwan boczył się na to, ale niewiele mógł zrobić.

Tkwil właśnie w swoim łóżku, nachylony nad otwartym podręcznikiem, który służył do nauki walki wręcz. Jego wzrok ślizgał się po rycinach, na których zarówno dokładnie ukazano poszczególne chwytty, jak i zaznaczono wrażliwe punkty na ciele człowieka. Starał się zapamiętać ich usytuowanie, ale oczy kleiły mu się coraz bardziej. Czuł piasek zbierający mu się pod

powiekami. Obraz się rozmywał, a senność ogarniała go coraz mocniej.

A przecież miał przed sobą jeszcze tyle pracy. Zadania z rachunków, łacina, rozbiory zdań rosyjskich. Wszystkie czekały cierpliwie w kolejce, aż on się nimi zajmie. Nie po raz pierwszy odczuwał boleśnie fakt, że przez niemal całe swoje życie nie miał właściwie żadnej styczności z nauką. Skutkowało to tym, że miał ogromne zapóźnienia w stosunku do reszty klasy. Niemal na każdej lekcji zarabiał na drwiny kolegów i dyskretne politowanie nauczycieli. Bolało go to, lecz tylko zaciskał zęby i pracował jeszcze ciężiej, by jak najprędzej nadrobić zaległości, które nagromadziły się nie z jego winy.

Ale gdy patrzył wstecz, to musiał przyznać sam przed sobą, że udało mu się osiągnąć bardzo wiele. Przecież jeszcze tak niedawno wszystkie jego myśli sprowadzały się tylko do kwestii konieczności przetrwania. Spojrzał na rozłożoną przed nim książkę. Kiedyś bez chwili namysłu użyłby jej do podsycenia ognia i nawet przez myśl by mu nie przeszło, że mógłby ją przeczytać. Kiedyś kradł, by chronić siostrzyczkę, a dziś zapewnił jej dobre schronienie i o najbliższej przyszłości nie musiał myśleć z trwogą. O swoją własną nigdy nie dbał. Lepiej niż inni rozumiał, że w życiu wszystko ma swoją cenę, i był gotów ją zapłacić.

Rozejrzał się po swoim pokoju. Była to niewielka kliteczka, w której z trudem mieściły się tylko podstawowe meble. Przez małe, wąskie okienka wpadało stosunkowo niewiele światła, więc wieczorami musiał wspomagać się lampą naftową. Szafa i łóżko sklecone były z byle jakich desek, jakby robił je pijany stolarz albo ktoś, kto chciał umeblować sobie pokój jak najtańszym kosztem. To było całe jego lokum, umieszczone na szczycie ogromnej czynszowej kamienicy. Wziął je, bo było najtańsze. Podobno należało niegdyś do kogoś, kto za przyczyną ludzi Dzierżyńskiego skutecznie rozstał się z życiem. Lecz żadnych szczegółów tej

historii nie znał, bo miał dość rozumu, by nie pytać. Zresztą niewiele go to obchodziło, gdyż od dawna wiedział, że w życiu na każdego zwycięzcę przypada jeden przegrany. Tak już był ten świat urządzony, a on mógł się tylko cieszyć, że tym razem to on był wygranym. Wiele już bowiem razy to po nim deptano, nie słyszano krzyku rozpaczy, bo słyszeć nie chciano, gdyż tak było dla wszystkich wygodniej. Więc dlaczego on miałby przejmować się czymkolwiek losem, skoro każdy kuł go sam i sam zań odpowiadał?

Wodził z radością po własnych zagrzybionych czterech ścianach i oczy błyszczały mu szczęściem. Tak, dla niego, czternastoletniego dzieciaka, było to szczęściem mieć swój własny dach i ściany. Bo jeszcze niedawno ten cel wydawał się leżeć daleko poza granicą jego możliwości. Wiedział, że większość jego szkolnych znajomych pokpiwałoby z niego, a na ten pokoił patrzyło z poczuciem wyższości i politowaniem. Ale Iwan doświadczył, co znaczyło nie mieć dachu nad głową; co znaczyło zastanawiać się każdej nocy, gdzie się złożyć głowę do snu – z drzeniem obserwować tężejący na dworze mróz i zastanawiać się, czy zdoła znaleźć odpowiednie lokum, zanim dołączy do jego licznych ofiar. I dlatego to miejsce było dla niego tym, czym raj dla duszy. Tylko ten, kto nigdy nie miał dachu nad głową, potrafił należycie go docenić. A on właśnie do takich ludzi należał. Przymykał więc oczy na rozliczne braki tego miejsca. I to nie tylko te estetyczne. Dla jego sąsiadów wielką niedogodnością była na przykład konieczność biegania po wodę do płynącej niedaleko rzeki Moskwy. Ale w jego latach nie stanowiło to żadnego problemu, zwłaszcza że w swoim życiu stawał już przed znacznie większymi wyzwaniem.

Teraz jednak z niechęcią spojrzął na puste wiadro, które trzeba było znowu napełnić. Czuł się już bardzo zmęczony. Wstał wszak

z łóżka, bo zdawał sobie sprawę, że rano nie będzie miał już czasu na uporanie się z tą czynnością, a umyć się przecież trzeba.

Przedtem jeszcze zajął się zasłaniem łóżka. Szło mu to nieskładnie, bo nie był przyzwyczajony do spania na czymś, co choćby w minimalnym stopniu przypominało normalne posłanie. Wciąż jeszcze zdarzało mu się nieświadomie przenosić się w nocy na podłogę, bo tam było mu najwygodniej, ale nie miał zamiaru zostawiać po sobie bałaganu. W praktyce więc łóżko służyło mu zazwyczaj tylko do czytania. Chwycił książkę, którą schował pod deską od podłogi.

Dobrze pamiętał, że na wykładach często mówiono mu, by chronił dokumenty wywiadu, które nie były przeznaczone dla oczu ludzi postronnych. Wprawdzie Iwan nie spodziewał się, żeby ktokolwiek przyszedł tu pod jego nieobecność. Przyjaciół żadnych nie miał, a jego opiekunowie z wywiadu z zasady nie pojawiali się w pobliżu lokali z nim związanych, by go nie dekonspirować. Ale lepiej było dmuchać na zimne niż potem gasić gorące.

Gdy się z tym uporał, chwycił wiadro, założył wysokie buty, narzucił płaszcz, po czym zbiegł po schodach. Zaraz po wyjściu uderzył w niego podmuch wiatru. Nad Moskwą padał bowiem drobny, mokry śnieg, który niemal natychmiast zamieniał się w błoto. Buty ślizgały mu się, ale największy kłopot sprawiał wiatr, który bezlitośnie chłostał go po twarzy. Cieszył się teraz, że ma na sobie ciężki płaszcz, którego kołnierz choć trochę osłaniał go przed skutkami kapryśnej aury.

Jeszcze jednym skutkiem takiej pogody był niemal zupełny brak ludzi na ulicach. W mieście panowała upiorna cisza, zupełnie jak podczas apogeum rewolucyjnego wrzeźnia, które co prawda nie miało tu takiego poziomu jak w Piotrogradzie, ale w owym czasie i tu lepiej było nocą z domu nie wychodzić.

Tak było i tym razem. Iwan szedł pustymi, wymarłymi ulicami, słysząc jedynie stukot własnych butów, który niósł się dalekim



echem po wyludnionym i uśpionym mieście. Jego wzrok ślizgał się obojętnie po zamkniętych bramach kamienic, sklepowych witrynach i pomieszczeniach moskiewskiej biedoty. Czasem dostrzegał umykających przed nim ludzi w łachmanach i mimo woli przenikał go zimny dreszcz, który nie miał jednak nic wspólnego z panującym dookoła chłodem. Wiedział po prostu dobrze, co groziło samotnym wędrowcom, którzy mieli nieszczęście napotkać tego typu grupy ludzi. Spojrzał na swój płaszcz. Po raz pierwszy żałował, że ma go na sobie. Dobrze jeszcze bowiem pamiętał, jak sam brał udział w podobnych napadach, i wiedział, że największą do nich pokusą jest perspektywa łupów, jakie można zdobyć przy ofierze. Przy czym nie chodziło o wielkie bogactwa: złoto, biżuterię, dolary, bo tych trudno było się spodziewać w zabiedzonych wojną miastach. Ci, którzy nie mieli nic, a z takich właśnie ludzi składały się bandy, łasili się głównie na rzeczy codziennego użytku: buty, płaszcze, czapki. Choć, rzecz jasna, walutą i złotem też nie pogardzano, jeśli akurat się na nie z rzadka trafiło.

Iwan żałował teraz, że nie zabrał ze sobą broni. Strzelać wprawdzie jeszcze za dobrze nie umiał, ale zawsze czułby się pewniej, gdyby zamiast wiadra miał przy sobie pistolet. Przez twarz przeleciał mu ponury uśmiech, bo przez chwilę zastanowił się, jak broniliby się za pomocą wiadra. Lecz zaraz spowaźniał. Skupił się w sobie i zaczął uważnie wypatrywać zagrożenia. Zwracał uwagę głównie na miejsca, które skrywał półmrok, bo pamiętał rady starszych uliczników, zawsze wybierających na swoje akcje takie właśnie okolice.

Kilkakrotnie wydawało mu się nawet, że dostrzegł w zaułkach pewne poruszenie. Ale nie był do końca pewien swoich zmysłów, bo dokoła panował zupełny mrok. To przecież strach mógł stawiać mu przed oczami to, czego się obawiał. Bał się bowiem faktycznie, chyba po raz pierwszy w życiu. Dawniej śmierć kojarzyła mu się

tylko z wybawieniem od niehumanitarnej egzystencji, którą z konieczności był zmuszony wieść. Wtedy nie miał nic do stracenia – prócz Tani. Pamiętał o niej i dlatego nie zdecydował się na samobójstwo, choć nie raz coś szeptało mu do ucha, by skończył ze sobą. Ale gdyby go zabito lub rozstrzelano, to nie byłoby w tym jego winy, a udręka skończyłaby się raz na zawsze.

Zadziwiająco – myślał Iwan. Boję się wtedy, gdy mam coś do stracenia, choćby ten płaszcz. Czemuż nie bałem się wówczas, gdy chodziłem obdarty, głodny i sam byłem jednym z tych, których się obawiano? Ciekawe, co by powiedzieli o mnie moi znajomi z rysztołów, gdyby wiedzieli, dokąd zawiódł mnie los. Oni, jeśli rzeczywiście o mnie pomyślą, to pewnie sądząc, że skończyłem swe życie na szafocie lub znalazłem inną gwałtowną śmierć. A tymczasem ja żyję, a oni pewnie dalej jedynie walczą o przetrwanie.

Tu uśmiechnął się, bo taka już jest natura ludzka, że ją własne znaczenie olśniewa. Iwan nie mógł oprzeć się pewnemu poczuciu dumy, że to on, a nie oni, zdołał wybić się z położenia, w jakie popadł. I w tej chwili nie miał dla niego żadnego znaczenia fakt, że decydującą rolę odegrał w tym wszystkim przypadek, na który ani on sam, ani nikt inny nie miał najmniejszego wpływu. Liczyło się tylko to, że wreszcie zaczynał żyć świadomie jako pełnowartościowy człowiek, a nie jak szczer, który musi kryć się w mroku i żywi się byle czym.

Pochłonięty tymi myślami, nawet nie zauważył, kiedy zbliżył się do brzegu rzeki. Uprzytomnił mu to dopiero porywisty wiatr, który nad wodą znacznie się wzmógł i uderzał w niego z niepojętą siłą. W uszach słyszał tylko potworne wycie wichru, na który był wystawiony ze wszystkich stron. Nogawki spodni wydymały się nienaturalnie, a on musiał walczyć o każdy kolejny krok. Wreszcie stanął wyczerpany i obserwował wezbrane wody rzeczne, na których pod wpływem porywistych podmuchów

tworzyły się fale. Wpatrywał się w atramentowe wody jak urzeczony.

W końcu jednak zimno przypomniało mu o tym, po co właściwie tu przyszedł. Rozejrzał się, szukając wzrokiem miejsca, w którym najłatwiej można by zejść do wody. Wreszcie znalazł, więc zawiął nogawki spodni, by ich nie zamoczyć, i wszedł do rzeki. Niemał natychmiast poczuł uderzenie zimna, bo woda miała temperaturę ledwie kilku stopni powyżej zera. Iwan czuł się tak, jakby ktoś wbijał mu w ciało tysiące małych igiełek. Dlatego szybko kilkakrotnie zanurzył wiadro i napełnił je po brzegi. Manewrowanie pełnym wiadrem, stojąc w wodzie po kostki, nie było rzeczą prostą. Iwan czuł na własnym ramieniu ciężar wody i dziękował Bogu, że ma teraz o wiele więcej siły niż w czasach, gdy kluczył po ulicach. Tylko dzięki temu zdołał wydostać się na brzeg i nie rozlać przy okazji większości płynu.

Saszkin przez chwilę stał bez ruchu i ciężko oddychał, łapiąc powietrze przez usta niczym ryba wyjęta z wody. Na jego twarzy znać było błyszczące krople potu, choć w powietrzu był chłód. Starał się uspokoić własny oddech i zebrać energię, bo wiedział, że czeka go długa droga do domu. I musiało mu starczyć sił, by donieść wodę do mieszkania; nie miał zamiaru pokonywać tej trasy raz jeszcze.

Odsapnął więc chwilę i już miał się zbierać w drogę powrotną, gdy odruchowo spojrział na drugi brzeg. I aż usta otworzył, bo niezrozumiały a dziwny widok uderzył jego oczy. Przysłonił je ręką, by lepiej widzieć. Pomogło to znacząco, bo teraz dostrzegł niewyraźny kontur samochodu, który na wygaszonych reflektorach podjeżdżał do brzegu.

Iwan odruchowo rzucił się na ziemię. Czuł, że ktoś, kto ryzykuje uszkodzenie resorów jazdą bez świateł po wyboistym gruncie, na pewno nie chce być przez nikogo widziany. Przebiegło mu przez myśl, czy nie lepiej byłoby dyskretnie się wycofać, zabrać swoją

wodę i zapomnieć o całej sprawie. Lecz ciekawość zwyciężyła. Choćby nawet co złego robili, to z drugiego brzegu na pewno mnie nie zauważą, bo nie każdy ma taki wzrok jak ja – rozważał, leżąc na zaszronionej trawie. Jego umysł zbyt był podniecony rozgrywającą się na drugim brzegu sceną, by mógł w tej chwili zwracać uwagę na zimno.

Tymczasem samochód zatrzymał się tak blisko wody, że dzieliło go od niej ledwie kilka kroków. Saszkin dostrzegł, jak tylne drzwi auta się otwierają, a z jego wnętrza wychodzą dwaj krępi mężczyźni w czarnych płaszczach i takich samych kapeluszach. O dostrzeżeniu rysów ich twarzy z tej odległości i po ciemku nie miał co marzyć. Zresztą o wiele bardziej interesowało go to, co ci dwaj dźwigali. Z tej odległości Iwanowi trudno było ocenić z niezachwianą pewnością, co to mogło być, ale wydawało mu się, że to coś się porusza.

Było to poniekąd dziwne. Na początku myślał, że ktoś topi kocięta. Ale zaraz odrzucił tę myśl jako zupełnie irracjonalną i pozbawioną sensu – przeczył temu samochód i owi ludzie w czerni. Zwierzęta topili przede wszystkim chłopci, a ci często jeszcze uciekali przed samochodami, mając je za przejaw czarów. O posiadaniu przez kogośkolwiek z nich takiej maszyny nawet mowy być nie mogło.

Niemniej, Iwan nie potrafił sobie tego racjonalnie wytłumaczyć. Bo jeśli tym ludziom chodziło o zabicie człowieka, to czemu właśnie w ten sposób? Gdyby była to Czeka, to czy miała ona mało ustronnych miejsc, gdzie po cichu i dyskretnie można było uporać się z każdym, kto miał nieszczęście zostać uznanym za wroga ludu? Po co spalać benzynę, jeździć nad rzekę i ryzykować wykrzyć? Nie potrafił odpowiedzieć sobie na wszystkie te pytania. Za to czuł instynktownie, że stał się świadkiem czegoś bardzo tajemniczego i niebezpiecznego. Ale nie chciał, nie mógł się wycofać, jakby jakaś tajemnicza siła decydowała za niego.

Trwał nad brzegiem, wbrew instyktowi samozachowawczemu, który nakazywał mu ucieczkę. Zamiast tego zdjął buty, by być gotowym na wszystko, gdy nadejdzie pora. Dostrzegł, jak oprawcy huśtają tajemniczym zawiniątkiem, żeby wylądowało jak najdalej. Teraz nie miał już żadnych wątpliwości, że ludzie w czarnych płaszczach przyjechali tu popełnić morderstwo. A jeśli chciał mu zapobiec, to nie miał zbyt wiele czasu.

Spojrzał na swoje bose stopy, na których pojawiła się gęsia skórka, i mimo woli na myśl przyszły mu odmrożenia – miał okazję widzieć je zarówno u frontowych żołnierzy, jak i tych ze swoich kompanów, którzy mieli mniej szczęścia. Następnie spojrzał na rwącą falę i pomyślał, że grozi mu także utonięcie w wezbranej rzece. Ale teraz już nie było czasu na wahanie. Podjął decyzję, gdy postanowił tu zostać i patrzeć. Gdyby teraz nie zareagował, nie byłby tylko biernym obserwatorem, lecz współwinnym morderstwa.

Dlatego wziął odpowiedni rozbieg i skoczył prosto w fale. Uderzył w tafłę wody, a ta niemal natychmiast otoczyła go ze wszystkich stron. Poczul przejmujące zimno, które zaatakowało go teraz ze zdwojoną siłą. Wokół zapanowała cisza, bo od szalejącego na powierzchni wiatru oddzielała go ogromna ściana wody. Ale nie miał czasu, by nawet przez chwilę się tym rozkoszować, gdyż fala zaczęła go spychać. Musiał więc pracować rękoma i nogami, by woda nie pociągnęła go na środek rzeki.

Ale miał dość rozsądku i umiejętności, by nie machać rozpaczliwie rękoma, walcząc z prądem. Zamiast tego pozwolił, by ten lekko go nioś, i tylko tak pracował, by oddalić się od głównego wiru. Pomogło to wielce. Już po kilku chwilach znalazł się w miejscu, gdzie prąd był znacznie słabszy i umożliwił spokojne płynięcie.

Perspektywa utonięcia w nurcie rzeki Moskwy oddaliła się od niego. Za to poczuł piekący ból w płucach, które desperacko domagały się swojej porcji tlenu. Przed oczami latały mu już białe płaty, a koordynację i dobrą pracę mięśni rąk i nóg wymuszał z najwyższym wysiłkiem. Wiedział jednak, że długo nie da rady funkcjonować na deficycie tlenowym. Lada chwila organizm przełamie jego opór i zaczerpnie oddech, a wtedy do płuc wleją się od razu litry wody, która rozsadzi je od środka. Zaczął więc płynąć ku powierzchni. Wpatrywał się w zbliżające się lustro wody wyłupiastymi oczami, które zdawały się wyskakiwać z orbit. Ruchy jego rąk stawały się coraz bardziej konwulsyjne, wręcz desperackie. Był już na granicy utraty przytomności, gdy jego głowa wydostała się na powierzchnię.

Zaczerpnął długi haust powietrza, podczas gdy tysiące kropeł rozpryskiwało się wokół niego, jakby był pod wodospadem. Oddychał szybko niczym ryba wyjęta z wody, a z każdym oddechem, z każdą dodatkową porcją tlenu jego twarz przybierała coraz bardziej swój zwyczajny kolor, a gałki oczne wracały na swoje miejsce. Rozejrzał się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegł już samochodu. Ucieszył się, bo dotychczas nie wiedział, jak zziębnięty i zmęczony poradziłby sobie z tymi ludźmi, a oto los sam usuwał mu sprzed rąk ten kłopot.

Rzucił okiem w miejsce, gdzie – jak zapamiętał – powinien znajdować się worek, lecz dostrzegł już tylko kilka bąbelków powietrza, które unosiły się ku niebu. Iwan natychmiast pojął, że worek jest już pod wodą i jeśli chce ocalić jego zawartość, to ma przed sobą niewiele czasu. Liczył tylko na to, że w worku jest dość powietrza, by ofiara mogła nim oddychać, choć przez krótką chwilę. Ale wiedział też, że nie wolno mu zmarnować ani jednej sekundy, dlatego zebrał się w sobie raz jeszcze, zaciągnął głęboko powietrzem i zanurzył się w wodzie.

Płynął najszybciej, jak potrafił, zgarniając wodę długimi wyrzutami ramion i nóg. Jednocześnie oczy cały czas miał skupione na topografii dna. Szczęściem woda była dość przejrzysta, więc miał dobre pole do obserwacji. Jedyłą niedogodność stanowił ogromny napór ciśnienia, który zwiększał się z każdym przebytym metrem, z każdym wyrzutem ramienia. Czuł potworny i stale rosnący szum w uszach i zastanawiał się, jak długo jeszcze wytrzyma różnicę ciśnień. Bał się, że za chwilę krew tryśnie mu z uszu i nosa. Wiedział, że jeśli zaraz nie dostrzeże worka, to będzie musiał płynąć ku powierzchni, by nie zginąć marnie. Zrozumiał teraz, że przecenił swoje siły i umiejętności. To, co chciał zrobić, byłoby wyzwaniem nawet dla marynarza, a co dopiero dla takiego mieszczucha jak on.

Rozglądał się z coraz większą desperacją. Coś w nim nie chciało się poddać, ustąpić. Może dlatego, że odkąd pamiętał, przegrywał całe życie. Z losem, z ludźmi... A teraz jego fortuna zaczynała się odmieniać. Zachowywał się tak, jakby świadomie rzucał jej wyzwanie. Niech go zabije, jeśli chce, albo pozwoli mu uratować dwa życia. Swoje i tego kogoś, kto tkwił w worku.

Żywy nie dopłynę do dna – myślał z determinacją. Ale trudno. Przynajmniej przestanę się męczyć ze światem, który za nic mnie ma i traktuje jak muchę na grzbiecie. Biedna Tania. Zapłacze się za bratem. Poczuję, że oczy zaszklily mu się łzami. Jeszcze tego mi teraz brakowało!

Nagle dostrzegł biały sznur, który wyraźnie odcinał się na tle czerni wody. Bez chwili namysłu chwycił za jego wolny koniec, modląc się, by na drugim końcu było to, czego się spodziewał, i by się nie urwał. Odruchowo spojrzął na pofałdowane dno, które było jeszcze dość odległe, i w jednej chwili poznał, że nigdy by do niego nie dopłynął.

Żwawo wykonał nawrót i zaczął płynąć w przeciwnym kierunku. Ale natychmiast odczuł, że płynie mu się znacznie

trudniej. I to nie tylko dlatego, że mógł posługiwać się tylko jedną ręką, bo w drugiej cały czas trzymał sznur. Przede wszystkim czuł, że tajemniczy balast ciągnie go pod wodę. Każdy pokonany metr kosztował go mnóstwo wysiłku. Mięśnie paliły żywym ogniem, a każdy ruch nogi czy ręki pulsował tępym bólem, który zdawał się rozsadzać czaszkę. Oczy zachodziły mu mgłą z wysiłku, a krew szybko pulsowała w żyłach. Starał się patrzeć jedynie na gwiazdy, które z każdym przebytym przez niego metrem stawały się coraz jaśniejsze.

Wszelka myśl w nim zgasła. Skupiał się tylko na tym, by wykonać kolejny ruch, aby brnąć ku światłu. Zdawał sobie sprawę z rozpaczliwości swojego położenia. Wiedział, że jeśli teraz się podda, to zginie. Ale mimo tej świadomości, którą miał z tyłu głowy, nie przeszło mu nawet przez myśl, by pozbyć się worka, mimo że nie miał pewności, czy warto go dźwigać, a pozbycie się go ułatwiłoby zdecydowanie przetrwanie. Nie chciał jednak tego zrobić, bo nie chciał sam zmarnować tego olbrzymiego wysiłku, który włożył w tę sprawę.

Nagle, półświadomie, poczuł, że jego ręka przebiła wodę, a potem wynurzył się cały. Stało się to w ostatniej chwili, bo właśnie otworzył usta i zaczerpnął powietrza. Gdyby tkwił pod wodą choćby chwilę dłużej, toby zginął. Resztkami sił wyciągnął worek na brzeg, rozerwał go i po prostu padł bez czucia.

Leżał na ziemi i obserwował gwiazdy. Zdawało mu się, że wszystkie mrugają do niego przyjaźnie, jakby cieszyły się, że żyje. On także cieszył się, że je widzi, choć zwykle nie zwracał na nie najmniejszej uwagi. Oddychał ciężko, a pierś unosiła mu się w nierównym oddechu. Bolały go płuca i wszystkie cztery kończyny, ale ciało regenerowało się normalnie. Wprawdzie wiedział, że minie jeszcze wiele czasu, zanim wróci do w pełni normalnego funkcjonowania, a jutro będzie go wszystko bolało, ale przynajmniej mógł już podjąć dalsze działania.



Wstał z trudem, a nogi zachwiały się pod nim. Wydawało mu się, że cały świat obraca się wokół niego i wiruje. Zupełnie jakby znajdował się w środku gigantycznej karuzeli. Może właśnie dlatego treść żołądka podeszła mu do gardła, a twarz pobladła. Musiał użyć całej siły woli, by zapanować nad reakcją organizmu. Dopiero gdy zdołał tego dokonać, skupił się na worku.

Pochylił się nad nim i zdumiony wpatrywał się w parę wylęknionych kobiecych oczu, które spoglądały w niego ze strachem. Kobieta poruszyła się z trudem, charcząc i wypluwając nadmiar wody z płuc. On sam nie umiał ukryć zdumienia. Spodziewał się bowiem raczej mężczyzny niż kobiety, choć nie miał podstaw do wyciągania takich wniosków. Wydawało mu się jednak prawdopodobniejszym, że ktoś chciałby zabić mężczyznę. Zawsze uważał ich za niebezpieczniejszych i starał się wystrzegać kontaktów z nimi.

Iwan wycofał się powoli. Usiadł plecami do worka. Nie zamierzał peszyć tej kobiety, gdyż nie chciał mieć z nią żadnych dalszych kontaktów. Liczył na to, że ona to zrozumie i wycofa się po cichu. Wystarczał mu w zupełności fakt, że żyje i, zważywszy na to, co ją spotkało, ma się całkiem dobrze. Nie miał zamiaru wikłać się w jej sprawę mocniej, bo była ona na wskroś niebezpieczna. Może nawet jego przypadkowa znajoma zadarła z Czeka. W takim razie lepiej było rozstać się z nią bez zbędnych ceregieli.

Iwan sięgnął po swoje buty. Z zachwytem patrzył na wysokie oficerki, które błyszczały od tłuszczu. Nigdy nie zapominał o tym, żeby je natłuścić, bo dbał o nie lepiej niż o cokolwiek innego. Były przedmiotem jego dumy i żałował, że mógł używać ich tylko na obozach szkoleniowych. Gdyby jego zwierzchnicy dowiedzieli się, że czasem korzysta z nich na takich właśnie wypadach, dostałby solidną burę.

Ale Iwan o tym nie myślał. Życie i okrutny los zmusiły go do tego, by przedwcześnie przedzierzgnął się z chłopca w mężczyznę. I podolał temu wyzwaniu. A jednak pozostało w nim coś z chłopca, który niegdyś z zachwytem przyglądał się wojskowym paradom, marząc, że idzie z tymi tytanami w jednym szeregu. Że to dla niego wiwatują ci wszyscy ludzie, sypiąc kwiaty. Wprawdzie od tamtego czasu wiele się zmieniło, w tym jego wyobrażenie o wojsku i wojnie, ale nadal czuł dziecienną dumę, gdy mógł paradować w oficerkach.

Teraz starannie owijał stopy onucą i wsuwał je do butów. Miłe ciepło przeniknęło go niemal od razu i rozlało się po skórze.

– Dziękuję ci. – Cienki kobiecy głos dotarł do jego uszu. – Gdyby nie ty, skończyłabym jako pokarm dla ryb.

– Nie wiedziałem, kogo ratowałem, więc i na wdzięczność nie zasłużyłem – odparł Iwan oschle, bo naprawdę chciał, by ta kobieta pozostawiła go samego.

– Pozwól, że to już ja osądzę. – To rzekłszy, zrobiła kilka niepewnych kroków i przysiadła obok niego. Dopiero teraz przyjrzała mu się uważniej i uderzył ją jego młody wiek. Patrzyła na jego mokre włosy, które przylegały do czoła, połatanе ubranie i oficerki, które wydawały się z innego ciała zdjęte. – Ładne buty. Skąd je masz?

Iwan zachnął się. Ta kobieta irytowała go coraz bardziej, więc nie tając złego humoru, odparł:

– Ja panienki nie pytam, kto ją topić próbował, bo to nie moja sprawa; a moje buty to moja rzecz. Swoje podziękowania złożyłaś, więc idź z Bogiem, gdzie cię nogi poniosą, bo ja nie chcę mieć nic wspólnego z twoimi sprawkami.

Dziewczyna nie chciała jednak odejść, ponieważ ten chłopiec interesował ją coraz bardziej. Czowała, że było w nim coś dziwnego. Chłopak mówił niby jak prosty Rosjanin, ale używał też sformułowań, które mógł znać tylko człowiek wykształcony.

Rosyjscy chłopcy nie bywali uczeni niczego prócz posłuszeństwa i miłości do cara. Tak, stanowczo ten dzieciak skrywał w sobie jakąś tajemnicę – myślała i postanowiła rzecz tę zbadać. A zaczęła od tego, że rozejrzała się dokoła i dostrzegła stojące niedaleko wiadro na wodę.

Na moje szczęście przyszedł tu po wodę – uznała. Nie grzeszy nadmiarem zasobów, więc dlaczego traktuje mnie tak, jakbym była natrętną muchą?

– O jakich moich sprawkach mówisz? Dlaczego wciąż siedzisz do mnie bokiem, jakbyś się wstydził własnej twarzy albo bał się mojej? Dlaczego lekkomyślnie odrzucasz moją wdzięczność, choć ta mogłaby odmienić twój los, który, sądząc po twoim ubraniu, nie jest zbyt pomyślny? – zarzuciła go pytaniami.

Iwan się roześmiał.

– Ktoś już mi to zaoferował, a ja się zgodziłem, więc się spóźniłaś. A co do twoich sprawek, to ja nie chcę, byś połączyła mnie z tymi ludźmi w czerni, bo wtedy obydwójce moglibyśmy w worku życie zakończyć.

To powiedziawszy, Iwan odwrócił się gwałtownie i śmiało spojrzął w jej oczy. Przekonał się, że ma do czynienia z młodą jeszcze osobą, którą raczej dziewczyną wypadałoby nazywać, a nie kobietą. Spojrzął na jej owalną twarz o delikatnych rysach, bladej cerze. Miał świadomość, że i ona się jemu przygląda swoimi zielonymi oczami, więc nie czuł się spięty, gdy podziwiał jej złote loki i usta.

Gdyby Iwan był znacznie starszy i miał więcej doświadczenia, to czułby się skrępowany, stojąc wobec tej klasycznej piękności, która nakazywała szacunek. Trzeba było być albo bardzo bezczelnym, albo podpitym, by do takiej dziewczyny odnosić się obcesowo. Ale on nie był nią w żaden sposób urzeczony. Podziwiał ją po dziecinnemu, jak podziwiałby piękny obraz w muzeum bez zamiaru kradzieży go tylko dla siebie. Był bowiem w takim wieku,

w którym człowiek nie przykłada do kobiet żadnej wagi. A Iwan był w tym względzie jeszcze bardziej radykalny od innych, bo jedyne kobiety, jakie znał, były ulicznicami lub bezdomnymi. Tam, gdzie się obracał, nie spotykało się kobiet, które mogłyby go w jakikolwiek sposób oczarować lub choćby zaprzyjaźnić się z nim.

Siedzącej przed nim nieznanym także to dotyczyło. Na pierwszy rzut oka widać bowiem było, że była szlachcianką. A Iwan nie znosił szlachty, gdyż przez lata nasłuchiwał się wiele złego o carach i otaczającej ich warstwie szlacheckiej. Poza tym pamiętał jak przez mgłę, że ojciec zawsze mówił, by szanować Romanowów, bo ci dbają o dobro kraju i jego mieszkańców. I Iwan szanował. Zawsze, gdy modlił się w cerkwi, to jedną modlitwę poświęcał carskiej rodzinie. I cóż za to dostał? Zmarnowane dzieciństwo, które spędzał bez dachu nad głową, bo święta Ruś stała się łupem dla sąsiadów. Widział trupa własnego ojca kołyszącego się na drzewie, płonący dom i rozpacz matki.

– Jesteś szlachcianką – rzucił jak obelgę. – Waszym to dziełem ta nieszczęsna ziemia od lat z krwi nie obsycha, a nikt na niej mienia i życia nie pewien. Ja sam od lat jestem igraszką w rękach losu, na który wpływu nie mam. Zamiast dzieciństwa miałem wojnę, która uczyniła ze mnie tułacza, z mojego ojca trupa, a z matki kurwę. Ty chcesz mi los zapewnić? Sama nie jesteś pewna własnego żywota, bo ci, którzy próbowali utopić cię w worku, chybiwszy celu raz, zapewne spróbują ponownie. Waszego świata już nie ma, i dobrze. Wszyscy powinniście pokończyć na drzewach.

Iwan mówił jakby w gorączce, a oczy błyszczały mu straszonym światłem. Latami gromadzony zapiekły żal wylewał się teraz na niewinną dziewczynę. A ona wstała i cofnęła się, zaszokowana tym wybuchem złości, którego nie mogła się spodziewać. Jednocześnie była w szoku, słuchając fragmentu losów tego chłopca, które napełniały ją współczuciem dla niego, ale i przerażały.

– Ja ci współczuję, ale nie powinieneś obwiniać za nieszczęścia, jakie dosięgły ciebie i twoją rodzinę, całej warstwy szlacheckiej. W mojej sferze jest i było wielu ludzi, którzy rozumieli niedolę ludu rosyjskiego i robili wszystko, by jej ulżyć. Mój ojciec i matka traktowali swoich ludzi dobrze, znosząc kpiące uwagi okolicznego ziemiaństwa. Ja sama uczyłam chłopskie dzieci czytać, pisać, by miały w życiu lżej niż ich rodzice.

To mówiąc, wsparła się pod boki i kontynuowała:

– Nie zarzucaj mi więc czegoś, czemu nie jestem winna i do czego nie przyłożyłam ani głowy, ani ręki. Oddałeś mi wielką przysługę i chcesz mi odmówić wdzięczności. Nie wolno ci. Tak nie po chrześcijańsku. Czy ty chcesz, żeby mi sumienie wyrzucało, że ja ci za taką przysługę niczym nie odplaciłam?

Iwan zdumiał się. Pierwszy raz w życiu ktoś z arystokracji nie tylko zwrócił na niego uwagę, ale i rozmawiał z nim jak równy z równym. Nie mógł potraktować jej jak innych przedstawicieli jej warstwy społecznej, mimo najszczęśliwszych chęci. Ale nie potrafił zapomnieć krzywd, które spadły na niego za przyczyną wielkich panów, którym się wojować zachciało. Gdyby nie wojna, miałby wciąż całą rodzinę, a nie tylko jej najmłodszą członkinię, którą opiekować się musiał, życie na szali stawiając. Dawno chciał o to kogoś zapytać, tylko nie miał kogo. Aż do teraz.

– Dlaczego?

– Co dlaczego? – spytała, nie rozumiejąc.

– Dlaczego, w imię jakich racji zniszczono moją rodzinę? Komu była potrzebna ta wojna, która wam odebrała władzę i pozycję, a takim jak ja domy, krewnych i spokój? Uczę się i wiem, że wojna daje możnym korzyści, ale oni stanowią ledwie małą część narodu, bo masom nawet korzystna wojna nie daje korzyści, a za niekorzystną im pierwszym płacić przychodzi – mieniem, życiem lub niewolą.

Słuchała uważnie, ale i ze zdumieniem nad wiek dorosłych wywodów tego wyrostka, który pojawił się tutaj zrzędzeniem opatrności, by ocalić jej życie. Zastanawiała się nad tym, co powinna mu odpowiedzieć, jak się bronić. Czuła, że chłopiec chciał nadać śmierci swoich najbliższych jakiś głębszy sens. Nie chciała, nie mogła mu powiedzieć, że nie miała ona żadnego sensu, a zagłada jego rodziny była ledwie kroplą nieszczęść w całym morzu. Dla niego zaś musiała być wszystkim, bo odmieniła jego los. Wolała nie myśleć, co musiał przeżywać, gdy krew łała się strumieniami, a siła zastąpiła prawo. W takim czasie lepiej było być dzikim zwierzęciem niż samotnym chłopcem, którego losem zapewne nikt się nie przejął. Więc od najmłodszych lat, by przetrwać, musiał sam o sobie dbać.

Spojrzała na jego przesiąkniętą wodą koszulę, na lepiące się do czoła kosmyki włosów, na skórę, która stawała się coraz bardziej bladoniebieska, i niemal biegiem ruszyła po jego płaszcz. Złapała go i narzuciła Iwanowi na ramiona, co ten skwitował ledwie dostrzegalnym uśmiechem.

– Cały drżałeś i zęby ci szczękały – wyjaśniła. – A co do twego pytania... – Zawahała się przez chwilę i spojrzała gdzieś w dal. Gdy jednak Iwan myślał, że niczego już od niej więcej nie usłyszy, dokończyła: – Nie masz w tym kraju oczu, które by po najbliższych nie płakały. Ja sama ojca straciłam. Ale czasu nie zmienisz, a następnych dni nie będzie bez dnia dzisiejszego, więc o nim tylko trzeba myśleć. Wojna wybuchła, bo musiała wybuchnąć, skoro do niej przyszło. Trudny to temat dla mnie, bo poczuwam się do tego, o czym mówiłeś. To my, szlachta, zawiedliśmy i słusznie chłoscze nas za to ręka Boża. Ale pozwolisz, że nie będziemy o tym mówić tutaj, bo w końcu na śmierć zamarzniemy. Powiesz mi teraz, jak masz na imię?

Zawahał się. Nie był pewien, jak powinien zareagować na tę propozycję. Przez chwilę korciło go, by podać pierwsze lepsze imię

i nazwisko, jakie przyjdzie mu do głowy, bo przecież ona i tak nie mogła tego sprawdzić. Ale wstydził się w duszy uciekać się do kłamstw, do których nic go przecież nie zmuszało. Jego nazwisko nie było szeroko znane i nikt nie mógł go z niczym powiązać, a już najmniej ze służbami specjalnymi.

– Iwan Saszkin – odrzekł. – Nie szlachcic, tylko mieszczuch.

– Anna Newska – odparła. – Niegdyś szlachcianka, dziś niedoszły topielec.

Iwan zadrzał, co nie uszło uwadze Anny. Przez chwilę sądziła, że to zimno wywołało taką reakcję Saszkina. Ale nie drżał tak silnie, gdy stał na mrozie, będąc tylko w koszuli i bosy. Więc i teraz nie powinien, ponieważ miał na sobie ciepłe buty i był szczelnie otulony płaszczem, który własnoręcznie zarzuciła mu na ramiona.

Zresztą intuicja podpowiadała jej, że nie chodziło o zimno, a nigdy nie lekceważyła przeczuć, gdyż często ratowały jej życie. Poza tym była zwyczajnie ciekawa tego człowieka, który na kilometr pachniał tajemnicą. Wszystko w nim było niejasne i sprzeczne. Buty z trudno dostępnej skóry tak pasowały do powycieranej i pełnej dziur koszuli jak wół do karety. Albo ten płaszcz. Jak kogoś, kto sam chodził po wodę, mogło być stać na taki płaszcz, którego by się i prowincjonalny bolszewicki kacyk nie powstydził?

Anna nie wiedziała, co powinna o tym wszystkim myśleć. W końcu postanowiła nie robić nic, by rozproszyć swoje wątpliwości dotyczące Saszkina. To było szczęśliwe dla niej spotkanie, ale była pewna, że większych konsekwencji mieć nie będzie. Nie uczyni z nich przyjaciół. A skoro Iwan nie chciał dowodów jej wdzięczności, to nie musiała się nim zajmować. Miała tu przecież swoje sprawy, z których trudno jej będzie wyjść cało. Przykład tego miała przed chwilą. Tym razem ręka Boża wyratowała ją z opresji, ale w przyszłości opatrność nie musiała być już dla niej tak łaskawa.

Wzdrygnęła się na wspomnienie panicznego strachu, jaki ją ogarnął, gdy tamci wepchnęli ją do worka. W tamtej chwili przeklinała moment, w którym zgodziła się zostać emisariuszką generała Denikina i udać się do Moskwy. Miała spotkać się z przedstawicielami nowo powstałej organizacji antybolszewickiej, która podobno miała w swych rękach carównę Anastazję. O ile wieść o powstaniu silnej, radykalnie antybolszewickiej organizacji, która miała dość sił i środków, by przeprowadzać spektakularne akcje bojowe, wymierzone zarówno w bolszewicką administrację, jak i w jej przedstawicieli, uradowała zarówno samego generała, jak i jego sztabowców, o tyle wieść o wypłynięciu na wierzch córki cara była dla nich znacznie mniej pomyślna.

Sam Anton dawno bowiem zdążył zapomnieć, że kiedyś był tylko jednym z wielu carskich oficerów, który niknął w tłumie sobie podobnych. Od tego czasu zmieniło się wiele. Zasmakował we władzy, zaszczytach, schlebiała mu możliwość prowadzenia samodzielnych negocjacji z ościennymi potęgami, które były żywo zainteresowane przebiegiem spraw w Rosji. I bynajmniej nie pragnął, aby to się w jakikolwiek sposób zmieniło. A musiałoby się zmienić, gdyby pogłoski o tym, że Anastazja zdołała umknąć z rąk bolszewickich siepaczy, okazały się jednak prawdą. Wtedy bowiem generał, chcąc nadal uchodzić za obrońcę Rusi i prawowitej władzy, musiałby uznać jej prawa.

Anna miała dość bystry umysł, by należycie pojmować wszystkie te polityczno-dyplomatyczne subtelności. Dlatego w pełni rozumiała wagę zadania powierzonego przez generała. Lecz nie przybyła do Rosji tylko dla załatwienia jego spraw, które nie były jej własnymi. Mogła bowiem spokojnie przebywać na emigracji w Paryżu, gdzie schroniła się większość z tych, którzy ze strony bolszewickiej władzy mogli spodziewać się tylko śmierci. Ona jednak nie mogła pójść za ich przykładem, bo w bolszewickim piekle zostawiła matkę. I nie chciała... nie byłaby w stanie o niej



zapomnieć. Będąc tam, w Paryżu, ciągle myślała o niej, wyrzucała sobie, że sama jest bezpieczna, podczas gdy jej matka przebywa w miejscu, gdzie każdego dnia grozi jej śmierć w straszliwych męczarniach. Anna niemal żadnej nocy nie mogła spać, a nawet kiedy udało jej się na chwilę zmrużyć oczy, jej podświadomość nawiedzały złe sny, których główną bohaterką była jej matka i bolszewicy kaci. Budziła się wówczas z krzykiem, ociekając potem i z drżeniem czekając, aż pierwsze promienie słoneczne rozświetlą mroki nocy, zwiastując nadejście świtu.

Czuła, że nie zdoła dłużej wytrzymać, żyjąc w ciągłej męce i niepewności. Na próżno co bardziej doświadczeni znajomi z emigracyjnych kręgów usiłowali wyperswadować Annie ten zamiar, sugerując, że jej matka musiała zginąć. Bo jak mogłaby przetrwać samotnie pośród rewolucyjnego piekła, jeśli nie udało się to tak wielu ludziom, którzy byli i mądrzejsi, i silniejsi od niej? Były to argumenty racjonalne, ale Anna nie chciała przyjąć ich do wiadomości. Jej przecucie mówiło bowiem zupełnie co innego. I było rzeczą naturalną, że wolała wierzyć własnym odczuciom, gdyż one pozwalały jej zachować nadzieję.

Było to dla niej dużo, bo odkąd pamiętała, zawsze czuła się silniej związana emocjonalnie z matką niż z ojcem. To matka była powierniczką jej sekretów, przewodniczką życiową, która doradzała jej, jak rozwikłać liczne problemy, przed którymi stawała. Ojciec nie mógł pełnić tej funkcji, ponieważ inaczej patrzył na świat i ludzi, choć zapewne kochał ją równie mocno. Zresztą jego losu nie mogła już odmienić. Miała relacje pochodzące z ust ludzi zasługujących na wiarygodność, które kazały wyrzec się wszelkiej nadziei. Z matką rzecz miała się inaczej. Tu nie było ani świadków, którzy mogliby cokolwiek bliższego powiedzieć o jej losie, ani nawet cienia dowodu. To pozwalało żywić nadzieję.

I właśnie w imię tej nadziei porzuciła bezpieczne życie w paryskiej metropolii i nawiązała kontakty z przebywającymi na

emigracji ludźmi generała Antona Denikina. Pomogły jej w tym arystokratyczne koneksje jej rodziny – poręczono za jej wrogość wobec reżimu i lojalność wobec swojego dowództwa. To była najważniejsza przyczyna, dla której zakwalifikowano ją na specjalny kurs szkoleniowy dla dywersantów. Ukończyła wszechstronne szkolenie bojowe i czekała, aż trafi się okazja, która pozwoli jej udać się na głębokie zaplecze przeciwnika.

Okazja jednak długo nie chciała ukazać się na horyzoncie. Wszystkich bowiem pochłaniała dynamicznie zmieniająca się sytuacja na froncie i nikt ze sztabowców nie miał ani czasu, ani chęci, by zajmować się rozwojem komórek dywersyjno-spiegowskich, w których nie pokładano zresztą nigdy wielkich nadziei. Była to formacja zbyt nieliczna, by mogła w realny sposób wpłynąć na losy wojny domowej. To do bólu pragmatyczne podejście odpowiadało rzeczywistości. Właśnie z powodu tego pragmatyzmu, któremu hołdował sztab, Anna dzieliła los innych kolegów i koleżanek, nudząc się i szkoląc głęboko na zapleczu frontu.

Dopiero później na wojennym i politycznym horyzoncie pojawiła się nowa, prężnie funkcjonująca organizacja, która liczbą akcji dywersyjnych zjednała sobie rozgłos w całym kraju, wymuszając podjęcie próby nawiązania z nią kontaktu. A najlepszą metodą było posłanie do przedstawicieli Wolności kogoś, kogo w razie potrzeby można by się wyprzeć. Niewielka jednostka sabotażowa, o której istnieniu wiedziało niewielu ludzi, nadawała się idealnie do tego celu.

Anna uśmiechnęła się do siebie. Zdawała sobie bowiem sprawę, że gdyby nie sprzyjający splot pewnych okoliczności, nikt nie zdecydowałby się na zorganizowanie dla niej przerzutu do Moskwy. I zapewne do dziś spędzałyby czas na żmudnym szkoleniu, które nigdy by się do niczego nie przydało. Wszystko zawdzięczała obawie Denikina przed Anastazją. To było jej

pierwsze i podstawowe zadanie: ustalić, czy w micie, który szerzył się między rosyjskim chłopstwem jak pożar, jest choćby ziarno prawdy.

Osobiście w to nie wierzyła, ale zniknięcie carskiej rodziny otaczała aura takiej tajemniczości, że nikt nie mógł być niczego pewien. A generał chciał przynajmniej zweryfikować tę plotkę i przekonać się, czy ma do czynienia z prawdą, czy też ze sprytnymi lawirantami, którzy w przebiegły sposób wykorzystują sytuację dla własnej korzyści. Zobowiązała się do zbadania tego, bo tylko w ten sposób mogła się znaleźć na ulicach Moskwy. I nie zastanawiała się zbyt nad tym, na jak wielkie niebezpieczeństwo się naraża, uczestnicząc w tej operacji.

Przekonała się o tym dopiero na miejscu, choć na początku nie nie zapowiadało większych kłopotów. Kanał przerzutowy okazał się bezpieczny, a dostarczeni przez organizację przewodnicy byli fachowcami, pod których opieką zdołała bezpiecznie dotrzeć na punkt kontaktowy, gdzie miało odbyć się spotkanie. Na nim właśnie nawiązała pierwsze kontakty i bieg wypadków zmierzał w dobrym kierunku, choć do załatwienia wszystkiego, a zwłaszcza do ustalenia prawdy o losie carskiej córki, była jeszcze bardzo daleka droga. Oczywiście nie łudziła się, że ktokolwiek zaproponuje jej poznanie rzekomej Anastazji już na pierwszym spotkaniu, bo byłoby to sprzeczne z podstawowymi regułami ścisłej konspiracji, której organizacja musiała podlegać. Ale była wówczas dobrej myśli.

Dopiero przyszłość pokazała jej, jak bardzo była naiwna. Budynek, w którym się zakwaterowała, otoczyli czekiści. Nie miała nawet cienia szansy, by wyrwać się z pułapki, a samobójstwa popełniać nie chciała. Bała się i nie potrafiła się przemóc, by zdobyć się na krok tak stanowczy. Dlatego pozwoliła się aresztować i przewieźć na Łubiankę. Zadrżała na samo wspomnienie, choć teraz stała nad bystrym nurtem rzeczonym

i była względnie bezpieczna. Ale tam, wtedy – polecała duszę Bogu, bo zbyt wiele wiedziała o tym, co robiono z przymusowymi lokatorami tego miejsca. Przed oczami stawały jej rodzaje tortur, o których wspominało jej na szkoleniu, aby przygotować ją na to, co mogło ją spotkać w razie wypadki.

Lecz nikt i nic nie mogło jej przygotować na strach, jakiego tam doświadczyła. Była z nim sama, zamknięta w czterech ścianach, a własna wyobraźnia i myśli atakowały ją zewsząd niczym stado rozjuszonych os. Nie potrafiła się przed nimi obronić, a bujna wyobraźnia podsuwała jej to, co strażnicy mogą z nią zrobić; a wiedziała, że mogą wszystko. Doszło do tego, że przerażała ją każdy dźwięk, który docierał do jej uszu zza drzwi celi. Za każdym razem myślała, że oto już, teraz nadchodzi oprawcy, by rozpocząć brutalny seans tortur.

Tak samo myślała, gdy zabrali ją z celi, załadowali do samochodu i przywieźli nad rzekę. Ostatnią chwilą, jaką zapamiętała, był ten moment, kiedy wepchnięto ją do worka, a świat wokół niej pogrążył się w nieprzeniknionych ciemnościach, bo potem zemdlała. Obudziła się dopiero wtedy, gdy poczuła, że czyjeś ręce rozwiązują worek.

Westchnęła. Dzieciak nawet nie wiedział, komu pomógł – pomyślała. Wmieszałam go w sprawy, które nigdy nie były i nigdy nie będą jego sprawami. Nic dziwnego, że się przestraszył tych ludzi i nie chce mieć ze mną nic wspólnego... Żyje sobie pośród milionów do siebie podobnych i choć nie jest mu z tym dobrze, to przynajmniej nikt nie czyha na jego życie. A ja nie mam prawa tego zmieniać.

Z drugiej jednak strony nie wiedziała, dokąd powinna teraz iść, gdzie się zwrócić. Wszystkie punkty kontaktowe, które знаła, musiała uznać za spalone. To była dla setek, jeśli nie tysięcy ludzi kwestia przeżycia. Anna to rozumiała. Przecież oni tam nie mogli mieć pewności, że torturowana zdoła wytrzymać. Ona sama jej nie

miała, więc jak mogli mieć ją oni? Nie mogli wiedzieć, że nawet jej nie przesłuchiowano, tylko od razu posłano ją na śmierć. Było to poniekąd dziwne. Przecież powinni próbować wysączyć z niej całą wiedzę. Przecież była emisariuszką Denikina i taka gratka mogła im się ponownie prędko nie trafić. Chyba że nie wiedzieli, na kogo trafili...

Anna pokręciła głową, jakby chciała zaprzeczyć tokowi własnego rozumowania. Nie miała bowiem żadnych złudzeń. W jej aresztowanie włożono zbyt wiele wysiłku i zaangażowano zbyt wielkie siły, by mogło być ono dziełem przypadku. Więc czym? Czuła, że odpowiedź na to pytanie jest bardzo ważna. Nie wiedziała, skąd to wie, ale była tego absolutnie pewna. Niestety w głowie miała tylko pustkę i nie wyglądało na to, by miało się to kiedykolwiek zmienić. Było to bardzo irytujące. Ale na szczęście miała inne sprawy, którymi należało zająć myśli. Rozwikłanie tej dziwnej zagadki musiało cierpliwie poczekać. Teraz trzeba było zdecydować, dokąd pójdzie.

Rozejrzała się w poszukiwaniu Saszkina. Dostrzegła go i zobaczyła, jak z powrotem napełnia swoje wiadro. Rozbawiło ją to, bo stanowiło dziwny kontrast z jej własnymi myślami. Ona rozważała wszelkie implikacje polityczne, a on nawet nie zwrócił na to uwagi, bo dla niego najważniejsza była woda, po którą tu przyszedł.

Podeszła do niego, bo pewna myśl wpadła jej do głowy.

– Dlaczego przychodzisz po wodę w nocy, zamiast robić to w dzień? Noc jest ciemna i przez to łatwiej o kłopoty.

– Świat ma do zaoferowania o wiele gorsze rzeczy niż nocne ciemności. A ja poznałem wiele spośród nich.

Iwan chwycił wiadro i widocznym było, że zbiera się do odejścia. Anna zrozumiała, że ten dzieciak bez najmniejszej wątpliwości zostawi ją tu i nie będzie sobie robił z tego powodu

żadnych wyrzutów. Stwierdziła, że jeśli więc chce przeprowadzić swój zamiar, musi to zrobić teraz.

Napędzana tą myślą rzuciła:

– Chciałabym zostać u ciebie przez jedną noc.

Dostrzegła, że Iwan obraca się bardzo szybko, a w jego ruchach widoczne są negatywne emocje, więc dodała prędko:

– Zrozum. Dla tych, którzy mnie ścigali, jestem martwa. Dlatego nic ci z ich strony nie grozi, a ja spędzę u ciebie tylko jedną noc, po czym zniknę, by więcej nie wrócić.

Iwan zamyślił się głęboko. Miał coraz więcej przesłanek, które niezbitcie świadczyły o tym, że wdepnął w niezłą kabałę. Był teraz prawie pewny, że ta dziewczyna zadarła ze służbami, z tymi samymi, dla których on był szkolony i miał w przyszłości pracować. Ale tego nie mógł przecież jej wyjawić. Reguły, które rządziły tym światem, a które zdołał już dobrze poznać, były w tej kwestii aż nadto jednoznaczne. Gdyby to zrobił, to wydałby na siebie wyrok śmierci. I nie tylko na siebie. Pomyślał o Tani. Opieka nad nią była jego pierwszym obowiązkiem i tylko śmierć uwolni go od tego zadania.

Ale schlebiało mu to, że Anna oczekuje od niego pomocy. Od niego, zwykłego ulicznika i nędzarza, którego wojenna zawierucha uczyniła igraszką w rękach losu. Był niczym tonący, który przez całe swoje życie desperacko walczy o to, by nie dać się pochłonąć wodzie. Na razie, z niewielką pomocą szczęśliwego trafu, utrzymywał siebie i siostrę na powierzchni. Ów szczęśliwy traf postawił na jego drodze Dzierżyńskiego. Chwycił się jego ręki, bo już mu sił brakowało, by samemu walczyć o przetrwanie. Feliks był jak wir, który go porywał i pchał ku nieznannej przyszłości, a on nie miał nad tym żadnej kontroli. Poddał się woli przeznaczenia.

Spojrzał na Annę. W jej oczach dostrzegł nadzieję i niemą prośbę. Zacisnął palce tak mocno, że zbielały mu knykcie. Wahał się i walczył sam ze sobą. Naprawdę chciał jej pomóc: nie patrzyła

na niego z góry, okryła płaszczem, więc serce miała czułe. Iwan wyczuwał to, bo znał się na ludziach. I dlatego był pewien, że nie okłamała go w ani jednym słowie.

Ale przed oczami stawała mu twarz Feliksa Dzierżyńskiego. Człowieka, który przypadkowo wszedł w jego życie i odmienił je za pomocą pstryknięcia. Uczynił go kimś. Dał dach nad głową, szansę na edukację, ale jednocześnie uzależnił od siebie. On już nie był panem własnej woli, bo ten przeklęty Polak trzymał go na smyczy. Była to cena za to, co pozwolił Iwanowi osiągnąć. I chłopak zapłacił ją bez mrugnięcia okiem, bo dzięki temu Tania przestała prowadzić życie dzikiego zwierzęcia. Czy miał to wszystko teraz narazić? I to dla kogo? Dla dziewczyny, którą widział pierwszy i zapewne ostatni raz w życiu... Ale czy ryzyko istotnie było aż tak wielkie? W jednym Anna z pewnością miała rację. Oni nie będą jej szukać, bo nie mają żadnego powodu, by przypuszczać, że mogła przeżyć. A to oznaczało, że mieli przed sobą trochę czasu, zanim czekałsi zorientują się, że coś poszło nie tak, i przystąpią do działania. A jeśli nawet stanie się to wcześniej, to nie będą jej przecież szukać u niego w mieszkaniu. Bo niby dlaczego? Taki zbieg okoliczności, jaki miał tu miejsce, mógł być wyłącznie dziełem przypadku, a to zapewniało mu niemal całkowite bezpieczeństwo. Było raczej mało prawdopodobne, by ludzie Dzierżyńskiego szukali swojego wroga w mieszkaniu swojego człowieka.

Roześmiał się głośno.

Anna Newska spojrzała na niego ze zdumieniem. Upřednio obserwowała każdy mięsień na jego twarzy, gdyż zdawała sobie sprawę, że w tej właśnie chwili decyduje się jej los. Widziała, z jakim skupieniem medytował, jakby na zimno kalkulował zyski i straty mogące wyniknąć z ugoszczenia jej pod swoim dachem. Zdawało się, jakby i dla niego była to jedna z kluczowych decyzji w życiu. Nie umiała sobie tego do końca wytłumaczyć. Wiedział co

prawda, że ściga ją bolszewicka władza, ale myślał zapewne, że jest jedną z tysięcy arystokratek, które zdołały umknąć szwadronom śmierci mordującym w pierwszym okresie rewolucji i tuż po definitywnym przejęciu władzy przez Lenina. Nie miał przecież powodu sądzić, że jest ona w jakikolwiek sposób związana z białymi generałami, bo nie dała mu powodu do takich przypuszczeń.

Iwan obrócił się lekko. Odetchnął i poczuł się lepiej, jak człowiek, który podjął wreszcie trudną i rozstrzygającą decyzję. Chciał być wolny, choć przez chwilę. Dlatego postanowił sprzeciwić się swoim szefom, choć cieszyło go, że oni nigdy się o tym nie dowiedzą.

– Pomogę ci – stwierdził. – Czy oni mają twój rysopis lub fotografię?

Anna spojrzała na niego ze zdumieniem, zaskoczona fachowością pytania. Ale Iwan nie pozwolił jej dojść do słowa, bo nie chciał, by cokolwiek o nim wiedziała. Dlatego kontynuował:

– O nic nie pytaj. I tak nie uwierzysz. Ocaliłem ci życie, więc jestem za nie odpowiedzialny. Przez jedną noc nie powinni cię szukać. A już na pewno nie będą cię szukać u mnie. Ale musisz bezpiecznie dotrzeć do mojego mieszkania, a to może być trudne, jeśli Czeka sporządziła twój rysopis.

– Dlaczego?

Westchnął. Anna musiała być w Rosji od niedawna, jeśli zadawała takie pytania. Nikt, kto znał nowe zasady, panujące od niedawna w niegdysiejszym kraju carów, nigdy by go nie postawił. Nawet tutejsze dzieci wiedziały już, że bolszewicy mają na swoim utrzymaniu całą gamę szpicli wywodzących się ze wszystkich warstw społecznych. Jeśli dostali zdjęcie Anny, to mógł być niemal pewny, że za chwilę ruszą jej tropem.

– Bo oni mają całą watahę szpicli, którą Dzierżyński może uruchomić, gdy tylko sam uzna to za stosowne. Musiałś od dawna



nie być w kraju, skoro o tym nie wiesz, bo dla tutejszych ludzi nie są to żadne nowości. Ja o nic nie pytam – unióś ręce w obronnym geście – ale na przyszłość postaraj się być bardziej ostrożna i nie zdradzaj się tak lekkomyślnie z brakiem znajomości realiów, jakie tutaj w wyniku rewolucji zaistniały.

I to by było na tyle, jeśli chodzi o moje szkolenie ze znajomości realiów – pomyślała. A przecież jej instruktorzy przykładali do tego ogromną wagę i zmuszali do wielogodzinnego ślęczenia nad materiałami, których opanowanie miało sprawić, że z łatwością zdoła wtopić się w tłum anonimowych ludzi. To wszystko okazało się mrzonkami, które nie miały pokrycia w faktach. Dopiero teraz naprawdę zrozumiała, że nie była w dostatecznym stopniu przygotowana do roli, jaką z polecenia swoich zwierzchników miała tu odegrać. Spojrzała na Iwana i po raz pierwszy podziękowała Bogu, że pozwolił jej trafić na kogoś takiego. Kogoś, kto znał tutejsze realia od podszewki, bo żył się z nimi i umiał się w nich z łatwością obracać. Ona nie umiała. I bardzo wątpiła, czy kiedykolwiek zdoła nabyć tę umiejętność. Jej świat, ten, w którym wyrosła, odszedł w niebyt wraz ze śmiercią Romanowów. A ten, który po nich nastał, był dla niej ze wszech miar wrogi i obcy. Dlatego potrzebowała przewodnika, który pomógłby jej zaadaptować się w nowym ustroju, a tym kimś mógł być tylko Iwan, bo wyłącznie jemu była w stanie zaufać.

– Obrotny z ciebie chłopak – stwierdziła, uśmiechając się przy tym lekko. – Ale to dobrze, że o nic więcej nie pytasz, bo kto mniej wie, ten lepiej śpi. A ja życzę ci z całego serca wielu spokojnych nocy.

– Mniej obrotnych śmierć na ulicy spotkała.

To rzekłszy, Iwan strapił się srodze. Nie miał bowiem zielonego pojęcia, jakim sposobem zdoła przetransportować dziewczynę tak, by była maksymalnie bezpieczna. Nocna pora i parszywa pogoda ułatwiała mu wprawdzie zadanie, ale szpicle czuwali zawsze, bo

rozliczał ich z tego specjalny referat. Wystarczyła jedna para oczu, która dostrzeże ich w tym mroku, a on trafi w łapy specjalistów od rozmiękczenia ludzi. Los Anny i Tani też pewnie nie będzie godny pozazdroszczenia.

Iwan zdawał sobie z tego w pełni sprawę. Ale jego zmęczony umysł nie potrafił opracować odpowiedniego sposobu. A wiedział, że musi to być pomysł naprawdę nietuzinkowy, bo miał przeciwko sobie jednego z najpotężniejszych ludzi w Rosji – o ile nie najpotężniejszego. Lecz on grał o wszystko. O życie swojej siostrzyczki, która zapewne nawet nie podejrzewa, że właśnie w tej chwili znowu postawił jej los na szali przeznaczenia. Dlatego musiał się wyplątać z tej kabały, w którą tak lekkomyślnie się wdał.

Spojrzał na worek i nagle doznał olśnienia. Myśl była wprawdzie prosta, ale on wiedział z własnego doświadczenia, że najczęściej udają się te fortele, które są proste i nieprawdopodobne. Dlatego wziął worek, wylał resztki wody i rozwinąwszy, rzekł, nie patrząc na Annę:

– Przenieś cię w worku. To jedyna możliwość, która daje prawie pełną gwarancję tego, że nikt cię nie dostrzeże.

Anna spojrzała na niego z niedowierzaniem, zaskoczona tym pomysłem. Oburzenie walczyło w niej z rozbawieniem. Pomysł wydał jej się niedorzeczny. Dlatego już otworzyła usta, chcąc zaprotestować, gdy Iwan przyłożył palec do swoich warg, dając jej tym sposobem znać, by nic nie mówiła.

– Zrozum, ja głowę nadstawiam, więc mam prawo chronić ją tak, jak sam uważam za stosowne. Zresztą – tu Iwan uśmiechnął się lekko – Kleopatrze nieśli na spotkanie z Cezarem w dywanie, więc myślę, że i dla ciebie nie będzie to żadna ujma.

– Dywan to nie to samo co worek – odparła Anna, ale oczy błyszczały jej rozbawieniem, a wargi wyginały się w pogodnym uśmiechu. – Ale niech będzie, zgoda.

Iwan odetchnął z ulgą, gdy usłyszał jej słowa. Wcześniej obawiał się bowiem, że ona nie zaakceptuje jego planu, którego charakter, bądź co bądź, stanowił dla niej pewien rodzaj upokorzenia. Nie chciał się z nią kłócić, bo czuł się względem niej mały i bezbronny. Miał przecież świadomość, że jeszcze niedawno ta dziewczyna stała na drabinie społecznej znacznie wyżej od niego i zapewne dysponowała sumami, które jego rodzinie starczyłyby do końca życia. Onieśmielał go jej wiek i widoczna w każdym słowie i geście ogłada, którą jemu dopiero przyswajano.

Dlatego ucieszył się, że sprawa przeszła tak gładko. Ostrożnie pomógł Annie wejść do worka, po czym zawiązał go, dbając o to, by dziewczyna miała czym oddychać. Następnie szybkim ruchem wziął worek na ręce i ruszył przed siebie. Nie pomyślał nawet o wiadrze, które pozostawił nad rzeką. Nogi ślizgały mu się lekko na rozmiękłym po deszczu gruncie. Dlatego szedł wolno i ostrożnie. Pilnował każdego kroku, starając się unikać przyczajonych w mroku nierówności. A nie było to sprawą łatwą z trzymanym na ramionach workiem przytkniętym do piersi. Jeszcze kilka tygodni temu, gdy był słaby i wycieńczony, w ogóle nie podjąłby się tego zadania. A nawet teraz, gdy był odkarmiony i wzmocniony treningiem fizycznym, czuł pot, który cienkimi stróżkami ciekł mu wzdłuż linii krzyża.

Na dodatek Anna ciągle poruszała się w worku w sposób niekontrolowany, co utrudniało mu trzymanie go. Niemal co chwila uderzała go ramieniem lub łokciem w żebra. Nie były to uderzenia zbyt silne, ale mimo wszystko tamowały mu oddech i sprawiały ból. A to utrudniało i tak niełatwą drogę, którą ze względu na nocną porę musiał odbywać po omacku. Na dodatek czuł, jak w mięśniach systematycznie narasta zmęczenie, a oddech staje się nierówny i szybki. Starał się zredukować zmęczenie, oddychając przez nos i idąc na nieznacznie ugiętych kolanach, co

radzili mu instruktorzy na wypadek, gdyby potrzebował zmusić swój organizm do krótkotrwałego, ale ekstremalnego wysiłku.

Tylko dzięki tym sztuczkom, które intensywnie wpajano mu na szkoleniu, zdołał jakoś dobrać do utwardzonej ulicy, gdzie mógł nieco odetchnąć. Droga stała się bowiem znacznie pewniejsza i nie musiał wkładać w każdy krok wysiłku, aby móc nią podążać. Z żalem spojrział na swoje oficerki, całe oblepione błotem, które przyniosły z nieutwardzonego rzeczno-brzegowego. Na szczęście egzamin ze strzelectwa i walki wręcz miał nastąpić dopiero za kilka tygodni, więc miał przed sobą dość czasu, by uporać się z brudem.

Teraz zresztą myślał o czymś, przy czym błoto na butach było tylko drobnostką. Myślał o Annie. Nie chciał jeszcze silniej wkraczać w jej życie, ale jedna rzecz nie dawała mu spokoju. Jedną z jego nauczycielek nazywała się Lena Newska. Mogła to być wprawdzie przypadkowa zbieżność nazwisk, bo to niejedynym takie samo imię albo nawet i nazwisko nosił. Uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, ile to razy jemu nadawano numer, bo Iwanów wszędzie było jak psów. I gdyby chodziło tylko o zbieżność nazwisk, to pewnie przeszedłby nad tym tematem do porządku dziennego.

Ale były i inne przesłanki, które nakazywały podejść do tego tematu nieco poważniej i nie traktować go po macoszemu. Wiedział o niej tyle, ile powiedział mu Misza. Pochodziła skądś z Rosji i była arystokratką, co po samym jej zachowaniu można było poznać. Żyła zaś tylko dlatego, że Feliks potrzebował jej, by uczyła jego ludzi rosyjskiego i dobrych manier. On również chodził na jej zajęcia i bardzo ją szanował. Ale jak miał Annę zapytać, jak zagadnąć? A może lepiej nie mówić nic, bo w sprawie zapewne nic nie ma?

Iwan łamał sobie głowę, bo też i niełatwą decyzję miał do podjęcia. Gdyby zaczął o tym mówić, to musiałby powiedzieć

więcej o sobie, a to z różnych względów mu się nie uśmiechało. Musiałyby opowiadać Annie o szkole, a to byłoby niebezpieczne, bo przy okazji mogłoby mu się wypsnąć coś na temat rzeczywistej roli tej specyficznej placówki oświatowej, która stanowiła kuźnię agentów Czeki. Z tego jednak nie zdawała sobie sprawy ani sama kadra, ani uczniowie, a nawet sama dyrekcja. Dla nich wszystkich była to zwyczajna szkoła, gdzie miały się kształcić przyszłe elity państwa sowieckiego.

I po większej części tak właśnie było. Zajęcia odbywały się bowiem w zwyczajnym trybie, który nie odbiegał w niczym od tego w normalnych placówkach funkcjonujących na terenie całego kraju. Z tą tylko różnicą, że tu fachowość kadry pedagogicznej i poziom nauczania znacznie przewyższały średnią. Specjalny nacisk kładziono też na naukę języków i manier. No i kilku uczniów czasem zniknęło na kilka dni, by przejść szkolenia terenowe. Ale odpowiednie legendy, które preparowano specjalnie na tę okoliczność, sprawiały, że nikt nie domyślał się nawet, że ci wszyscy uczniowie są na specjalnym kursie dla agentów Czeki.

Iwan wiedział to wszystko, bo umiał patrzeć, słuchać i kojarzyć pewne fakty ze sobą. Wiedział też, co by się z nim samym stało, gdyby jakimś nieroztropnym słowem ujawnił ściśle tajną rolę szkoły, jaką ta pełniła w procesie szkolenia agentów. Ot, po prostu zniknęłoby, jakby go ziemia pożarła. Ale choć Saszkina to wiedział, coś paliło go w język, by wypowiedzieć wszystko, co na nim miał. Nie musiał przecież gadać nic o szkoleniu i o tajnej roli szkoły, lecz mógł tak pokierować rozmową, by powiedzieć wszystko, co trzeba, siebie przy tym nie narażając.

Nie wiedział jednak, jak zacząć, bo taką rozmowę starannie musiał sobie ułożyć, by jednym nierozważnym słowem nie zgubić siebie i Tani. I pewnie rzecz skończyłaby się na niczym, bo zmęczony umysł Iwana funkcjonował opornie i niczego mądrego nie mógł wymyślić. Tu jednak Annie sprzykrzyło się widocznie

milczenie, bo usłyszał jej głos, który nieco stłumiony dolatywał do jego ucha przez tkaninę, z której uszyto worek:

– Daleko jeszcze, mój Cezarze?

Iwan zjeżył się, choć w głosie Anny wyczuwał niekłamaną sympatię do siebie. Odpalił więc z miejsca i bez namysłu.

– Nie przyrównuj mnie do Cezara.

– Czemu? Nie chcesz być porównywany do jednego z największych zdobywców w historii ludzkości, którego imię błyszczy na jej kartach blaskiem niegasnącym przez wieki? Daj ci Boże, byś osiągnął choć niewielką część tego, co jemu się udało. Mnie porównanie do Kleopatry schlebia, i tylko dlatego zgodziłam się ponownie wylądować w worku. A ona przecież przez wielu sobie współczesnych była uznawana za ladacnicę. Zaś Cezara wszyscy szanują za jego geniusz wojenny, zdolności organizacyjne i wspaniałomyślność, jakiej nie wahał się okazywać nawet wrogom.

– I jak skończył? – spytał.

Odpowiedział mu cichy chichot Anny.

On także się uśmiechnął, choć z innego powodu. Przyszedł mu bowiem do głowy pomysł, który pozwalał mu bez ryzyka zacząć rozmowę na interesujący go temat.

– Powiedziałaś, że chcesz mi się odwdziżyć? – zapytał lekko niepewnym i drżącym głosem.

– I podtrzymuję to, co powiedziałam – odparła śmiało dziewczyna. – Ale nie zdziwi cię zapewne fakt, że wolałabym dokończyć naszą rozmowę, kiedy będę ułożona w mniej niewygodnej pozycji i w innym miejscu.

– Mam tylko jedno pytanie. I prosiłbym, żebyś odpowiedziała mi na nie szczerze. Nie zapytam o to, co tu robisz ani dla kogo pracujesz, daję ci na to słowo mieszczucha.

Zapanowało dłuższe milczenie. Iwan był niemal pewny, że Anna analizuje teraz każde wypowiedziane przez niego słowo. Nie

ufała mu. I nawet go to nie oburzało, bo w dzisiejszych czasach trudno było żywić zaufanie do kogokolwiek. To musiała rozumieć nawet ona, mimo że nadal nie potrafiła w pełni przystosować się do nowej Rosji i czasów, w których przyszło jej żyć. A jednak chciał móc zwierzyć się jej ze swoich myśli. Chciał, żeby ona mu zaufała. Nie chciał przecież jej krzywdy, to mógłby powiedzieć nawet na sądzie ostatecznym, nie żywiąc obawy, że dopuścił się krzywoprzysięstwa.

Nie on przecież odpowiadał za obecną rzeczywistość, która zmuszała wielu ludzi do robienia okropnych rzeczy. Nie łudził się, że będzie długo pozostawał wolny od ciężaru wyrzutów sumienia. Już wkrótce będzie jak tysiące jemu podobnych przelewał krew w imię triumfu ideologii, której tak naprawdę nigdy nie rozumiał. Ale nie miał wyboru. Jego działaniami od zawsze rządziła chęć przetrwania. Przetrwac, przetrwać jak najdłużej – obojętnie jak i jakim kosztem.

Tak, tak – myślał Iwan. Anna ma rację. Nie można potępiać ludzi gremialnie. Każdy chce po prostu żyć, a że często kosztem drugich, to trudno. Ci, którzy zabili mi ojca, może też już trafili na kogoś, kto mnie wyręczył?

Dalsze rozmyślania przerwał mu cichy głos dziewczyny:

– Pytaj.

Iwan odetchnął z ulgą, po czym rzekł:

– Jak ma na imię twoja matka?

Wstrzymał oddech na jedno uderzenie serca, czekając na odpowiedź. Poczul, że Anna cała zeszytywniała, bo przestała dźgać go łokciem w żebra. Zrozumiał, że odpowiedź na to pytanie musiała być dla niej tak samo trudna, jak dla niego zadanie go. Najwidoczniej dotknął jakiegoś bolesnego wspomnienia, które ona nosiła ukryte na dnie serca. On przecież reagował tak samo, gdy ktoś wspomniał przy nim jego nieżyjących rodziców. To była

w jego sercu wieczna rana, która nie chciała się zbliżnić i dawała o sobie znać przy każdym dotknięciu.

Anna odezwała się dopiero wtedy, gdy Iwan zaczął tracić już nadzieję i szukał gładkich słów, które pozwoliłyby im wycofać się z twarzą z kłopotliwej dla obojga sytuacji.

– Moja matka ma na imię Lena, Lena Newska. Straciłyśmy się z oczu podczas rewolucji. Ja zdołałam dotrzeć do Paryża, a po niej wszelki ślad zginął. Dla mojego ojca to wiem już, że ratunku nie ma. Zasłużeni i zasługujący na wiarygodność ludzie przynieśli mi pewną wieść o jego śmierci, gdyż byli jej naocznymi świadkami. Ale o losie matki nikt nie umiał mi nic pewnego powiedzieć. Ostatni raz widziałam ją w szpitalu polowym, gdzie musiałam ją zostawić, bo zapadła na grypę. Wymusiła to na mnie. Kazała mi się ratować, a ja posłuchałam.

Usłyszał cichy szloch dziewczyny i żal mu się jej zrobiło. Rozumiał, co czuje, bo sam stracił rodziców i wiedział, co to znaczy nie mieć nikogo, kto by obronił i użalił się nad nim. Ale on niczego już nie mógł zmienić. Rozpacz i łzy nikomu życia nie przywróca, a wieczne rozpamiętywanie nie prowadzi do niczego dobrego. Anna natomiast miała tę iskierkę nadziei, którą on bardzo chciał rozdmuchać, by stała się wielkim ogniskiem. Nie chciał jednak robić jej zbyt wielkich nadziei, bo te rozwiać się mogły w zetknięciu z twardą rzeczywistością. Nie miał przecież żadnej pewności, że Annę i Lenę Newską, którą niedawno pokazał Miszy, łączą jakiegokolwiek więzy pokrewieństwa.

– Nie płacz – mruknął. – Nie byłaś przy jej śmierci ani nad grobem nie stałaś. Na łzy będziesz miała czas, gdy będziesz miała pewność, że masz po kim płakać, a na razie trzymaj się nadziei. Ja nie mam już nawet jej.

Nie wiedział, czy przestała chlipać, bo przestał skupiać się na odgłosach dochodzących z worka. Zamiast tego przyśpieszył kroku, bo czuł, że przechodzą go dreszcze. Zimno telepało nim



z coraz większą siłą. Uprzednio myślał, że to tylko skutek długiej przymusowej kąpieli w rzece. Teraz jednak zaczął się obawiać, że mogą to być pierwsze objawy o wiele poważniejszej choroby. Słyszał, jak szczękają mu zęby, i dostrzegał, że widzi zdecydowanie słabiej. Zupełnie jakby w krótkim czasie pogorszył mu się wzrok. Świat był rozmyty i zdawał się skakać mu przed oczami.

Dlatego ucieszył się, gdy znalazł się przed swoją kamienicą. Przeszedł przez bramę, ignorując zdumienie stróża mającego właśnie ją zamknąć. Iwan przeszkodził mu w tym w ostatniej chwili, wsuwając stopę między oba skrzydła, nim te się domknęły.

Stróżem był starszy pan średniego wzrostu, z posiwiałymi i mocno przerzedzonymi już włosami. Od typowych osobników tej profesji odróżniały go sprężystość ruchów i mocne ciało, a także to, że był zakonspirowanym agentem Czeka, którego jedynym zadaniem było pilnowanie Saszkina.

Domniemany stróż nie był zbyt zadowolony z owego przydziału służbowego, bo w jego mniemaniu był on obelgą dla jego umiejętności i kompetencji. Ale nigdy nie pozwolił sobie na to, by wyrazić głośno swoje zdanie. Rozumiał bowiem aż nadto dobrze, że to by się na nic nie zdało. Nikt nie dyskutował z Feliksem Dzierżyńskim. Zacisnął więc zęby i przeszedł do porządku dziennego nad swoją ambicją, choć wszystko się w nim buntowało. Przyjął funkcję bez szemrania i cierpliwie raportował do centrali o wszystkim, co robił Saszkin.

W raportach nie pisał nic szczególnego, bo i nic takiego nie działo się w życiu chłopca. Ot, żył sobie, chodził do szkoły i na kursy szkoleniowe. Nie miał żadnych bliższych znajomych, a tym bardziej przyjaciół. Nie odwiedzali go też koledzy ze szkolnej ławy. Większość czasu spędzał w swojej klitce, którą miał urządzoną nad stryszkciem. W ogóle według jego działań można było regulować zegarki. Co wieczór chodził do rzeki po wodę. „Opiekun” kilkakrotnie towarzyszył mu w tych wyprawach bez jego wiedzy,

by przekonać się, czy Iwan nie kontaktuje się w ten sposób z podejrzanymi ludźmi.

Lecz nigdy nic podobnego się nie zdarzyło. Chłopak chodził do rzeki, napełniał wiadro wodą i wracał. I tak codziennie. W końcu stróżowi sprzykrzyło się chodzenie za nim, bo uciążliwe to były wyprawy, a on musiał jeszcze uważać, by nie zostać dostrzeżonym. Teraz jednak po raz pierwszy pożałował, że nie wybrał się razem z nim, bo kilka dziwnych rzeczy rzuciło mu się w oczy. Jedne były tego rodzaju, że umknęłyby tylko uwadze ślepeca. Inne zaś mogły umknąć oku przypadkowego obserwatora, lecz nie doświadczonemu wywiadowcy z długoletnią praktyką zawodową, a on swoje doświadczenie operacyjne miał.

Zmarszczył więc swe siwe, krzaczaste brwi i lustrował każdy szczegół, każdą zmianę, jaka zaszła w twarzy, ubiorze i zachowaniu chłopca. Najpierw dostrzegł, że idzie jak śnięty, nie widząc nic i nikogo. Zupełnie jakby każdy krok wymagał od niego natężenia wszystkich sił mięśni i woli. A przecież Iwan pozdrawiał go zawsze, ilekroć spotkali się przy bramie. Twarz miał też teraz rozpaloną, a niezdrowy rumieniec zalewał krwistoczerwoną barwą oba jego policzki. Włosy lepiły mu się do czoła, jakby znajdowały się przez dłuższy czas w wodzie. Po co chłopak wchodził do rzeki? Przecież nie potrzebował tego robić, by zaczerpnąć wody, bo tego mógł z łatwością dokonać, nie ruszając się przy tym z brzegu.

Były to wszystkie rzeczy, które zwracały uwagę na pierwszy rzut oka. Ale były i inne, mniej wyraźne, odbiegające od normy i przez to nie mniej dziwne. Iwan miał krzywo zapięte guziki płaszcza. Nie byłoby to niczym nadzwyczajnym, bo to zdarza się nawet ludziom, którzy zwykle starannie dbają o swój ubiór. Ale w połączeniu ze znajomością dotychczasowych zwyczajów Saszkina stanowiło kolejny niepokojący sygnał, który świadczył o tym, że tym razem nad rzeką zdarzyło się coś nieoczekiwanego. Ubłocone buty.

Zwykle chłopak czyścił je starannie jeszcze nad brzegiem, co nieraz widział na własne oczy. Dlaczego tym razem postąpił inaczej? I przede wszystkim: dlaczego wyszedł z wiadrem, a wracał z workiem?! – koncyptował agent.

Jego nos zawodowca podpowiadał mu, że ociera się o coś dziwnego. Po raz pierwszy nie żałował, że dostał taki, a nie inny przydział. Zrozumiał, że musi pilnie skorygować raport do centrali, którego na szczęście nie zdążył jeszcze wysłać, i zawrzeć w nim wszystkie swoje spostrzeżenia z dzisiejszej nocy. Oraz jeszcze intensywniej czuwać nad chłopcem, bo to mogło dać mu upragniony awans.

Tymczasem Iwan wspinał się po schodach z coraz większym trudem. Zaczynał zdawać sobie sprawę, że raczej nie zdoła dotrzeć do swojego lokum. Nogi drżały pod nim, więc przystanął na półpiętrze, ostrożnie położył worek na schodach, po czym zakręciło mu się w głowie. Odruchowo wsparł się dłonią o popękana ścianę. Przed oczami latały mu białe płyty, a serce biło, jakby się chciało wyrwać z piersi.

Nie zobaczył, jak Anna wydostała się z worka, ale poczuł, jak kładzie sobie jego rękę na ramię.

– Co ci jest, mój mały przyjacielu? – spytała z niekłamaną troską w głosie.

– Nie jestem twoim przyjacielem, ale nie jestem i nieprzyjacielem. Tylko mi cię żal, bo jednakowa nasza dola, choć wywodzimy się z różnych stanów. Ale twoja matka, ona... – Nie dokończył, bo stracił przytomność i zawisł jak martwy na ramieniu dziewczyny.

Anna nie miała czasu, by rozmyślać nad dziwnymi słowami, jakie wyszły z ust Saszkina. Zresztą zrzuciła je na karb słabości, która go opanowała. Zamiast więc zajmować się jego majakami, wzięła go na ręce i ruszyła dalej. Żeby Kleopatra dźwigała Cezara – myślała, wsłuchując się w szybki i nierówny oddech Saszkina. Ale

w sercu jej wrzał niepokój o los tego chłopca. Wiedziała, ile mu zawdzięcza, i była pewna, że nigdy go nie zapomni ani nie przestanie żywić dla niego wdzięczności. Dlatego nie chciała, aby za jej przyczyną spotkało go nieszczęście. Przeciwnie, pragnęłyby go nagrodzić i zapewnić świetlaną przyszłość, bo na taką ten chłopiec niewątpliwie zasłużył. Nikt na nią nie zasługiwał bardziej od niego. Kto inny bez mrugnięcia okiem zaryzykowałby życie, by ratować nieznaną sobie osobę, zamiast czym prędzej zniknąć?

Nie umieraj, mały – prosiła go w myślach. Bo ja nigdy sobie tego nie wybaczę!

Rozglądała się w panice w poszukiwaniu pomocy, lecz na klatce nie było nikogo. Co zresztą, jeśli wziąć pod uwagę późną godzinę, nie było niczym nadzwyczajnym. Lecz Annę przyprawiało to niemal o bezdenną rozpacz, bo zdawała sobie sprawę, że Iwanowi trzeba udzielić natychmiastowej pomocy, a ona nie potrafiła tego zrobić.

Wreszcie lzy stanęły jej w oczach, lecz się przemogła i zacisnęła zęby. To nie był czas na okazywanie kobiecej słabości. Zamiast więc poddać się wszechogarniającej rozpacz, zapukała do pierwszych lepszych drzwi. Zdawała sobie sprawę, że jest to odruch desperacji, który może nie przynieść oczekiwanych rezultatów. Bo co robi, jeśli lokator tego miejsca przegna ją na cztery wiatry? A to było więcej niż prawdopodobne. Nikt bowiem nie lubi, gdy ktoś dobija się do niego i budzi go po nocy, a już zwłaszcza w tych czasach, gdy zewsząd groziła gwałtowna śmierć.

Anna to wszystko wiedziała i w napięciu wyteęzała słuch, chcąc usłyszeć wszystko to, co będzie działo się za drzwiami. Bała się bowiem, że zostanie po prostu zignorowana. A na to nie mogłaby już nic poradzić, bo włamywać się do cudzych mieszkań nie zamierzała. Nie mogła sobie wszak pozwolić na żaden konflikt, który mógłby zwrócić na nią uwagę władz.

Odetchnęła więc, gdy usłyszała krzątanicę i kroki, które śpiesznie zbliżały się do drzwi. O dziwo nie towarzyszyły temu typowe dla takich nocnych sytuacji klątwy i przekleństwa. To kazało jej oczekiwać tego, co się zdarzy, z mniejszym niepokojem.

Wreszcie dostrzegła, że klamka zmieniła położenie, a drzwi uchyliły się bezszelestnie. Między futryną a nimi pojawiła się kobieca postać. Anna nie od razu ją spostrzegła, bo właśnie przytykała ucho do piersi Saszkina, chcąc sprawdzić, czy wciąż oddycha. Dopiero gdy uspokoiła się w tym wzglądzie, spojrzała w twarz stojącej przed nią kobiety.

Ledwie zawiesiła na niej wzrok, a oczy momentalnie jej się zaszklily. Znała te rysy na pamięć, bo śniły jej się co noc i miała je ustawicznie wyryte w pamięci. Często wyobrażała sobie to spotkanie i układała specjalną mowę na tę okoliczność. Ale nigdy nie myślała, że odbędzie się to właśnie w ten sposób. Poczula, że wszystkie słowa, które sobie układała, uleciały z niej, pozostawiając pustkę w głowie.

Potrafiła wykrztusić tylko jedno słowo:

– Mamo.

## Rozdział IX

Pociąg z trudem wtoczył się na jeden z peronów warszawskiego dworca. Pasażerskie wagony zasnuwane były przez chwilę obłokami pary, która wydobywała się z pracującej lokomotywy. Drzwi poszczególnych wagonów otwierały się z trzaskiem, a na peron zeskakiwali podróżni. Rozlegały się tradycyjne w takich razach okrzyki witających się ludzi, którzy padali sobie w ramiona. Inni gardłowym głosem popędzali bagażowych, bo śpieszyli się do domów lub innych zadań.

Wiktor zręcznie zeskoczył ze stopni wagonu. Następnie z rozbawieniem spojrzął na Michałaka, który usiłował zrobić to samo i omal nie upadł. Uśmiechnął się dyskretnie, ale nie powiedział nic, bo przez czas, jaki wspólnie spędzili w podróży, zdążył polubić tego wesołego człowieka. Nawet jeśli Stefan irytował go nieco swoją nadmierną ciekawością i gradem zadawanych pytań, na które on musiał odpowiadać. Jego towarzysz podróży był w końcu człowiekiem parafiańskim i interesowało go wszystko, co było związane z życiem stolicy, a zwłaszcza kabarety i lokale rozrywkowe.

– Dobrze jest być młodym – stwierdził Stefan z bolesnym uśmiechem. – Ja kilkanaście lat temu wysiadałem z pociągów tak samo jak ty dziś. – Stał przez chwilę i przyglądał się olbrzymiej ludzkiej rzece, która krążyła po całym dworcu.

Jedni stali przy peronach, czekając na swoje pociągi, a drudzy tkwili w długich kolejkach przy kasach biletowych. Pomiędzy tym

tłumem kręcili się mali gazeciarze, bagażowi i sprzedawcy wszystkiego. Głosy tych ludzi mieszały się ze sobą, zlewając się w jeden wielki niezrozumiały szum.

Stefan stał jak skamieniały i wodził zachwyconym wzrokiem po tym różnobarwnym tłumie. Miał wrażenie, że tkwi w środku ogromnego ula. Czuł się młodszym w tym rojnym gwarze, do którego nie nawykł. Wyławiał z tłumu co ładniejsze dziewczęta i obserwował je z wyraźną przyjemnością, jakby zapomniał zupełnie, że na jego palcu tkwi ślubna obrączka.

Wiktor przez dłuższą chwilę patrzył na to z pobłażliwością. Pamiętał bowiem, jakie wrażenie wywarła na nim samym Warszawa, a już zwłaszcza Berlin, gdy pierwszy raz przebywał w tych miastach. A znał przecież Poznań, który wprawdzie nie mógł współzawodniczyć ani z Berlinem, ani z Warszawą, ale dawał przynajmniej jakieś wyobrażenie o tym, co go może tam czekać. Ale mimo wszystko szok był potężny i gdyby na dworcu w Berlinie nie miał w pobliżu doświadczonej przewodniczki, zapewne utonąłby w tym tłumie.

Rozumiał więc Michalaka, który większą część swego życia i służby granicznej spędził na odległej prowincji, gdzie nie miał żadnego kontaktu z wielkomiejskim życiem. Adamczewski miał w Warszawie kilka spraw do załatwienia: odwiedzić Stasię na Pradze i zameldować się na placu Saskim, by zreferować wyniki śledztwa. Wiedział przecież, jaką wagę pułkownik Dobrowolski przykładał do tej sprawy. Dlatego tym bardziej doceniał wyróżnienie, jakim bez wątpienia było przydzielenie go do tego zadania. Za nic nie chciał zawieść otrzymanego zaufania. Tym bardziej że przecież udało mu się zdobyć informacje, które z pewnością posuną śledztwo do przodu.

– Warszawa ma do zaoferowania znacznie ciekawsze miejsca niż dworce. Obiecuję ci pokazać je wszystkie, tylko po pracy, a nie zamiast niej.

– Takich dziewczyn tam nie ma – odpowiedział Stefan z przekonaniem graniczącym z pewnością. I dorzucił na wpół do siebie, na wpół do Wiktora:

– Spójrz na tę czarnulkę, za którą służka pakunki niesie. Czy nie rżęsiła, co?

Adamczewski rozejrzał się z niepokojem. Stefan mówił bowiem na tyle głośno, że nawet pośród dworcowego rozgardiaszu można było dosłyszeć. A z tego łatwo mogła wyniknąć jakaś zwada. Może nie z samą dziewczyną, bo ta pewnie nie będzie się gniewać, ale zawsze można było trafić na jej krewnego lub samozwańczego obrońcę honoru i czci niewieściej. Wówczas Stefan znalazłby się w niebezpieczeństwie i wypadałoby go przed nim osłonić. On sobie jednak kategorycznie tego nie życzył. Miał bowiem do złożenia pilny meldunek, a te sprawy nie mogły się opóźnić, i to jeszcze z tak błahej przyczyny.

Chwycił więc Stefana za rękaw koszuli i szepnął głosem, w którym pobrzmiwał hamowany gniew:

– Jeszcze mrużyć zacznij jak kocur, gdy go głaszczą. Chcesz mieć więcej guzów na głowie, to twoja rzecz, nie moja, bo ja tu nie siebie, ale państwo reprezentuję. I nie mam zamiaru cię osłaniać, gdyby z twojego gadania wynikły złe skutki.

Przez chwilę oczy Michalaka zabłyśły gniewem, irytacją i oburzeniem. Jakim prawem ten młodzik z mlekiem na gębie śmie prawić mi kazania? Co on właściwie może wiedzieć o życiu, jakie prowadzą ludzie w moim wieku? O posiadaniu rodziny, którą człowiek co prawda kocha, ale od której chętnie by raz na jakiś czas odpoczął? Czy to źle? Czy ludzie w moim wieku mają tylko pracować na żony, kibicować dzieciom, a o sobie nie myśleć? To przecież niesprawiedliwe – rozważał. Kto się na to godzi? Kto się godzi na śmierć po pięćdziesiątce? Pierwszy raz od tak dawna mógł rozkoszować się samotnością, której nie mącił żaden rozgardiasz. Nie było przy nim żony, która co prawda go kochała,



ale nie raz i nie dwa dawała mu odczuć, że nie satysfakcjonuje jej ich stopa życiowa. Spojrzał na Wiktora i poczuł pod sercem ukłucie żalu.

– Nie praw mi morałów – rzucił zaczepnym tonem. – Nie wiesz, co to znaczy choć na trochę wyrwać się z codziennej rutyny i rzucić rodzinę z pleców. Wdzięczność ci jestem winien, bo mi w biedzie pomogłeś, ale pana nad sobą nie zniosę. Uważaj więc, byś zamiast przyjaciela wroga we mnie nie zyskał.

Wiktor pojął, że popełnił błąd. Źle dobrał słowa i uraził tego człowieka w jego ambicji. Michalak zapewne bez mrugnienia okiem przyjąłby połajankę ze strony żony, bo jej słuchać nawykł. Ale nie od niego. Zaciął usta, by zapanować nad rozdrażnieniem. Nie po raz pierwszy orientował się, jak bardzo brakuje mu umiejętności sprawnego kierowania ludźmi. Zdawał sobie doskonale sprawę, że wynika to z jego młodego wieku i braku większych doświadczeń w tej dziedzinie.

Muszę to odkręcić – pomyślał. A na przyszłość obiecał sobie być bardziej rozważnym i o wiele ostrożniej dobierać słowa. Ale teraz musiał połknąć tę żabę.

– Ja nie o tym chciałem – zaczął, wykrzywiając przy tym twarz, jakby właśnie przełykał coś kwaśnego. – Chodzi mi tylko o to, żebyś nas obu na kłopoty nie narażał. Bo nic to jeszcze mnie. Ale gdyby do moich zwierzchników dotarło, że ja się tu w jakiejś burdy wdaję, to mógłbym to ciężko odpokutować. I kto by się wówczas ujął za tobą? Nie zapominaj, że Grzywaczewski wyrzucił cię z roboty, a twój dalszy los zależy od woli moich zwierzchników. Dałem ci słowo, że spróbuję ich dla ciebie zjednać. Ale sam policz, o ile łatwiej mi to przyjdzie, jeśli będę miał nienaganną reputację. A i ciebie gratyfikacja pieniężna mogłaby ominąć, gdyby się rozniosło, że kobiety na ulicach nieprzystojnie nagabujesz.

Stefan zamyślił się smutno. Dotychczas bowiem nie brał pod uwagę argumentów, które teraz przedstawiał mu Adamczewski.

Faktycznie był bezrobotnym. Była to dla niego zupełnie nowa perspektywa, bo dotychczas nie był w takiej sytuacji. I wolał nie myśleć, co by się z nim i jego żoną stało, gdyby nie zdołał prędko tego stanu zmienić. Z czego bowiem opłaciliby czynsz i pozostałe rachunki? Przyszłoby chyba iść pod most; albo na garnuszek dzieci, ale tego za nic robić nie chciał. Nie przywykł bowiem do tego, by żyć z cudzej krwawicy. Od wczesnej młodości utrzymywał się z ciężkiej pracy własnych rąk i tylko tak zdobyte pieniądze uznawał. Czuł, że nie potrafiłby wyciągnąć ręki po finanse własnych dzieci.

Nie czas mu było myśleć o rozrywkach i uciechach wielkiego miasta, gdy życie legło mu w gruzach. A przecież jego żona nic jeszcze o tym nie wie, bo nie było czasu, aby ją zawiadomić. Wiktor bowiem pilił do wyjazdu, a on się nie opierał, bo nie miał ochoty, by przed nią stanąć. Liczył poza tym, że przy pomocy tego młodego oficera szybko poprawi swój los. I jeśli kiedyś opowie o tym zwolnieniu ze służby żonie, to w formie humorystycznej anegdoty, a nie hiobowej wieści. Dlatego nie mógł teraz postępować pochopnie i musiał uważać na to, co mówił i robił. Aż zadrżał na myśl, że przez głupią męską próżność omal nie zniszczył fundamentów swojej przyszłości.

Spojrzał teraz z wdzięcznością na Wiktora.

– Wybacz. Czasem człowieka coś takiego złapie, że nie wie, co mówi i robi. Myślisz, że oni autentycznie zaoferują mi pracę i premię? Bo widzisz, dla mojej żony...

Adamczewski starannie ukrył uśmiezek zadowolenia. Pogratulował sobie w duchu trafnego doboru argumentów, uprzednio bowiem nie był całkowicie pewien, czy okażą się one skuteczne. Wydawało mu się jednak, że argumenty finansowe i przypomnienie aktualnego stanu, w jakim znajdowało się życie Michalaka, powinno trafić na podatny grunt. Poznał bowiem Stefana gruntownie podczas wspólnej podróży i wiedział, że ponad

wszystko zależało mu na spokoju w domowym zaciszu, a to gwarantowała tylko dobra kondycja domowego budżetu.

– Nic się takiego nie stało – odparł obojętnie. – Oddałeś nam nieliczną przysługę, i tak, myślę, że nie pozostanie ona bez żadnej nagrody. Ale zrozum, że ostateczna decyzja w tej sprawie nie ode mnie będzie zależała. Ja jestem tylko jednym z miliona kółek w potężnej maszynie. Ze swej strony mogę ci tylko obiecać, że będę cię popierał ze wszystkich sił. No i zabiorę cię nocą na Nowy Świat, żebyś mógł na własne oczy zobaczyć nocne życie stolicy. A teraz chodź już, bo nam wszystkie dorożki odjadą i będziemy zmuszeni chodzić po Warszawie na piechotę.

Słowa Wiktora omal się nie sprawdziły. Przebiecie się przez tłum, który zatamował wszystkie wyjścia dworcowe, zajęło im tak wiele czasu, że gdy wydostali się przed budynek dworca, nie stały przed nim już niemal żadne dorożki. Wszystkie bowiem z łatwością znajdowały klientów. Wiktor musiał rozglądać się przez dłuższą chwilę, zanim dostrzegł dorożkę z płócienną budą, zaprzęzoną w dwa czarne koniki.

Ocenił je jednym rzutem oka. Znał się bowiem na koniach i żył się z nimi od wczesnego dzieciństwa. Dostrzegł więc, że ci przedstawiciele gatunku są już mocno zaawansowani wiekowo. Ale nie chciał iść na Pragę pieszo, a poza tym żał mu się zrobiło starszego dorożkarza, który patrzył na niego z nadzieją. Zbliżył się więc ku niemu i rzekł:

– Ile sobie policzysz za kurs na Pragę?

Dorożkarz skrobnał się po szpakowatej brodzie. Spojrzał na klientów, jakby był zdziwiony, że w ogóle przed nim stoją. Od dawna bowiem nie mógł narzekać na ich nadmiar. Nie wytrzymywał konkurencji ze strony młodszych konkurentów i ich koni. Jego zwierzęta były już wiekowe i trudno mu było zmuszać je do szybkiej jazdy, a dziś dla niemal wszystkich liczyła się szybkość.

Mało już było takich, którzy lubili z nim porozmawiać czy po prostu poobserwować miejskie zabytki.

– Bo ja wiem? Moje konie stare i szybko chodzić nie nawykły. A ja popędzać ich nie będę, bo sam nie chciałbym pod batem robić. Poza tym one już swoje wyrobiły, jak i ja. – Uśmiechnął się, odsłaniając podniszczone zęby. – Zresztą pieniędzy ludzie dają coraz więcej, a coraz mniej za nie kupić można. No nie zedrę z was.

Wiktor uśmiechnął się lekko. Przez chwilę targował się z sympatycznym dorożkarzem, pilnie dbając o to, by starzec nie był na tym interesie stratny. Zawsze bowiem żywił dziwną słabość do koni. A ten mężczyzna zaimponował mu swoim przywiązaniem do nich, które okazywał na każdym kroku. Zapłacił mu więc tyle, ile koniec końców zażądał, nie reagując przy tym na poszturchiwanie Stefana, który tymi ledwie zauważalnymi gestami zachęcał go do uprawiania ostrzejszych targów.

Szybko znaleźli się w krytej dorożce. Wiktor umościł się wygodnie na siedzisku, wsłuchując się w miarowy stukot końskich kopyt. Czuł, jak ogarnia go znużenie. I nie było w tym nic dziwnego. Przez ostatnie kilka dni działał bardzo intensywnie. Wszystkie jego siły pochłaniało śledztwo prowadzone z ramienia kontrwywiadu. Nie miał czasu na sen i jedzenie. Żył niemal samą adrenaliną, co w sposób widoczny odbiło się na jego wyglądzie. Twarz miał bladą, oczy podkrążone, a głowa ciążyła mu bardzo i samoczynnie opadała na piersi. Codzienny ruch pulsującego życiem miasta niemal już do niego nie docierał, wytlumiony dodatkowo przez budę. Stukot końskich kopyt działał usypiająco i Wiktor nawet się nie zorientował, kiedy odpłynął do krainy snów.

Stefan był bardzo nierad, bo o wszystko chciał pytać, ale nie wydało mu się rzeczą właściwą budzić towarzysza ze snu. Sam przecież widział, jak pracował ponad siły, bo nawet w pociągu chłopak nie wypoczywał, tylko wypytywał go o wszystko, co

tyczyło się funkcjonowania granicy, a zwłaszcza owych nadużyć finansowych, których dopuścił się Grzywaczewski. On zaś odpowiadał, jak umiał, a świetnie umiał, bo lata spędzone w służbie granicznej dały mu nielichą znajomość tematu i poruszał się w nim sprawniej niż wielu wyższych rangą. I z zadowoleniem patrzył, jak Wiktor starannie notuje wszystko to, co od niego słyszy. Miał bowiem świadomość, że te notatki pójdą gdzieś wyżej, co prawdopodobnie przyczyni się do poprawy bezpieczeństwa całego państwa.

Teraz jednak zaciskał tylko usta i patrzył na wszystko oczami dziecka. Dziwiły go zwłaszcza elektryczne tramwaje, które dopiero od kilku lat jeździły po stolicy. Wielkie czynszowe kamienice, wspinające się ku błękitnemu niebu. Neony, które wprawdzie nie były jeszcze podświetlone, bo za dnia nie miałyby to żadnego sensu, ale dla człowieka wychowanego na wschodniej rubieży, gdzie wszelkie nowinki cywilizacyjne przychodziły wolniej, już same w sobie stanowiły wielką osobliwość.

– Pan z daleka? – zagaił dorożkarz, któremu najwidoczniej sprzykrzyło się milczenie. – Tak, piękna nasza Warszawa, piękna, a zwłaszcza odkąd jej ruskie pamiątki nie szpecą. Ot, cerkiew na placu Saskim już wysadzona. Sam byłem popatrzeć, jak nasi chłopcy ładunki zakładali. A co się ludzi nalazło! Odpędzać musieli, żeby którego gruz nie przytłukł. Ale widok był wart ryzyka. Jeszcze takiej ilości pyłu nie widziałem i takiego huku nie słyszałem. Jakby w tysiącu kuźni jednocześnie kowadło bili. Budowla dosłownie w ziemię się zapadła.

– Ja przyjechał od wschodniej ściany – wyjaśnił mężczyzna. – I nie dziwcie się, że oczy na wszystko wytrzeszczam, bo przywykłem u siebie do innych porządków. U nas miast mało, chłopci po wsiach zapadłych siedzą, a maszyn, co bez koni jeżdżą, nie upatrzy nigdzie. To samo elektryka i owe tramwaje. Jednego

razu byłem w Wilnie, to takie widziałem, ale je dwa konie ciągnęły, jak Pan Bóg przykazał. A te wielkie budowle!

Dorożkarz pogłaskał się po brodzie, mile polechtany, jakby część sławy jego miasta tkwiła w nim samym. Czuł, jak przepęlnia go duma, że jego Warszawa wzbudza w przyjezdnych nieklamany podziw. W końcu w tym mieście tkwiła również jakaś część jego duszy, wspomnień. Czasem dobrych, czasem złych albo zwyczajnie szarych. To tacy jak on – a nie kamienice, budowle sakralne różnych wyznań – decydowali o charakterze tego miejsca.

– Ano. Łatwo poznać, skąd pochodzicie, bo wy wszyscy macie ten kresowy zaśpiew i ciągniecie każde słowo jak szewc skórę. Ja w waszych stronach za dawnych czasów bywałem i znam je o tyle, o ile. Pięknie tam, jakby Bóg miał szczególnie dobry humor, gdy wasze strony tworzył. A nasza Warszawa nie wszędzie taka jak tutaj. Na Pradze na ten przykład to jeszcze mało gdzie ulice zelektryfikowane są. Co i nie dziwota, bo przy świetle trudniej rabować. Po mieszkaniach ciasnota przez to, że ludzi za dużo, a mieszkań za mało. I temu trudno się dziwić, bo człowieka łatwiej zrobić niż mieszkanie wybudować. To samo na Czerniakowie i wszędzie indziej. Nędza wyziera z każdego kąta. Ale tu jest Centrum, które z każdym europejskim miastem może iść o lepsze.

– A te kamienice, co je mijaliśmy, to czyje?

Stefan dostrzegł, że twarz dorożkarza zmierzchła, jakoby poruszył jakąś niemiłą dlań kwestię.

– To wszystko, panie, żydowskie!

Stefan zrozumiał, w czym rzecz, bez dalszych objaśnień. Pochodził bowiem z kresów, gdzie Żydzi stanowili powszednie zjawisko i żyli między Polakami. Zasiedlali Wilno, mniejsze kresowe miasteczka i wsie. Trudnili się zaś przede wszystkim handlem i pełno ich jeździło z towarem po całym kraju. Po wsiach trzymali karczmy, bogacili się na wszystkim, czego się tknęli. To wzbudzało naturalną zawiść i niechęć, którą pogłębiał jeszcze fakt,

że żydowska diaspora żyła w odosobnieniu i nie robiła żadnych starań, by zasymilować się z Polakami.

Sam Stefan handlował z Żydami jak wszyscy inni, ale miał kilka zasad, których nieodmiennie w kontaktach z nimi przestrzegał. Przede wszystkim nigdy się u nich nie zapożyczał i handlował tylko za gotówkę. Takie postępowanie dotychczas skutecznie zabezpieczało go przed wszelkimi kłopotami ze strony członków tego narodu. Zresztą, charakter jego pracy sprawiał, że co przezorniejsi Żydzi sami szukali z nim kontaktu. Byli bowiem zaradnymi ludźmi i wiedzieli, że nad granicą niejedna kieszeń napuchła. On jednak nigdy nie uczestniczył w żadnych machlojkach, bo za bardzo zależało mu na zachowaniu pracy, ale Żydzi utrzymywali z nim dobre stosunki, by nie palić za sobą żadnych mostów.

– Nie lubicie tu Żydów, co?

– Nie wszystkich – rzekł pośpiesznie dorożkarz. – Tylko takich, którzy umiaru w zdzierstwie nie potrafią zachować. Mają smykałkę do handlu, temu trudno zaprzeczyć, więc rychło im ładne fortuny porosły. Mnie ostatnio jeden chciał starą kobyłę sprzedać. A tak zręcznie jej wszystkie wady zamaskował, że ja, stary koniarz, bym się naciął jak pierwszy lepszy gołowąs. Szwagrowski mnie przed złym interesem wyratował. On weterynarz i na koniach zna się lepiej niż ktokolwiek inny.

Michalak uśmiechnął się dyskretnie. Poznał już bowiem, skąd się wzięła niechęć dorożkarza do Żydów. Chłop był po prostu urażony, bo nie okazał się takim znawcą koni, za jakiego chciał wszędzie uchodzić. Musiało być to dla niego szczególnie bolesne zdarzenie, zwłaszcza że nie wyglądał na takiego, któremu dobrze się dzieje w życiu. Konie stanowiły treść jego istnienia i były najlepszymi przyjaciółmi. Prawdopodobnie rozmawiał z nimi, traktując jak ludzi. One zaś odpłacały mu za to oddaniem

i przywiązaniem. Zapewne dlatego uważał się za wielkiego znawcę i kłęska na tym polu była szczególnie bolesna.

Temat musiał być dlań zresztą niezbyt przyjemny, bo na samo wspomnienie zgrzytnął zębami i zaraz zręcznie przekierował rozmowę.

– Samochody to fanaberia naszej szlachty i bogatych przemysłowców – mówił z przekonaniem. – Koń przetrwa. Wprawdzie młodzi mówią, że i w samochodach jakieś konie są, ale to pewnie kłamstwo wierutne, bo ja żadnych dotychczas nie widziałem. Koń lepszy od maszyny. Nie śmierdzi benzyną, nie warczy i pogadać z nim można. A z bezduszną maszyną nikt rozmawiał nie będzie.

– Idą nowe czasy – stwierdził Michalak dość obojętnie, bo właśnie wjeżdżali na Pragę i jego uwaga skupiona była na tym, co miał przed oczami. – I jakiegokolwiek by one były, prosty człowiek dostosować się do nich musi, bo żadnego wpływu na ich kształtowanie nie ma. – To mówiąc, przyglądał się czujnie wszystkiemu, co rozciągało się dokoła niego.

I wkrótce przekonał się, że stary dorożkarz miał zupełną słuszność, gdy mówił mu, że Warszawa nie wszędzie wygląda tak pięknie, jak w miejscach, które widział dotychczas. A Praga była tego najlepszym dowodem. Tutejsze ulice były węższe, bardziej nierówne i stale pogrążone w półmroku, którego nie zdołał rozproszyć nawet słoneczny blask. Z czego to wynikało, trudno orzec. Być może przyczyną była ciasna zabudowa. Albo dymy z kominów. Nad ulicami górowały tu ogromne kamienice, które na pierwszy rzut oka zdawały się niczym nie różnić od tych, które widział w Centrum. Ale przyjrawszy się bliżej, dostrzegł, że w praskich kamienicach brakuje kunsztownie zdobionych elewacji, rynien i całych połaci tynku. Były to bowiem proste, prostokątne bryły z piaskowca, których jedynym celem było zapewnienie schronienia miejscowej biedocie.



O tym, jakiego pokroju ludzie zamieszkują tę dzielnicę, mógł się przekonać każdy, kto choćby pobieżnie rozejrzał się po jej ulicach. Dlatego w oczy Stefanowi natychmiast rzucił się cały tłum żebraków, inwalidów i wszelkiej maści tałatajstwa. Ich stroje często były niekompletne i nie chroniły wszystkich części ciała. Kalecy, tkwiący pod ścianami, umyślnie odkrywali swoje ułomności i owrzodzenia, by wzbudzić litość w przechodniach. W powietrzu unosił się specyficzny fetor, jaki wydzielają niemyte ciała i nieświeże ubrania. Dlatego wszędzie panował wprost nieznośny zaduch.

Stefan wodził po tym wszystkim rozszerzonymi ze zdumienia oczami, ponieważ w głowie nie chciało mu się pomieścić, by ludzie widziani przezeń teraz byli obywatelami tego samego miasta, którego pięknem zachwycił się jeszcze tak niedawno. Tam przecież nie widział prowizorycznych domostw skleconych z tego, co budowniczym w ręce wpadło. Tam nie widział plam moczu, który wielu tutejszych ludzi wylewało wciąż wprost na ulice. A przecież właśnie niedawno zakończył się wiek pary i elektryczności. Tymczasem mężczyźnie wydawało się, że tu jego zdobycze wcale nie dotarły. Ledwie gdzieniegdzie dostrzegał pojedyncze latarnie i to nie elektryczne, lecz gazowe, które tkwiły na swoich miejscach, jakoby pojedyncze wyspy na bezkresnym błękitie oceanu.

Przysłonił nos dłonią, bo odór, jaki unosił się w powietrzu, sprawiał, że był bliski omdlenia. Spojrzał na dorożkarza, który wbrew własnym wcześniejszym słowom smagnął konie batem, by przynaglić je do szybszego biegu. Michałak poczuł gwałtowne szarpnięcie, dorożka przyśpieszyła. Z przerażeniem obserwował, jak przechodnie z wprawą uskakują przed rozpędzonymi końmi, kryjąc się po bramach kamienic lub przylegając do nich. Miarowy świst bata i stukot kopyt zlał się w jedną nieczytelną kakofonię dźwięków ze ścigającymi ich gniewnymi głosami. Ale dorożkarz

nie ustawał w popędzaniu koni, dopóki nie przebiły się przez tłum, a ich boki nie okryły się potem.

Dopiero wtedy zdjął czapkę, otarł pot z czoła i rzekł:

– Nie cierpię tego miejsca i zawsze przejeżdżam przez nie z duszą na ramieniu.

– Chyba ci przechodnie mieli dusze na ramieniu, gdy w pośpiechu uciekali spod kopyt twoich koni. Mogliśmy się zatrzymać, dać tym biedakom jakieś wspomnienie.

Dorożkarz wybuchnął tak potężnym śmiechem, że coś zabulgotało mu w środku, a oczy zaszyły łzami. Paroksyzm trwał przez dłuższą chwilę, a stangret trzymał wodze tylko jedną ręką, bo drugą obejmował własny brzuch, którego mięśnie drżały w sposób niekontrolowany. I dopiero gdy przyszedł do siebie, rzekł tonem wykładowcy:

– Ludzie tutejsi nawykli do takich akrobacji, bo tu od dawien dawna żadna dorożka się nie zatrzymuje, żeby klientów, stangretów i koni na niepotrzebne ryzyko nie narażać. A co do tych inwalidów, to zapewniam pana, że większość z nich stosuje tylko zręczne sztuczki, by mamieć naiwnych i wyciągać od nich pieniądze. Owa większość doznaje cudownych uzdowień zaraz po „robocie”. I dlatego wspomaganie ich mija się z jakimkolwiek sensem i logiką. Bo nawet jeśli spośród tej oderwanej od powroza hołoty wyłowi się kogoś, kto naprawdę potrzebuje pomocy, to jawnie dać mu nic nie można, gdyż po chwili będzie się miało na karku te męty. A dla nich nie nowina komuś koś sprzedać czy ustrzelić.

Stefan zrozumiał, że miał sporo szczęścia, i przez całą drogę nie mówił już nic więcej. Dopiero gdy dorożka zatrzymała się przed kamienicą, której numer podał Adamczewski, a w której mieszkały Stanisława Grabowska i Lucyna, dotknął dłonią ramienia Wiktora, by go zbudzić. Młodzieniec przez chwilę rozglądał się dokoła niewidzącym wzrokiem, jakby nie wiedział, gdzie jest i co tu

właściwie robi. Lecz po chwili otrząsnął się i wręczył dorożkarzowi umówioną zapłatę.

Wysiadł z dorożki, nakazując Michalakowi czekać na ulicy. Następnie swobodnym krokiem przeszedł przez podwórkę kamienicy i właśnie miał wchodzić na klatkę, gdy dostrzegł schodzącego ze schodów policjanta w granatowym mundurze, który prowadził przed sobą skutą kajdankami Lucynę. Przez chwilę był tak zaskoczony tym widokiem, że po prostu stanął jak wryty. Nie mógł uwierzyć własnym oczom, że widzi dokładnie to, co widzi. Tysiące sprzecznych myśli zaatakowały go niczym rój rozjuszonych szerszeni. Ale nie miał nawet jednej spokojnej chwili, by się nad nimi zastanowić, bo wypadki następowały po sobie zbyt szybko.

W tym właśnie momencie dostrzegła go bowiem Lucyna. Na jej licu odbiła się cała gama sprzecznych uczuć: nadzieja, rozpacz i gniew. Łzy ciekły jej ciurkiem po bladej twarzy, pozostawiając na niej srebrne smugi. Drżała jak osika, a rozszerzone źrenice czyniły ją podobną do obłąkanej. Wiktor zrozumiał, że ona nie pomoże mu rozwikłać tego, co tu się wydarzyło.

Dlatego skupił swój wzrok na policjancie, ale w ciemności nie mógł dostrzec żadnych szczegółów jego sylwetki. W oczy rzucił mu się tylko orzełek na czapce, który był nieco przekrzywiony. Zastanowiło go to mocno. Policja, jak każda formacja państwowa, podlegała ścisłym regulaminom co do ubioru, w których do każdego szczegółu przywiązywano zwykle ogromną wagę. Wszystko tam miało swoje miejsce: guzik, pas główny i orzełek na czapce też. Dlatego to, co tu zobaczył, było tak dziwne.

Sam nie wiedział na razie, co o tym wszystkim myśleć. Postanowił więc mieć się tylko na baczności. Żałował teraz, że kazał Michalakowi zaczekać na siebie przed kamienicą. We dwóch zawsze raźniej stawiać czoła wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwom. Tylko że on się przecież żadnych nie

spodziewał. A nie chciał zabierać go na spotkanie z zupełnie dlań obcyymi ludźmi, na którym czułby się jak piąte koło u wozu.

To może nic nie znaczyć – myślał. Nie rób nic pochopnie, nim zbadasz sprawę. Czuwaj, ale nie uderzaj przed czasem.

– Co tu się stało? – spytał spokojnie.

Policjant zatrzymał się, będąc cztery stopnie nad nim. Wiktor uśmiechnął się, bo właśnie o to mu chodziło i był rad, że fortel się powiódł. Osiągnął bowiem w ten sposób pełne bezpieczeństwo i panowanie nad sytuacją. Policjant nie mógł go w tym układzie ani dosięgnąć, ani doń strzelić, bo dokładnie między nimi stała Lucyna.

– Jakim prawem pytasz? – Młodzieńczy głos próbował być władczy, ale dało to efekt raczej komiczny niż zadowolający.

Wiktor jednak to nie rozbawiło. Sam czuł się niepewnie, kiedy musiał wydać komuś rozkaz. Na szczęście rzadko miewał ku temu okazje. Ale jak wiedział, jego przypadek nie należał do częstych. Rzadko kto w młodym wieku robił karierę w służbie państwowej. A już na pewno nie w takich służbach jak policja czy wojsko, ci bowiem rekrutują się spośród ludzi doświadczonych. Było to dziwne, bardzo dziwne. Który młody policjant wysyłany był na aresztowanie bez asysty doświadczonego pomocnika?

To jakaś intryga albo splot nielogicznych zdarzeń, który zrzędzeniem losu przytrafił się właśnie mnie. Ale muszę wiedzieć, z kim mam do czynienia. Muszę to bardzo mądrze rozegrać, i to bez pomocy Lucyny. Przeklinał teraz to, że była w szoku. Póki ona nie odzyska pełni władzy nad swoim ciałem i umysłem, będzie zdany tylko na siebie. Skupił się w sobie. Każde słowo, każdy gest mogły mieć teraz decydujące znaczenie. Musiał uważać, by lekkomyślnie nie wdać się w konflikt. W końcu policjant mógł być tylko policjantem, niczym więcej. Najgorsze, że musiał decydować pod presją czasu, podczas zwykłej rozmowy. Gdyby miał choć kilka

minut, aby to wszystko przemyśleć, wówczas znalazłby jakieś bezpieczne rozwiązanie.

Wszystkie swoje myśli podporządkował temu jednemu celowi. Miliony pomysłów przebiegały mu przez głowę w ciągu kilku sekund, a po twarzy ciekł pot. Błogosławił lekki półmrok, który wprawdzie nie pozwalał mu na zweryfikowanie stopnia policjanta ani poznanie rysów jego twarzy, ale w rewanżu ukrywał przed nim własny strach, który byłby podejrzany podczas zwykłej rozmowy. Wiktor przeklinał sam siebie, że nie potrafi zapanować nad jego zewnętrznymi oznakami. Wiedział, że brak mu wykształcenia i doświadczenia, aby osiągnąć ten stopień doskonałości w ukrywaniu własnych emocji, który widział u innych. Zapanowanie nad sobą utrudniało mu to, że nie znał natury niebezpieczeństwa, z którym być może przyjdzie mu się zmierzyć. Czuł jego oddech na karku, więc zdawał sobie sprawę, że czai się w mroku. Ale jak miał z nim skutecznie walczyć, jeśli nawet nie wiedział, co mu zagrażało ani skąd nadejdzie niebezpieczeństwo?

– Jestem oficerem twojej tajnej służby i odpowiesz mi, choćbym małą był, a nie człowiekiem. – Mówiąc to, starał się nacechować głos pewnością siebie, której wcale nie czuł. Wiedział bowiem, że gra va banque. Oto ujawnił swoją jedyną broń w tej dziwnej grze, nie mając najmniejszej pewności, czy odniesie to odpowiedni skutek. Co robi, jeśli oficer go zignoruje? Czy pójdzie do pułkownika? A jaką ma pewność, że ten zgodzi się wspomóc go własną powagą? Czy nie zbeszta i nie wydali ze służby za nadużywanie stanowiska?

Dlatego czujnie wpatrywał się nie tyle w twarz, ile w niewyraźny zarys sylwetki oficera, który pośrednio miał w tej chwili w ręku jego los. I wydawało mu się, że dostrzegł lekkie, nerwowe poruszenie ramion. Było ono tak szybkie, że gdyby w tamtym momencie mrugnął okiem, zapewne umknęłoby ono

jego uwadze. Uśmiechnął się, bo poczuł się pewniej, a tłący się gdzieś z tyłu głowy niepokój odszedł w niebyt.

Tym bardziej że w głosie policjanta usłyszał niemal pokorną nutę. To kazało mu zapomnieć o wcześniejszej rezerwie i ostrożności. Nie zdziwiło go nawet to, że oficer nie zażądał od niego żadnego dowodu tożsamości, który mógłby potwierdzić prawdę jego słów.

– Znalazłem ciało niejkiej Stanisławy Grabowskiej. Miała podcięte gardło. Ta kobieta stała nad nią z zakrwawionym nożem w ręce. Natychmiast ją skułem. Ta staruszka sama jest sobie winna, skoro wpuściła pod swój dach obcą osobę.

Wiktor poczuł się tak, jakby całe powietrze wyparowało mu z płuc, a krew w żyłach zamarzła. Stanisława została zamordowana. Tak po prostu. Przecież jeszcze kilka dni temu rozmawiał z nią, słyszał jej śmiech. A teraz ona została zamordowana? I dlaczego? Przecież nie dla pieniędzy, bo z tego, co zdążył zauważyć, nie była osobą, którą można było nazwać zamożną. Mogła zginąć zwyczajnie, bez powodu, co w dzisiejszych czasach nie należało do rzadkości. Ale takich mordów dokonywano zwykle na ulicy, bo każdy mieszkaniec Pragi miał dość rozumu, by nie wpuszczać nikogo obcego w swoje progi.

Czyżby Lucyna? Czyżby się pomylił? Czyżby wprowadził pod dach Stanisławy przebiegłą morderczynię, która wykorzystała jego naiwność i przy pierwszej sposobności zamordowała staruszkę? Starął się odrzucić tę myśl, bo gdyby przyjął ją jako prawdopodobną, to musiałby pogodzić się z własną winą. Nie potrafiłby wówczas uciec przed wyrzutami sumienia. Do sceptycyzmu wobec tej wersji skłaniały go jednak również wszystkie poprzednie wątpliwości, jakie żywił do osoby policjanta. Nieufność została rozbudzona na nowo.

Panie Boże, prowadź moją głowę i język – pomyślał. Spraw, by to nie była Lucyna, i pomóż mi to udowodnić.

– Jakim cudem przybyłeś tu tak szybko, by zastać tę kobietę stojącą z nożem nad ofiarą?

– Sąsiedzi mnie wezwali, ponieważ usłyszeli krzyki.

Gdy Wiktor usłyszał tę odpowiedź, omal się nie roześmiał, gdyż wiedział, że mieszkańcy Pragi nie słyszą i nie widzą absolutnie niczego. A już na pewno nie informują o tym policji. Tutejsi przestępcy mieli swój własny typ honoru, który zakazywał im donoszenia, a zwykli ludzie woleli nie mieszać się w nie swoje sprawy. Bandyci bowiem mieli długie ręce, które często zaciskały się na szyi zbyt uważnych obserwatorów. To wiedział nawet on, choć spędził między tymi ludźmi ledwie kilka dni, co było zbyt krótkim okresem, by mógł poznać wszystkie ich prawa i zwyczaje, jakimi zwykli kierować się w życiu. Ten człowiek kłamał. Było to niby tylko potwierdzenie jego przeczuć, ale jednocześnie tak szokujące, że przez chwilę sam nie wiedział, co powinien z nim zrobić. Poczul się tak, jakby znalazł się nagle na polu minowym. Dlaczego ten człowiek go okłamywał? Przecież każdy policjant znał praskie realia, więc w tym przypadku nie mogło być mowy o pomyłce. Więc o czym? Co tu się dzieje wokół mnie?

Czuł wściekle pulsowanie krwi w uszach i miał wrażenie, że tępy ból w skroniach za chwilę rozsądzi mu czaszkę. Dziwny niepokój i strach szarpał go za serce. Wątpliwości, które wcześniej wydawały się zupełnie pozbawione sensu, nabrałyby go, gdyby przyjął za prawdę pewną myśl, która już od jakiegoś czasu nieśmiało kielkowała w jego umyśle. A mianowicie, że ów policjant wcale nim nie jest. Bronił się przed tym osądem, bo wydawał mu się niedorzeczny. Ale nie potrafił zamknąć oczu na to, że wszystko, co widział i słyszał, zdawało się pośrednio potwierdzać słuszność tej hipotezy.

Przekrzywiony orzełek na czapce, brak elementarnej wiedzy, to wszystko mogło i powinno u policjanta dziwić; za to byłoby czymś naturalnym u kogoś, kto nim nie był. On także niegdyś

z powodzeniem udawał dziennikarza. I nikt wtedy się nie zorientował, że cały czas ma do czynienia ze zręczną mistyfikacją. Dlaczego? Przecież było tam mnóstwo inteligentnych ludzi, którzy powinni go byli zdemaskować. Przecież na pewno popełnił wówczas jakieś błędy, dał im wskazówki. Więc dlaczego to wszystko się udało?

Bo nikomu z nich nie przyszło do głowy, by realnie mnie sprawdzić – pomyślał. Po prostu założyli z góry, że jestem tym, kim jestem. Dokładnie tak, jak ja teraz.

Wiktor zastanawiał się chwilę, jak ma zweryfikować, z kim ma do czynienia. Rzecz warta była namysłu, bo musiał to zrobić bardzo zręcznie. Tak aby domniemany policjant nie zorientował się, że jest sprawdzany. Wówczas bowiem jego ewentualna pomyłka nie pociągnęłaby za sobą dalszych konsekwencji. Żałował, że ma tak mało czasu na opracowanie podstępnego pytania, które mogłoby posłużyć do wydobycia prawdy z cienia. Nie mógł przecież przeciągać tej dziwacznej konwersacji w nieskończoność.

Spojrzał na Lucynę, jakby od niej oczekiwał rady lub pomocy. Ona jednak wciąż miała ten sam błędny wzrok, którym chyba na inny świat patrzyła. Jej twarz wciąż była niemal półtrupia, bo nie było w niej ani jednej kropli krwi. Wyglądała zdecydowanie gorzej niż w dniu, gdy spotkali się po raz pierwszy. Wtedy na ulicy, gdy w akcie desperacji zaproponowała mu swoje usługi. Wrócił myślą do tego momentu i nagle doznał olśnienia.

Już wiedział, jak sprawdzić policjanta tak, by – jeśli się myli – wyjść z tego z twarzą.

– Sprawdziłeś, czy ta pannica nie jest przypadkiem zawodową kurwą? – Wzdrygnął się, gdy usłyszał swój głos wypowiadający to obelżywe słowo, ale nie miał wyboru. Musiał uzyskać albo zaprzeczenie, albo potwierdzenie swoich podejrzeń. To by bowiem wiele wyjaśniało. – Czy ma przy sobie żółtą książeczkę? – spytał



i wstrzymał oddech. Spiął wszystkie mięśnie, jakby szykował się do skoku, i wpatrywał się intensywnie w stojącego nad nim mężczyznę.

– Nie, nie ma. A szkoda, bo jej zawód wiele by nam wyjaśnił i ułatwił – odpowiedział policjant i dodał: – Ale pan wydaje się zręcznym człowiekiem, który mógłby mi pomóc w rozwikłaniu sprawy, bo mnie ona przerasta.

Wiktor poczuł palące spojrzenie mężczyzny, od którego przeszedł go zimny dreszcz strachu. Miał już bowiem pewność, że nie rozmawia z policjantem. Prawdziwy policjant wiedziałby z całą pewnością, że rejestrowane prostytutki miały książeczki z czarnymi okładkami, skąd też te wzięły swoją nazwę. Błogosławił teraz swoją pamięć i Lucynę, która w czasie ich pierwszego spotkania wzięła go za tajniaka z policji obyczajowej.

Dzięki temu rozumiał już, że ma do czynienia z dziwną intrygą. A choć jej celu jeszcze nie odkrył, to przecież sidła widział dobrze. Nie wiedział tylko, kto i na kogo tak naprawdę je zastawia. Ani przez chwilę bowiem nie wątpił, że fałszywy policjant jest tylko pionkiem, którym kieruje ktoś inny. Ciekawość w połączeniu z młodzieńczą brawurą popychała go do zbadania tej sprawy, która w jakiś niezrozumiały dlań sposób łączyła się z nim samym. By to zrobić, musiał wykonywać instrukcje tego człowieka, który z siebie tylko znanych powodów chciał go wciągnąć do mieszkania Stanisławy.

Przez chwilę zastanawiał się, czy powinien tam iść. W mieszkaniu mogło być jeszcze więcej wrogów, którzy tkwią tam przyczajeni w dobrze przygotowanej zasadzce. Zdawał sobie sprawę z możliwości zaistnienia takowego niebezpieczeństwa. Ale wiedział też, że rozmontować tę pułapkę mógł tylko w jeden sposób: wchodząc w nią. Dlatego musiał po raz kolejny zaryzykować życie.

– Dobrze – odparł, siłąc się na swobodny ton, który miał zamaskować jego prawdziwe uczucia. – Mogę ci posłużyć moim doświadczeniem. I nawet chętnie to zrobię, bo Stanisława była moją dobrą znajomą. Chodźmy więc do niej. Niech jej ostatni raz w oczy spojrzę i ją pożegnam.

Tu głos zadrgał mu lekko hamowanym wzruszeniem, którego wcale nie musiał udawać, gdyż było autentyczne i pochodziło z głębi serca. Szczerze żałował dobrej i uprzejmej dla ludzi staruszki, której dobroć dane mu było poznać i docenić. Dawała mu bowiem serdeczne uczucie, niczego w zamian nie żądając. A on, chowany pod twardą ojcową ręką, niewiele w dzieciństwie zaznał czułości.

Muszę odnaleźć jej mordercę – pomyślał i twarz skurczyła mu się gniewem i bólem, który z trudem zdołał zepchnąć do głębi serca, by móc mówić lekko i swobodnie.

– Rozkuj naszą dzierlatkę – poprosił i dodał, by nie obudzić czujności w przeciwniku: – Dwóch nas jest, więc wystarczy, by upilnować jedną kobietę. A ty głowę musisz mieć wolną, by móc dostrzec wszelkie ślady, jakie mógł pozostawić po sobie nasz morderca.

Mówiąc to, Wiktor modlił się gorliwie w duszy, by jego przeciwnik zgodził się na jego prośbę. Wprawdzie nie sądził, by tamten zorientował się, że on przejrzał jakąś część mistyfikacji, w której ów brał udział, ale teraz to „policjant” miał w rękę wszystkie atuty. A jemu pozostało tylko czekanie na jego ruch. Jak gdyby był jakimś arcymistrzem szachowym, który zręcznie zastawił pułapkę i teraz czekał, aż przeciwnik wykona ruch, który pozwoli mu na jej zatrzaśnięcie. Była to decydująca chwila, na którą jego organizm reagował objawami napięcia. Wiktor czuł potworną suchość w ustach, a gardło miał tak ściśnięte, że nie był nawet pewien, czy zdołałby w tej chwili wydobyć z siebie głos.

Na szczęście nie musiał. Sprawa przeszła bowiem wyjątkowo gładko i już po chwili Lucyna rozcierała obolałe nadgarstki. Starał się na nią nie patrzeć, bo zdawał sobie sprawę, że teraz nie wolno mu okazać jej żadnych przyjaznych uczuć, a te swoje odbicie mają przede wszystkim w oczach, w które spojrzeć może każdy, odczytując to, co nie jest dla niego przeznaczone. Jeszcze będzie czas na wzajemne przytulanie – myślał – ale najpierw muszę zrozumieć, o co właściwie w tym wszystkim chodzi.

Wyciągnął broń i skierował ją prosto w pierś Lucyny. Widział, jak jej oczy rozszerzają się ze strachu, a twarz purpurowieje. Usta zaś poruszają się szybko, chwytając oddech. Świat zamarł na chwilę, jakby ktoś właśnie utrwał tę scenę na kliszy. Sekundy upiornej ciszy przerwał piskliwy, pełen przerażenia pisk Lucyny:

– To nie ja! Ja ją tylko tak znalazłam. Odruchowo wzięłam do ręki nóż. Musisz mi uwierzyć. Oni już tam byli...

Adamczewski zobaczył ruch ręki policjanta, który zamachnął się prawicą, chcąc uderzeniem uciszyć dziewczynę. Uprzedził go i sam wymierzył policzek. Zobaczył, jak eksprostitutka odruchowo lewą ręką dotyka twarzy, która szybko zaczynała zmieniać barwę.

– Dla mnie słowa kurwy nic nie znaczą. – Uderzał ją słowami, choć wszystko w środku rwało go z bólu, jaki zadawał i jej, i sobie.

Ale rozumiał dobrze, że nie miał wyboru. Musiał to zrobić, jeśli chciał przetrwać. Lucyna musiała uwierzyć w jego słowa, by móc wiarygodnie odegrać rolę, którą wyznaczył dla niej w swoim przedstawieniu. Bo z kolei tamten musiał uwierzyć, że on niczego się nie domyśla i dalej podąża drogą, którą mu wyznaczył. To był podstawowy warunek przetrwania. Tamci z pewnością mieli przewagę liczebną, a on będzie miał po swojej stronie tylko mały atut w postaci elementu zaskoczenia. To dawało mu jakąś szansę, która pozwalała żywić nadzieję na to, że przyszłość przyniesie mu zupełne zwycięstwo nad tajemniczymi wrogami.

Rzuciwszy kątem oka na twarz quasi-policjanta, Wiktor przekonał się, że jego rozumowanie było najzupełniej słuszne, a cel, jaki przed sobą postawił, został osiągnięty. Nie dostrzegł bowiem żadnych śladów niepokoju ani w ruchach, ani w postawie przeciwnika. A dostrzegłby je niechybnie, gdyby jego fortel nie zadziałał. Chyba że mam do czynienia z kimś, kto potrafi znakomicie maskować miotające nim emocje – pomyślał.

Szybko jednak odepchnął od siebie tę myśl. Rozumiał bowiem, że nie był to odpowiedni czas, by zadręczać się tym, co jeszcze skrywa mrok przyszłości. W końcu wszystkie karty zostaną odkryte, a wówczas prawda wyjdzie na jaw i wszystko stanie się jasne jak słońce. Ale teraz należało działać.

Wiktor chwycił więc kobietę za rękę. Poczul chłód, jaki go przeniknął, gdy dotknął palcami jej bladej skóry. Dostrzegł też niewielkie krople potu, które sprawiły, że również jego ręka stała się wilgotna. Przez chwilę bał się, co się zdarzy, jeśli dziewczyna zacznie się z nim szarpać na wąskiej klatce schodowej. Wolał nie myśleć, co by się stało, gdyby zdołała wyśliznąć mu się z ręki. To bowiem pomieszałoby mu szyki. Na szczęście Lucyna wyglądała na zupełnie pogodzoną z losem i pozbawioną woli oporu. Zupełnie jakby nie chodziło o jej przyszłość. Dlatego jej ruchy były mechaniczne i obojętne.

Cała trójka stanęła przed drzwiami prowadzącymi do mieszkania Stanisławy. Człowiek w mundurze policjanta zastukał w nie raz krótko, raz długo. Normalnie Wiktor nie zwróciłby uwagi na tak mało istotny szczegół, ale teraz jego umysł był wyjątkowo wyczulony na wychwytywanie rzeczy, które mogły mieć podwójne znaczenie. Bo na przykład taki, a nie inny sposób pukania do drzwi mógł być czymś w rodzaju zakodowanego sygnału, który zapewne był zrozumiały dla tkwiących w mieszkaniu.

Wiktor obserwował to uważnie. Czuł się tak, jakby czas wokół niego gwałtownie zwolnił. Skupił się w sobie, napiął mięśnie jak

człowiek, który kumuluje w sobie siły do śmiertelnej walki. Dostrzegł, jak ręka mężczyzny opada na klamkę, jak ta ugina się nieznacznie pod jej ciężarem.

Nie czekał do momentu, aż drzwi odsłonią wejście, tylko błyskawicznym ruchem przesunął się za plecy mężczyzny. Gdy tylko drzwi się uchyliły, pchnął go do przodu, zastawiając się nim jak tarczą.

Mężczyzna zachwiał się i potknął na progu, niemal wpadając do środka. W tym samym momencie rozległ się suchy pojedynczy strzał, który ugodził go prosto w pierś. Wiktor zareagował instynktownie, strzelając z biodra. Poczł, jak broń zadrzała mu w dłoni, wypływając pocisk. Przez chwilę nie mógł ocenić skuteczności swego strzału, bo wzrok przysłonił mu siwy, prochowy dym, który pochodził z dwóch pistoletów i skumulował się w małym korytarzu.

Chwilę potem usłyszał jednak cichy jęk. Szybko przeskoczył nad trupem fałszywego policjanta, który leżał na brzuchu z szeroko rozłożonymi rękoma. Minął go, nie rzuciwszy okiem, starając się tylko nie zaplamieć butów krwią, której kałuża powiększała się z wolna. Pamiętał, że jedynie własnej spostrzegawczości zawdzięczał fakt, że to nie on był teraz na jego miejscu. Drobił kroki, skradając się jak drapieżnik do z góry upatrzonej ofiary. Pamiętał o naukach brata, który zawsze wyczuwał go, że nawet ciężko ranny przeciwnik może jeszcze zabić. A on najwyraźniej tylko go zranił. Co poniekąd było okolicznością dlań pomyślną, bowiem bardzo chciał dowiedzieć się, kto tak naprawdę stał za napaścią na niego i śmiercią Stanisławy. A tego mógł się dowiedzieć tylko od żywego agresora. Jeśli ten nie był tylko ślepym narzędziem w czyimś ręku.

Szedł ostrożnie, czujnie rozglądając się dookoła. I wreszcie go dostrzegł. Napastnik był młodym mężczyzną, o szczupłej budowie ciała. Wiktorowi rzuciła się w oczy jego nadzwyczajna chudość

i błądliwość, jakby człowiek ten często brodził w ciemnościach i miał stosunkowo niewielki kontakt ze światłem słonecznym. Zapadłe policzki i widoczne gołym okiem zabiedzenie organizmu świadczyły zaś niezbicie o braku witamin i słabym żywieniu.

Ubrany był tak samo biednie, jak wyglądał. Zbiór łachmanów, który okrywał to wynędzniałe ciało, nie zasługiwał na miano ubrania. Płaszcz był cienki i zszyty z różnych materiałów o odmiennym kolorze. Spodnie były starannie pokryte łatami i zdecydowanie zbyt małe, co sprawiało, że odsłaniały łydki. Na nogach miał drewniaki. Dodatkowym uzupełnieniem jego stroju był brud, pokrywający go grubą warstwą. Wiktor patrzył na jego ogoloną do łysa głowę, na blade wklęsłe czoło. W jego niebieskich oczach widział ogromne znużenie, ale i radość.

To ostatnie spostrzeżenie zaskoczyło go i zaszokowało o wiele bardziej niż okrągła rana wlotowa widoczna na brzuchu nieznajomego. Siedział wsparty plecami o futrynę i usiłował rękoma zatamować krew, która wolno wyciekała z rany. Ale były to daremne wysiłki. Krew przeciekała mu przez palce, a oczy zachodziły mgłą.

Wiktorowi dość było na niego spojrzeć, by przekonać się, że nic mu już z jego strony nie grozi. Teraz obawiał się tylko tego, że nieznajomy umrze, nie wyjawiając mu, dlaczego próbował go zabić. Twarz chłopaka to bladła, to czerwieniała i kurczyła się z bólu. Niekontrolowane drgawki co chwila wstrząsały jego ciałem, a z płuc wydobywał się ciężki, świszczący oddech. Pierś unosiła się w szalonym skokowym rytmie, jakby serce desperacko usiłowało wciąż wykonywać swoją pracę. Ale ilość krwi w obiegu zmniejszała się szybko i nieubłaganie i koniec wszystkiego był oczywisty i łatwy do przewidzenia.

Wiktor ukląkł i pochylił się nad rannym.

– Dlaczego próbowałeś mnie zabić? Wkrótce staniesz przed Stwórcą, by zdać rachunek ze swego życia. Odpuszczam ci z serca,

ale to jedno muszę wiedzieć.

– Nic mi po twoim wybaczeniu, bo razem żeśmy strzelali, obaj trafić mogliśmy. Moja matka... tak mi żal, że muszę ją samą zostawić. Ona nie przeżyje, bo ja jeden rodzinę żywił. Ojcu głowę w fabryce urwało... Odszkodowanie zapłacić musieliśmy za maszynę, co ją zniszczył. Ja w przedzalni...

Z ust nieznanego wydobywał się ledwie zrozumiały charkot, który z wolna zaczynał przechodzić w przedśmiertne rżenie. Wiktor pochylił się nad nim tak blisko, że czuł na policzku szmer powietrza, które wydobywało się z jego ust.

– Oni mówili, że u nich inaczej, że robotnik jest właścicielem fabryk i maszyn. I nie trzeba pracować ponad siły, żeby wykarmić rodzinę. Ja nie chciałem zabijać. Nie chciałem, ale powiedzieli, że podwoją żołąd. Na naftę by starczyło, może na buty dla sióstr.

– Kto dowodził? Kto wydał rozkaz? – szeptał natarczywie Wiktor, jednocześnie uciskając palcami ranę chłopaka. Ich ręce złączyły się i lepiły od krwi.

– Była prośba o spotkanie, którą dostałem na skrzynkę kontaktową. Dowodził ten, którego zabiłem.

– To ty mi wybac. Zajmę się twoimi bliskimi. Przysięgam!

To mówiąc, Wiktor trząsał się cały, a łzy ciurkiem leciały mu z oczu. Jeszcze nigdy nie przeżył tak silnego wzruszenia. Ten człowiek za jego życie chciał kupić naftę i buciki dla sióstr. I co dziwne, to, do czego się posunął, nie oburzało go, tylko wzruszało. Bo było dowodem bezgranicznego oddania i miłości, jaką ten człowiek żywił dla rodziny. Nie mógł, nie umiał go potępić. Czuł palący wstyd przed tym nędzarzem, bo on przecież był jednym ze współtwórców tego państwa. I co więcej, naprawdę w nie wierzył. A ono pozwalało na to, by na jego terytorium jego obywatele byli wyzyskiwani i cierpieli głód. I w imię czego?

Po raz pierwszy otarł się realnie o taką nędzę i nie mógł wyjść z szoku. Dotychczas bowiem nie miała ona twarzy. Była gdzieś

obok niego, ale pochłonięty własnymi sprawami jej nie dostrzegął. Nie widział głodujących dzieci, kalek, żebraków, wszechobecnego cierpienia. Żył niczym w mydlanej bańce, która teraz właśnie pękła z ogromnym hukiem.

Nieznamy spojrzął na niego szklistymi, mokrymi od łez oczyma. Mówić już nie mógł, krwią chrząknął i krzyż w powietrzu naznaczył. Następnie zadrżał. Twarz mu zakrzepła, ręce zakrzywiły się i wbiły paznokciami w podłogę, jakby chciały ją rozedrzeć. Oczy stanęły w ślup, a na w pół otwarte usta chciały jeszcze łapać powietrze, gdy śmierć zakończyła wszystko.

Wiktor złożył mu ręce jak do modlitwy, po czym podniósł się i wszedł do kuchni. Łydki lekko mu się trzęsły, tak bardzo bał się tego, co może tam zastać. Pamiętał przecież to miejsce, gdy emanowało rodzinnym ciepłem. Tutaj czuł się lepiej niż w domu, bo staruszka dbała o niego bardziej niż rodzony ojciec.

Gdy wszedł do pomieszczenia, przekonał się, że w jego wystroju nic się nie zmieniło. Te same meble, te same obicia na ścianach. Tylko powietrze jakieś inne, jakby przesycone chłodnym tchnieniem śmierci. Nigdzie już nie dało się wyczuć tego charakterystycznego ciepła, które tak dobrze znał i kochał. Jakby uleciało wraz z tą, która umiała roztaczać tę przyjazną aurę wokół siebie.

Dostrzegł ją. Siedziała przywiązana do krzesła u szczytu stołu. Ledwie ją poznał po tych oczach, których smutek umiejętnie rozpraszał. Tylko one bowiem się nie zmieniły. Głowa była cała sina. Twarz pożółkła i już napuchnięta robiła na nim okropne wrażenie. Silniejsze nawet niż podłużna rana, która ciągnęła się wzdłuż szyi. Nie potrafił rozpoznać rysów tej twarzy, tak były obce i wrogie.

Na chwilę przystanął, jakby majestat śmierci przykuł go do miejsca. Lecz po chwili zadumy się przemógł. Zbliżył się do zmarłej na palcach, jakby bał się ją zbudzić. Ostrożnie rozerwał



więzy, którymi była skrępowana. Spojrzał na nienaturalnie wykręcone palce i przejęła go zgroza. Delikatnym ruchem pogładził ją po twarzy, a następnie zamknął powieki.

– Zaśnij w spokoju, dobra kobieto – szepnął. – I przebac, bo to chyba przeze mnie.

Usłyszał ciche kroki i odwrócił się gwałtownie. Ale gdy spostrzegł Lucynę, która właśnie wsunęła się do kuchni, uspokoił się natychmiast. Rzucił na nią okiem. Była blada, miała zaciśnięte usta, ale najwidoczniej przyszła już w pełni do siebie, bo w jej wzroku nie dostrzegł tego marazmu i zubożenia, które zaobserwował wcześniej. Ucieszyło go to, ponieważ dotąd obawiał się, czy szok, który stał się jej udziałem, nie będzie miał trwałych konsekwencji dla jej zdrowia.

Spostrzegł, że na jego widok zadrżała, i zrobiło mu się przykro. Do tej pory nie przypuszczał, że kiedykolwiek jakakolwiek kobieta będzie się go bać. A Lucyna najwidoczniej bała się, i to bardzo. Zrobiła ruch, jakby chciała szybko zniknąć, lecz coś ją powstrzymało. Spojrzała na niego, a on poczuł, że pod wpływem tego spojrzenia skóra na nim cierpnie. Tyle było w nim żalu, bólu i rozpacz.

– On by cię uderzył naprawdę – szepnął, zbliżając się do niej. – Bałem się, że nie przyjdiesz i nie będę mógł ci wszystkiego wyjaśnić. A jednak przyszłaś...

– Nie do ciebie, a do niej. Do jedynej osoby, która okazała mi w życiu serce. Nie mogłam stąd odejść, nie pożegnawszy się z nią. Ona też nie miała nikogo bliskiego prócz mnie. Myślałam, że ty... – Załkała cicho.

Wiktor stanął tuż przed nią. Przez moment chciał ją przytulić, ale się powstrzymał. Zdawał sobie bowiem sprawę, że nie powinien tego robić. Czuł jednak, że jej ból i jemu wyciska łyżę spod powiek. Wyczuwał je, ale nie miał najmniejszej ochoty na ich powstrzymywanie. Już stanowczo zbyt długo panował nad swoimi

uczuciami. Chciał dać im upust, w jakikolwiek sposób. Nie hamował go wstyd, że płacze w obecności kobiety, bo czuł, że oboje płaczą z jednego powodu. Ich łzy były jedyną żalobą, na jaką mogli sobie pozwolić.

Ale Lucynie było źzej. Wiktora przygniatało poczucie winy. Zaczynał bowiem zdawać sobie sprawę, że to po jego śladach przyszła tu śmierć. To na niego zapolowali bolszewicy. Tego był już pewien. Nie chciał się jednak teraz zastanawiać nad motywami, które mogły nimi kierować. Ból i żal miały swoje prawa i skutecznie trzymały jego myśli z dala od tych kwestii.

– Ja musiałem tam wtedy to powiedzieć i wycelować do ciebie. On musiał usłyszeć w twoim głosie autentyczną nienawiść do mnie. Nie wiedziałem, czy możesz być świadomą partnerką w trudnej grze. Poza tym byłeś w szoku...

Miotał się niezręcznie, przestępując z nogi na nogę niczym uczeń szkolny. Ale starał się patrzeć jej w oczy, by tym sposobem dać dowód, że mówi szczerze, co czuje i myśli. Naprawdę chciał ją przekonać do czystości swoich intencji, nie chciał, by ona źle o nim myślała. Przecież to, co zrobił, było konieczne dla ich obopólnego ocalenia. Ona musiała mu uwierzyć. Po prostu musiała! Myśl, że mogłaby uważać go za człowieka, który czerpie przyjemność z bicia i lżenia kobiet, była dla niego po prostu nieznośną.

Ukląkł i chwyciwszy ją za obie ręce, rzekł pośpiesznie:

– Pamiętasz, co powiedział tamten o Stanisławie?

Lucyna zamyśliła się na chwilę. Nie wiedziała, czemu mają służyć te dziwne pytania. Jedyne, co pamiętała, to ten straszliwy ból serca, który ją przeszył, gdy Wiktor odwrócił się od niej. To jemu przecież zawdzięczała dach nad głową. I to właśnie on tak łatwo uwierzył, że byłaby zdolna do morderstwa? A to, co mówił teraz... Co było prawdą, a co obliczonym na osiągnięcie jakiegoś nieznanego jej celu kłamstwem? Miała istny mętlik w głowie. A jednocześnie pragnęła mu wierzyć. Chciała wierzyć, że wraz ze

śmiercią Stanisławy tego świata nie opuściła ostatnia życzliwa jej dusza. A ona nie jest odtąd zupełnie sama.

Wiktor poznał po wyrazie jej twarzy, że prawdopodobnie nie doczeka się odpowiedzi, więc sam kończył:

– Powiedział, że Stanisława miała podcięte gardło. To była dla mnie więcej niż istotna informacja. Ale najważniejszą przekazałaś mi kiedyś sama. Powiedziałaś wtedy, że masz czarną książeczkę. Przypomnij sobie, o jaką spytałem go ja.

Przez twarz kobiety przesunął się błysk zrozumienia. Uśmiechnęła się lekko, choć z oczu nie znikły jej łzy.

– Pamiętam – odparła. – To było podczas naszego pierwszego spotkania, kiedy to zaproponowałam ci swoje usługi. Nawiasem mówiąc, wciąż liczę, że zmienisz zdanie w tej kwestii.

Wiktor poczuł, jak wzbiera w nim złość na samego siebie. Wiedział bowiem, że rumieniec wypełza mu na policzki. Kiedy wreszcie przestanę reagować na podobne zaczepki jak uczeń?! – pomyślał.

Lucyna ulitowała się nad nim i postanowiła go pocieszyć.

– Ja wiem, że ty nie dla mnie – rzekła pokornie. – Czekasz na tę swoją wybraną. A teraz wyjaśnij mi, dlaczego mnie spoliczkowałeś.

Zamiast odpowiedzieć, Wiktor podszedł do Stanisławy i przejechał palcem po ranie na szyi.

– Rana jest pod takim kątem, że mogła ją zadać tylko osoba praworęczna – wyjaśnił. – Musiałem wiedzieć, która ręka jest twoją dominującą. Aby to sprawdzić, musiałem zobaczyć, jak wykonujesz czynności odruchowe. Bo to właśnie one ujawniają, która z naszych półkul mózgowych jest dominująca. Oczywiście są ludzie, którzy potrafią wyćwiczyć sprawność obu rąk na tyle dobrze, że ich strona dominująca nie jest widoczna. Bardzo często postępują tak przestępcy.

Uśmiechnął się lekko, widząc zdumienie, z jakim wpatrywała się w niego Lucyna. Mile łechtał go podziw, który dostrzegł w jej

oczach. Nie miał zamiaru wyjaśniać jej, że wszystkie te mądrości usłyszał od Olgi, gdy ta w przyspieszony sposób szkolila go w Berlinie. Wtedy słuchał jej troskliwych nauk z niechęcią, a teraz dziękował Bogu, że mimo braku uważności zdołał tyle zapamiętać.

– Ja ani przez chwilę nie myślałem, że to ty! Musiałś jednak w to uwierzyć, by wiarygodnie odegrać swą rolę! O wybaczenie proszę. A jeśli chcesz, to bij, nie będę się bronił.

To powiedziawszy, ukląkł przed nią ponownie i nadstawił policzek. Pierwszy cios był silny, a policzek zapiekł go ogniem. Zobaczył, jak Lucyna zamierza się po raz kolejny, ale postanowił sobie, że wytrzyma tyle ciosów, ile spodoba jej się zadać. Lecz jej ręka zwolniła i zamiast uderzenia poczuł, jak palcem zgarnia mu krople krwi, które wyciekały z rozciętej wargi. Dziewczyna musiała niechcący przeciąć mu ją paznokciem.

– Między nami kwita. Nie każdy mężczyzna ukorzyłby się w ten sposób przed kobietą. Będę zaszczycona, jeśli zechcesz dalej zaliczać mnie w poczet swoich przyjaciół. Wiem za dużo o takich stronach wpływowych ludzi, których oni nie będą chcieli publicznie pokazać. Dlatego przyda mi się ktoś, kto ma zęby i potrafi ich używać. Teraz zastanówmy się, co zrobić ze Stanisławą.

Sam myślał nad tym od dłuższej chwili i doszedł do wniosku, że tylko pułkownik może mu pomóc, bo tylko on dysponował odpowiednimi możliwościami, by uprzątnąć ten bałagan. A także pomóc mu rozwikłać to wszystko. Dotychczas bowiem nie wiedział, dlaczego musiał zabić tych ludzi. Czy zadarł z bolszewikami? Byłoby to dziwne. Dotąd pracował przecież operacyjnie tylko na kierunku niemieckim. A pułkownik mógł mu naświetlić tę sprawę. Pracował w służbach od wielu lat i miał doświadczenie, którego jemu brakowało, więc na pewno zdoła mu pomóc.

Poza tym i tak powinien dawno stawić się u niego z meldunkiem. Sprawa, z którą posłano go nad granicę, była przecież najważniejsza i nią powinien zająć się w pierwszej kolejności. Ale wybierając się wpierw do Grabowskiej, nie mógł przecież przewidzieć tego, co się stało. Spodziewał się, że powie Stanisławie, że zdołał bezpiecznie przyjechać, zje kilka kawałków ciasta i szybko wróci do zadań służbowych. W najczarniejszych snach nie przypuszczał, że gospodyni będzie martwa, a on wejdzie wprost w dobrze zastawioną pułapkę i wda się w strzelaninę. Teraz miał do nadrobienia zaległości i jeśli nie chciał zasłużyć na gniew zwierzchnika, musiał się z nimi szybko uporać.

Spojrzał na Lucynę. Stanowiła kolejny problem. Przecież aż dotąd nie wiedziała, czym właściwie się zajmował. I to nie powinno się zmienić. Tyle że się zmieniło – Wiktor miał tego pełną świadomość. Wiedział też, że jeśli zabierze ją do siedziby wywiadu, to pośrednio ujawni miejsce swojego zatrudnienia. A to mogłoby być już niebezpieczne, i to zarówno dla niej, jak i dla niego. Ale pozostawić jej własnemu losowi nie chciał. Nadal bowiem czuł się za nią w jakiś sposób odpowiedzialny.

Poskrobał się po głowie. Ta czynność w żaden sposób nie wspomogła jednak umysłu w odpowiedzialnej pracy. Wreszcie, po dłuższej chwili daremnych rozmyślań, postanowił zastanowić się nad tą kwestią po drodze.

Wziął dziewczynę za rękę, a ta ufnie wsparła się na jego ramieniu, o nic przy tym nie pytając. Wiktor był jej za to bardzo wdzięczny, bo dzięki temu nie musiał silić się na kłamstwa. Wyprowadził ją na ulicę i skinął na Stefana, który skakał zdumionym wzrokiem, patrząc to na niego, to na uwieszoną na jego ramieniu kobietę.

Wreszcie jednak Michalak ochłonął ze zdumienia i rzekł:

– Siedziałeś tam tak długo, że zaczynałem się o ciebie martwić. Nie jestem pewien, ale przez chwilę wydawało mi się, jakbym

słyszał strzały. I to rozcięcie na twojej wardze, z którego sączy się krew...

Wiktor uśmiechnął się lekko, słysząc tę nawałnicę wątpliwości, którą spowodowała nienasycona nigdy ciekawość Stefana. Nie zamierzał odpowiadać na wszystkie na ulicy i wprowadzać go w sprawę wywiadowcze. To nie była bowiem jego rzecz. Jemu powinno wystarczyć to, że Wiktor zgodził się zarekomendować go swoim zwierzchnikom. Jeśli zaś nie uszanuje tych darów losu, to okaże się, że jest kompletnym głupcem, który nie zna umiaru.

– Ta ranka, która nie umknęła uwadze twojego czujnego oka, to prezent od przyjaciółki – odparł lekko i dostrzegł, jak Lucyna przygryzła wargi, powstrzymując śmiech.

– Dziwnych masz przyjaciół – stwierdził Michalak.

Ciesz się, że nie znasz moich wrogów – pomyślał młody mężczyzna.

Po chwili oczekiwania złapali dorożkę i umościwszy się wygodnie na siedzisku, zamówili kurs na plac Saski. Przez całą drogę Wiktor i Lucyna milczeli, nie reagując na zaczepki Michalaka, który usiłował nakierować rozmowę na interesujące go tematy. Oboje myślami byli ciągle przy tym, co zdarzyło się tak niedawno. Jeszcze nie zeszło z nich napięcie, a poziom adrenaliny w żyłach wciąż jeszcze nie wrócił do zwyczajowej normy.

Byli tak skupieni na własnych rozterkach i kłopotach, że do ich uszu ledwie docierały hałasy, jakie wzniecało wiecznie żyjące miasto. A im bliżej byli placu Saskiego, tym ruch stawał się większy. Wśród rzeszy przechodniów coraz częściej można było dostrzec ludzi dobrze sytuowanych. Pojawiały się też wytworne lokale, sklepy z wyrafinowanym towarem, który w tym miejscu łatwiej znajdował nabywców. Rzadziej natomiast docierały tu odgłosy pracujących fabryk, nie widać było podłużnych kominów, które wypływały z siebie ciężki, smolisty dym. Nie było tu też pracującej w nich biedoty, która zamieszkiwała tereny wokół

fabryk, przykuta do nich pustymi żołądkami, niczym niegdysiejsi niewolnicy łańcuchami.

Wiktor dopiero teraz zaczął dostrzegać wielkie kontrasty społeczne. Nie mógł zapomnieć o tamtym chłopcu. Pamiętał jego oczy, w których tliła się radość, choć zdawał sobie sprawę, że umiera. Jak bardzo ciężkie musiało być jego życie, jeśli myśl o śmierci nie napawała go przerażeniem, tylko przynosiła ulgę – myślał. I nie umiał sobie poradzić z dziwnymi wyrzutami sumienia, które dawniej nie zwykły go nękać. Przecież ta wymarzona Polska miała być inna. Ale sny i marzenia, którymi karmiono ich przez całe lata, nijak się miały do obecnych realiów.

Jaka właściwie ma być ta Polska? Co to właściwie za kraj, w którym rodacy zwracają się do siebie, mówiąc „u nas” i „u was”? Kraj bez granic, który trzeba wyszarpywać wszystkim sąsiadom i zszywać? Tylko czy jest taka nić, która zdoła pozszywać biednych z bogatymi, słabych z silnymi? Czy robotnicy i chłopci mają zyskać na swoim państwie tylko tyle, że zamiast znosić cudze prześladowania własnych panów dostaną?

Dziwił się sam sobie. Dotychczas nigdy nie uważał za stosowne zastanawiać się nad tego typu sprawami. Wolał spędzać czas na wojennych szkoleniach, biegać po łąkach i lasach. Słowem żyć pełnią życia. Bo człowiek żyje, póki młody. Potem już tylko z życiem walczy. O bogactwo, o pozycję. A gdy się już dochrapie wszystkiego, to orientuje się, że śmierć czai się za progiem, a on nie ma dość czasu, by używać owoców swego życia.

Wiktor był tak głęboko pogrążony we własnych myślach, że nawet by nie zauważył, że z dorożką zrównał się czarny samochód, gdyby nie to, że spłoszył konie i usłyszał okrzyk przerażenia, który wyrwał się z ust Lucyny. Wiktor błyskawicznie przypomniał sobie, gdzie jest, i rzucił czujnym spojrzeniem dokoła. Dostrzegł konie, które spłoszone gwałtownie rzuciły się w bok, płacząc się w zaprzęgu i kwicząc z przerażenia. Sytuacja była

śmiertelnie niebezpieczna, bo łatwo mogła doprowadzić do wypadku.

Dorożkarz okazał się jednak człowiekiem zręcznym i doświadczonym. Błyskawicznie spostrzegł, jak wielkie niebezpieczeństwo zawisło nad jego głową. Od razu też podjął środki zaradcze, które miały zapobiec nieszczęściu. Przyciągnął do siebie lejce, które naprężyły się do granic wytrzymałości materiału. Twarz woźnicy pokryła się purpurą, a żyły wyszły na wierzch. Krople potu osiadły mu na twarzy. Konie zawisły przez chwilę z kopytami nad ziemią, lecz nie splątały się ze sobą do końca.

Do najgorszego nie doszło także dlatego, że błyskawicznie zareagowali Wiktor i Stefan, wspomagając wysiłki woźnicy. Chwycili mianowicie za lejce i przemocą uspokoili rozhuwane konie, które stały na ugiętych nogach, wypuszczając chrapami obłoki pary. Oba spotniały i robiły bokami z wysiłku po tym strasliwym pojedynku siły i woli.

Wiktor uśmiechnął się lekko, widząc, jak Lucyna z wdzięczności obcałowuje policzki Michalaka. Wydawało mu się, że za chwilę tryśnie z nich krew. Ten jednak przyjmował te hołdy dla swojej odwagi z błyskiem zadowolenia w oczach. Adamczewski pozwolił więc na to, a sam poklepał dorożkarza po plecach i wsunął mu do kieszeni dodatkową zapłatę. Następnie zeskoczył na ziemię i podbiegł do drzwi samochodu, po czym zajrzał do jego wnętrza i ujrzał pułkownika Dobrowolskiego, który ze srogą miną beształ właśnie szofera.

Chłopak przez dłuższą chwilę nie mógł wyjść ze zdumienia. Nie spodziewał się bowiem, że pułkownik dokądś się wybiera. Sądził raczej, że z niepokojem czeka w siedzibie wywiadu na jego przyjazd lub wieści od niego. Jednak opanował zdumienie i lekko zapukał w szybę. Dostrzegł, że szef odwraca się w jego stronę, a po chwili szyba opadła.



– Mów, jakie wieści przynosisz – rzucił, nie wychylając się z pojazdu. – O tym, dlaczego przedkładasz jazdę dorożką po mieście nad terminowe składanie meldunków, pomówimy później.

Wiktor zrelacjonował wydarzenia, jakie miały miejsce nad granicą, nie pomijając niczego. Wspomniał też o nadużyciach Grzywaczewskiego, o roli Michalaka. Dotrzymał danego mu słowa i starał się przedstawić go w jak najlepszym świetle. A tak zakończył:

– Zdaje mi się, że całkiem sporo osiągnąłem, uzyskując dokładny rysopis sowieckiego szpiega. Co będzie z Michalakiem?

– Dobrze się spisałeś – zapewnił go Jerzy. – Ale nie podzielał twój entuzjazmu, jeśli chodzi o szpiega, bo swojego przypuszczenia nie popierasz żadnymi dowodami. Co do Grzywaczewskiego – dziękuję, żeś mi na jego nieprawość oczy otworzył. Sprawdzę sam i jeśli potwierdzi się to, co powiedziałaś, to dostanie wilczy bilet. Tfu – splunął. – Nie wszędzie mogą być i wszystkiemu zaradzić. A zawsze trafią się tacy, którzy przez cudzą protekcję dochodzą do bogactw i dostojenstw. Ale protektorów też znajduję. Kara i przykład muszą być dane, inaczej każdy będzie mi swoich krewnych albo przyjaciół podsuwał, którzy miernotami mogą się okazać. A ty, co w tym masz, że za tym Michalakiem tak obstajesz?

Adamczewski zarumienił się z lekka. Czuł na sobie badawcze, intensywne spojrzenie pułkownika i źle mu było pod nim. Lecz wiedział, że zabrnął za daleko, by móc się teraz wycofać. Pamiętał, co obiecał Michalakowi, i że to głównie jego spostrzegawczości zawdzięczał, iż mógł przybyć do Warszawy przynajmniej z hipotezą zamiast z pustymi rękoma. Poza tym wiedział, że człowiek ten jest w sercu czysty jak łąka. Przecież nie popierał Michalaka za pieniądze ani ze względu na związki krwi, te wszak nie istniały.

– Popieram go, bo dopomógł mi w realizacji mojego zadania. A poza tym okazał się uczciwym człowiekiem, który nie wahał się ani przez sekundę, gdy przyszło do wyboru między uczciwością a wygodnym życiem na państwowej posiadzie. Chyba jak najwięcej nam takich potrzeba? Poza tym... – Tu Wiktor zawahał się na chwilę. – Poza tym jego żona nie przyjmie go zbyt miło, bo i tak twierdzi, że to przez swoją nieudolność zarabia za mało, by zapewnić jej życie na takim poziomie, jakiego pragnie. A ja nie chcę, by za moją przyczyną zmyła mu głowę.

Jerzy parsknął śmiechem. Przeszło mu przez myśl, że on sam ma z tym całym Michalakiem wiele wspólnego. Jemu też była żona wiecznie zmywała głowę z powodu jego pracy, choć nie chodziło jej o pensję, która – jak na ówczesne warunki – była więcej niż zadowalająca. Spojrzał na Wiktora i uśmiechając się, rzekł:

– Jak podrośniesz i zdecydujesz, którą kobietę chcesz uszczęśliwić, to zrozumiesz, o czym on mówił, tak jak i ja go rozumiem. Choć z tego, co widzę, to będziesz miał nielichy problem z wyborem, bo mnóstwo kobiet kręci się wokół ciebie. Kim jest ta dziewczyna?

Jerzy spostrzegł cię, jaki przemknął po twarzy Wiktora, i zrozumiał, że dotknął jakiejś bolączki. Ale nie pytał przez ciekawość. I nie chodziło mu nawet o Elizę, o której zadurzeniu w swoim podwładnym wiedział. Nie miał zamiaru ingerować w sprawy między nimi. Sądził bowiem, że skoro jego córka ma już prawo, by poprzez wybory decydować o losach państwa, to tym bardziej powinna móc decydować o sobie.

– Nic mi do twoich spraw prywatnych. Pamiętaj tylko, że nie jest rzeczą pożądaną, by na moich zaufanych oficerach wieszaly się kobiety, o których nic nie wiem. Łóżko to najlepszy punkt obserwacyjny.

– To moja znajoma. Właśnie o jej losach pisałem szeroko w liście, który pozwoliłem sobie przesłać na ręce pana pułkownika

przez Stasię Grabowską.

Jerzy uniósł brwi, nie przypominał sobie bowiem, by odebrał taki list. A nie wierzył, by jakakolwiek przeznaczona dlań wiadomość umknęła jego uwadze. Było to więcej niż nieprawdopodobne, bo korespondencję ze wszystkimi swoimi ludźmi utrzymywał w idealnym porządku. Było to bowiem niezbędnym warunkiem zachowania przynajmniej elementarnej kontroli nad tak skomplikowanymi strukturami, jakie miał wywiad i kontrwywiad. Nie wierzył więc, że list się zawieruszył. A to oznaczało, że do niego nie dotarł.

Zmarszczył brwi i zamyślił się tak głęboko, że żyły wyskoczyły mu na czoło. Była to wszak okoliczność, z której dotychczas nie zdawał sobie sprawy. Ktoś przechwytywał jego korespondencję. Niemcy? Bolszewicy? Czy ktoś na własną rękę? Przeszukiwał w myślach listę ludzi, którzy mieli dostęp do jego korespondencji z podwładnymi, ale nikt nie przychodził mu do głowy. To byli wszystko zaufani ludzie, których poddawał wielokrotnemu sprawdzeniu.

Nie miał więc żadnego punktu zaczepienia. I to go gryzło, bo nie wiedział nawet, czy ta sprawa jest częścią intrygi, nad której rozsypłaniem od niedawna pracował. Co, jeśli mam u siebie więcej niż jednego szpicla? – myślał. I choć była to myśl dla niego bolesna i nieznośna, to rozumiał, że samym myśleniem do prawdy nie dojdzie. Postanowił więc dokładniej wypytać o wszystko Adamczewskiego. Tyle że lepiej było nie robić tego na ulicy.

– Musimy poważnie porozmawiać. Ja żadnego listu nie odebrałem. Rozumiesz, co to znaczy? – Utkwił w podkomendnym bystre, badawcze spojrzenie, jakby chciał mu nim przeświecić duszę. – Ale o tym nie na ulicy.

Dobrowolski szybkim ruchem wyjął z kieszeni na piersiach notes, w którym z pośpiechem coś zapisał. Następnie wyrwał

kartkę, po czym wysunął rękę przez szybę i podał wyrwaną stronę młodzieńcowi, mówiąc:

– Tu masz adres jednego z naszych zakonspirowanych lokali kontaktowych. Tam niech poczekają twoi przyjaciele. Sam pogadam z nimi, gdy uporam się z pilniejszymi sprawami, których w ostatnim czasie nagromadziło się niemało.

Wiktor przekazał ją błyskawicznie bezpośrednio do adresatów, bo i jego paliła ciekawość. To, co przed chwilą usłyszał z ust szefa, rzucało nowe światło na zdarzenia, które miały miejsce w mieszkaniu Stanisławy. Teraz przynajmniej miał bowiem jasność i wiedział, jak doszło do tego, że musiał zabijać, by przetrwać. Dopiero w tej chwili dotarło do niego, jak wielki błąd popełnił, nie drążąc kwestii listu, gdy poprzednim razem widział się z pułkownikiem. Ileż to nieszczęść w ogóle by się nie wydarzyło? Przede wszystkim Stanisława nadal by żyła, Lucyna miałaby u niej schronienie, a on sam nie musiałby zabijać młodego robotnika, którego doli współczuł.

Woda w górę nie popłynie – pomyślał sentencjonalnie, podchodząc do drzwi samochodu.

Jerzy otworzył je szybko i zręcznie. Wiktor wsunął się na tylną kanapę. Następnie zamknął drzwi i spojrzał na szefa. Dostrzegł na jego twarzy wyraźne objawy zmęczenia, po których poznał, że nie tylko on nie miał w ostatnim czasie nawet chwili wytchnienia. Wszak to na pułkowniku ciążyła pełna odpowiedzialność za sprawę, a nie na nim, więc o ileż ciężiej mu być musiało. Chłopak przyznał sam przed sobą, że za nic w świecie nie chciałby być na miejscu Dobrowolskiego ani teraz, ani później.

I tak szybkość, z jaką następowały zmiany w jego życiu, zaskakiwała go i zdumiewała niepomiarnie. Przecież jeszcze nie tak dawno spędzał czas na ćwiczeniach różnych paramilitarnych organizacji w kole swoich rówieśników, gdzie uczono ich podstaw walki. Uśmiechnął się lekko, gdy przypominał sobie, z jakim

zapamiętaniem wymachiwał drewnianym kijem, wyobrażając sobie, że to karabin i że nim dokonuje wspaniałych czynów, wyzwalając Polskę z jarzma niewoli. Nigdy nie przypuszczał, że trafi do tajnej służby. Gdyby ktoś mu to wtedy powiedział, byłby szczęśliwy. Ale teraz w jego sercu nie było radości. Zdążył się już bowiem przekonać, że między jego chłopięcymi wyobrażeniami a rzeczywistością jest ogromna różnica. Dobro nie zawsze wygrywa, a jeśli już, to walczy tymi samymi metodami co zło. Ten robotnik mówił prawdę. Obaj chcieli się nawzajem zabić. Jemu się udało, bo był lepszy. Ale nie czuł w sobie żadnej radości ze zwycięstwa. Wręcz przeciwnie. Nigdy nie czuł się bardziej pokonany. Przecież Stanisława zapłaciła życiem za to, że zdecydowała się na przyjęcie go pod swój dach. Wolał nawet nie myśleć, jakie katusze musiała przeżywać, gdy te bydlaki zadawały jej ból. Przygniatało go poczucie winy, bo miał pełną świadomość, że to wszystko, co się stało, zdarzyło się z jego powodu. Kobieta mogłaby żyć, gdyby nie wmieszała się w sprawy wywiadu, a on nie czułby tak okropnych wyrzutów sumienia, które teraz szarpały jego wnętrze.

– Zawracaj – rzucił Dobrowolski w stronę szofera, który był równie niemy i głuchy na zachodzące wokół niego wydarzenia jak tapicerka samochodowa. – Pokręć się trochę po mieście, dopóki nie powiem, że pora wracać.

To rzekłszy, obrócił się w stronę Wiktora. Przez chwilę przyglądał się swojemu młodemu podwładnemu, jakby zastanawiał się, od czego powinien zacząć rozmowę. Jerzy miał ogromne doświadczenie i wiedział, jak poprowadzić dyskusję w taki sposób, by wyluskać z niej to, co było dlań najważniejsze.

– Co było w piśmie, które do mnie przesłałeś?

Wiktor odetchnął z ulgą, gdy usłyszał głos Dobrowolskiego. Jego pytanie pozwoliło mu bowiem oderwać myśli od rozterek. Choć na chwilę mógł się zająć tym, do czego go szkolono.

– Muszę wszystko dokładnie opowiedzieć, tak właśnie, jak było – odparł. – Pamięta pan pułkownik, jak mi na Pradze wynalazł lokal? Siedziałem tam już trzy dni, dotrzymując starszej pani towarzystwa i ucząc się do egzaminów z otrzymanych od was skryptów. Pewnej nocy zobaczyłem przez okno, jak ulicą przeemyka kobieta, która nie wyglądała na typową mieszkankę tej dzielnicy. Zląkłem się o nią trochę, bo nocą po tamtych rejonach nikt chodzić nie powinien, a już najmniej samotna kobieta.

Jerzy słuchał z wytężoną uwagą, bo jego nos podpowiadał mu, że usłyszy coś bardzo interesującego. Jednocześnie bał się wiedzy, którą mógł osiąść w wyniku tej rozmowy. Przypuszczał bowiem, że ten, kto zadał sobie tyle trudu, by przejąć ów list, musiał wiedzieć, czego się obawia. Mogło to oznaczać, że Wiktor przypadkowo natrafił na naprawdę grubą sprawę. I szczerze mówiąc, nie dziwiło go to zbyt, bo ten chłopak miał zadziwiającą umiejętność znajdowania się w oku cyklonu.

Świadom tego słuchał z uwagą, która tylko rosła w miarę rozwoju opowiadania, a gdy Wiktor doszedł do momentu, w którym w tajemniczej kobiecie rozpoznał Zofię Jakimowicz – jego sekretarkę, to omal nie podskoczył na siedzisku. Zapanował jednak nad zewnętrznymi objawami gniewu, choć wrzał w nim z niepohamowaną siłą. I tylko szybkie ruchy brwi świadczyły o tym, jak bardzo jest wzburzony. Ledwie powstrzymywał się przed tym, by zasypać chłopaka gradem pytań, ale pasował się ze sobą tak długo, aż był zupełnie pewny, że zwalczył w sobie tę pokusę. Rozumiał bowiem, że swoimi pytaniami mógłby zasugerować coś mówiącemu. A tego żadną miarą zrobić nie chciał. Wiktor musiał mu opowiedzieć tylko to, co sam widział lub odczuwał, a on nie powinien mieć na tę relację żadnego wpływu.

– Szedłem za nią, trzymając dystans, tak by nie być dla niej ciężarem, a jednocześnie mieć ją na oku, by w razie potrzeby móc przyjść z pomocą – mówił Wiktor. – Przecież mogła nie życzyć

sobie mojego towarzystwa. Ale jej zachowanie zaczęło zwracać moją uwagę. Mianowicie ciągle oglądała się za siebie, ale nie jak kobieta, która spodziewa się lub boi niebezpieczeństwa, ale jak ktoś, kto obawia się, że jest śledzony. Niemało musiałem się napracować, by nie być przez nią dostrzeżonym – rzekł nieco chępliwie.

– Dobrze – przerwał zniecierpliwiony pułkownik. – A teraz mów, co jeszcze wiesz, bo nie sądzę, żebyś zdecydował się na pisanie do mnie listu, opierając się tylko na tych przesłankach, o których już wiem.

– Doprowadziłem ją pod drzwi pewnej kamienicy, ale pójść dalej nie mogłem. Podejrzewałem bowiem, że jeśli moje przypuszczenia są słuszne i Zofia rzeczywiście ma jakieś konszachty z obcym wywiadem, to takie spotkanie zostało w odpowiedni sposób zabezpieczone.

Jerzy skinął głową, dając do zrozumienia, że zgadza się z tym tokiem rozumowania.

– Tu jednak pomógł mi szczęśliwy przypadek. Właśnie bowiem wtedy spotkałem Lucynę, która poszukiwała klienta na noc. A przyjmowała ich w tej kamienicy, która mnie w szczególny sposób interesowała.

Tu Wiktor się zaciął. Nie chciał bowiem wspominać o prywatnych sprawach Lucyny, gdyż wydawało mu się, że w ten sposób nadużyłby jej zaufania. A nie bardzo wiedział, jak bez tego postąpić naprzód. Lecz pomógł mu w tym sam pułkownik Dobrowolski, który rzekł:

– Szczęście do niewiast to ty masz, ale o jej sprawach pogadam z nią sam. A ona tyle mi wyjawi, ile zechce. Nie wolno bowiem dzielić się tymi sekretami, które dzielimy z innymi.

Adamczewski odetchnął z ulgą i spojrzął na szefa z wdzięcznością. Nie po raz pierwszy zastanawiał się, jakim cudem człowiek ten z taką łatwością czytał w jego myślach. Opowiedział

mu wszystko, co zdołał usłyszeć przez dziurę w stropie, niczego nie opuszczając. A przyszło mu to z łatwością, bo tamtą rozmowę miał jak pacierz w pamięci.

Jerzy zaciął usta ze złości. Zdrada kobiety, której pomógł w nieszczęściu, którą obdarzył zaufaniem, była tak jawna, że tylko ślepy by wątpił. I była dla niego tym boleśniejsza, że dotyczyła żony człowieka, którego przyjaźń sobie cenił. A i samą Zofię zdołał w końcu polubić, mimo jej licznych wad, na które z rozmysłem nie zwracał uwagi. Ale czy nie tak robią wszyscy przyjaciele? A teraz straszna prawda stała mu przed oczami. Oto sam wpuścił lisa do kurnika. Naraził na niebezpieczeństwo państwo, którego całość i bezpieczeństwo miał chronić.

Pał licho państwo – pomyślał. Ot, widzisz, tumanie jeden, czemu dobrymi chęciami piekło jest wybrukowane. Bo jeśli to Zofia jest tajnym agentem, który pracuje dla bolszewików, to wprowadzając ją do wywiadu, naraziłeś własne dziecko. I gdyby nie to, że chciałeś rozłożyć nogi byłej żony, to do dziś byś o tym nie wiedział.

Starał się bronić przed tymi myślami, które kłębiły się w jego głowie, przyprowadzając go o jej ból. Ale jak miał się przed nimi bronić, jeśli sam w duszy uznawał, że są trafne? Kto tu miałby sobie robić wyrzuty, jeśli nie on? Kto dał się podejść jak uczniak? On i jeszcze raz on. I nawet teraz był w ciągłej defensywie. Bo miał co prawda pewność, że Zofia zdradziła, ale nie miał na to żadnych dowodów. Słów Wiktora nie mógł za takie uważać, bo na podstawie słowa można skazać drobnego złodziejzaka, ale nie kogoś, kogo obciążały zarzuty o wiele cięższego kalibru.

Jerzy starał się na zimno analizować możliwości, jakie miał do dyspozycji. Na przykład mógł pod jakimkolwiek pretekstem odsunąć Zofię od pracy, i tym sposobem jeszcze raz osłonić żonę starego przyjaciela przed strasznymi konsekwencjami jej wyborów. Ale oznaczałoby to jednoczesną zagładę planów, które



snuli razem z Andrzejem, i definitywną utratę szansy na poprowadzenie gry z wrogim wywiadem. Tymczasem stanowczo nie należało z niej rezygnować. Zbyt wielkie bowiem dawała możliwości, a jej pełne powodzenie mogło nawet wpłynąć na bieg i wynik wojny. Dlatego jego prywatne odczucia czy słabości do kogokolwiek nie mogły zaważyć na jej przebiegu.

Próbował przekonać sam siebie. I może udałoby mu się to, gdyby nie kilka wątpliwości, które czyniły dyskusyjnymi winę Zofii, a których nie mógł zignorować. Po pierwsze kobieta nie miała dostępu do korespondencji, gdyż ta na żadnym etapie nie przechodziła przez jej ręce. To oczywiście w żadnym wypadku nie rozgrzeszało jej w jego oczach, bo zdrada była oczywista i jawna, ale pozwalało mieć nadzieję, że to nie Zofia była głównym ogniwem wrogiej siatki wywiadowczej, a jedynie dla niej pracowała. Jak bardzo chciał, by tak właśnie było. Bo wtedy i siebie mógłby postawić w lepszym świetle, a co najistotniejsze, nie byłby częściowo odpowiedzialny za niebezpieczeństwo, w jakim znalazła się Eliza.

Lecz nie mógł być tego pewien dopóty, dopóki Wiktor nie wyjaśni mu, jaką drogą list do niego szedł i w którym miejscu zboczył z drogi. Dlatego też nakierował rozmowę na ten aspekt.

– Świetnie się spisałeś. A to, że wtedy w Poznaniu na ciebie postawiłem, może się okazać najlepszą decyzją mojego życia. Jaką drogą przesłałeś do mnie list?

Wiktor zadrzał lekko, bo przypomniał sobie, komu wtedy na dworcu wcisnął ów list do ręki. I poczuł, jak wokół jego serca zaciska się niewidzialna obręcz. Ach, czemuż w ogóle napisał ten list?! Mógł przecież zostawić te sprawy ich własnemu biegowi. Gdyby tak postąpił, Stasia nadal by żyła. A tak? Jakież owoce zrodziło jego działanie? Żadnych, bo list nie dotarł do adresata, a jemu została tylko przelana przez innych krew, która ciążyła na sumieniu.

– Przekazałem list Stasi Grabowskiej, gdy stałem na stopniach pociągu do Krakowa. Ale nie wiem, komu ona podała go później, a ona już nic nikomu nie powie.

Dopiero te słowa podkomendnego kazały Dobrowolskiemu uważniej spojrzeć na jego twarz. I teraz dopiero uderzyła go w oczy jej niezmierna bladość i wydłużone rysy. Chłopiec szybko mrugał powiekami, jakby chciał w ten sposób zatrzymać w sobie ból i łzy. Lecz ręce mu drżały, a wargi były tak ściśnięte, że ledwie dostrzegał zęby.

– Spokojnie, chłopcze – rzekł najłagodniej, jak potrafił. – Nikt nie lubi swego bólu innym ukazywać i ucieka z nim, dokąd może. Zabili ci ją, prawda? Czujesz się winny, bo zdaje ci się, że to ty wmieszałeś ją w nie jej sprawy. Ale jeśli jest w tym czyjaś wina, to moja. To ja cię u niej zakwaterowałem i ja za jej śmierć przed samym Stwórcą odpowiem.

Młody Adamczewski zdumiał się tym, z jaką łatwością pułkownik ponownie przejrzał jego myśli. Przez cały czas tej rozmowy bał się, że będzie musiał o tym opowiedzieć. Zdawał sobie doskonale sprawę, że powinien był zacząć od tej zbrodni. Ale pragnął odwlec tę chwilę. Po prostu nie chciał o tym mówić. Po prostu ból był zbyt silny.

– Skąd pan pułkownik wie, co myślę, co czuję? Oni ją tam torturowali! – ryknął i wybuchnął strasznym płaczem, jakby jakaś tama zerwała mu się w piersi. – A ja nie mogłem nic zrobić. Nic. Na dodatek zabiłem tam młodego robotnika, komunistę, ideowca. Wie pan, dlaczego im pomagał?! Bo w naszej kochanej Polsce, w kraju, który ma się stać ucieleśnieniem naszych marzeń, żył w nędzy. Jego ojciec zginął w wypadku w fabryce, a im kazano zapłacić odszkodowanie za zniszczoną przez niego maszynę. A gdyby mu się udało mnie zabić, dostałby pieniądze na naftę do lampy i na buciki dla siostr. Zabiłby pan za to? – Wiktor wybuchnął strasznym śmiechem, podobnym do zgrzytania zębów. – Zdejmę ten mundur

i cisnę do rzeki, bo nie chcę służyć państwu, które pozwala na takie rzeczy. Niech lepiej zginie, a jego ziemie, bogactwa i ludzi przejmą sąsiedzi, którzy potrafią o nie zadbać.

Dobrowolski patrzył na drżącego chłopca. Jednocześnie myślał nad tym, jak wielkie wyzwanie stoi przed młodym, dopiero co wyrosłym z niebytu państwem. Bo dziś jeszcze wszyscy byli pochłonięci walkami, które toczyły się na wszystkich granicach, i nowo odrodzony kraj był jak obleżony obóz. A ci, co w nim tkwili, zgodnie pracowali nad tym, by wróg nie przerwał wałów i nie wdarł się do środka. Lecz co będzie, gdy wszystkie te walki zakończą się sukcesem, a młode państwo zostanie utrwalone na mapie świata? Nieuchronnie musiał nadejść dzień, w którym miliony młodych ludzi zdejmie mundury i będzie chciało powrócić do cywilnego życia. I władze będą musiały im to życie zorganizować. Umożliwić pracę i stworzyć perspektywy rozwoju, bo inaczej będzie się musiało zmierzyć z wzrastającą falą rozczarowania i zniechęcenia.

Jerzy rozumiał, że z Adamczewskim rzecz miała się zupełnie inaczej. On czuł się winny, a człowiek, który czuje się winny, potrzebuje się gniewać. Jeśli nie na Boga, to na państwo. Rozumiał go. To była jego pierwsza boleść, pierwsze realne zderzenie z twardymi regułami, jakie od zawsze rządziły tą pracą. On też w swoim czasie przez to przechodził i czynił swoim mentorom podobne zarzuty, choć zapewne ubierał je w inne słowa. Bo ludzkie uczucia są zawsze takie same. I nie ma tu znaczenia fakt, że on spędził większą część swego życia w wieku dziewiętnastym, a Wiktor w dwudziestym.

– Skończyłeś? – spytał, gdy wydawało mu się, że Wiktor wypłakał już z siebie cały żal. Dostrzegł ledwie zauważalne skinienie głową, więc kontynuował: – Obwiniasz się za śmierć tamtego robotnika, tak? Dawno, dawno temu noszenie broni było przywilejem ludzi wolnych. Broni nie mogli nosić jedynie

niewolnicy, ponieważ byli własnością swych panów. Dlatego pozbawiono ich praw do obrony. Obrony – powtórzył z naciskiem. – Ty się jedynie broniłeś, a obrona nie jest i nigdy nie będzie równa morderstwu. Mówisz, że czynimy zło? A gdybym ci powiedział, że nie ma ani dobra, ani zła, jest tylko to, co konieczne? Rozumiesz? Ja robiłem wiele złego. Mordowałem, podsuwałem żonatym kochanki, a wszystko to dla wyższego celu.

– Jaki jest ten cel?

– Gdybyś miał szansę zabić zabójcę arcyksięcia Ferdynanda, zanim ten dokona mordu, co uruchomi proces, który w końcu doprowadzi do wybuchu wojny – dokonałbyś tego?

– Ta dyskusja jest bezprzedmiotowa – odparł Wiktor niepewnie. – Tego, co się stało, nie da się odmienić.

– Odpowiedz! – naciskał pułkownik. – Czy odebrałbyś mu życie, gdybyś wiedział, że tym sposobem ratujesz miliony innych ludzkich istnień? Lenin nigdy nie dojdzie do władzy. Miliony młodych mężczyzn będzie żyło spokojnie i nigdy się nie dowie, że swój spokojny byt zawdzięcza Wiktorowi Adamczewskiemu, który popełnił tylko jedno morderstwo. I nieważne, że tamten miał rodzinę. Żonę, która będzie cię przeklinać, i dzieci, które będą sierotami. To wszystko nieważne. Bo w tej właśnie chwili jednym pociągnięciem cyngla ocaliłeś miliony dzieci przed takim samym losem.

Dobrowolski poczerwieniał na twarzy, bo grały w nim emocje. Młody słuchał, nie przerywając. Ale nie widać po nim było, by argumenty Jerzego w jakikolwiek sposób go przekonywały. Starał się zrozumieć tę argumentację i przychylić się do niej, ale nadal nurtowały go wątpliwości.

– Trudno mi z pana rozumem walczyć. Ja nie umiem ubrać swoich myśli w tak wyszukane słowa. Ale co komu przyjdzie ze śmierci Stanisławy? Kogo ona ocaliła? Mówi pan, że walczymy w cieniu za innych i popełniamy najgorsze łotrstwa w imię tej

walki. Wchodzimy ludziom z buciorami w życie. I mówi pan, że z tym, co się robi, trzeba się zgadzać. A ja czasem stoję przed lustrem i nie wiem, czy twarz, na którą patrzę, należy do mnie.

Jerzy pochylił się nieco do przodu i chwycił młodzieńca za rękę. Poczuli, że drżą i są zroszone potem.

– To dojrzewanie, chłopcze. To nie metryka i czas nas zmieniają, ale nasze doświadczenia życiowe i czyny. Po prostu zaczynasz dostrzegać nie tylko czerń i biel, ale także odcienie szarości. Wrzucałeś kiedyś kamyki do rzeki? Na początku kamień sprawia, że rozchodzą się po niej kręgi, lecz potem woda się uspokaja. Jest cicha i spokojna, jakoby nic się nie stało, choć kamień tkwi na dnie.

– Nie rozumiem.

– Woda to nasze serce i dusza, a kamień to czyn. To zawsze na początku trochę boli, ale potem przychodzi uspokojenie. Serce pamięta i czuje, ale po jakimś czasie ból staje się na tyle słaby, że go nie dostrzegamy. Tak jest ze wszystkimi i będzie z tobą. A śmierć Stanisławy nie jest bezcelowa. Dzięki niej bowiem mam teraz stuprocentową pewność, że Zofia poszła na współpracę z bolszewickim wywiadem. Mając tę wiedzę, możemy zapobiec wykradnięciu przez nich tajnych dokumentów, których utrata mogłaby mieć katastrofalny wpływ na wynik wojny. Niechący sami podali nam ją na tacy.

Adamczewski się zdumiał. Próbował nadażyć za tokiem myśli przełożonego, a jednocześnie uporać się z własną duszą, która skwierczała, jakby położył ją na rozżarzonych węglach. Muszę zapomnieć! – powtarzał sobie. Muszę wziąć się za pracę, bo gdy ręce zajęte, głowa nie ma czasu myśleć.

– Dlaczego to właśnie próba zlikwidowania mnie jest definitywnym potwierdzeniem zdrady Zofii?

Pułkownik puścił ręce Adamczewskiego i wrócił do poprzedniej pozycji, po czym rzekł:

– Bo ty jesteś jedyną osobą, która mogłaby rzucić na nią cień podejrzeń. Likwidując ciebie, usuwali to zagrożenie, a ja nie miałbym powodu, by na nią uważać, bo nie ma dostępu do informacji niejawnych. Tymczasem to, co mi powiedziałaś, dołożone do wcześniejszych poszlak, daje mi niemal pewność, że moje przypuszczenia są słuszne.

Uśmiechnął się lekko, bo przyszło mu na myśl, że za tę poszlakę powinien był przede wszystkim podziękować Beacie. Gdyby nie ona i jej szalony temperament, to do dziś nie miałby choćby cienia świadomości, że Dzierżyński złamał jego sekretarkę. A on nie może teraz nawet do niej pojechać, choć serce się wyrzywa. Ale od zawsze hołdował zasadzie, że obowiązki powinny iść przed prywatnymi sprawami. A kwestię Zofii należało naprawdę pilnie załatwić, zanim ona narobi szkód, których nikt nie zdoła naprawić. Zresztą Beata nie będzie miała powodu do rozczarowania, bo nigdy się nie dowie, z czym do niej jechał.

– Ale bolszewicy zaraz się dowiedzą, że ich zamiar spalił na panewce i przeżyłem – przerwał mu rozmyślenia Wiktor. – Czy nie lepiej ją aresztować i postawić przed sądem?

– Oskarżenie o szpiegostwo trzeba udowodnić, a my nie mamy innych dowodów prócz twoich słów i moich domysłów. One zaś nie będą miały dla składu orzekającego najmniejszej wartości dowodowej i na pewno nie posłużą do wydania wyroku. Tym bardziej że w czasie wojny za takie rzeczy stawia się ludzi pod pętelką. A żeby sąd mógł z czystym sumieniem zasądzić karę śmierci, to musi mieć do tego naprawdę solidną podstawę dowodową. I po prawdzie nawet gdyby dało się to zrobić, to nie optowałbym za takim rozwiązaniem, bo więcej by ono nam szkód przyniosło niż pożytku.

Adamczewski uniósł brwi w geście zdziwienia, ale nie mówił nic. Słusznie bowiem myślał, że pułkownik więcej ma od niego doświadczenia i z pewnością sprawę tak rozwiązać potrafi, by na

końcu to jego było na wierzchu. A on sam postanowił niczego nie uронić z tego, co tu słyszał, i pilnie się uczyć.

– Gdyby doszło do procesu, to jakiś nadgorliwy adwokat mógłby wezwać na wokandę ciebie albo mnie. Nie mielibyśmy możliwości odmówić stawiennictwa, bo prawo dla wszystkich jednakowe. A taki proces dałby naszym wrogom całą masę materiału pogładowego na temat metod naszej pracy. Tak nam to potrzebne, jak drugi lewy but.

Tu Jerzy zamyślił się głęboko, bo zastanawiał się, jaką część swoich planów powinien wyjawic temu chłopcu. Obecnie musiał wyjąć go z tej gry, bo jego obecność uniemożliwiała jej dalsze prowadzenie. Ale czy nie należało pokazać mu wszystkiego i objaśnić, aby w przyszłości nie potrzebował już cudzego rozumu i własnym nawykł się kierować? I jeśli się wahał, to tylko dlatego, że trudno mu było okazać zaufanie, zwłaszcza że sparzył się, obdarzając nim Zofię.

– My postąpimy inaczej. Bolszewicy zaprosili nas do gry, więc przyjmujemy zaproszenie. Dla nas aresztowanie szpiega nie jest wcale sukcesem, lecz klęską. My spróbujemy ją odwrócić. Przytrzaśniemy jej paluszki na gorącym uczynku. A potem powiemy: albo współpraca z nami i zgoda na dezinformowanie mocodawców, albo zawarcie bliskiej znajomości z katem. Ciebie jednak szczegóły tej sprawy nie dotyczą. W ogóle sprawy żywych cię teraz nie dotyczą.

Wiktor, słysząc te słowa, z trudem nad sobą zapanował. W pierwszym odruchu chciał się poderwać z wyrazem oburzenia na twarzy. Ale powstrzymał go uśmiech, który rozlewał się na twarzy pułkownika.

– Oni muszą być pewni, że ich agent jest zupełnie bezpieczny. A twoja śmierć ma ich w tym utwierdzić – wyjaśnił Dobrowolski. – O tym, że żyjesz, wiemy tylko ty, ja i twoi przyjaciele. Dlatego

zorganizowanie tego i utrzymanie w tajemnicy nie powinno nastręczyć nam większych trudności.

– Upubliczni pan mój nekrolog?

– Czy ty chcesz, żeby mi córka oczy wydrapała, że cię nie zdołałem upilnować? Wiadomość o twojej śmierci pošlemy Ruskim przez Zofię. Tak, by mieli wrażenie, że chcemy to ukryć przed opinią publiczną, by uniknąć wstydu i kompromitacji.

Wiktor zarumienił się z lekka, gdy usłyszał wzmiankę o Elizie. Dotychczas bowiem sądził, że tajemnica jego serca jest zupełnie bezpieczna. Przez chwilę bał się, że pułkownik będzie ciągnął ten temat, bo nie czuł się gotowy do rozmowy nań. Jeśli zaś już, to najpierw chciał pomówić z nią, a nie z jej rodzicami. Tylko że dotąd nie miał czasu, żeby się tym zająć. Od ich ostatniego spotkania tyle się zdarzyło. Ledwie miał czas, by o niej pomyśleć.

Lecz pułkownik nie kontynuował tego wątku, tylko poklepał go po ramieniu i rzekł:

– Nie ciesz się. Kiedy będziesz martwy, nie będzie mowy o leniuchowaniu i bezproduktywnym przewracaniu się w grobie. Ukończysz szkolenie, bo masz niesamowity dar do ładowania się w kłopoty, a szczęście nie zawsze będzie ci sprzyjać.

Po tych słowach Jerzy szepnął coś szoferowi, a auto przyspieszyło i pomknęło w nieznanym Wiktorowi kierunku.



## Rozdział X

Dla Wieniawy-Długoszowskiego koniec marca był okresem wytężonej pracy i ciągłych rozjazdów. Podjęta przez naczelne dowództwo decyzja o zaatakowaniu Wilna sprawiła, że na jego głowę zważyło się całe mnóstwo obowiązków wojskowej i administracyjnej natury.

Nie było więc dnia, którego pułkownik nie spędzałby w koszarach różnych jednostek, zaradzając brakiom administracyjnym. Odrodzonej armii brakło zaś wszystkiego, a w szczególności mundurów. Bolesław radził sobie, jak umiał. Kazał szyć mundury z materiału pozostawionego przez zaborców. I tak z pruskich i austriackich tkanin sztyto polskie mundury. Armia taka nie prezentowała się zbyt jednolicie ani poważnie, ale przynajmniej miała w co ubrać swoich żołnierzy. Z żywnością sprawa także nie przedstawiała się lepiej.

Ograbiony i wyniszczony wieloletnią wojną kraj nie był rogiem obfitości. Dostawy ze wsi nie były wystarczające i w dodatku przychodziły z opóźnieniem. Brakowało więc żywności i furazu dla koni. Oficerowie z intendentury uwijali się jak w ukropie, żeby choć prowizorycznie załatać te braki. Zapasy wojenne musiały być przecież przygotowane, by zgromadzona i wyekwipowana z wielkim trudem armia miała jakąkolwiek wartość bojową. Ale była to istnie syzyfowa praca, bo zboża nie było skąd wziąć, i gdyby nie załatwiona przez polską delegację w Wersalu pomoc, krajowi groziłby zupełny głód.

Wieniawa wiedział to wszystko i miotał się jak ryba w sieci, chcąc pomóc innym w ich pracy. A przecież zajmował się nie tylko tym. W zakresie jego obowiązków było także nadzorowanie przewozu pułków na pozycje wyjściowe. Zwłaszcza pododdziałów, które wchodziły w skład Armii Wielkopolskiej, stanowiącej najwartościowszy i najlepiej zorganizowany komponent sił zbrojnych. Trzeba było przygotować dla nich odpowiednią liczbę wagonów, mogących przetrzymać taką masę ludzi na miejsce koncentracji. Naprawdę było od czego głowę stracić.

Ale Długoszowski słynął szeroko z tego, że nigdy jej nie tracił. I teraz też radził sobie z nałożonymi na niego obowiązkami i szło mu to dość sprawnie. Ruchliwy i samotny przemieszczał się tylko po kraju, służąc radą i pomocą tym z oficerów, którzy sami opuścili już ręce z bezradności.

Lecz mimo natłoku obowiązków, które piętrzyły się zewsząd, Wieniawa nie zapomniał o Tomaszu. Właśnie z myślą o nim udał się do więzienia na zamku w Lublinie. Postanowił wykorzystać w tym celu pełnioną funkcję i dotrzeć do zakładu karnego pod pozorem sprawdzenia jego aprowizacji.

To z tego powodu stał teraz u podnóża wzgórza, na którym umieszczono zamek, zdający się czuwać nad rozłożonym u jego stóp miastem. Sama budowla nie była już obronną, bo nie było takiej potrzeby. Od dawien dawna bowiem żaden nieprzyjaciel nie odwiedzał tych stron. Nowe wojny toczono za pomocą nowych środków; stare zamki tylko milcząco się tym bojom przyglądały, gdyż nikt się nimi nie interesował.

Lecz dla zamku w Lublinie znaleziono nowe zastosowanie – w jego murach utworzono więzienie. Władze carskie zapełniały je weteranami powstania styczniowego i innymi polskimi konspiratorami, którzy mieli pecha i dostali się w ich ręce. Byli tam też zwykli przestępcy kryminalni, którzy całym swoim życiem zasłużyli sobie na to, aby tam trafić. Po włączeniu tych ziem do

Polski w organizacji więzienia zbyt wiele się nie zmieniło. Zmienił się jedynie język, jakim posługiwali się strażnicy i nadzorcy bloków, ponadto nikogo nie trzymano w podziemiu za jego myśl czy wolę. Lecz dola kryminalistów nie różniła się w niczym i ci zapewne nawet nie zauważyli, że pod kim innym w pudle siedzą.

Wieniawa ze zręcznością górskiej kozicy wspinał się po niewielkiej, wąskiej ścieżce, która wila się pośród chwastów. Lekki południowy wietrzyk przyjemnie muskał go po policzku i czynił marsz znośniejszym. Nasz bohater nie odczuwał wspinaczki jako szczególnej uciążliwości, bo miał znakomitą kondycję, która pozwalała mu teraz zachować równy oddech.

O wiele bardziej niepokoił go los Tomasza. Wiedział bowiem, że dla nikogo więzienie nie jest ogrodem Hesperyd. I trzeba być nie lada tęgim osiłkiem, by pobyt tutaj nie zakończył się utratą zdrowia i sił. Ale Tomasz właśnie taki był i jeśli się o niego martwił, to jedynie z powodu strażników, którzy mogli szukać na nim zemsty za zabójstwo policjanta. Podobne wypadki były wcale nierzadkie. A i prokuratura, i policja patrzyły przez palce na takie sprawy, nie przesadzając z gorliwością w śledztwie, a najczęściej je umarzając, co kończyło sprawę.

Tak było za cara i tak będzie teraz. Co do tego nie miał najmniejszej wątpliwości i jeśli tak długo zwlekał z załatwieniem tej sprawy, to tylko dlatego, że wiele rzeczy trzeba było przygotować do jej przeprowadzenia. Teraz jednak nareszcie uporał się z tym i mógł przyjść do Tomasza z konkretami. Musiał go poinstruować, jak ma się zachowywać, gdy nadejdzie pora działań. Wszystko musiało być dopięte i przygotowane, jeśli miało się udać. Dlatego musiało zostać również dokładnie omówione.

Wspiął się na wzgórze i przystanął, by poprawić oraz oczyścić mundur. Następnie spojrzął na leniwie stojące na niebie warstwowe chmury, spoza których usiłowały przebić się nieśmiało słabe promienie słoneczne. Pogoda była niepewna

i niestała, jak to zwykle wiosną. Czasem zima wpuszczała jeszcze swoje zagony i wycofywała się pośpiesznie, jakby przywoływana do porządku przez siłę wyższą. Czasem lato wydłużało swój krok i wyprzedzało wiosnę, lecz zaraz oddawało jej pole, jakby zawstydzone swoją zuchwałością.

Właśnie dlatego uwielbiał tę porę roku. Gdy wszystko budzi się do życia, ale jest niestałe. Kiedy w dzień drzewa puszczają pierwsze nieśmiałe pąki, a nocą mróz niszczy je ostatkiem sił. Gdy jeszcze przed chwilą martwa i zamrznięta ziemia wypuszcza z siebie życie. Zielone pędy traw i roślin pokrywają ziemię i witają się ze słońcem, ono zaś ogrzewa je na powitanie, lecz czasem kryje się za chmurami, które niosą ze sobą deszcz. I czasem wypuszczają falę na łąki, pola i lasy. Ten pozorny rozgardiasz i nieład był jednocześnie błogosławieństwem dla tej ziemi, która dzięki niemu kwitła i piękniała w oczach.

Lecz tym razem nie mógł pójść za swymi artystycznymi upodobaniami i sycić oczu tym pięknem, które sam Bóg dla niego przygotował. Odsapnął więc tylko i zakołatał do ogromnej dwuskrzydłowej bramy, za którą rozciągał się dziedziniec zamkowy. Reakcją na owo kołatanie było otwarcie niewielkiego otworu we wrotach. Wsunął weń swoją przepustkę i czekał.

Po ledwie kilku minutach usłyszał dochodzący ze środka chrzęst odsuwanej zasuw, po czym wrota się uchyliły i wkroczył na dziedziniec.

Nie miał jednak czasu na podziwianie jego kunsztownej architektury: krążganków i arkad. Ledwie znalazł się po drugiej stronie murów, przypadł do niego naczelnik i zasypał długim i wzniosłym słowotokiem. Wieniawa ledwie panował nad sobą, by nie przerwać mu jakimś grubiańskim słowem, bo jego piskliwy głos przyprawiał go o rozdrażnienie. I musiał przywołać wszystkie pokłady swojej cierpliwości, by znieść to, jak giął się w ukłonach i prawił mało wyszukane oraz zapewne nieszczerze pochlebstwa.

Rzuciwszy okiem na fizjonomię naczelnika, przekonał się, że ma przed sobą człowieka w średnim wieku, barczystego i cokolwiek otyłego. Kasztanowe włosy miał ścięte zgodnie z regulaminem. Zielone oczy ukrywały się pod krzaczastymi brwiami, a dobrze dopasowany mundur pozwalał świetnie maskować lekko odstający brzuch. Wieniawę rozbawił widoczny kontrast, jaki tworzyły jego dłonie. Były bowiem ogromne i szerokie, ale delikatne i białe, co dobitnie świadczyło o tym, że ze znojem fizycznej pracy nie były zbyt dobrze zaznajomione.

Wieniawa z trudem powściągnął uśmiech, cisnący mu się na wargi, i podszedł do młodego żołnierza. Ten poczerwieniał, ujrawszy przed sobą pułkownika, którego wojenne i towarzyskie przygody umiał na pamięć oraz w którego, wzorem innych, jak w tęczę patrzył.

– Panie pułkowniku, ja przepraszam, że od razu nie wpuściłem, ale był wyraźny rozkaz, żeby nikogo bez imiennej przepustki za mury nie wpuszczać.

Długoszowski uśmiechnął się na taką mowę i poklepał chłopca przyjaźnie po ramieniu.

– A cóż ty myślisz, chłopcze, że ja ten mundur u krawca sobie uszyć kazałem? Sam jestem żołnierzem i wiem, że żołnierz słuchać musi. I nie tylko żołnierz. Państwo na prawie stoi, które każdego chroni i na każdego obowiązki nakłada. Jasne ono musi być, aby nikt go raz tak, a raz inaczej nie wykładał. Teraz ty byłeś nade mną pan, bo twoja władza nade mną z litery prawa wynikała. I ze swoich obowiązków wywiązałeś się dobrze. Pamiętaj zawsze tak postępować, by strzec litery i ducha prawa.

Zdążył jeszcze uśmiechnąć się do chłopca, po czym naczelnik więzienia wziął go pod rękę i powiodł do swego gabinetu. Przez drogę nie zamienili ze sobą ani jednego słowa, choć każdy milczał z całkiem odmiennych powodów.

Naczelnikiem targał zbyt silny niepokój, aby potrafił się w tej chwili zdobyć na prowadzenie swobodnej konwersacji. I to jeszcze z kimś, kto – jak Wieniawa – przewyższał go oglądą towarzyską, pozycją i znaczeniem. Aleksander Jabłoński posiadał pewną orientację w kulisach politycznych. Nie była ona zbyt wysoka, bo na taką nie pozwalała jego pozycja, niemniej wiedział dobrze, że Wieniawa-Długoszowski był oczami i uszami naczelnika państwa. I jedno słowo przygany lub nagany z jego ust mogło rozstrzygnąć o dalszej karierze. Od pierwszej chwili robił więc wszystko, by zjednać sobie jego przychyłność, a jednocześnie odgadnąć powód, dla którego tu przybył. Próbował sobie przypomnieć, czy sam nie popełnił ostatnio jakichś uchybień lub nie naraził się jakiejś osobie, której gniew mógł sprowadzić na niego uwagę groźnego pułkownika. Ale nie mógł sobie przypomnieć żadnego podobnego wypadku. W życiu bowiem pilnował się, by nigdy nie zrazić do siebie kogoś, kto mógł mu zaszkodzić w karierze.

Może chodziło więc o nowy dekret o więziennictwie, który uchwalono w lutym tego roku? Może czegoś nie dopilnował, nie dopatrywał? Ale przecież czytał ten dwunastopunktowy dokument i widział na własne oczy, że zawierał on tylko ogólnikowe wytyczne dla służby więziennej i sprawiał wrażenie napisanego na kolanie. O co więc mogło chodzić?

Naczelnik na próżno łamał sobie nad tym głowę, gdyż nie mógł dojść do żadnego konstruktywnego wniosku. Od tych rozmyślań skóra cierpła mu na grzbiecie. Choć najchętniej wyrzuciłby go za bramę swojej placówki penitencjarnej, to robił wszystko, by zamaskować uczucie niechęci, które ogarniało go z coraz większą siłą.

Lecz jego obawy były bezpodstawne. Długoszowski nie dbał ani o osobę, ani o myśli Jabłońskiego. Traktował go instrumentalnie i nie miał zamiaru poświęcać jego osobie więcej czasu, niż było to absolutnie konieczne. Jeśli zaś naczelnik w ogóle zaprzętał jego

myśli, to tylko w kontekście oceny jego zdolności i potencjału umysłowego. Wieniawa był bowiem ciekaw, czy Aleksander będzie na tyle mało roztrotny, by wziąć jego fałszywą grę za dobrą monetę. Starał się niczego nie zaniedbać, by swoje kłamstwa uwiarygodnić i uczynić prawdopodobnymi. Wiedział, ile zależy od tego, czy uda mu się teraz na spokojnie pomówić z Tomaszem. Bez tego cały plan, który starannie układał, by potem metodycznie wprowadzić w życie, nie byłby wart funta kłaków.

Poza tym musiał być bardzo ostrożny. Jabłoński nie mógł się zorientować, że zbyt wiele zależy mu na spotkaniu z nic nieznaczącym więźniem. Gdyby to dostrzegł, byłoby to wielce niepożądane i mogłoby zrodzić nikomu niepotrzebne pytania i problemy. A tego chciał za wszelką cenę uniknąć. Obawiał się bowiem politycznej zawieruchy, jaka mogła z powodu jego wsparcia dla Tomasza wyniknąć. Miał więc pełną świadomość straszliwego brzemienia odpowiedzialności, jaka na nim zaciążyła, i dlatego milczał jak zakłęty.

Obaj weszli do niewielkiego pomieszczenia zamkowego, które zaadaptowano na gabinet naczelnika. O jego dawnym przeznaczeniu świadczył między innymi ogromny lichtarz, który stanowił w tym miejscu źródło światła. Na ścianach pyszniły się kunsztowne gobeliny, które same w sobie były artystycznym dziełem sztuki. Te, które osłaniały tutejsze nagie mury, przedstawiały ciekawskiego Akteona, który właśnie podgląda Dianę. Inne meble były jednak na wskroś współczesne. Składały się bowiem na nie proste sosnowe biurko i także same krzesła.

Aleksander rozejrzał się po swoim miejscu pracy i rzucił usprawiedliwiająco:

– Nie jest to miejsce zbyt kunsztownie urządzone, choć nasza panienka w wodzie robi na wszystkich wrażenie. Zwykle nie odwiedza naszych murów nikt, kogo powinno się przyjmować

z wyszukaną galanterią. Ot, nie mam nawet czym poczęstować ani napoić.

Policzki zaróżowiły mu się z lekka. Patrzył w oczy ważnego gościa i nieznacznie zaciskał palce z niepokoju. Pułkownik dostrzegł to, lecz nie dał tego po sobie poznać. Za to uradował się w sercu, bo wywnioskował z tych skrywanych objawów nerwowości, że ma wielką przewagę psychiczną nad Aleksandrem. Była to okoliczność wielce dla niego pomyślna, która zdecydowanie ułatwiała mu realizację zamierzonego celu.

– Ja również mam słabość do pięknych kobiet – stwierdził. – Poza tym proszę traktować moją wizytę w sposób ściśle nieoficjalny; ot, pogaduszki dwóch pracowników służby państwowej. I jeśli zechce pan wziąć moje słowa za dobrą monetę, to poradzę, by nigdy nie nazywać bogini łowów panienką. Jeszcze pana własne psy na śmierć zaszczują.

Jabłoński wprawdzie nie zrozumiał dowcipu, bo sztuką średniowieczną nie interesował się nawet w minimalnym stopniu, lecz na wszelki wypadek uśmiechnął się niepewnie i wskazał swojemu gościowi krzesło.

Obaj usiedli naprzeciw siebie i przez chwilę milczeli.

Aleksander wolał pozostawić prowadzenie tej rozmowy Wieniawie. Przypuszczał bowiem, że przyszedł on do niego w konkretnej sprawie, którą zaraz mu przedstawi. Poza tym nie chciał przedwcześnie wyrwać się z jakimś nierozważnym słowem. Uśmiechał się więc tylko niepewnie i czekał cierpliwie. I jedynie lekkie ruchy kolana pod biurkiem świadczyły o tym, z jak wielkim trudem panuje nad emocjami.

– Zapewne wie pan, że nasza ojczyzna przygotowuje się do wojny na wschodzie? – spytał Bolesław.

– Ano tak. Ale to nie jest chyba moja sprawa, a raczej pańska, panie pułkowniku? Bo to pan ma zwalczać wroga zewnętrznego, a ja wewnętrznego, co staram się robić zręcznie i dokładnie. Jakoż



staram się zapewnić wikt i opierunek tym z synów naszej ojczyzny, którzy zamiast chwały jej przysparzać, ludzi w niej niszczą i prawo depczą. Czym szkodzą krajowi nie gorzej niż zewnętrzny nieprzyjaciel, bo utrudniają jego organizację i odbudowę. Chwytam też komunistycznych szpiegów i dywersantów. Ale to nie są chyba rzeczy, które powinny znajdować się w zakresie pańskich zainteresowań.

Aleksander nie umiał sobie odpowiedzieć na pytanie, czego właściwie Wieniawa chce i do czego dąży. A początek rozmowy w niczym mu przeniknięcia zamiarów pułkownika nie ułatwił. Zresztą Jabłońskiemu chodziło zupełnie o co innego. Pragnął mianowicie zabezpieczyć swój stołek. Postanowił więc pilnować swojego języka i w każdym aspekcie wypełnić wolę Długoszowskiego.

– I tak, i nie – odrzekł Wieniawa, zwracając się do Jabłońskiego. – Ma pan rację, że nasza praca jest wykonywana na różnym obszarze, choć służy temu samemu celowi. A mianowicie zapewnia naszemu państwu pełnię bezpieczeństwa i spokój wewnętrzny. A najlepszy dowód w tym, że organizacja sprawnie funkcjonującego więziennictwa była jednym z pierwszych zadań, nad którymi pochylił się rząd, choć innych palących problemów także nie brakuje.

Czyżby jednak chodziło o dekret, a cały ten wstęp miał tylko skutecznie zamydląć mi oczy? – pomyślał Jabłoński i z gniewem uderzył nogą o podłogę. Ból sparaliżował go na chwilę tak, że z trudem docierało do niego, co właściwie Długoszowski mówił.

– To są jednak sprawy, na których niewiele się znam i które wolę w godniejszych rękach pozostawić. – Skłonił się lekko Jabłońskiemu, który, słysząc ten mały komplement, aż pokraśniał z zadowolenia.

I jak uprzednio bał się nagany lub nawet zwolnienia ze służby, tak teraz zaczął rozmyślać o możliwości awansu. Całą tę pomyślną

dla siebie kalkulację psuło mu jedynie to, że Wieniawa nie był policjantem, lecz wojskowym, i nie mógł udzielić mu awansu. Lecz Aleksander tak bardzo nie chciał rozstawać się z tą nadzieją, że i to umiał sobie pod swoje rozumowanie wyjaśnić. Długoszowski znał przecież każdego, kto się w tym państwie liczył. Z wysokimi oficerami jego służby włącznie. Cóż to było dla niego załatwić mu awans? Gdyby tylko zechciał się nad tym pochylić.

Trzeba zrobić wszystko, by zechciał – pomyślał. Przysługa oddana panu z takimi plecami z pewnością nie przepadnie, nawet gdyby początkowo nie zechciał. Dobrze by było go wobec siebie zobowiązać.

Napędzany tymi myślami wbił oczy w wargi pułkownika i czekał na słowa, które z nich wypłyną, niczym spragniona roślina na deszcz.

– Zajmuję się także dostawami dla wojska, a ściślej: zabezpieczaniem odpowiednich racji żywnościowych dla ludzi i furazu dla koni – kontynuował tymczasem Wieniawa. – Nielatwe to zadanie, zwłaszcza w kraju wyniszczonym wojną i rabunkami żołdaków. Sam to pan zapewne pojmuje i wie także, jak ogromnym ułatwieniem byłaby dla mnie wiedza, ilu ludzi będą musieli wyżywić.

– Z całym szacunkiem, panie pułkowniku – stwierdził Aleksander – ja się nie uchylam od pomocy, bo sercem i duszą służę. Ale doprawdy nie wiem, jak mógłbym być pomocny akurat w tej kwestii. Sprawa wyżywienia żołnierzy nijak się ma do moich kompetencji.

Wieniawa wychylił się lekko do przodu i szepnął konfidencjonalnym tonem, jakby dzielił się z Jabłońskim jakąś wielką tajemnicą, która nie jest przeznaczona dla uszu postronnych:

– To, co panu teraz powiem, stanowi najściślejszą tajemnicę i nie ma prawa wyjść poza te ściany. Z wiosną wojna pewna.

Bolszewia czeka tylko, aż pogoda lepsza się zrobi, by na nas uderzyć. Nikt nie jest w stanie przewidzieć, jak kampania się rozwinie... Naturalnie, nikt nie wątpi w zwycięstwo – zaznaczył Wieniawa. – Ale na wojnie tak już jest, że niczego przewidzieć się nie da, a trzeba być na wszystko gotowym. Choćby na straty większe od zakładanych. Teraz rozumiecie, czemu rzecz cała musi być utrzymywana w tajemnicy? To są jedynie przypuszczenia, które mogą się nie sprawdzić i pewnie się nie sprawdzą. A gdyby dostały się do opinii publicznej, mogłyby stać się dobrą pożywką dla bolszewickiej propagandy i zachwiać wiarą społeczeństwa w rząd oraz w zwycięstwo.

Jabłoński odetchnął w duszy. I omal się nie roześmiał, gdy przypomniał sobie o swoich wcześniejszych obawach. Dola bowiem więźniów niewiele go obchodziła i było mu wszystko jedno, czy będą tu gnić, czy umierać w obronie ojczyzny. Rozumiał teraz, dlaczego Wieniawa zachowywał się tak tajemniczo. Rzeczywiście żaden rząd nie będzie w przededniu wojny obwieszczał społeczeństwu, że nie zakłada tylko i wyłącznie łatwego zwycięstwa. Lepiej było trzymać lud w nieświadomości.

– Interesuje mnie, ilu macie więźniów, abym wiedział, ile racji żywnościowych muszę przygotować na wypadek, gdyby zaszła konieczność przymusowego wcielenia ich w szeregi naszej armii, aby chwalebną walką lub bohaterską śmiercią odkupili swe winy wobec narodu i kraju.

– Mamy kilkanaście cel, w których, bez naruszania norm sanitarnych, możemy umieścić około dwustu pięćdziesięciu ludzi – odparł naczelnik. – Naturalnie gdyby zaszła taka konieczność, możemy ich ścisnąć jak w imadle. Jeśli jednak chodzi panu pułkownikowi o ścisłe dane, to muszę wspomóc się dokumentami. – I dorzucił mściwie: – Ja bym dawno tę hołotę ołowiem dokarmił. Ale na froncie się przydadzą. Są dobrze obznajomieni z zabijaniem, choć nie wiem, czy te metody walki,

które z takim powodzeniem stosowali na ulicach, okażą się skuteczne we frontowych transzejach. To już w każdym razie będzie ich problem, bo ja się ich chętnie pozbędę. A zwłaszcza jednego, co to musiałem już przez niego trzy groby wykopać.

– Trzy groby? – zapytał Wieniawa z pozorną obojętnością, choć serce podeszło mu do gardła z podniecenia. I bał się przez chwilę, że wyskoczy mu przez usta. Miał bowiem dziwne przeczucie graniczące z pewnością, że naczelnikowi nie może chodzić o nikogo innego tylko o jego przyjaciela. Był pewien, że Tomasz byłby w stanie poradzić sobie z trzema kryminalistami, bo widział go przy pracy, a złodzieje dadzą każdemu radę w ciemnym zaułku, gdyż to ich środowisko, które daje im naturalną przewagę, nigdy jednak prawdziwemu żołnierzowi nie dadzą rady w otwartej walce. A Tomasz nie był przeciętnym żołnierzem.

Aleksander poczerwieniał na samo wspomnienie tamtej sprawy, która miała być prosta, a stała się tylko przyczyną trosk i kłopotów. Do dziś żałował, że dał się podkomendnym namówić na zemstę na Tomaszu za śmierć tamtego policjanta. Nie przewidywał jednak kłopotów. Poza tym był to dobry sposób, by zdobyć tanim kosztem przychyłność podwładnych, poczuwających się do solidarności zawodowej. Wszystko miało się odbyć wedle prostego schematu, który nieraz stosował w takich przypadkach z pomyślnym skutkiem.

Kazał mianowicie umieścić Tomasza w pojedynczej celi, do której dokooptowano mu jeszcze trzech więźniów. Były to wszystko łotry skazane na karę śmierci za liczne zbrodnie, więc nie miały szans, by wyjść na wolność i komukolwiek opowiedzieć o tym, do czego ich używano. Mord był dla nich sposobem na życie, więc zgodzili się go wykonać w zamian za dostarczenie im do celi kobiet. Gdy wszystko było gotowe, w celi Tomasza zrobiono kipisz. Wtedy strażnicy ukryli w siennikach noże, które miały czekać nocy, pory morderców.

Jabłoński przygotował więc wszystko jak należy i ze spokojem czekał ranka, kiedy to trzeba będzie usunąć trupa. Gdy jednak otworzono drzwi celi, zastał w niej Tomasza całego i zdrowego i trzy sztywniejące już trupy. Od tej pory Aleksander zakazał komukolwiek zbliżać się do tego człowieka, a strażnicy pamiętali o tym i nawet tego nie próbowali.

– A tak trzy groby – mruknął Aleksander i zaciął usta na samo wspomnienie. – Oni sami często się między sobą wadzą, bo u nich łatwo o chęć do rozlewu krwi. I często tak bywa, że po nocy wynosić musimy trupy. Nie inaczej było i w tym przypadku. Trzech ludzi rzuciło się z nożami na niejakiego Tomasza Grobla, który siedzi tutaj, bo policjanta w trakcie aresztowania ubił. Wprawdzie ci, co go do nas z prokuratury dostarczyli, mówili, że w tej sprawie są jeszcze jakieś rodzinne spory o majątek, ale nic pewnego powiedzieć nie umieli. A ja też nie drążyłem tematu, bo moja rzecz pod kluczem ich trzymać, a nie spisywać historię życia.

Ani jeden muskuł nie drgnął na twarzy Wieniawy, gdy słuchał tej historii, tak jakby była zwykłą ciekawostką, która ma ubarwić rozmowę, a nie czymś, co wiąże się z rzeczywistym powodem jego przybycia. I nawet najbystrzejszy obserwator nie odgadłby, że nie tylko nie słucha historii dla siebie zupełnie nowej, lecz także byłby w stanie uzupełnić opowiadanie naczelnika o liczne szczegóły. Do tego stopnia bowiem nad sobą panował, że zdobył się na śmiech, gdy rzekł:

– A to franty. Ale że łajdacy i zawalidrogi, to i niewielka stała się szkoda. A tamtych trzech toście z nożami aresztowali? – spytał, bystro patrząc na naczelnika.

Ten zmieszał się i poczerwieniał pod wpływem tego zimnego spojrzenia, które przeszło go na wskroś i zdawało się z łatwością odczytywać jego najtajniejsze myśli. Naczelnik poczuł chłodne tchnienie strachu i zimny pot, który właśnie pojawiał się na

skórce. Przez chwilę bowiem myślał, że zamiast wdzięcznego protektora, zrobił sobie w pułkowniku wroga.

Wieniawa sam spostrzegł, że przez jedną krótką chwilę pozwolił, by zawładnęły nim uczucia. Poznał, że musi złagodzić wrażenie, bo jeszcze chwila i Aleksander zacznie się czegoś domyślać. Już teraz przyglądał mu się z niepokojem wypisanym na twarzy, bo dostrzegł w jego oczach głęboko skrywaną pogardę dla siebie. A to nie było ani konieczne, ani potrzebne.

– To wasze gospodarstwo – rzekł Wieniawa. – A społeczeństwo płakać ani dociekać losu tych mętów nie będzie. Mnie jednak cieszy, że macie w swoim przybytku takich osilków, którzy potrafią sobie poradzić z trzema nożownikami. Bo to dowodzi, że moja wizyta tutaj nie jest całkowicie bezprzedmiotowa i ludzie ci odnajdą się w szeregach armii, gdzie ich mordercze instynkty znajdą pozytywne zastosowanie. Przy tym pan pozbędzie się kłopotu.

Jabłoński rozchmurzył się i rozruszał, gdy usłyszał wesołe nuty w głosie pułkownika, i wnet zapomniał o swoim przykrym wrażeniu, jakie był uprzednio odniósł. Wieniawa robił wszystko, by naprawić błąd, który popełnił. Śmiał się z jego rubasznych dowcipów, choć go drażniły, bo nie były zbyt subtelne ani wyszukane. Pasowałyby raczej do podrzędnej knajpy niż do pokoju zarządcy budynku więziennego. Ale Bolesław nie zważał na to. Pamiętał, że nie przyszedł tu po to, by prowadzić z naczelnikiem niezobowiązującą rozmowę, tylko by zrobić kolejny krok w sprawie uwolnienia Tomasza z pułapki, w którą ten sam tak nieszczęśliwie się wplątał.

Z każdą chwilą wzrastał w nim niepokój, bo czuł, że cel ten oddala się od niego coraz bardziej. Nie umiał bowiem znaleźć żadnego pretekstu, który pozwoliłby mu udać się do celi Tomasza, by z nim uzgodnić szczegóły uwolnienia. Uprzednio planował, że namówi naczelnika, by ten oprowadził go po celach i tam

w dyskretny sposób przekaże wszystko Tomaszowi. Wtedy jednak nie wiedział, że nad interesującym go więźniem rozciągnięta jest szczególna opieka strażników. Wobec tych okoliczności, które odkrył tutaj, projekt ten musiał upaść. Zresztą nigdy nie był pewien, czy zdoła z sukcesem wprowadzić go w życie. Mimo że starał się dopracować go w najdrobniejszym szczególe – ciągle stanowił raczej wielkie prowizorium aniżeli plan z prawdziwego zdarzenia. Lecz teraz było już za późno na wahanie.

Ale oto w tym momencie drzwi się otworzyły i do gabinetu naczelnika wszedł ten sam młody człowiek, którego Wieniawa poznał już przy bramie. Strzelił obcasami i rozejrzał się niepewnie po obu mężczyznach. Widać było, że nie jest przyzwyczajony do częstych kontaktów służbowych z Aleksandrem. Jego oczy zbyt uważnie rozglądały się po gabinecie, zatrzymując się na wyobrażonych w gobelinie wdziękach bogini łowów, które wywołały rumieniec na jego twarzy.

Wieniawa dostrzegł to i uśmiechnął się lekko. Chłopiec jest jeszcze bardzo młody i może nie miał okazji widzieć kobiety, tak jak ją Pan Bóg stworzył – pomyślał.

Jabłoński odwrócił lekko głowę i widząc, że jego podwładny nie zdoła z własnej inicjatywy wykrztusić słowa, zachęcił go ruchem dłoni, by mówił.

– Wzywają pana naczelnika, bo coś tam się nie zgadza z dokumentacją z ostatniego transportu.

– Jak dzieci – mruknął Jabłoński, na wpół do siebie, na wpół do Wieniawy, usiłując przywołać na twarz wyraz niezadowolenia. – Beze mnie są jak bez ręki i najprostszej sprawy załatwić nie potrafią. Ale pewnie nie jest to dla pana pułkownika żadną niespodzianką, bo w wojsku, jak się domyślam, nie jest inaczej.

Nieznacznie spojrział na zegarek, dając w ten sposób do zrozumienia, że pułkownik postąpiłby uprzejmie, gdyby raczył się wynieść. Długoszowski miał pełną świadomość, że Jabłoński

bezczelnie go rozgrywa, ale przecież powiedział już wszystko, więc nie było możliwości, by mógł bez wzbudzenia podejrzeń pozostać tu dłużej. Rozumiał, że przegrał na skutek własnego niedopatrzania. Przed wizytą tutaj powinien był sprawdzić, w jakich warunkach trzymany był Tomasz. A tak, starannie i z pietyzmem przygotowywany plan nie wytrzymał starcia z okolicznościami i on miał tego pełną świadomość.

Z najwyższym więc trudem utrzymywał na twarzy wyraz zadowolenia, gdy żegnał się z Jabłońskim. Ten jednak był wesoły i wylewny. Dosłownie tryskał radością, bo był z siebie dumny. Zdołał bowiem ograć słynnego pułkownika za pomocą prostej sztuczki, a jednocześnie pokazał się jako człowiek chętny do współpracy, który chciałby swemu gościowi nieba przychylić. Jeśli czegoś żałował, to tylko tego, że nie zdołał wywnioskować, dlaczego pułkownik zdecydował się przekroczyć progi jego więzienia. Niemniej jednak mógł czuć się zupełnym zwycięzcą w tej rozgrywce.

Ale nie pozwolił, by blask tego małego w gruncie rzeczy zwycięstwa zaślepił go. Wieniawa był człowiekiem potężnym, który, gdyby tylko chciał, mógł go osiągnąć swoją zemstą. Stanowczo więc nie należało posuwać się dalej w upokarzaniu go. A nawet lepiej było ucukrować mu gorycz tej porażki, a tylko w duszy bez skrępowania cieszyć się ze zwycięstwa.

Dlatego, rozważywszy to wszystko, rzekł:

– Wybaczcie, że nie mogę dalej pełnić powinności gospodarza, ale sami rozumiecie, że służba to pierwsza powinność służbi publicznego. Sobczak odprowadzi was do bramy, aby asysta dla tak czcigodnego gościa była jak najdostojniejsza.

Wieniawa zrozumiał subtelną odprawę i przez chwilę chciał odmówić. Pojął jednak szybko, że gdyby to zrobił, to postąpiłby niczym szachista, który po przegranym meczu rozrzuca pionki. Stanowczo lepiej było robić dobrą minę do złej gry. Także po to, by



Jabłoński nie zorientował się, że ta rozmowa miała dla niego większe znaczenie, niż wynikałoby to z pozorów, które starał się jej nadać.

Poza tym spojrzawszy kątem oka w twarz Ryszarda Sobczaka i dostrzegł jego uśmiech i błysk radości w oku. Zrozumiał, że możliwość przebywania z nim będzie dla tego chłopca wielką radością, którą zapamięta na długo. Niech przynajmniej on ma coś z tego – pomyślał i wstał.

Sobczak rozpromienił się, gdy ujrzał lekkie skinienie głową, usłużnie otworzył drzwi i zaszalutował. Obaj wyszli i przez chwilę szli w milczeniu. Bolesław mówić nie miał ochoty, bo ciągle żuł w myślach swoją porażkę. A Sobczak nie miał śmiałości, choć chciał zagadnąć i w tym celu co rusz rzucał spojrzenie na pułkownika, czy jakiejś zachęty nie dostrzeże.

Wreszcie Wieniawa spojrzawszy w jego stronę i zwrócił się do niego:

– Jabłoński kazał ci czekać za drzwiami i wejść po upływie pewnego czasu, tak?

Dostrzegł, że chłopak się zmieszał, bo wywrócił oczami, jakby chciał błagać, by o to nie pytał. Miał świadomość, że postępuje nietaktownie, zmuszając młodego żołnierza do donoszenia na zwierzchnika. Ale wiedział też, że gra w taką partię szachów, w przypadku której każdy dodatkowy atut może mieć znaczenie. I w ostatecznym rozrachunku nie będzie się liczyło to, jakim sposobem zdołał wejść w jego posiadanie. Nie wahał się więc wyzyskać uwielbienia tego chłopca dla siebie.

– Panie pułkowniku... ja nie mogę – wyjąkał niepewnie chłopak. – Dla pana pułkownika to ja bym chętnie każdą rzecz zrobił, ale tego nie mogę. Mnie i tak tu ciężko, bo jestem najmłodszy w obsadzie. I nic tylko: „Sobczak to”, „Sobczak tamto”.

Wieniawa zachichotał, bo mu się własne szczenięce lata przypomniały, kiedy sam służył za chłopca na posyłki – był to dla

niego ciężki czas. Ale przynajmniej wyrobił w nim siłę fizyczną, zamiłowanie do pracy i szacunek dla pieniądza. Najmilej wspominał okres, który spędzał na studiach medycznych we Lwowie. Wtedy żył bez trosk i obaw, niczym ptak podniebny. Dziś miał na głowie sprawę olbrzymiego państwa. Schlebiało mu to, bo jasno dowodziło, że był człowiekiem o niezwykłych zdolnościach, bo tylko taki mógł udźwignąć ten ciężar. Jednocześnie czuł, że wraz ze wzrostem pozycji i znaczenia tracił coś bezpowrotnie. Mianowicie wolność. Już nie pamiętał, kiedy usiadł nad sztalugami z zupełnie swobodną myślą; kiedy tak po prostu pił piwo w knajpie i dumał. Przez zasłużoną skądinąd sławę stracił anonimowość, jaką mają zwykli ludzie, choć ci na ogół robią wszystko, by zabłysnąć na środku nieba, aby ich ludzie chwalili. A on? Nawet ten młokos go znał i zapewne miał już o nim wyrobiony osąd. Choć on sam ani go wcześniej widział, ani o nim słyszał. Znał go każdy, kto przebywał w tym kraju, i dlatego nie mógł stać się znów anonimowym członkiem wielkiej społeczności.

– Tak to zawsze działało, że młodszy robią to, czego starsi nie mają ochoty. I ze mną w swoim czasie nie inaczej było.

Roześmiał się, widząc utkwione na sobie zdumione oczy Sobczaka. Dzieciak myśli pewnie, że ja zaczynałem od wydawania rozkazów. Ba, że urodziłem się w mundurze i z pułkownikowską buławą w rękę.

– Ale ja nie chcę świata do końca życia przez mury oglądać. Nic tu się nie dzieje. Młody jestem, chciałbym świata kawałek zobaczyć, a nie tu za popychadło robić. Co ja mogę tu osiągnąć? Jak mi szczęście dopisze, to zostanę naczelnikiem jakiegoś więzienia i będę się na stanowisku hemoroidów dorabiał.

Zacisnął zęby na samą myśl. Czuł się powołanym do innego życia i nie miał zamiaru go zakończyć na jakiejś zapomnianej przez Boga i ludzi placówce. A może i tego nie uda się osiągnąć. Do awansu zawsze będą lepsi od niego, tylko do czarnej roboty to ich

nie ma. Kiedy ośmielił się Jabłońskiemu wspomnieć o podwyżce, to ten po prostu go wyśmiał. I jak on miał rodzinę założyć? Z czego ją utrzymać?

– Nie udław się własną ambicją – mruknął Wieniawa, udając, że nie spostrzega nadmiernej poufałości Ryszarda w stosunku do jego osoby. – Jeśli naprawdę masz w sobie potencjał, to on wypchnie cię do góry we właściwym czasie. A świat? Świat to jest jedna wielka drabina. Wszyscy siedzimy na szczeblach i próbujemy wspiąć się do góry. Spychamy się wzajemnie i bronimy przed tymi, którzy są na niższym szczeblu niż my, dopóki Boska ręka nie strąci nas wszystkich w niebyt.

– Czy pragnienie sprawdzenia się to coś złego? Każdy kraj potrzebuje zdolnych karierowiczów, bo oni podnoszą go do góry. Ja nie wiem, dlaczego w Polsce potępia się ludzi, których ambicją jest zwiększenie poziomu swojego życia, by dać szczęście nie tylko sobie, ale i najbliższej kobiecie.

Tak mi mów – pomyślał Wieniawa, walcząc z irytacją, którą napełniała go impertynencja tego młodzika. Teraz przynajmniej rozumiał przyczyny jego frustracji. – Była nią kobieta.

– Kobiety są jak piękne przedmioty – stwierdził. – Im piękniejsze, tym droższe w utrzymaniu. Nie wiem tylko, czy realizujesz tylko jej ambicje, czy także swoje własne. Rozumiem cię lepiej, niż sądzisz. Sam dobrze kiedyś znałem jedną wykwinłą i dumną kobietę. Ciężko z takimi żyć, bo one nawet jeśli kochają, to nie potrafią tego okazać. Nie rzuci ci się taka na szyję przy ludziach, nigdy nie da się ponieść emocjom. Jest jak letnia woda i taką pozostaje. A twoja jaka jest? I czego od ciebie chce?

Sobczak zamyślił się tak głęboko, że aż na czole pojawiła mu się głęboka bruzda. Prawda była taka, że Jadwiga nie chciała od niego nic. Ledwie raczyła go zauważać. To on chciał od niej wszystkiego. Rozumiał jednak, że aby to osiągnąć, musi dać się jej zauważyć. Ale jak miał to zrobić? Nie raz przyglądał się sobie w lustrze czy w tafli

wody. I za każdym razem dochodził do tego samego upokarzającego wniosku: wyglądał marnie. Ani rosły, ani silny. Był jak niedokończone dzieło, które Stwórca porzucił, zanim zdołał je ukończyć. I cóż z tego, że zamiast proporcjonalnie zbudowanego i silnego ciała dostał od niego chłonny umysł, kiedy wiedział, że kobiety, podobnie jak mężczyźni, nie zakochują się w intelekcie? I cóż z tego, że umiał czytać i pisać? Co z tego, że sąsiedzi wieczorami schodzili się do ojcowej chałupy, by czytał im z mówiącego papieru, co się na świecie dzieje? Wszystkie panny i tak oglądały się za pierwszym lepszym ciemnym durniem, który miał końskie zdrowie i krzepę fizyczną. Humoru nie poprawiało mu nawet i to, że ojciec pod niebiosa go wynosił i na obłokach kołysał, bo kształcony syn i jemu chwały przysparzał. Chciał go na organistę albo nawet na księdza wykierować, gdyby fundusze wyorane z gospodarki zdołały zaspokoić koszt jego dalszej nauki.

Ledwie zdołał wyperswadować mu te pomysły. Do księżowskiej profesji nie czuł w sobie żadnego powołania; zaś jako organista musiałyby codziennie przygrywać do mszy, słuchać kazań księdza i kasłania wiernych. Przywiązałyby się do jednego kościoła i jednej parafii. Co z tego, że żyłoby mu się może dostatnio i wygodnie, bo ludzie sami zapełniliby mu domową spiżarkę, skoro zawiązałoby mu to oczy na świat? Musiałby zrezygnować z czynnego życia i tkwić w jednym miejscu, dopóki z pompą nie odnieśliby go na przykościelny cmentarzyk, jak przystało na kogoś, kto dobrze się przysłużył lokalnej społeczności. On tego nie chciał. Nie chciał za nic. Dlatego obiema rękami chwycił się szansy, jakiej upatrywał w nowo tworzonej policji. Liczył, że ta służba da mu prestiż, który ułatwi drogę do serca dziewczyny. Tym boleśnieszce były dlań obecne rozczarowania.

– Język czy zmysły postradałeś? – zapytał Wieniawa, któremu sprzykrzyło się milczenie i ta cisza, którą mącił jedynie odgłos ich kroków. – Jaka ona jest, ta twoja Jadwiga?

– Taka ona moja jak księżyc czy gwiazdy. Jak próbowałem jej zaimponować, mówiąc, że groźnego więźnia strzegę, to nie na jej uśmiech, tylko na śmiech zarobiłem.

Ryszard poczerwieniał, zaciął usta, zacisnął ręce, a żyły wyszły mu na wierzch, jakby zadawnione wspomnienie zapiekło go fizycznym bólem. Ale Wieniawa nie zważał na to. W słowach młodzieńca uderzyło go co innego. Przyszło mu bowiem na myśl, że owym niebezpiecznym więźniem, którego Ryszard pilnował, mógł być Tomasz. Aż zadrżał na samą myśl, bo była to szansa pozwalająca zrealizować plan, który zdawał się pogrzebanym. I co więcej, pozwalał zrealizować go tak, by żaden ślad nie wiódł do niego.

Naczelnik myśli, że mnie w pole wyprowadził, tymczasem nawet nie wie, jakiej rangi przysługę mi oddał. Grunt to mieć w życiu szczęście – pomyślał.

Spojrzał na młodzieńca uważnie i zastanawiał się, jakim sposobem nakłonić go do odegrania roli posłańca w jego sprawie. Miał z nim do czynienia zbyt krótko, by poznać jego słabości i ambicje, a wiedza taka, jak wiedział z doświadczenia, była najlepszym sposobem na to, aby zręcznie ludźmi kierować. O Ryszardzie wiedział na razie tylko tyle, że miał on nieszczęście ofiarować swe serce tej, która nie umiała należycie docenić szczodrości daru. Nie ona pierwsza, ale to go akurat mniej obchodziło. Dla niego najważniejszą rzeczą był punkt zaczepienia, który posiadał dzięki jej odmowie.

– Wie pan pułkownik, co ona mi powiedziała? – mówił Ryszard, kontynuując. – Że jakby on był naprawdę niebezpieczny, to nie daliby go do pilnowania takiemu chuchru jak ja. W oczy mi to rzuciła. Wobec ludzi. Ja przez tydzień łukiem innych obchodziłem, żeby tego śmiechu nie słyszeć. A na koniec to mnie jeszcze lepiej językiem kolnęła. – Sapnął z gniewu, po czym dokończył: – Powiedziała, że jak przyjadę po nią w mundurze ułańskim i przed

chatą jej ojca konika uwiążę, to za mnie pójdzie. A w ułanach przecież sama szlachta herbowa służy, bo oni konie pod wierzch mają i od dziecka się z nimi zżywają. U nas na wsi koń to rzadkość i o ile jest, to ledwo spłachetek gruntu zaorze, jeśli nie padnie po drodze. U nas dziesięciu chałup jeden pies strzeże i jeszcze niewiele ma roboty – dodał gorzko, przystanął i wlepił wzrok w swoje buty.

Wieniawa namyślał się nad czymś przez chwilę, po czym rzekł:

– Jeśli powiedziała to przy ludziach, to dobra nasza. Ja ci pomogę dostać się do ułanów i to do elitarniej formacji Beliny Prażmowskiego. Znamy się jeszcze z czasów epopei legionowej, którą razem odbyliśmy. Na początku dowodził siedmioma ludźmi, a dziś ma pod rozkazami tysiące.

Ryszard zdumiał się i oczy w ślup postawił. Wszystko w nim chciało skakać do góry z radości, ale trzeźwy rozsądek nakazywał zachować ostrożność. Zdawał sobie sprawę, że na tym świecie nie ma nic za darmo. Wszystko trzeba sobie wywalczyć albo ciężką pracą, albo koneksjami. Tego miał najlepszy przykład na sobie. On nawet od natury prezentu nie dostał, więc tym bardziej nie miał najmniejszego prawa spodziewać się go od ludzi. Przykładów na to dokoła nie brakowało. Wiedział, że pułkownik będzie czegoś od niego chciał. Po to ukazał mu możliwość spełnienia marzeń o mundurze ułańskim, który jednocześnie miał mu umożliwić poprowadzenie ukochanej kobiety do ołtarza.

A jednak nie umiał zrezygnować z tej szansy spadającej mu z nieba. Mógł tylko podziękować losowi, że to właśnie jemu Jabłoński wydał rozkaz dołączenia do zaplanowanej przez siebie rozgrywki z Wieniawą. Choć zapewne nie przypuszczał, że i on wyciągnie z niej dla siebie korzyści. Uśmiechnął się lekko. Świetnie rozumiał, że Długoszowski będzie oczekiwał czegoś, co w najlepszym razie będzie wątpliwe moralnie, a może nawet zupełnie niezgodne z prawem. Lecz chłopak nie miał z tego

powodu żadnych rozterek moralnych i sumienie nic mu nie wyrzucało, bo przywykł do tego, by walczyć o wszystko pazurami. Nęciła go też tajemniczość tej sprawy. Było to coś, na co czekał tyle czasu. Coś, co przełamywało monotonię jego życia i dawało szansę na poczucie tego dreszczyku adrenaliny, o którym zawsze marzył. Poza tym nie lubił ani Jabłońskiego, ani pozostałych pracowników więzienia i nie czuł najmniejszej potrzeby, by być lojalnym wobec nich. Co więcej, stanowiło to dodatkową podniętę do wejścia w układ, choć decydujący wpływ na jego decyzję miała chęć poprawy własnego losu.

Wyszli właśnie z więziennych korytarzy i weszli w łukową bramę, która wiodła na dziedziniec. Ryszard przystanął, jak człowiek, który po długich i dokładnych rozważaniach podjął wreszcie ostateczną i nieodwołalną decyzję. Chwycił Wieniawę za rękaw od munduru, lecz błyskawicznie go puścił, jakby zawstydzony własnym zuchwalstwem. Przez chwilę z niepokojem wypisanym na twarzy czekał na reakcję pułkownika.

Ten jednak uśmiechał się tylko i przyjął postawę wyczekującą.

– Czego chce pan w zamian? Ja wiem, że na tym świecie nie ma nic za darmo.

– Tylko śmierć pracuje za darmo – odrzekł Wieniawa. – Ale ja nie chcę od ciebie nic, co zmuszałoby cię do postąpienia wbrew prawu lub własnemu sumieniu. Będziesz tylko moim posłańcem. Przekażesz Tomaszowi Grobłowi, by postarał się przetrwać tutaj i nie dał się zabić. Twoja też w tym głowa, by więcej nie musiał toczyć nierównej walki z przeciwnikami. Za kilka dni trafi na listę osób przewidzianych do transportu, który przewiezie go do Warszawy, i wówczas wyjdzie spod twojej opieki. Powiedz mu też, że ta, której przekazał pierścień, dotarła do mnie bezpiecznie i jest pod moją opieką. Zapamiętałeś wszystko, czy coś powtórzyć?

– Marna to przysługa – odrzekł, nie ukrywając rozczarowania. – Spodziewałem się czegoś trudniejszego, a to, co mi pan pułkownik

zlecił, nie wymaga takich podchodów, jakich byłem tu świadkiem.

Wieniawa uśmiechnął się lekko. Ten chłystek naprawdę sądził, że on powie mu wszystko, tym samym składając swój los w jego ręce? Jeśli tak, to był bardzo naiwny, bo on nie miał takiego zamiaru nawet przez sekundę. Rysiek był tylko posłańcem, który co prawda był niezbędnym elementem planu, ale nie musiał znać wszystkich jego założeń. A nawet nie powinien. Tak było bowiem bezpieczniej dla wszystkich uczestników tej dziwnej gry, której początek miał miejsce w zabitej dechami wiosce.

– Powinieneś się cieszyć – stwierdził. – Przysługa dla ciebie może i jest łatwa, ale dla mnie ważna, więc na pewno ją zapamiętam i wdzięczność zachowam. Powiedz mu jeszcze, by nie próbował skorzystać ze sposobności i uciec z tego transportu, bo tym by mi szyki pomieszał.

To rzekłszy, skinął Sobczakowi głową, po czym wyszedł na dziedziniec. Przez chwilę mrużył oczy, bo oślepiło go słońce – w czasie, który spędził w murach więziennych, przebiło się ono przez chmury. Przyglądał się chodzącym po murach wartownikom, którzy swoją pracę wykonywali w sposób niedbały i rutynowy. Patrzył na ich zachowanie okiem żołnierza i mimo woli zaczął się zastanawiać, jakim nakładem sił i środków mógłby zdobyć to więzienie. I wyszło mu, że niezbyt wielkim. Na pierwszy rzut oka bowiem mógł dostrzec, że ludzie ci zgnuśniali i zapomnieli, jak walka wygląda. A on wiedział z doświadczenia, że najgorszą rzeczą jest stracić serce i wolę walki, bo takiej straty nie nadrobią nawet grube mury oraz naturalna obronność miejsca.

Ale spostrzeżenia te w niczym nie zmieniły jego postanowienia. By wyciągnąć Tomasza, trzeba było wydostać go poza mury więzienne. On sam nie miał takich możliwości, więc musiał zawierać wszelkiej maści sojusze. I robił to, zaciskając zęby, bo świetnie rozumiał, że tylko tą drogą może dojść do celu, który sobie wyznaczył. I nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie zwieńczy



swe dzieło powodzeniem. Przez bramę jednak przeszedł z uśmiechem na ustach i ze świadomością, że osiągnął wszystko, po co tu przyszedł, i już tu nie wróci.

Brama zatrzasnęła się za nim z łoskotem.

## Postowie

Trudno jest pisać posłowie do tak rozbudowanego tekstu. Trzeba jednak wyjaśnić co najmniej kilka spraw.

W opisywanym okresie naszą granicę chronili Strzelcy Graniczni. Nazwa obecna (Straż Graniczna) powstała później.

Wszystkie wątki z tego tomu dotyczące Tomasza Grobla to już zupełna fikcja. Nieoparta na rodzinnej historii.

Juliana Tuwima i Wieniawę-Długoszowskiego łączyła bardzo bliska przyjaźń. Nasz poeta dziecięcy rzeczywiście lubił żyć pełnią życia.

Problemy poruszane na Konferencji Wersalskiej są autentyczne. Przedstawiłem je w pewnym skrócie, jednak motywy, którymi kierował się zarówno Londyn, jak i Paryż są autentyczne. Konflikt o Górny Śląsk pasjonował wtedy całą polityczną Europę. Był to wówczas największy okręg przemysłowy Europy. Francja była zwolenniczką maksymalnego osłabienia Niemiec, co miało zabezpieczyć jej zachodnie granice przed ponowną agresją. Londyn i Waszyngton reprezentowały bardziej umiarkowane stanowisko, co doprowadzało do tarć w łonie sprzymierzonych. Czasem były one korzystne dla Polski. Częściej jednak doprowadzały do niekorzystnych dla niej decyzji...

Skleplik, który stał się sowiecką placówką wywiadowczą, nigdy nie istniał, choć mógł istnieć. Komuniści bowiem rekrutowali ludzi z całej Europy. Wątek usuwania płodów przez pokątne akuszerki

oparty jest na prawdziwej historii. Jej rzeczywista bohaterka powiesiła się, gdy chciała ujawnić nazwiska klientek...

Iwan Saszkin rzeczywiście mógł chodzić do tego typu szkoły. Choć o technikach szkolenia Czeka wiemy bardzo niewiele... Stan ochrony granicy wschodniej przedstawiłem zgodnie z rzeczywistością. Niestety, przez granicę przemycano przede wszystkim tytoń i żywność. Oraz siemień. Teren przeczesywały także bolszewickie i polskie oddziały dywersyjne. Tam wojna nie zamierała jeszcze długo. Dopiero powstanie KOP i militaryzacja Kresów Wschodnich doprowadziły do względnego spokoju.

Sprawa związana z fałszywymi dokumentami jest oparta na autentycznych zdarzeniach. Niemcy posiadali tajną drukarnię na obszarze Wolnego Miasta Gdańska. Choć zgodnie z międzynarodowymi umowami miało ono być wyłączone spod działalności szpiegowskiej, Niemcy umieścili swoją placówkę wywiadowczą w gmachu prezydium Policji. Więcej o Gdańsku i tamtejszych aferach szpiegowskich w kolejnych tomach.

Czekam na Wasze uwagi i sugestie. W tym miejscu chciałbym podziękować całemu zespołowi wydawniczemu. A zwłaszcza panu Pawłowi Pomiankowi. Wykonał on mrówczą i katorżniczą pracę, wyszukując w tym tekście błędy wszelkiego rodzaju. Jeśli ta książka będzie Wam się podobać, to również dzięki jego pracy. Wszelkie pozostawione błędy są jednak tylko moją winą. Dziękuję także każdemu z Was – Czytelników. Za to, że poświęciliście swój czas na lekturę.

[facebook.com/Strona-autorska-Krzysztofa-Golucha-721955054930352](https://www.facebook.com/Strona-autorska-Krzysztofa-Golucha-721955054930352)

Pod tym linkiem mnie znajdziecie.

# Spis treści

Okladka

Strona tytułowa

Rozdział I

Rozdział II

Rozdział III

Rozdział IV

Rozdział V

Rozdział VI

Rozdział VII

Rozdział VIII

Rozdział IX

Rozdział X

Posłowie

Karta redakcyjna

*W tajnej służbie II Rzeczypospolitej. Tom III. Zdrajca*

ISBN: 978-83-8219-656-6

© Krzysztof Goluch i Wydawnictwo Novae Res 2022

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt  
jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego  
przekazu  
wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

Redakcja: Paweł Pomianek

Korekta: Emilia Kapłan

Okładka: Paulina Radomska-Skierkowska



zacytani | AMARE | NOVAE RES

**Wydawnictwo Novae Res należy do grupy wydawniczej  
Zacytani.**

Zacytani sp. z o.o. sp. k.

ul. Świętojańska 9/4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zacytani.pl](http://zacytani.pl).

Na zlecenie Woblink

**woblink**

[woblink.com](http://woblink.com)

plik przygotowała Katarzyna Rek